

DAVID PEACE



1 9 7 4

Prószyński i S-ka

DAVID PEACE

1 9 7 4

Przełożył
Jan Hensel

Scan-Raw

Tytuł oryginału
NINETEEN SEVENTY FOUR

Copyright © 1999 David Peace
All rights reserved

Projekt okładki
Dark Crayon/Piotr Ciesliński

Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka

Redakcja
Agnieszka Roślan

Korekta
Edward Brzoza

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-630-7

Warszawa 2011

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej S.A.
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

*Dla Izumi
Pamięci Michaela i Eiki
Z podziękowaniami dla rodziny i przyjaciół,
w kraju i za granicą*

*Jedyną nowością na tym świecie
jest historia, której się nie zna.*

HARRY S. TRUMAN

Bomby bożonarodzeniowe i ucieczka Lucana „Szczęściarza”, Leeds United i Bay City Rollers, *Egzorcysta* w kinach, *It Ain't Half Hot Mum* w telewizji.

Yorkshire, Boże Narodzenie 1974 roku.

Wciąż mi bliskie.

Opisałem kłamstwa jako prawdę i prawdę jako kłamstwa i sam we wszystko wierzyłem.

Ruchałem kobiety, których nie kochałem, a tę jedną, którą kochałem, wyruchałem na zawsze.

Zabiłem złego człowieka, ale dałem żyć innym.

Zabiłem dziecko.

Yorkshire, Boże Narodzenie 1974 roku.

Wciąż mi bliskie.

CZĘŚĆ I
YORKSHIRE
MNIE PRAGNIE

ROZDZIAŁ 1

– Dostaje nam się tylko pierdolony lord Lucan i wrony bez skrzydeł. – Gilman uśmiechnął się, jakby to był najlepszy dzień w naszym życiu:

Piątek, 13 grudnia 1974 roku.

Czekałem właśnie na swoją pierwszą Pierwszą Stronę, wreszcie autor z imieniem i nazwiskiem: Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, o dwa zasrane dni za późno.

Spojrzałem na zegarek po ojcu.

Dziewiąta rano, a wszyscy niewyspani. Wyrwani prosto z Press Clubu, kiedy wciąż cuchnęliśmy piwskim, i wrzuceni w to piekło.

Sala konferencyjna na posterunku policji przy Millgarth w Leeds.

Cała cholerna sfera siedziała w oczekiwaniu na główną atrakcję, z długopisami nad notesami, z nastawionymi kasetami; gorące reflektory telewizyjne i dym papierosów rozświetlały pozbawione okien pomieszczenie, jakby to był ring w Town Hall podczas wieczornej walki; radia szumiały niezrozumiale, a dziennikarska brać wyzywała się na telewizorze:

– Gównu mają.

– Założę się o funciaka, że jak przydzielili do tego George'a, to mała nie żyje.

Khalid Aziz z tyłu, ani widu Jacka.

Ktoś mnie szturchnął. Znowu Gilman – Gilman z „Manchester Evening Post” i z przeszłości.

– Przykro mi z powodu twojego starego, Eddie.

– Taa, dzięki – odrzekłem. Wieści szybko się, kurwa, rozchodzą, pomyślałem.

– Kiedy pogrzeb?

Znowu spojrzałem na zegarek ojca.

– Za jakieś dwie godziny.

– Jezu. Hadden nadal domaga się cholernego funta żywego ciała, co?

– No – powiedziałem, ale wiedziałem jedno: pogrzeb, nie pogrzeb, ale nie ma mowy, żebym dał wrócić Jackowi pierdolonemu Whiteheadowi na moje miejsce.

– Współczuję.

– Taa – powiedziałem.

Wejście ekipy:

Otwierają się boczne drzwi, wszystko cichnie, czas zwalnia. Najpierw detektyw z ojcem, potem detektyw starszy nadinspektor George Oldman, wreszcie policjantka z matką.

Wcisnąłem nagrywanie na dyktafonie Philipsa, gdy tylko zajęli miejsca z przodu za stołami z plastikowymi blatami. Szeleszczą papierami, biorą do rąk szklanki z wodą, patrzą wszędzie, byle nie na nas.

W niebieskim narożniku:

Detektyw starszy nadinspektor George Oldman, twarz z przeszłości, waśniak wśród waśniaków, szopa gęstych czarnych włosów zaczesanych do tyłu i przylepionych do czaszki, żeby mniej rzucały się w oczy, blada twarz w świetle reflektorów poznaczona setkami popękanych naczynek, fioletowymi odciskami nówek pajęczków biegnących przez kredowobiałe policzki do boków pijackiego nosa.

Myślę sobie: Jego twarz, jego ludzie, jego czasy.

W czerwonym narożniku:

Matka i ojciec w pogniecionych ubraniach, z tłustymi włosami, on otrzepuje kołnierz z łupieżu, ona bawi się obrączką. Oboje drgnęli, gdy rozległ się trzask i jęk włączanego mikrofonu. Wyglądali raczej na grzeszników niż na tych, przeciw którym zgrzeszono.

Myślę sobie: Wykończyliście własną córkę?

Policjantka położyła dłoń na ramieniu matki. Matka odwróciła się i wlepiła w nią wzrok. Policjantka odwróciła spojrzenie.

Pierwsza runda:

Oldman popukał w mikrofon, odchrząknął.

– Dziękuję panom za przybycie. To była długa noc dla wszystkich, zwłaszcza dla państwa Kemplayów, a i dzień będzie długi. Dlatego uporajmy się z tym jak najszybciej.

Łyknął wody ze szklanki.

– Wczoraj, dwunastego grudnia, około godziny czwartej po południu Clare Kemplay zaginęła w drodze do domu ze szkoły podstawowej Morley Grange w Morley. Clare wyszła ze szkoły z dwiema koleżankami za kwadrans czwarta. Na skrzyżowaniu Rooms Lane i Victoria Road pożegnała się z nimi i ostatni raz widziano ją, gdy szła Victoria Road w kierunku domu około godziny czwartej. To był ostatni raz, gdy ktokolwiek widział małą Clare.

Ojciec gapił się na Oldmana.

– Kiedy Clare nie wróciła do domu, jak powinna, policja w Morley z pomocą znajomych i sąsiadów państwa Kemplayów zorganizowała wczoraj we wczesnych godzinach wieczornych poszukiwania, ale do tej pory nie natrafiono na żaden ślad, który pozwoliłby poznać przyczynę zniknięcia Clare. Clare nigdy wcześniej się nie zgubiła i oczywiście bardzo się niepokoimy, czy jest bezpieczna i gdzie przebywa.

Oldman dotknął znowu szklanki, ale się powstrzymał.

– Clare ma dziesięć lat. Jest błękitnooką blondynką o prostych i długich włosach. Wczoraj po południu miała na sobie nieprzemakalny pomarańczowy płaszcz z kapturem, granatowy golf, jasnoniebieskie dżinsy z charakterystycznym orzełkiem na lewej tylnej kieszeni i czerwone kalosze. Kiedy wychodziła ze szkoły, Clare niosła też plastikową reklamówkę Co-op, a w niej parę czarnych butów od wuefu.

Oldman podniósł powiększone zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki, mówiąc:

– Na koniec zostaną rozdane kopie tej zrobionej niedawno szkolnej fotografii.

Znowu napił się wody.

Zaskrzypiały krzesła, zaszeleściły papiery, matka pociągnęła nosem, ojciec nadal się gapił.

– Pani Kemplay chciałyby teraz odczytać krótkie oświadczenie, w nadziei że obywatele, którzy może widzieli Clare po godzinie czwartej wczorajszego popołudnia albo dysponują informacjami o jej obecnym miejscu pobytu albo jej zniknięciu, zgłoszą się, by pomóc w naszym dochodzeniu. Dziękuję.

Starszy nadinspektor Oldman lekko odwrócił mikrofon ku pani Kemplay.

W sali konferencyjnej eksplodowały flesze aparatów. Osłupiała matka zamrugła, wpatrując się w nasze twarze.

Spuściłem wzrok na notes i obracające się kółka kasyety w dyktafonie.

– Chciałabym zaapelować do wszystkich, którzy wiedzą, gdzie jest moja Clare albo widzieli ją od wczorajszego popołudnia, aby zadzwonili na policję. Clare jest bardzo szczęśliwą dziewczynką i wiem, że nie uciekłaby ot tak, bez słowa. Proszę, jeżeli ktokolwiek wie, gdzie jest, albo ją widział, bardzo proszę o telefon na policję.

Zduszone kaszlnięcie, potem cisza.

Podniosłem wzrok.

Pani Kemplay zakryła rękami usta, miała zamknięte oczy.

Pan Kemplay wstał i znowu usiadł, gdy Oldman powiedział:

– Panowie, przekazałem wam wszystkie informacje, jakie obecnie posiadamy, i obawiam się, że w tej chwili nie mamy czasu na odpowiadanie na jakiegokolwiek pytania. Zaplanowaliśmy następną konferencję na godzinę piątą, ale może przesuniemy ją na wcześniejszą porę w zależności od rozwoju wypadków. Dziękuję panom za uwagę.

Zaszurały krzesła, zaszeleściły papiery, pomruki zmieniły się w mamrotanie, szepty w słowa.

Rozwój wypadków, kurwa.

– Dziękuję panom. To na razie tyle.

Starszy nadinspektor Oldman wstał i odwrócił się do wyjścia, ale nikt przy stole nawet nie drgnął. Detektyw odwrócił się znowu do rozjarzonych reflektorów telewizyjnych i pokiwał głową do dziennikarzy, których nie mógł widzieć.

– Dziękuję, koledzy.

Znowu spuściłem wzrok na notes, na obracające się kółka kasety. Zobaczyłem rozwój wypadków w pomarańczowym płaszczu leżący twarzą w dół w przydrożnym rowie.

Znowu podniosłem wzrok. Drugi detektyw pomógł panu Kemplayowi wstać, trzymając go za łokieć. Oldman otworzył drzwi przed panią Kemplay i coś jej szepnął, a ona zamrugowała.

– Proszę bardzo. – Gruby detektyw w dobrym garniturze rozdawał kopie szkolnej fotografii.

Poczułem szturchnięcie. Znowu Gilman.

– Nie wygląda to, kurwa, najlepiej, co?

– No – powiedziałem, widząc, jak uśmiecha się do mnie twarz małej Clare.

- Biedna kobita. Przez co musi teraz przechodzić, he?
- No – powiedziałem, spoglądając na zegarek po ojcu, zimny na moim nadgarstku.
- No proszę, to chyba powinieneś brać dupę w troki, co?
- Taa.

Autostradą M1 na południe, z Leeds do Ossett.

Wyciskam z vivy ojca sześćdziesiąt mil w deszczu, w radiu Rollersi grają *Shang-a-lang*.

Przez jakieś siedem mil mamrocę jak mantrę kawałek do gazety:

Matka wystąpiła z błagalnym apelem.

Matka zaginionej dziesięcioletniej Clare Kemplay wystąpiła z błagalnym apelem.

Przy narastających obawach pani Sandra Kemplay wystąpiła z błagalnym apelem.

Narastające obawy, błagalne apele.

Zaparkowałem przed domem matki przy Wesley Street w Ossett za dziesięć dziesiątą, zastanawiając się, dlaczego Rollersi nie nagrali własnej wersji *The Little Drummer Boy*, i pomyślałem, że trzeba to zrobić, i to zrobić dobrze.

Do słuchawki:

- Okej, przepraszam. Przelećmy jeszcze raz przez pierwszy akapit i będzie gotowe. Od początku: Przy narastających obawach o zaginioną dziesięcioletkę z Morley, pani Sandra Kemplay wystąpiła dziś rano z błagalnym apelem o bezpieczny powrót córki, Clare... Od nowego akapitu: Clare zaginęła w drodze ze szkoły w Morley do domu wczoraj po południu, a intensywne poszukiwania zorganizowane wieczorem przez policję nie przyniosły dotąd żadnych wskazówek co do miejsca pobytu dziewczynki... Okej. A później leci tak jak do tej pory... Dzięki,

kochana... Nie, wtedy będę już po wszystkim i będę mógł myśleć o czymś innym... Do zobaczenia, Kath. Pa!

Odłożyłem słuchawkę i zerknąłem na zegarek po ojcu.

Dziesięć po dziesiątej.

Przeszedłem przez korytarz do salonu i pomyślałem, że zrobione, i to zrobione dobrze.

Susan, moja siostra, stała przy oknie z filiżanką herbaty, patrzyła na ogród za domem i mżawkę. Ciocia Margaret została usadzona przy stole, z filiżanką herbaty przed sobą. Ciocia Madge siedziała w bujanym fotelu z filiżanką herbaty na kolanach. Nikt nie siedział w fotelu ojca przy kredensie.

– Wszystko już załatwiłeś? – zapytała Susan, wciąż odwrócona do okna.

– Taa. Gdzie mama?

– Na górze, kochanieńki, szykuje się – powiedziała ciocia Margaret i wstała, biorąc filiżankę i spodek. – Nalać ci świeżej herbatki?

– Nie, dziękuję, nie trzeba.

– Samochody wkrótce przyjadą – powiedziała ciocia Madge do nikogo w szczególności.

– To ja pójdę i się przygotuję.

– Dobrze, kochanieńki. Idź, idź. A ja zaparzę ci herbatki, żebyś miał, jak zejdziesz. – Ciocia Margaret przeszła do kuchni.

– Myślisz, że mama skończyła już w łazience?

– Może ją sam zapytaj? – powiedziała siostra do ogrodu i deszczu.

Po schodach na górę, po dwa stopnie naraz, jak w przeszłości. Wysram się, ogolę, wezmę prysznic i będę gotów. Pomyślałem sobie, że szybkie walenie konia i mycie byłoby lepsze, i nagle zacząłem się zastanawiać, czy ojciec może mi teraz czytać w myślach.

Drzwi do łazienki były otwarte, a te do matki zamknięte. Na łóżku w moim pokoju leżała świeżo wyprasowana

biała koszula, a obok czarny krawat ojca. Włączyłem radio w kształcie okrętu, David Essex obiecywał, że zrobi ze mnie gwiazdę. Spojrzałem na swoją twarz w lustrze szafy i zobaczyłem matkę, która stała w drzwiach ubrana w różową halkę.

- Wyłożyłam ci czystą koszulę i krawat na łóżku.
- Taa, dzięki, mamó.
- Jak poszło dziś rano?
- W porządku, rozumiesz.
- Mówili o tym w radiu, na samym początku.
- Taa? - Stłumiłem ciekawość i cisnące się pytania.
- Nie wygląda to najlepiej, co?
- Nie - powiedziałem, chociaż wolałbym skłamać.
- Widziałeś matkę?
- Taa.

- Biedaczka - westchnęła i zamknęła za sobą drzwi. Usiadłem na łóżku, na koszuli. Wlepiłem wzrok w plakat Petera Lorimera na drzwiach.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę*, pomyślałem.

Kondukt trzech samochodów przetoczył się przez Dewsbury Cutting, przez udekorowane zgaszonymi lampkami świątecznymi centrum miasteczka, a potem powoli pod górkę.

Ojciec zajął pierwszy samochód. Matka, siostra i ja siedzieliśmy w następnym, a ostatni był wypchany ciotkami, prawdziwymi i przyszywanymi. W dwóch pierwszych samochodach nikt się nie odzywał.

Kiedy dotarliśmy do krematorium, przestało już padać, ale wiało tak, że przemarzęłem na kość, gdy stałem przed

* Powtarzające się w książce nawiązanie do piosenki Hanka Snowa *Ninety Miles an Hour* (Down a Dead End Street), czyli „Dziewięćdziesiąt mil na godzinę (w ślepy zautek)” - wszystkie przypisy tłumacza.

wejściem i między uściskami dłoni żonglowałem szlugiem, który wcześniej za chuja nie chciał mi się zapalić.

Mowę pogrzebową wygłosił wielebny, który zastępował rodzinnego wikarego. Ten ostatni był zbyt zajęty osobistą walką z rakiem. Na tym samym oddziale, który ojciec opuścił w środę nad ranem. Superzmiennik uraczył nas wspomnieniem o człowieku, którego nie znał ani on, ani my, i z mojego ojca zamiast krawca zrobił stolarza, a ja siedziałem tam, wkurzony tym brakiem warsztatu i myślałem sobie: pierdolona stolarka na mózg mu, kurwa, padła.

Wbiłem wzrok przed siebie, w trumnę stojącą o trzy kroki dalej. Wyobraziłem sobie mniejszą białą skrzynię i Kemplayów w czerni. Zastanawiałem się, czy wikary też spartoli kazanie, kiedy ją wreszcie znajdą.

Spuściłem wzrok na swoje knykcie, które z czerwonych zrobiły się białe, gdy zaciskałem dłonie na zimnej drewnianej ławce. Zobaczyłem zegarek ojca wystający spod mankietu i poczułem na rękawie dotyk ręki.

W ciszy krematorium oczy matki błagały o krztynę spokoju, bo człowiek przynajmniej się stara, a szczegóły nie zawsze są najważniejsze. Obok niej moja siostra z makijażem tak rozmazanym, że prawie go nie było.

A potem nie było i ojca.

Schyliłem się i położyłem modlitewnik na ziemi. Pomyślałem o Kathryn. Może zaproponuję jej drinka, jak już opiszę popołudniową konferencję prasową. Może wrócilibyśmy znowu do jej chaty. Tak czy siak, nie ma mowy, żebyśmy wrócili do mojej, nie dziś wieczorem w każdym razie. A potem pomyślałem: Nie ma, kurwa, mowy, żeby zmarli czytali ludziom w myślach.

Na dworze znowu stanąłem do żonglerki papierosem między uściskami dłoni, upewniając się, że wszyscy kierowcy znają drogę do domu matki.

Zabrałem się ostatnim wozem i znów siedziałem w milczeniu, w takim stanie, że nie kojarzyłem ani twarzy, ani imion.

Przeżyłem chwilę paniki, gdy kierowca wybrał inną trasę do Ossett; byłem przekonany, że dołączyłem do złej grupy pieprzonych żałobników. Ale potem pojechaliśmy znowu przez Dewsbury Cutting, a wszyscy pasażerowie zaczęli się do mnie nagle uśmiechać, jakby myśleli zupełnie to samo co ja.

Po powrocie do domu najpierw obowiązki.

Telefon do redakcji.

Nic.

Brak wieści to złe wieści dla Kemplayów i Clare, a dobre dla mnie.

Dwadzieścia cztery godziny coraz bliżej, tik-tak.

Dwadzieścia cztery godziny znaczące, że Clare nie żyje.

Odłożyłem słuchawkę, zerknąłem na zegarek po ojcu i zastanowiłem się, jak długo muszę dotrzymywać towarzystwa krewnym i znajomym.

Niech będzie godzina.

Przeszedłem znów przez korytarz, wreszcie dziennikarz piszący pod nazwiskiem, który przynosi jeszcze więcej śmierci do domu zmarłego, jak drewno do lasu.

– No więc facetowi z Południa zepsuło się na wrzosowiskach auto. No to zawraca połąną drogą, zachodzi na najbliższą farmę i puka do drzwi. Otwiera mu stary farmer, a Południowiec pyta: Czy wie pan, gdzie jest najbliższy warsztat? Stary farmer mówi, że nie. Więc Południowiec pyta: Czy zna pan drogę do miasta? A farmer, że nie. Więc Południowiec mówi: Jakoś cholernie mało pan wie, co? A stary na to: Może i tak, ale to nie ja się zgubiłem!

Wujek Eric zabawia towarzystwo, dumny, że opuścił Yorkshire tylko raz w życiu, żeby bić się z Niemcami. Wujek Eric, którego widziałem, jak zabija łopatą lisa. Miałem wtedy dziesięć lat.

Przysiadłem na poręczy pustego fotela ojca, myśląc o mieszkaniach z widokiem na morze w Brighton, o po-

łudniowych dziewczynach, które mają na imię Anna albo Sophie, i o niedopasowanym poczuciu synowskiego obowiązku, które teraz jest w połowie zbędne.

– Założę się, że cieszysz się, że wróciłeś, co, chłopcze? – Ciocia Margaret puściła do mnie oko i wepchnęła mi w dłonie filiżankę herbaty.

Siedziałem tak na środku zatłoczonego pokoju, próbując językiem oderwać biały chleb, który przykleił mi się do podniebienia, zadowolony, że mogę przepłukać czymś smak ciepłej i stonej szynki, chociaż wolałbym whisky. I znowu myślałem o ojcu, o człowieku, który w osiemnaste urodziny zgłosił się do wojska na ochotnika.

– A niech mnie, patrzcie tylko na to!

Byłem kilometry i lata stąd, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że zbliża się mój moment. Poczułem na sobie wzrok wszystkich obecnych.

Ciocia Madge machała gazetą, jakby polowała na jakąś muchę plujkę.

A ja na poręczy fotela czułem się jak ta mucha.

Młodszy kuzyni poszli po słodycze i wrócili z gazetą, moją gazetą.

Matka wyrwała ją cioci Madge z garści. Wertowała strony tak długo, aż znalazła nekrologi.

Kurwa, kurwa, kurwa.

– Jest o tacie? – spytała Susan.

– Nie. Pewnie będzie jutro – odpowiedziała, patrząc na mnie tymi smutnymi, bardzo smutnymi oczami.

– „Przy narastających obawach o zaginioną dziesięcioletką z Morley, pani Sandra Kemplay wystąpiła dziś rano z błagalnym apelem o bezpieczny powrót córki”. – Teraz gazetę miała ciotka Edie z Altrincham.

Jebane błagalne apele.

– „Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną” – przeczytała ciocia Margaret przez ramię ciotki Edie. – A niech mnie!

Wszyscy w pokoju zaczęli mnie zapewniać, jak dumny byłby ze mnie ojciec i jaka to wielka szkoda, że nie ma go tutaj teraz, żeby świętować ten wielki dzień, mój wielki dzień.

– Przeczytałem wszystko, co napisałeś o tym facecie Szczurołapie – powiedział wujek Eric. – Dziwny był z niego facet.

Szczurołap, w środku gazety, okrucy ze stołu Jacka pierdołonego Whiteheada.

– Taa. – Uśmiechałem się i kiwałem głową to w tę, to w tamtą, wyobrażając sobie, że ojciec siedzi w pustym fotelu przy kredensie i czyta ostatnią stronę jako pierwszą.

Było poklepywanie po plecach, a potem, na krótką chwilkę, gazeta trafiła prosto w moje ręce. Spojrzałem w dół:

Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną.

Nie przeczytałem ani linijki więcej.

Cap! – i gazeta znów powędrowała po pokoju.

Zobaczyłem siostrę po drugiej stronie, na parapecie. Siedziała z zamkniętymi oczami, z dłońmi na ustach.

Otworzyła oczy i popatrzyła prosto na mnie. Chciałem się podnieść, podejść do niej, ale wstała i wyszła z pokoju.

Chciałem pójść za nią, powiedzieć: „Przykro mi, naprawdę mi przykro, że to się musiało stać właśnie dzisiaj”.

– Wkrótce będziemy go prosić o autograf, nie? – Ciocia Madge się roześmiała, podając mi świeżo zaparzoną herbatę.

– Dla mnie zawsze będzie małym Eddiem – stwierdziła ciotka Edie z Altrincham.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Ale sama sprawa nie wygląda zbyt dobrze, co? – podjęła ciocia Madge.

– Nie – skłamałem.

– To już kilka takich przypadków, prawda? – zauwa-

żyła ciotka Edie z filiżanką herbaty w jednej ręce, a moją dłońią w drugiej.

– Tak, tak, w ciągu kilku lat. Najpierw ta dziewczuszka w Castleford – powiedziała ciocia Madge.

– To już kilka lat temu było, prawda. Ale pamiętacie? Nie tak dawno mieliśmy coś takiego u nas, w naszych stronach. – Ciotka Edie napiła się herbaty.

– Oj tak, w Rochdale. Pamiętam – potwierdziła ciocia Madge i ścisnęła mocniej spodeczek.

– Nigdy małej nie znaleziono – westchnęła ciotka Edie.

– Naprawdę? – zapytałem.

– I nikogo nie złapali.

– Jakoś nigdy nikogo nie łapią – oznajmiła ciocia Madge wszystkim obecnym.

– Pamiętam czasy, kiedy takich rzeczy w ogóle nie było.

– Ci w Manchesterze byli pierwsi*.

– Oj tak – mruknęła ciotka Edie, puszcżając moją dłoń.

– To byli źli ludzie, źli do szpiku kości – wyszeptęła ciocia Madge.

– I pomyśleć, że policja pozwoliła, by tamta chodziła na wolności jakby nigdy nic.

– Niektóre ludziska to jednak głupie są.

– Krótka pamięć i w ogóle – powiedziała ciotka Edie, wyglądając przez okno na ogród i deszcz.

Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, buch w drzwi!

Łało jak z cholernego cebra.

Autostradę M1 z powrotem do Leeds, na drodze pełno ciężarówek, ruch się ślimaczył. Wyciskałem z wivы sześćdziesiąt pięć mil w deszczu, więcej nie dawało rady.

Lokalna stacja radiowa:

* Mowa o serii morderstw popełnionych w latach 1963–1965 przez Iana Brady'ego i Myrę Hindley.

„Poszukiwania zaginionej uczennicy z Morley, Clare Kemplay, trwają, lecz narastają obawy”...

Zerknięcie na zegar upewniło mnie o tym, co już wiedziałem.

Czwarta po południu oznaczała, że czas jest przeciwko mnie, że czas jest przeciwko niej, że nie ma czasu na zebranie informacji o zaginionych dzieciach, czyli na sformułowanie pytań na konferencję o piątej.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Zjechałem rozpędzony z autostrady. Rozważałem za i przeciw: czy zadać swoje pytania w ciemno, tu i teraz, o piątej, na podstawie tego, co mówią dwie starsze panie.

Dwoje zaginionych dzieci, w Castleford i Rochdale, żadnych dat, tylko domysły.

Strzelać? Ryzyk-fizyk...

Wcisnąłem guzik, rozgłośnia ogólnokrajowa: sześćdziesiąt siedem osób zwolnionych z „Kentish Times” i „Slough Evening Mail”, lokalna sekcja Krajowego Związku Zawodowego Dziennikarzy rozpoczyna strajk 1 stycznia.

Edward Dunford, członek sekcji lokalnej.

Do diabła z tym strzelaniem.

W oczach stanęła mi twarz detektywa starszego nadinspektora Oldmana, zobaczyłem twarz naczelnego, zobaczyłem piękną południową dziewczynę o imieniu Sophie albo Anna, jak zamyka drzwi mieszkania w Chelsea.

Może i tysiejesz, ale do Kojaka to ci, kurwa, daleko.

Zaparkowałem na tyłach posterunku przy Millgarth. Właśnie zwijał się targ, w rynsztokach pełno liści kapusty i zgnitych owoców, a ja myślałem. Ryzykować? Nie ryzykować?

Ścisnąłem kierownicę i pomodliłem się:

NIECH ŻADEN INNY CHUJ NIE ZADA TEGO PYTANIA.

Traktowałem to właśnie tak, jako pobożne życzenie.

Przy zgaszonym silniku jeszcze jedna modlitwa z za kierownicy.

TYLKO TEGO, KURWA, NIE SPIERDOL.

Po schodkach i przez dwuskrzydłowe drzwi, z powrotem na posterunku przy Millgarth.

Zabłocone podłogi i żółte światło lamp, pijackie pieśni i narwańcy.

Błysnąłem legitymacją dziennikarską w dyżurce, a w odpowiedzi sierżant błysnął musztardowym uśmiechem.

– Odwołane. Dzwonili z biura rzecznika.

– Żartuje pan? Dlaczego?

– Nie ma nic nowego. Jutro o dziewiątej rano.

– Dobrze. – Czyli żadnych pytań, pomyślałem i wyszczerzyłem zęby.

Sierżant się skrzywił.

Rozejrzałem się dookoła, otworzyłem portfel.

– Ile na począteczek?

Capnął mi portfel z ręki, wyłowił piątaka i zwrócił resztę.

– Tyle wystarczy, proszę szanownego pana.

– No i co?

– Nico.

– To był pieprzony piątak.

– No więc za piątaka powiem ci, że mała nie żyje.

– Wstrzymajcie, kurwa, druk pierwszej strony – powiedziałem, odchodząc.

– Pozdrowienia dla Jacka.

– Idź się walić.

– A kto ciebie pokocha?

Piąta trzydzieści po południu.

Z powrotem w redakcji.

Barry Gannon za swoimi pudłami, George Greaves z czołem opartym o biurko, Gaz z działu sportowego nawija gadkę-szmatkę.

Ani widu Jacka pierdolonego Whiteheada.

Bogu dzięki.

Kurwa, gdzie się ten chuj podziewa?

Paranoja.

W końcu jestem Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną. I mam to na piśmie w każdym egzemplarzu „Evening Posta”.

– Jak poszło? – Kathryn Taylor ze świeżo zakręconymi lokami, ubrana w brzydki kremowy sweter, wstała zza biurka, a potem znowu usiadła.

– Jak marzenie.

– Jak marzenie?

– Taa. Doskonale. – Gęba sama mi się cieszyła.

Kathryn zmarszczyła brwi.

– Co się stało?

– Nic.

– Nic? – Wyglądała na zupełnie zagubioną.

– Odwołał konferencję. Wciąż szukają. Nic nie mają – powiedziałem, wysypując na jej biurko zawartość kieszeni.

– Miałam na myśli pogrzeb.

– Aha. – Wziąłem swoje szlugi.

Dzwoniły telefony, stuknęły maszyny do pisania.

Kathryn popatrzyła na mój notes na biurku.

– I co sądzą?

Zdjąłem marynarkę, wziąłem jej kawę i zapaliłem papierosa – wszystko jednym płynnym ruchem.

– Że mała nie żyje. Słuchaj, czy szef ma teraz jakieś spotkanie?

– Nie wiem. Nie wydaje mi się. A co?

– Chciałbym, żeby załatwił mi wywiad z George’em Oldmanem. Na jutro rano, przed konferencją.

Kathryn wzięła mój notes i zaczęła nim kręcić między palcami.

– Miałbyś fart.

– Pogadasz z Haddenem? Lubi cię – powiedziałem, zabierając jej notes.

- Żartujesz?
- Potrzebowałem faktów, żelaznych, kurwa, faktów.
- Barry! – zawołałem nad głową Kathryn, przekrzykując telefony i stukot maszyn. – Mogę zamienić z tobą słówko, jak będziesz miał chwilkę?
- Barry Gannon zza forticy pudeł z materiałami:
- Skoro już musisz.
- Fajnie. – Nagle zdałem sobie sprawę, że Kathryn patrzy na mnie.
- Wyglądała na złą.
- Mała nie żyje?
- Krwawe kawałki dobrze się sprzedają – powiedziałem, podchodząc do biurka Barry’ego i nienawidząc samego siebie.
- Odwróciłem się.
- Proszę cię, Kath.
- Wstała i wyszła.
- Kurwa mać.
- Zapaliłem następnego szluga, od poprzedniego.
- Barry Gannon, chudzielec, samotnik z obsesją, wszędzie zabazgrane notatkami papierzyska.
- Przykucnąłem przy jego biurku.
- Barry Gannon gryził końcówkę długopisu.
- No więc?
- Nierozwiązane sprawy zaginionych dzieci. Jedna w Castleford, a druga w Rochdale... chyba.
- Tak. Tę w Rochdale musiałbym sprawdzić, ale ta dziewczynka w Castleford zaginęła w 1969 roku. Lądowanie na Księżycu. Nazywała się Jeanette Garland.
- Coś mi dzwoniło.
- I nigdy jej nie znaleźli?
- Nie. – Barry wyjął z ust końcówkę długopisu. Patrzył mi w oczy.
- A policja w ogóle coś ustaliła?

- Wątpię.
- Dzięki. To ja już lepiej pójdę.
- Nie ma za co. – Puścił do mnie oko.

Wstałem.

- Jak tam Dawsongate?
- A chuj wie. – Barry Gannon, nieuśmiechnięty, spuścił wzrok na papiery i zapiski. Znowu gryzł końcówkę długopisu.

Kurde.

Załapałem sugestię.

- Dzięki, Barry.

Byłem w połowie drogi do własnego biurka, kiedy Kathryn ze skrytym uśmiechem wróciła do redakcji, a Barry krzyknął:

- Idziesz później do Press Clubu?
- Jeżeli się wyrobię z tym wszystkim.
- Jak przyjdzie mi do głowy coś jeszcze, to powiem ci w Press Clubie.

Raczej z zaskoczeniem niż z wdzięcznością:

- Dzięki, Barry. Doceniam to.

Kathryn Taylor, ani śladu uśmiechu:

– Pan Hadden zobaczy się ze swoim korespondentem działu kryminalnego na Anglię Północną punktualnie o siódmej.

– A kiedy ty zechcesz się spotkać ze swoim korespondentem działu kryminalnego na Anglię Północną?

– W Press Clubie, jak przypuszczam. Jeśli muszę. – Uśmiechnęła się.

- Musisz – odparłem, puszczając do niej oko.

W głąb korytarza, do archiwum.

Przestarzałe wiadomości.

Przez metalowe szuflady do pudeł.

Tysiące martwych jętek jednodniówek.

Wziąłem rolki, usiadłem przed ekranem i zacząłem przewijać mikrofilm.

Lipiec 1969 roku.

Film śmigał mi przed oczami:

Oddziały Specjalne Policji Ulsteru, Bernadette Devlin, Wallace Lawler i projekt ustawy *In Place of Strife*.

Wilson, Wilson, Wilson. Jakby Teda Heatha w ogóle nie było.

Łądowanie na Księżycu i Jack pierdolony Whitehead byli wszędzie.

A ja w Brighton, dwa tysiące lat świetlnych od domu.

Stęskniony.

Jest!

Zabrałem się do pisania.

– No więc przekopałem się przez materiały archiwalne, rozmawiałem z paroma znajomymi, zadzwoniłem do Manchesteru i myślę, że jest coś na rzeczy – powiedziałem, pragnąc, żeby naczelny wreszcie podniósł wzrok znad stosu cholernych zdjęć z gry „znajdź piłkę”, które leżały na biurku.

Bill Hadden wziął lupę i zapytał:

– Rozmawiałeś z Jackiem?

– Nie było go w pracy. – Bogu dzięki.

Poprawiłem się na siedzeniu i wyjrzałem przez okno, dziesięć pięter nad ziemią, na czarne Leeds.

– To co właściwie masz? – Hadden gładził się po srebrzystej brodzie i patrzył przez lupę na zdjęcia.

– Trzy bardzo podobne sprawy...

– A w telegraficznym skrócie?

– Trzy zaginione dziewczynki. Jedna ośmioletnia i dwie dziesięcioletki. W roku 1969, potem w 1972, no i wczoraj. Wszystkie zaginęły bardzo blisko od swoich domów i w odległości kilkunastu mil jedna od drugiej. To jak powtórka morderstw w Cannock Chase.

– Miejmy nadzieję.

– Też trzymam kciuki.

– To był z mojej strony sarkazm. Przepraszam.

– Ach tak. – Znowu poprawiłem się w siedzeniu.

Hadden nadal wpatrywał się przez lupę w czarno-białe zdjęcia.

Spojrzałem na zegarek po ojcu. Wpół do dziewiątej, psiakrew.

– Co pan o tym sądzi? – Nie kryłem irytacji.

Hadden podniósł czarno-białą fotografię jakichś piłkarzy. Jednym z nich był Gordon McQueen, który właśnie skakał do krzyżyka. Piłki nie było.

– Grałeś w to kiedyś?

– Nie – skłamałem. Nie podobało mi się, że tak sobie ze mną pogrywa.

– „Znajdź piłkę” – powiedział redaktor Bill Hadden – jest głównym powodem, dla którego kupuje naszą gazetę trzydzieści dziewięć procent mężczyzn z klasy robotniczej. Co o tym sądzisz?

Albo „tak”, albo „nie”, tylko bez tej gadki-szmatki.

– Ciekawe – skłamałem znowu, myśląc coś, kurwa, przeciwnego: że trzydzieści dziewięć procent mężczyzn z klasy robotniczej robi sobie jaja z ankieterów.

– To co tak naprawdę o tym myślisz? – Hadden patrzył znowu na zdjęcia.

Zupełnie mnie zażył, zbaraniałem.

– O czym?

Podniósł znowu wzrok.

– Naprawdę myślisz, że to może być ten sam sprawca?

– Tak. Tak właśnie myślę.

– Dobra. – Hadden odłożył lupę. – Detektyw starszy nadinspektor Oldman jutro się z tobą spotka. Ale nie oczekuj od niego podziękowań. Panika przed jakimś pieprzonym porywaczem dzieci jest ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył. Poprosi, żebyś nie pisał o tym artykulu, ty powiesz, że zgoda, a on będzie sprawiał wrażenie wdzięcznego. A wdzięczny detektyw starszy nadinspektor

to ktoś, kogo powinien mieć każdy korespondent kryminalny na Anglię Północną.

– Ale... – Podniosłem rękę i głupio się z tym poczułem.

– Ale potem przekopiesz się dokładnie przez cały materiał o tych dziewczynkach z Rochdale i Castleford. Przeprowadzisz wywiady z ich rodzinami, jeżeli oczywiście zechcą się z tobą spotkać.

– Dlaczego? Przecież...

Bill Hadden się uśmiechnął.

– Puścimy to w dziale ludzkim, „pięć lat po” czy jakoś tak. Dzięki temu potem, jeśli się okaże, że miałeś rację, nie obudzimy się z ręką w nocniku.

– Rozumiem – powiedziałem ze świadomością, że dostałem wymarzony prezent na święta, tylko że w złym kolorze i rozmiarze.

– Ale nie naciskaj jutro na George’a Oldmana – podjął Hadden, podsuwając okulary wyżej na grzbiet nosa. – Nasza gazeta ma doskonałe stosunki z naszymi nowymi Siłami Policji Metropolitalnej Yorkshire Zachodniego. Wolałbym, żeby dalej tak było, zwłaszcza teraz.

– Oczywiście.

Zwłaszcza teraz? – pomyślałem.

Bill Hadden rozparł się w wielkim skórzanym fotelu i założył ręce za głowę.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że jutro ta sprawa może rozejść się po kościach, a nawet jeśli tak się nie stanie, to do świąt i tak będzie skończona.

Wstałem, jak tego oczekiwał, ale pomyślałem sobie: A to strzelił kulą w płot.

Naczelny znowu podniósł lupę.

– Wciąż dostaję listy o Szczurołapie. Dobra robota.

– Dziękuję, panie Hadden. – Otworzyłem drzwi.

– Naprawdę powinieneś spróbować w to zagrać – powiedział i postukał palcem w zdjęcie. – To coś w sam raz dla ciebie.

– Dziękuję. Tak zrobię. – Zamknąłem drzwi.

Zza drzwi:

– I nie zapomnij porozmawiać z Jackiem.

Raz, dwa, trzy, cztery, po schodach na dół i w drzwi.

Press Club, przed ślepiami dwóch kamiennych lwów,
w centrum Leeds.

Press Club, po jedenastej, święta zapowiadały się pracowicie.

Press Club, wstęp tylko dla członków.

Edward Dunford, członek, po schodach w dół i w drzwi.
Kathryn przy barze, nieznajomy pijak przy jej uchu, jej oczy na mnie.

Pijak bełkocze:

– I jeden lew mówi do drugiego kurewsko cicho, no nie?

Spojrzałem na prawdziwą scenę i kobietę w sukni z piór, śpiewającą wysiłonym głosem *We've Only Just Begun*. Dwa kroki w tę i dwa we w tę, najmniejsza scenka świata.

Podniecenie ścisnęło mi żołądek, rozdymało pierś. W garści szkocka z wodą, nade mną lamety i kolorowe lampki świąteczne, w kieszeni notes, a w głowie jedna myśl: TO JEST TO.

Z czerni i czerwieni wyłoniła się ręka Barry'ego Gannona ze szlugiem między palcami. Wziąłem drinka, zostawiłem Kathryn i podszedłem do stolika Barry'ego.

– Najpierw kradzież u Wilsona, a potem, dwa dni później, znika John zasrany Stonehouse. – Barry Gannon peroruje, tłumacząc głupim, na czym świat stoi.

– Nie zapominaj o „Szczęściarzu” – uśmiechnął się George Greaves, stary wyga.

– A co z pieprzonym Watergate? – zarechotał Gaz z działu sportowego, znudzony Barrym.

Przysiadłem się. Wszyscy kiwają do mnie głowami: Barry, George, Gaz i Paul Kelly. Gruby Bernard i Tom z Bradford siedzą dwa stoliki dalej, kumple Jacka.

Barry dopił swoje piwo.

– Wszystko jest powiązane. Pokażcie mi dwie sprawy, które nie byłyby powiązane.

– Stoke City i pierdolone mistrzostwo rozgrywek ligowych. – Gaz od sportu znowu się zaśmiał i zapalił następnego szluga.

– Jutro wielki mecz, co? – powiedziałem, fan futbolu z doskoku.

A Gaz, z prawdziwym gniewem w oczach:

– Tylko żeby nie było takiej kichy jak w zeszłym tygodniu.

Barry wstał.

– Ktoś chce czegoś z baru?

Kiwanie głowami, pomruki, Gaz i George gotowi do przegadania następnej nocki o Leeds United, Paul Kelly spogląda na zegarek i kręci głową.

Podniosłem się i wychyliłem scotcha.

– Pomogę ci.

Z powrotem przy barze. Kathryn przy drugim końcu gada z barmanem i Steph, maszynistką.

Barry Gannon, ni z gruchy, ni z pietruchy:

– To jaki masz plan?

– Hadden załatwił mi wywiad z George'em Oldmanem na jutro rano.

– To skąd ta kwaśna mina?

– Chce, żebym nie przypierał Oldmana do muru z tymi nierozwiązanymi sprawami. Mam tylko zebrać materiały do artykułu w rodzaju z życia wzięte, spróbować przeprowadzić wywiad z rodzinami, jeżeli zechcą ze mną rozmawiać.

– Wesołych świąt, ojczy i matko zaginionej, przypuszczalnie martwej dziewczynki. Święty Eddie wyręczy Mikołaja i przywiezie wszystkie złe wspomnienia.

Idealna wymówka:

– Na pewno śledzą sprawę Clare Kemplay. Wspomnienia i tak wróciły.

– Właściwie to wyświadczysz im przysługę. Przyniesiesz katharsis. – Barry uśmiechał się przez chwilę i toczył spojrzeniem po sali.

– Są powiązane, jestem tego pewien.

– Ale z czym? Trzy kufle piwa i...

Zbił mnie z tropu, załapałem z opóźnieniem.

– Whisky z wodą.

– I whisky z wodą. – Barry Gannon patrzył teraz na Kathryn przy drugim końcu baru. – Szczęśliwy z ciebie facet, Dunford.

A ja – poszarpane nerwy i wyrzuty sumienia. Za dużo whisky albo za mało whisky, rozmowa jakoś mi się nie kleiła.

– Co masz na myśli? Co o tym sądzisz?

– A dużo masz czasu?

Chuj z tym, za bardzo byłem sterany na taką gadkę.

– Taa. Wiem, co masz na myśli.

Ale Barry odwrócił się do mnie plecami i rozmawiał już z jakimś młokosem przy barze, chudym jak ołówek, ubranym w gruby śliwkowy garnitur, z pomarańczoworudymi pierzastymi kłakami na łbie. Czarne nerwowe oczka łypnęły na mnie z lewego barku Barry'ego.

Kiepska podróba Bowiego.

Próbowałem słuchać, co mówią, ale ta w kiecycy z piór na scenie zaczęła się drzeć przy *Don't Forget to Remember*.

Spojrzałem w sufit, na podłogę, z powrotem na bar.

– Dobrze się bawisz? – Kathryn miała zmęczone oczy.

Oho, zaczyna się, pomyślałem.

– Znasz Barry'ego. Zachowuje się czasem jak nierozgarnięty – szepnąłem.

- Nierozgarnięty? Dobre słowo, w sam raz dla ciebie. Zlekceważyłem jedną przynętę, żeby capnąć następną.
- A co u ciebie?
- A co ma być?
- Dobrze się bawisz?
- Och, uwielbiam stać samotnie przy barze na dwanaście dni przed świętami.
- Nie jesteś sama.
- Byłam, dopóki nie przyszła Steph.
- Mogłaś podejść.
- Nikt mnie nie zapraszał.
- Wzruszające. – Uśmiechnąłem się.
- Ależ proszę, skoro już proponujesz. Napiję się wódki.
- Myślę, że ja też.

Zimne powietrze raczej nie pomogło.

– Kocham cię – powiedziałem, ledwo trzymając się na nogach.

– Chodź, kochanie, taksówka przyjechała. – Głos kobiety. Głos Kathryn.

Odświeżacz powietrza o zapachu sosnowym też nie pomógł.

– Kocham cię – powiedziałem.

– Tylko żeby się nie porzygał – rzucił przez ramię taryfiarz Pakistańczyk.

Czułem jego pot pomimo sosnowego zapaszku.

– Kocham cię – powiedziałem.

Jej matka spała, ojciec chrapał, a ja klęczałem na posadzce w ich łazience.

Kathryn otworzyła drzwi i zapaliła światło. Znowu puściłem pawia.

Bolało mnie i paliło, kiedy wszystko podchodziło do gardła i wylewało się z ust, ale chciałem rzygać wiecznie. A kiedy wreszcie skończyłem, przez długi czas ga-

piłem się na whisky i na szynkę, na kawałeczki w kiblu i na to, co chlapnęło na podłogę.

Kathryn położyła mi ręce na barkach.

Usiłowałem zidentyfikować głos, który mówił mi w głowie: „Udało ci się sprawić, że ludziom zrobiło się go autentycznie żal, a to wydawało mi się zupełnie niemożliwe”.

Kathryn wsunęła mi ręce pod pachy.

Nie chciałem wstawać już nigdy więcej. A potem, kiedy wreszcie wstałem, rozplakałem się.

– Chodź, kochanie – szepnęła.

W nocy trzy razy budził mnie ten sam koszmary sen.

Za każdym razem myślałem: jestem już bezpieczny, jestem już bezpieczny, mogę znowu zasnąć.

Za każdym razem ten sam sen: kobieta na ulicy ściskająca poły czerwonego swetra, którym się otuliła, krzyczy mi prosto w twarz.

Za każdym razem kruk albo jakiś inny duży czarny ptak sfruwa z nieba o tysiácu odcieni szarości i czepia się pazurami jej ładnych blond włosów.

Za każdym razem ściga ją w głąb ulicy, próbując wydziobać albo wydrapać oczy.

Za każdym razem budzę się zlanym zimnym potem i sparaliżowanym, na poduszce mokrej od łez.

Za każdym razem z mrocznego sufitu uśmiecha się do mnie buzia Clare Kemplay.

ROZDZIAŁ 2

Godzina 7.55 rano.

Sobota, 14 grudnia 1974 roku.

Siedziałem na Millgarth w biurze detektywa starszego nadinspektora George'a Oldmana i czułem się jak kawał psiego gówna.

Pokój był jałowy. Żadnych zdjęć, dyplomów czy pucharów.

Otworzyły się drzwi. Czarne włosy, blada twarz, wyciągnięta ręka, mocny uścisk.

– Miło mi poznać, panie Dunford. Jak się miewa Jack Whitehead i ten pański szef?

– Dziękuję, dobrze – powiedziałem i znowu usiadłem.

Żadnego uśmiechu.

– Siadaj, synu. Herbatki?

Przełknąłem ślinę i powiedziałem:

– Tak, poproszę. Dziękuję.

Detektyw starszy nadinspektor George Oldman usiadł, pstryknął przełącznikiem na biurku i wydyszał do interkomu:

– Julie, kochana. Dwie filiżanki herbatki, jak będziesz mogła.

Ta twarz i te włosy, z przodu i z bliska, jak torba z czarnego plastiku roztopiona na misce mąki i smalcu.

Zagryzłem mocno zęby.

Za jego plecami, przez szare okna posterunku na Millgarth, słabe słońce odbiło się od brylantyny na jego włosach.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Panie... – Znowu przełknąłem ślinę. – Starszy nadinspektorze...

Świdrował mnie tymi małymi oczkami jak rekin.

– Tak, synu... – Mrugnął do mnie.

– Zastanawiałem się, czy... czy są jakieś nowiny?

– Żadnych! – huknął. – Trzydzieści sześć godzin, a my gówno mamy. Stu cholernych mundurowych, krewnych, sąsiadów. I nic.

– Jakie jest pańskie zdanie...

– Martwa, panie Dunford. Biedna dziewczuszka nie żyje.

– Zastanawiałem się, co pan...

– Czasy są niespokojne i pełne przemocy, synu.

– Tak – powiedziałem słabym głosem, myśląc: więc jak to jest, że zawsze aresztujecie tylko Cyganów, świrów i irlandoli?

– W tej chwili najlepszym, czego możemy się spodziewać, jest szybkie znalezienie zwłok.

Zołądek znowu mi się burzył.

– Co pan myśli o...

– Bez zwłok niczego nie mogę zrobić. Rodzinie też by pomogły, na dłuższą metę.

– Co w takim razie...

– Sprawdzić meliny, zobaczyć, kto się ostatnio zmył.

– Prawie się teraz uśmiechał, jakby zastanawiał się, czy znowu do mnie mrugnąć.

Z trudem zaczerpnąłem tchu.

– A co z Jeanette Garland i Susan Ridyard?

Detektyw starszy nadinspektor George Oldman rozchylił usta, oblizując dolną wargę mokrym, tłustym sinożółtym jęzorem.

Myślałem, że zesram się w gacie tu i teraz, w jego gabinecie.

George Oldman wciągnął ozór i zamknął usta, zaglądając mi w oczy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i Julie wniosła na taniej tacy w kwiatki dwie filiżanki herbaty.

George Oldman, nie spuszczać ze mnie wzroku, uśmiechnął się i powiedział:

– Dziękuję, Julie, kochana.

Julie wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Nie do końca pewny, czy nie utraciłem mowy, wymamrotałem:

– Jeanette Garland i Susan Ridyard zaginęły...

– Wiem, do cholery, co się stało, panie Dunston.

– No więc zastanawiałem się po prostu, że jak się pamięta Cannock Chase...

– A co pan, kurwa, wiesz o Cannock Chase?

– Podobieństwo...

Oldman uderzył pięścią w blat.

– Raymond Morris siedzi w cholernym pierdłu od pieprzonego sześćdziesiątego ósmego roku.

Gapiłem się na dwie białe filiżanki na biurku, obserwując, jak się trzęsą. Najbardziej spokojnym i opanowanym głosem, na jaki mnie było stać, powiedziałem:

– Przepraszam. Chciałem powiedzieć tylko tyle, że tam zamordowano trzy małe dziewczynki i okazało się, że to robota jednego człowieka.

George Oldman, z ramionami na biurku, pochylił się do przodu i wykrzywił pogardliwie wargi.

– Te małe dziewczynki zostały zgwałcone i zamordowane, niech Pan Bóg ma je w opiece. A ich ciała zostały znalezione.

– Ale... powiedział pan...

– Nie mam żadnych zwłok, panie Dunfield.

Znowu przełknąłem ślinę i powiedziałem:

– Ale Jeanette Garland i Susan Ridyard zaginęły już ponad...

– Myślisz, że jesteś jedynym szcwanym chujkiem, który to poskładał do kupy, ty zadufany gówniarzu – powiedział cicho Oldman, świdrując mnie wzrokiem, po czym napił się herbaty. – Moja cholerna matka staruszka byłaby w stanie to wymyślić.

– Zastanawiałem się tylko, co pan myśli...

Detektyw starszy nadinspektor Oldman klepnął się w uda i opadł plecami na oparcie fotela.

– To z czym, pańskim zdaniem, mamy do czynienia? – Uśmiechnął się. – Trzy zaginione dziewczynki. W tym samym albo bardzo podobnym wieku. Żadnych zwłok. Castleford i...

– Rochdale – wymamrotałem.

– Rochdale, a teraz Morley. Jakież trzy lata między każdym zaginięciem? – Uniósł cienką brew i tytnął na mnie.

Pokiwałem głową.

Oldman wziął z biurka kartkę maszynopisu.

– A co z tymi? – powiedział i rzucił kartkę nad biurkiem na podłogę przy moich stopach, recytując z pamięci: – Helen Shore, Samantha Davis, Jackie Morris, Lisa Langley, Nichola Hale, Louise Walker, Karen Anderson.

Podniosłem listę.

– Zaginione, wszystkie, do cholery. A to tylko od początku siedemdziesiątego trzeciego roku – rzekł Oldman. – Trochę starsze, przyznaję. Ale wszystkie miały poniżej piętnastu lat, kiedy zniknęły.

– Przepraszam – wymamrotałem, podając mu kartkę przez biurko.

– Zatrzymaj to sobie. Wysmaruj o nich cholerny artykuł.

Na biurku zadzwonił telefon, zamigła lampka. Oldman westchnął i pchnął jedną z białych filizanek w moją stronę.

– Pij, zanim ostygnie.

Posłusznie podniosłem filiżankę i jednym łykiem wychyliłem zimną zawartość.

– Szczerze mówiąc, synu, nie lubię nieścistości i nie lubię gazet. Masz robotę do wykonania...

Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, upadł na liny, ale otrząsnął się i znowu rzucił do walki.

– Nie sądzę, żebyście znaleźli zwłoki.

Detektyw starszy nadinspektor George Oldman się uśmiechnął. Spuściłem wzrok na swoją pustą filiżankę.

Oldman, śmiejąc się, wstał.

– Wyczytałeś to w cholernych fusach, co?

Odstawiłem filiżankę i spodek na biurko, złożyłem wypisaną na maszynie listę imion i nazwisk na pół.

Telefon znowu zabrzączał.

Oldman podszedł do drzwi i je otworzył.

– Ty zajmij się swoją robotą, a ja zajmę się swoją.

Wstałem na słabych nogach, zbierało mi się na pawia.

– Dziękuję panu za rozmowę.

Przy drzwiach złapał mnie mocno za bark.

– Wiesz, Bismarck powiedział, że dziennikarz to człowiek, który minął się z powołaniem. Może powinieneś być zostać gliniarzem, Dunston.

– Dziękuję – powiedziałem z całą odwagą, na jaką było mnie stać, myśląc, że przynajmniej jeden z nas by nim był.

Nagle ścisnął mnie jeszcze mocniej, jakby czytał mi w myślach.

– Spotkaliśmy się już wcześniej, synu?

– Dawno temu – przyznałem, gdy się wyszarpnąłem.

Telefon na biurku znowu zabrzączał i zamrugał lampką, tym razem długo i głośno.

– Ani mru-mru – rzekł Oldman, wypuszczając mnie za drzwi. – Ani cholernego mru-mru.

– Ktoś odrąbał mu skrzydła. Pieprzony łabędź jeszcze żył i w ogóle – stwierdził Gilman z „Manchester Evening News”, kiedy usiadłem na wolnym krześle.

– Żartujesz, kurwa! – Tom z Bradford wychylił się z tylnego rzędu.

– Odciał skrzydła i zostawił tak biedne ptaszysko.

– Ja pierdołę! – Tom z Bradford zagwizdał.

Rozejrzałem się po sali konferencyjnej i znowu uderzyły mnie skojarzenia z boksem, choć tym razem nie było ani ekipy telewizyjnej, ani radiowców. Gorące reflektory wyłączone, wstęp wolny, zapraszamy.

Sami chłopcy z gazet.

Ktoś szturchnął mnie w żebra. Znowu Gilman.

– Jak wczoraj było?

– Och, no wiesz...

– Taa, kurwa.

Spojrzałem na zegarek po ojcu i pomyślałem o Henrym Cooperze i mężu ciotki Anne, Davie, który wygląda jak Henry, i o tym, że wujka Dave'a wczoraj zabrakło, i o wspaniałym zapachu Bruta*.

– Widziałeś ten kawałek, który Barry wysmarował o tym dziecku z Dewsbury? – zagadnął Tom z Bradford. Chuchał mi do ucha, poczułem od niego whisky. Miałem nadzieję, że mnie nie cuchnie tak z gęby.

Zamieniłem się w słuch.

– Jakim dziecku?

– Talidomidowym? – Gilman się zaśmiał.

– O tej dziewczynce, która dostała się do cholernego Oksfordu. W wieku ośmiu lat czy jakoś tak.

– Tak, tak! – Roześmiałem się.

– Sprawiała wrażenie wrednego bachora.

* Pięściarz Henry Cooper brał udział w kampanii reklamowej Bruta, z hasłem *Splash it all over*.

– Barry mówił, że ojciec jest gorszy. – Wciąż się śmiałem, a wszyscy ze mną.

– Ojciec jedzie razem z nią, prawda? – powiedział Gilman.

Jakiś nowy za nami, obok Toma, też się śmiał.

– Szczęśliwy sukinsyn. Te wszystkie studentki.

– Raczej nie – szepnąłem. – Barry mówił, że ojciec ma na oku tylko jedną małą panienkę. Swoją Ruthie.

– Póki jest na tyle młoda, żeby krwawić – powiedzieliśmy obaj od razu.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

– Też mi, kurwa, żarty?! – Tom z Bradford, nie za bardzo rozweselony. – Oblech niemyty z tego Barry’ego.

– Brudny Barry! – Zarechotałem.

A nowy:

– Jaki Barry?

– Odtylcowy Barry. Pieprzony pedał – prychnął Gilman.

– Barry Gannon. Pracuje w „Poscie”, jak Eddie tutaj – powiedział Tom z Bradford do nowego. – To ten, o którym ci opowiadałem.

– Ten od Johna Dawsona? – Nowy spojrział na zegarek.

– Właśnie. A skoro już mowa o niemytych sukinsynach, słyszeliście o Kellym? – Tym razem to Tom zniżył głos. – Widziałem się wczoraj wieczorem z Gazem i mówił mi, że facet nie stawiał się na wczorajszym treningu i nie będzie jutro grał.

– Kelly? – Znowu ten nowy. Ogólnokrajowy, nie regionalny. Farciarz jeden. Znowu zżerały mnie nerwy, temat szedł na cały kraj, mój temat.

– Rugbysta – uściślił Tom z Bradford.

– Amator czy zawodowiec? – spytał ten nowy, z jebanej Fleet Street jak amen w pacierzu.

– A chuj ci w dupę – powiedział Tom. – Mówimy o Wielkiej Białej Nadziei Wakefield Trinity.

– Wczoraj wieczorem widziałem się z Pauliem – powiedziałem. – Nic nie mówił.

– Piździelec po prostu się urwał, jakby nigdy nic. Tak mówi Gaz.

– Pewnie znowu jakaś lafirynda – rzekł Gilman z „Manchester Evening News”, niezainteresowany.

– Oho, idą – szepnął nowy.

Druga runda:

Otwierają się boczne drzwi, wszystko znowu cichnie i zwalnia.

Detektyw starszy nadinspektor George Oldman, jacyś ludzie w cywilu i mundurowy.

Żadnych członków rodziny.

Sfora czuje pismo nosem: Clare nie żyje.

Sfora myśli: nie ma ciała.

Sfora myśli: nie ma nowych wiadomości.

Sfora czuje: sensacji nie będzie.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman patrzy mi z nienawiścią prosto w oczy, prowokuje.

A ja czuję w nozdrzach wspaniały zapach Bruta i myślę: CHLAP WSZĘDZIE!

Pierwsze krople ulewy.

Sunąłem w ślimaczym tempie przez Leeds na zachód, w stronę Rochdale, z notatkami na kolanach, a murami ciemnych fabryk i cichych warsztatów dookoła.

Plakaty wyborcze, papka i klej.

Cyrk tu, cyrk tam; dzisiaj jest, jutro zniknie.

Wielki Brat patrzy.

Strach zżerać duszę*.

* Tytuł filmu w reż. Rainera Wernera Fassbindera, *Angst essen Seele auf*.

Włączyłem dyktafon i podczas jazdy puściłem sobie jeszcze raz nagranie z konferencji prasowej, starając się wyłowić jak najwięcej szczegółów.

Konferencja okazała się stratą czasu dla wszystkich oprócz mnie, bo brak wiadomości oznaczał dobre wiadomości dla Edwarda Dunforda, korespondenta działu kryminalnego na Anglię Północną z dziennikarskim nosem.

„Niepokój oczywiście narasta”...

Oldman trzymał się swojej śpiewki – zero wyników mimo najlepszych chęci i starań najlepszych jego ludzi.

Obywatele wprawdzie okazali pomoc, zgłaszając się z informacjami, i możliwe, że niektórzy z nich widzieli dziewczynkę, ale jak na razie najlepsi ludzie Oldmana nie mają tropu, za którym mogliby pójść.

„Chcielibyśmy podkreślić, że każdy obywatel, który może wiedzieć cokolwiek na ten temat, bez względu na to, jak byłoby to banalne, powinien niezwłocznie skontaktować się z najbliższym posterunkiem policji albo zadzwonić”...

Potem była część poświęcona na pytania i odpowiedzi.

Nie puściłem pary z gęby, milczałem jak grób.

Oldman każdą odpowiedź rzucał mi prosto w twarz, nie spuszczał ze mnie wzroku i nawet nie mrugnął.

„Dziękuję, panowie. To na razie wszystko”...

A potem – kiedy wstał – detektyw starszy nadinspektor Oldman puścił do mnie oko.

Głos Gilmana na końcu taśmy: „Co jest, kurwa, między wami dwoma?”.

Wyjechałem z Leeds i dodałem gazu. Włączyłem magnetofon, włączyłem ogrzewanie i radio i słuchałem, jak w lokalnych rozgłośniach potęgują się obawy, a historia zatacza coraz szersze kręgi w radiostacjach ogólnokrajowych.

Wszyscy, kurwa, się jej uczepili. Historia po prostu nie chciała rozejść się po kościach.

Dałem im jeszcze jeden dzień bez znalezionej ciała, zanim temat spadnie na dalszą stronę, potem jeszcze policyjna rekonstrukcja zdarzeń w najbliższy piątek z okazji pełnego tygodnia od zaginięcia i krótkotrwały powrót na czołówki gazet.

Potem było już sobotnie popołudnie i nic tylko sport.

Z jedną ręką na kierownicy wyłączyłem radio i przewertowałem przepisane przez Kathryn na maszynie notatki, które trzymałem na kolanach. Wcisnąłem na dyktafonie nagrywanie i zacząłem monotonną recytację:

– Susan Louise Ridyard. Zaginęła dwudziestego marca 1972 roku w wieku dziesięciu lat. Ostatnio widziano ją przed szkołą podstawową Holy Trinity w Rochdale o godzinie za pięć czwarta po południu. Szeroko zakrojone poszukiwania policji i nagłośnienie sprawy w całym kraju niczego nie dały. Dochodzenie prowadził George Oldman, mimo że była to robota dla policji Lancashire. Sam o to poprosił.

„Castleford i...?”.

„Rochdale”.

A to kłamliwy sukinsyn.

– Oficjalnie dochodzenia nie zamknięto do dzisiaj. Rodzice mają dwoje innych dzieci, ale regularnie rozlepiają świeże plakaty. Wzięli na to kredyt hipoteczny.

Zatrzymałem taśmę, uśmiechając się od ucha do ucha i myśląc „Pierdol się, Barry”, bo wiedziałem, że Ridyardowie wciąż nie zapomnieli, a ja przywiozę im tylko nową falę potrzebnego rozgłosu.

Zaparkowałem na skraju Rochdale obok świeżo pomalowanej jaskrawoczerwonej budki telefonicznej.

Piętnaście minut później wjechałem na wstecznym biegu na podjazd bliźniaka państwa Ridyardów w cichej okolicy Rochdale.

Lało jak z pieprzonego cebra.

Pan Ridyard stał w drzwiach.

Wysiadłem z wozu i powiedziałem:

– Dzień dobry.

– Dobra pogoda dla kaczek – rzekł pan Ridyard.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i zaprowadził mnie przez maleńki przedsionek do ciemnego pokoju.

Pani Ridyard w kapciach siedziała na kanapie, między nastoletnim chłopcem i dziewczyną. Obejmowała oboje ramionami.

Zerknęła na mnie i szepnęła:

– Idźcie posprzątać u siebie w pokojach.

Uścisnęła oboje mocno i wypuściła.

Dzieci wyszły z pokoju, wpatrzone w dywan.

– Proszę siadać – powiedział pan Ridyard. – Ktoś ma ochotę na filiżankę herbaty?

Podziękowałem.

– A ty, kochana? – zapytał żonę, gdy wychodził z pokoju.

Pani Ridyard była myślami daleko stąd.

Usiadłem naprzeciwko kanapy.

– Ładny dom.

Pani Ridyard zmrużyła oczy, w mroku zobaczyłem, jak napięła się skóra na jej policzkach.

– Okolica wygląda na miłą – dodałem i zamilkłem poniewczasie.

Pani Ridyard przesunęła się na krawędź siedziska, wpatrując się w stojącą na telewizorze między dwiema pocztówkami świątecznymi szkolną fotografię małej dziewczynki.

– Mieliśmy uroczy widok, zanim postawiono te nowe domy.

Wyrzależem przez okno, za drogę, na nowe domy, które zepsuły widok i nie wyględały już na takie znów nowe.

Pan Ridyard wrócił z herbatą na tacy, a ja wyciągnęłem notes. Usiadł na kanapie obok żony i zapytał:

– Nalać?

Pani Ridyard przestała wpatrywać się w fotografię i utkwila wzrok w notesie w moich rękach.

Pochyliłem się do przodu.

– Jak mówiłem przez telefon, mój redaktor i ja pomyśleliśmy, że teraz byłby dobry moment... Byłoby ciekawie napisać artykuł o dalszym ciągu i...

– Artykuł o dalszym ciągu? – powtórzyła pani Ridyard, wciąż wpatrzona w notes.

Pan Ridyard podał mi filiżankę herbaty.

– To ma związek z tą dziewczynką z Morley?

– Nie. To znaczy niezupełnie. – Długopis parzył mnie w dłoń i ślizgał się między palcami, notes ciążył i zdawał się za bardzo przykuwać uwagę.

– Chodzi o Susan? – Na spódnice pani Ridyard skapnęła łza.

Wziąłem się w garść.

– Rozumiem, że musi to być trudne, ale wiemy, jak dużo czasu... ee... poświęciliście państwo na ten cel i...

Pan Ridyard odstawił filiżankę.

– Dużo czasu?

– Oboje państwo zrobili tak wiele, żeby opinia publiczna nie zapomniała o Susan i żeby śledztwo nie ugrzęzło w martwym punkcie...

Martwym punkcie, kurwa.

Państwo Ridyard milczeli.

– I wiem, co musieliście państwo czuć...

– Musieliśmy? – powiedziała pani Ridyard.

– Musicie...

– Przykro mi, ale nie ma pan pojęcia, co czujemy. – Pani

Ridyard pokręciła głową, jej wargi poruszały się nawet po ostatnim słowie, lzy leciały teraz ciurkiem.

Pan Ridyard spojrział na mnie przepraszającym, zawstydzonym wzrokiem.

– Szło nam znacznie lepiej, zanim to się wydarzyło, prawda?

Nikt mu nie odpowiedział.

Wyrzałem przez okno za drogę na nowe domy, gdzie mimo późnej pory wciąż paliły się światła.

– Możliwe, że wróciła już do domu – powiedziała cicho pani Ridyard, wcierając lzy w spódnicę.

Wstałem.

– Przepraszam. Zająłem państwu już dość czasu.

– Przepraszam. – Pan Ridyard odprowadził mnie do drzwi. – Radziliśmy sobie już całkiem dobrze, naprawdę. Ale ta sprawa w Morley sprawiła, że wróciły wszystkie złe wspomnienia.

Przy drzwiach odwróciłem się i powiedziałem:

– Przepraszam, ale kiedy przeglądałem gazety i swoje notatki, odniosłem wrażenie, że policja nie natrafiła właściwie na żaden trop. Zastanawiałem się, czy pana zdaniem policjanci mogli byli zrobić coś więcej?

– Coś więcej? – powtórzył pan Ridyard prawie z uśmiechem.

– Tropy, które mogliby...

– Siedzieli w tym domu przez dwa tygodnie, cały ten George Oldman i jego ludzie. Na naszym telefonie.

– I niczego się nie dowiedzieli...

– Biała furgonetka, tylko o tym ciągle gadali.

– Biała furgonetka?

– Że znajdują Susan, jeżeli uda im się odszukać białą furgonetkę.

– I nigdy nie zapłacili rachunku. – Pani Ridyard z twarzą czerwoną od płaczu stała na drugim końcu korytarza.

– Mało brakowało, a odcieliby nam linię.

Zobaczyłem głowy dwojga dzieci wychylone zza poręcz na szczycie schodów.

– Dziękuję. – Uściśnąłem dłoń panu Ridyardowi.

– Dziękuję, panie Dunford.

Wsiadłem do wiv, myśląc: Jezu, kurwa, Chryste.

– Wesołych świąt! – zawołał pan Ridyard.

Pochyliłem się i nagryzmoлиłem w notesie tylko dwa słowa: „biała furgonetka”.

Z gębą na kłódkę, żeby nie wymknęło mi się żadne przekleństwo, uniosłem rękę i pomachałem panu Ridyardowi, który stał samotnie w drzwiach.

Tylko jedna myśl w głowie: Zadzwoń do Kathryn.

– To był jakiś pierdolony koszmar. – W jaskrawoczerwonej budce telefonicznej wrzuciłem następną monetę. Podskakiwałem to na tej, to na drugiej nodze i odmrażałem sobie jajca. – W każdym razie potem powiedział, że był jeden trop, biała furgonetka, ale nie pamiętam, żebym czytał o niej cokolwiek w gazetach, a ty?

Na drugim końcu linii Kathryn przeglądała swoje notatki. Przyznała mi rację.

– Nie ma o niej mowy w apelach o informacje?

– Nie, w każdym razie niczego takiego nie pamiętam – odpowiedziała. W tle słyszałem odgłosy pracy w redakcji. Czułem, że zapuściłem się za daleko. Chciałem wracać.

– Są dla mnie jakieś wiadomości? – zapytałem, zonglując słuchawką, notesem, długopisem i papierosem.

– Tylko dwie. Barry i...

– Barry? Mówił, o co chodzi? Jest tam teraz?

– Nie, nie. I niejaki sierżant Craven...

– Jaki sierżant?

– Craven.

– Ki chuj, nie mam pojęcia. Craven? Zostawił wiadomość?

– Nie, ale powiedział, że to pilne. – Kathryn sprawiała wrażenie wkurzonej.

– Gdyby to było takie, kurwa, pilne, tobym wiedział, kto zacz. Jak jeszcze zadzwoni, poproś, żeby zostawił wiadomość, dobra? – Upuściłem papierosa. Spadł w kałużę na podłodze budki.

– Dokąd się teraz wybierasz?

– Do pubu, a niby dokąd? Poznać koloryt lokalny. Potem jadę prosto do redakcji. Pa.

Odwiśniełem słuchawkę wkurwiony nie na żarty.

Wpatrywała się we mnie z drugiego końca baru U Myśliwego.

Zdrętwiałem, a potem wziąłem swój kufel i podszedłem do niej, przyciągany przez jej oczy. Była przypięta obok drzwi do ubikacji, nad automatem z papierosami.

Susan Louise Ridyard uśmiechała się ze szkolnej fotografii buzią pełną dużych białych zębów, chociaż troszkę za długą grzywka sprawiała, że wyglądała na zagubioną i smutną, jakby wiedziała, co będzie potem.

Nad nią największe słowo wypisane na czerwono: ZAGINIONA.

Pod nią znajdował się życiorys i opis ostatniego dnia, gdy ją widziano, oba krótkie.

I wreszcie na samym dole apel o zgłaszanie się z wszelkimi informacjami i trzy numery telefoniczne.

– Następne?

Drgnąłem i spojrzałem na pusty kufel.

– Tak. Jeszcze tylko to jedno.

– Dziennikarz, co? – powiedział barman, nalewając mi piwa.

– Aż tak rzuca się w oczy?

– Mieliśmy tu całkiem sporo takich, oj tak.

Wręczyłem mu dokładnie trzydzieści sześć pensów.

– Dzięki.

- Dla kogo pan pracuje?
- Dla „Posta”.
- Coś nowego?
- Po prostu staram się podtrzymać zainteresowanie tą historią, rozumie pan? Nie chcemy, żeby ludzie zapomnieli.
- Dobrze. Nic, tylko przyklasnąć.
- Właśnie byłem u państwa Ridyardów – powiedziałem, próbując się zakumplować.
- Rozumiem. Derek wpada tu od czasu do czasu. Ale ludziska gadają, że z nią nie jest tak dobrze.
- Taa. – Pokiwałem głową. – Policja jakoś nie miała czego się chwycić, co?
- Mnóstwo policjantów stołowało się tutaj, kiedy się to wszystko działo. – Barman, prawdopodobnie właściciel, odwrócił się, żeby obsłużyć innego klienta.
- Rzuciłem na stół swoją jedyną kartę.
- Ale był jeden trop. Biała furgonetka.
- Barman powoli zamknął szufladę kasy i zmarszczył brwi.
- Biała furgonetka?
- Tak. Policjanci mówili Ridyardom, że szukają białej furgonetki.
- Nic takiego sobie nie przypominam. – Znów nalał piwa do kufła, bo w pubie zrobił się większy ruch, była sobota i pora lunchu. Zainkasował następną zapłatę i powiedział: – Miałem wrażenie, że wszyscy policjanci myśleli, że to sprawka Cyganów.
- Cyganów – mruknąłem, myśląc: no to się, kurwa, zaczyna.
- Tak. Przejeżdżali tędy na tydzień przed świętami. Może któryś miał białą furgonetkę.
- Może.
- Nalać jeszcze jedno?
- Odwróciłem się i spojrzałem znowu na plakat i oczy, które wiedziały.

– Nie, już mi starczy.

– A co pan myśli?

Nie odwróciłem się do niego. Czułem ból w piersi i brzuchu, piwo pogorszyło tylko sprawę, upominając mnie, że powinienem był coś przekąsić.

– Myślę, że nigdy nie znajdą ciała – wyszeptalem.

Chciałem wrócić do Ridyardów i przeprosić. Pomyślałem o Kathryn.

– Co? – zapytał gruby barman.

– Ma pan telefon?

– Tu. – Uśmiechnął się, wskazując mój łokieć.

Miałem go w dupie. Znowu odwróciłem się do niego plecami.

Odebrała po drugim sygnale.

– Słuchaj. Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór, to ja...

– Eddie, Bogu dzięki! O trzeciej jest konferencja prasowa na posterunku w Wakefield.

– Żartujesz, kurwa? Dlaczego?

– Znaleźli ją.

– Ja pierdolę.

– Hadden cię szuka...

– Kurwa!

Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, buch za drzwi pubu U Myśliwego!

Posterunek policji w Wakefield, Wood Street.

Godzina 2.59 po południu.

Minuta do startu.

Ja po schodach na górę i w jedne drzwi, a detektyw starszy nadinspektor Oldman w drugie.

W sali konferencyjnej grobowa cisza.

Oldman, w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy w cywilu po bokach, usiadł za stołem z mikrofonem.

Po drugiej stronie, od przodu: Gilman, Tom, ten nowy i JACK PIERDOLONY WHITEHEAD.

Eddie Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, z tyłu, za reflektorami i kamerami ekip telewizyjnych. Obsługa gadała szeptem o jakichś pieprzonych kablach.

Jack pierdolony Whitehead podbierał mi temat.

Błysnęły flesze.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman z zagubioną miną, obcy na tym posterunku, w tej chwili.

Ale to byli jego ludzie, jego czasy.

Przełknął ślinę i zaczął:

– Panowie. Około dziewiątej trzydzieści dzisiaj rano robotnicy odkryli zwłoki małej dziewczynki w Czarcim Rowie tu, w Wakefield.

Napił się wody.

– Ciało zidentyfikowano. To Clare Kemplay, która zaginęła w drodze ze szkoły do domu w Morley w czwartek po południu.

Notatki, rób notatki.

– W obecnej chwili faktyczna przyczyna zgonu nie została jeszcze ustalona. Mimo to wszczęto pełnoprawne śledztwo w sprawie morderstwa. Dochodzenie prowadzę osobiście stąd, z Wood Street.

Następny łyk wody.

– Przeprowadzono wstępną obdukcję, a w szpitalu Pinderfields doktor Alan Coutts, patolog z MSW, wykona dzisiaj w późniejszych godzinach sekcję zwłok.

Ludzie zaczęli sprawdzać pisownię, zerkać do notatek sąsiada.

– Na tym etapie śledztwa jestem w stanie podać panom tylko tyle informacji. Jednak w imieniu rodziny Kemplayów i całej policji Yorkshire Zachodniego chciałbym ponowić apel do obywateli, którzy mogą coś wiedzieć o tej sprawie, aby zgłaszali się na najbliższy posterunek policji. W szczególności pragnęlibyśmy porozmawiać z każdym, kto był w pobliżu Czarciego Rowu między północą w piątek a szó-

stą rano dzisiejszego dnia i widział cokolwiek, a zwłaszcza zaparkowane w pobliżu pojazdy. Zorganizowaliśmy też gorącą linię, aby obywatele mogli dzwonić bezpośrednio do biura wydziału zabójstw w Wakefield pod numer 38-38. Wszystkim dzwoniącym obiecujemy pełną dyskrecję. Dziękuję panom.

Oldman wstał, zasłaniając rękami twarz przed ostrza-
łem pytań i fleszy. Powoli pokręcił głową, wymamrotał
nieszczerze przeprosiny, osaczony jak cholerny King Kong
na szczycie Empire State Building.

Obserwowałem go, obserwowałem jego oczy, gdy roz-
glądał się po sali. Łomotało mi serce, ból ścisnął żołądek,
gdy wyczytałem w tych oczach:

MUSIMY NATYCHMIAST POROZMAWIAĆ.

Szturchaniec w ramię, dym w twarz.

– Fajnie, że jednak do nas dołączyłeś, wilczku. Szef
chce cię widzieć tak szybko, jak się da.

Twarzą w twarz z przylizaną szcurzą gębą z mo-
ich pierdolonych koszmarów – Jackiem pierdolonym
Whiteheadem z oddechem cuchnącym whisky i wyszcze-
rzonymi zębami.

Sfora przepchnęła się obok nas, dziennikarze pobiegli
do telefonów i samochodów, przeklinając fatalną porę.

Jack pierdolony Whitehead puścił do mnie oko i na niby
uderzył mnie pięścią w szczękę.

– Kto rano wstaje i tak dalej.

Kurwa.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Autostradą M1 z powrotem do Leeds.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Widziałem, jak bo bokach ciemnieją grube szare smugi
popołudniowego nieba. Nadchodził sobotni wieczór.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Włączyłem kanał Radia Leeds:

„Dzisiaj w godzinach porannych w Czarcim Rowie robotnicy znaleźli zwłoki zaginionej uczennicy z Morley, Clare Kemplay. Podczas konferencji prasowej na posterunku policji przy Wood Street w Wakefield detektyw starszy nadinspektor George Oldman rozpoczął polowanie na mordercę, apelując do świadków o zgłaszanie się na policję:

»W imieniu rodziny Kemplayów i całej policji Zachodniego Yorkshire chciałbym ponowić apel«”...

Kurwa.

– Ktoś cię przekabacił. Ktoś cię, kurwa, przekabacił!

– Mylisz się, i to grubo, i wołałbym, żebyś ostrożniej dobierał słowa.

– Przepraszam, ale wiesz, jak blisko jestem...

Słowa znowu stały się niesłyszalne i nie starałem się już ich słuchać. Drzwi do Haddena były grubsze, niż na to wyglądały, a sekretarka Gruba Steph stuknęła na maszynie i dodatkowo przeszkadzała.

Spojrzałem na zegarek po ojcu.

Dawsonsgate: strumień pieniędzy z władz lokalnych, który trafiał na finansowanie prywatnych inwestycji budowlanych, wybrakowane materiały do budowy mieszkań komunalnych, łapówkarstwo na dużą skalę.

Konik Barry’ego Gannona, jego obsesja.

Gruba Steph znowu podniosła wzrok znad kartki i uśmiechnęła się współczująco, myśląc: Ty będziesz następny.

Odwzajemniłem uśmiech, zastanawiając się, czy rzeczywiście ochoczo daje dupy Jackowi.

W gabinecie Haddena Barry Gannon znowu podniósł głos.

– Chcę tylko pojechać i zobaczyć ten dom. Nie oddzwoniłaby, do cholery, gdyby nie chciała rozmawiać.

– Kobieta nie jest zdrowa, przecież wiesz. To nieetyczne. Nie w porządku.

– Etyczne!

Kurwa. To się mogło ciągnąć przez całą pieprzoną noc.

Wstałem, zapaliłem następnego papierosa i zacząłem łązić tam i z powrotem, mamrocząc: Kurwa, kurwa, kurwa.

Gruba Steph znowu podniosła wzrok, wkurzona, ale nawet w połowie nie tak jak ja. Nasze spojrzenia się spotkały i wróciła do pisania.

Jeszcze raz zerknąłem na zegarek po ojcu.

Gannon ciskał się i rzucał, kłócąc się z Haddenem o cholerną Dawsongate, o bzdet, który gównem obchodził kogokolwiek oprócz Barry'ego, podczas gdy piętro niżej Jack pierdolony Whitehead pisał artykuł, który mógł się okazać największą bombą pierdolonego roku.

Historię, którą wszyscy chcieli przeczytać.

Moją historię.

Nagle drzwi się otworzyły i wyszedł Barry Gannon. Z uśmiechem na ustach. Cicho zamknął za sobą drzwi i puścił do mnie oko.

– Masz u mnie przysługę.

Otworzyłem usta, ale przytknął palec do warg i ruszył w głąb korytarza, pogwizdując.

Drzwi znowu się otworzyły.

– Przepraszam, że musiałeś tak długo czekać. Wejdz – powiedział Hadden. Ochraniacze na rękawy, skóra pod srebrzystą brodą czerwona i lśniąca.

Wszedłem za nim do środka, zamknąłem drzwi i usiadłem.

– Chciał się pan ze mną widzieć?

Bill Hadden siadł za biurkiem i uśmiechnął się jak cholerny Dziadek Mróz.

– Chciałem się upewnić, że nie chowasz urazy, jeśli chodzi o dzisiejsze popołudnie.

Dla podkreślenia tego, co miał na myśli, uniósł w dłoni egzemplarz „Sunday Posta”.

ZAMORDOWANA.

Zerknąłem na wielki wytłuszczony druk tytułu, a potem wlepiłem spojrzenie w jeszcze bardziej wytłuszczone i czarniejsze litery z nazwiskiem autora: JACK WHITEHEAD, DZIENNIKARZ KRYMINALNY ROKU.

– Urazy? – zapytałem. Nie wiedziałem, o co chodzi. Czy naczelny chce mnie uspokoić, czy rozjuszyć. Czy chce mnie przytulić, czy wbić szpilę.

– Cóż, mam nadzieję, że nie odbierasz tego tak, jakbyś został zepchnięty na boczny tor i pozbawiony tematu. – Uśmiech Haddena wypadł dosyć blado.

Byłem bliski kompletnej paranoi, zupełnie jakby Barry zostawił w gabinecie całą swoją paranoję, że aż ściekała po ścianach. Nie miałem pojęcia, jaki jest cel tej rozmowy.

– Czyli że mam o tym nie pisać?

– Nie, alez skąd.

– Rozumiem. W takim razie nie rozumiem, co się stało dziś po południu.

Hadden już się nie uśmiechał.

– Nie było cię w pobliżu.

– Kathryn Taylor wiedziała, gdzie jestem.

– Nie było z tobą kontaktu. Więc wysłałem Jacka.

– To rozumiem. Czyli że to teraz historia Jacka?

Hadden zaczął się znowu uśmiechać.

– Nie. Będziecie pisać o niej razem. Nie zapominaj, że Jack był w tej gazecie...

– Korespondentem działu kryminalnego na Anglię Północną przez dwadzieścia lat. Wiem. Codziennie to od niego słyszę. – Przepęlniała mnie rozpacz i niepokój.

Hadden wstał. Wyrzwał przez okno na czarne Leeds, odwracając się do mnie plecami.

– Cóż, może powinieneś uważniej słuchać tego, co Jack ma do powiedzenia.

- Co ma pan na myśli?
- No, w końcu Jack nawiązał doskonałą współpracę z pewnym detektywem starszym nadinspektorem.
- To może powinniśmy od razu zrobić Jacka cholernym redaktorem naczelnym – odparłem wzburzony.
- Hadden odwrócił się od okna z uśmiechem.
- Zdaje się, że masz kłopoty z nawiązywaniem zdrowych relacji międzyludzkich, co?
- Poczułem ucisk w piersi, serce waliło mi jak młotem.
- George Oldman z panem rozmawiał?
- Nie. Ale Jack owszem.
- Rozumiem. Czyli to już koniec. – Czułem się, jakbym wyszedł z mroku prosto na mróz.
- Hadden znowu usiadł.
- Posłuchaj, po prostu o tym zapomnijmy. Ja też ponoszę część winy... A chciałbym, żebyś zbadał szereg innych wątków.
- Ale...
- Uniósł rękę.
- Słuchaj, pewnie obaj się zgadzamy, że twoja teoryjka została nieco nadwerężona przez dzisiejsze wydarzenia, więc...
- Żegnaj, Jeanette. Żegnaj, Susan.
- Ale... – wymamrotałem.
- Proszę. – Hadden się uśmiechnął, znowu uniósł rękę.
- Możemy porzucić wątek zaginięcia.
- Zgadzam się. Ale co z tym? – Wskazałem dłonią tytuł. – Co z Clare?
- Hadden pokręcił głową, wpatrując się w gazetę.
- Odrażające.
- Pokiwałem głową, wiedząc, że przegrałem.
- Ale idą Święta, a sprawa zostanie rozwiązana albo jutro, albo nigdy – powiedział. – Tak czy inaczej, temat umrze śmiercią naturalną.
- Umrze śmiercią naturalną?

– Tak, dlatego większość damy do opisania Jackowi.

– Ale...

Hadden uśmiechał się coraz słabiej.

– W każdym razie mam dla ciebie parę innych zadań.

Jutro w ramach przysługi dla mnie pojedziesz z Barrym Gannonem do Castleford.

– Castleford? – W żołądku pusto, a stopy bezskutecznie szukały gruntu. Zapadałem się i nie miałem pojęcia, kiedy sięgnę dna.

– Barry uważa, że Marjorie Dawson, żona Johna Dawsona, jednak się z nim spotka i potwierdzi wszystko, co wyszperał na temat jej męża. Myślę, że to dosyć mało prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę jej ówczesny stan psychiczny, ale i tak chce ją odwiedzić. Więc poprosiłem go, żeby cię wziął ze sobą.

– Dlaczego mnie? – zapytałem. Strugałem jeszcze większego głupka. Pomyślałem, że Barry ma rację i że jak ktoś ma paranoję, to może mieć do tego wszelkie powody.

– Cóż, gdyby kiedykolwiek doszło do rozwiązania sprawy, byłoby mnóstwo aresztowań, aktów oskarżenia i tak dalej, a ty jako korespondent działu kryminalnego tej gazety na Anglię Północną oczywiście znalazłbyś się w tym po uszy. Poza tym chciałbym, żebyś wyświadczył mi przysługę i popilnował Barry'ego, by nie zapuścił się na zbyt głęboką wodę.

– Czyli?

Hadden spojrział na zegarek i westchnął.

– Co wiesz o tym, czym zajmuje się Barry?

– O Dawsongate? Pewnie tyle co wszyscy.

– A co o tym myślisz? Tak między nami?

Podpuszczał mnie, ale nie miałem pojęcia, do czego zmierza i po co.

– Między nami? – Dałem się podpuścić. – Myślę, że stanowczo coś w tym jest. Tylko że to raczej działka dla „Construction Weekly” niż dla nas.

– W takim razie zapatrujemy się na tę sprawę bardzo podobnie. – Uśmiechnął się szeroko, wziął pękatą szarą kopertę i podał mi ją przez biurko. – Tu jest wszystko, co Barry do tej pory zrobił i przekazał działowi prawnemu.

– Działowi prawnemu? – Czułem się jak pieprzona papuga.

– Tak. I szczerze mówiąc, nasi prawnicy uważają, że mielibyśmy szczęście, gdyby udało nam się wydrukować chociaż jedno zdanie.

– Rozumiem.

– Nie oczekuję, że przeczytasz wszystko, ale Barry nie toleruje głupców, więc...

– Rozumiem – powiedziałem, klepiąc grubą kopertę, gotów się przypodobać, jeśli oznaczało to...

– No i skoro już tam jedziesz, chciałbym, żebyś skrobął jeszcze jeden kawałek o Szczurołapie.

Kurwa.

– Jeszcze jeden kawałek? – Moje serce na poziomie podłogi.

– Bardzo popularny temat. Twoja najlepsza robota. Mnóstwo listów. A teraz ta sąsiadka...

– Pani Sheard? – wtrąciłem wbrew sobie.

– Tak, właśnie. Pani Enid Sheard. Zadzwoiła i powiedziała, że chce porozmawiać.

– Ale coś za coś.

Hadden zmarszczył brwi.

– Tak.

– Żałosna baba.

Wyglądał na lekko zirytowanego, ale ciągnął dalej:

– No więc pomyślałem, że po wizycie w Castleford mógłbyś do niej wpaść. Skroiłoby się z tego artykuł w sam raz do dodatku czwartkowego.

– Tak. Dobrze. Ale przepraszam, że zapytam: Co będzie z Clare Kemplay? – wyrwało mi się z rozpacz, z głębi

trzewi, jak komuś, kto będzie oglądał już tylko place budowy i szczury.

Bill Hadden zdawał się zaskoczony żalonym jękiem w moim pytaniu. Wstał.

– Nie przejmuj się. Jak mówiłem, Jack zostanie na posterunku i obiecał mi, że będzie z tobą współpracował. Tylko z nim pogadaj.

– Ale on mnie nienawidzi – powiedziałem, stawiając opór.

– Jack Whitehead nienawidzi wszystkich – rzekł Bill Hadden i otworzył drzwi.

Sobota, czas na popołudniową herbatę, redakcja na dole na szczęście cicha, miłosiernie pozbawiona Jacka pierdolonego Whiteheada, następny numer „Sunday Posta” już oddany do druku.

Leeds United musieli chyba wygrać, ale miałem to w dupie.

Ja przegrałem.

– Widziałaś Jacka?

Kathryn siedziała samotnie przy biurku, czekała.

– Jest pewnie w Pinderfield, nie? Ze względu na sekcję zwłok.

– Kurwa. – Po utracie tematu nachodziły mnie wizje niezliczonych szczurów rozbiegających się falami po placach budów, coraz dalej i dalej.

Klapnąłem za swoim biurkiem.

Ktoś położył mi na maszynie do pisania egzemplarz „Sunday Posta”. Nie trzeba było Franka pierdolonego Cannona, żeby domyślić się kto.

ZAMORDOWANA – AUTOR: JACK WHITEHEAD, DZIENNIKARZ KRYMINALNY ROKU.

Wziąłem gazetę do rąk.

Nagie zwłoki dziewięcioletniej Clare Kemplay zostały znalezione wczoraj rano przez robotników w Czarcim Rowie w Wakefield.

Wstępne oględziny nie pozwoliły na dokładne ustalenie przyczyny zgonu, jednakże detektyw starszy nadinspektor George Oldman, który prowadził poszukiwania Clare, natychmiast wszczął śledztwo w sprawie morderstwa.

Śledczy spodziewają się, że doktor Alan Coutts, patolog MSW, przeprowadzi sekcję zwłok w sobotę wieczorem.

Clare nie widziano od czwartkowego popołudnia, kiedy zaginęła w drodze do domu ze szkoły podstawowej Morley Grange. Jej zniknięcie stało się powodem jednej z największych policyjnych akcji poszukiwawczych, jakie widziano w tym hrabstwie. Do funkcjonariuszy, którzy przeszukiwali Morley i okolice, dotoczyły setki zwykłych mieszkańców.

Pierwsze działania dochodzeniowe policji dotyczą osób, które mogły przebywać w okolicy Czarciego Rowu między północą z czwartku na piątek a szóstą rano w sobotę. W szczególności policja chciałaby porozmawiać z każdym, kto mógł zauważyć jakieś pojazdy zaparkowane w pobliżu Czarciego Rowu w tym przedziale czasowym. Każdy, kto może się podzielić wiadomościami na ten temat, powinien skontaktować się z najbliższym posterunkiem policji albo zadzwonić bezpośrednio do biura wydziału zabójstw w Wakefield na numer 38-38.

Pan i pani Kemplayowie oraz ich syn są pocieszani przez krewnych i sąsiadów.

Krwawe kawałki dobrze się sprzedają.

– Jak poszło z Haddenem? – Kathryn stała nad moim biurkiem.

– A jak, kurwa, myślisz? – fuknąłem, przecierając oczy, szukając łatwego celu.

Kathryn stłumiła łzy.

– Barry mówił, żebym ci powtórzyła, że podjedzie po ciebie jutro o dziesiątej. Do twojej matki.

– Jutro jest cholerna niedziela.

– No to czemu nie pójdziesz i nie poprosisz Barry'ego.

Nie jestem twoją zakichaną sekretarką. Też jestem dziennikarzem.

Wstałem i wyszedłem z redakcji, bo bałem się, że ktoś wejdzie.

W pokoju od frontu: Beethoven mojego ojca tak głośno, jak się odważyłem.

Matka w pokoju na tyłach, telewizor gra jeszcze głośniej: klasyczna muzyka taneczna i skoki przez przeszkody.

Jebane konie.

U sąsiadów obok szczekanie.

Jebane psy.

Wlałem do szklanki resztę szkockiej i przypomniałem sobie czasy, kiedy sam chciałem być pierdolonym policjantem, ale za bardzo się, kurwa, cykałem, żeby w ogóle spróbować.

Jebane mendy.

Wypiłem pół szklanki i przypomniałem sobie wszystkie powieści, które chciałem napisać, ale za bardzo się, kurwa, cykałem, żeby w ogóle spróbować.

Jebany mol książkowy.

Strzepnąłem kłaczek kociej sierści ze spodni, spodni, które uszył ojciec, spodni, które przetrwają dłużej niż my wszyscy. Skubnąłem następny włoszek.

Jebane koty.

Przełknąłem ostatni łyk, rozsznurowałem buty i wstałem. Zdjąłem spodnie, a potem koszulę. Zwinąłem ubranie w kłębek i rzuciłem przez pokój w jebanego Ludwiga.

Usiadłem w samych gaciach i podkoszulku i zamknąłem oczy, za bardzo się, kurwa, cykając, żeby stanąć twarzą w twarz z Jackiem pierdolonym Whiteheadem.

Za bardzo się cykałem, żeby walczyć o własny temat, kurwa.

Za bardzo, żeby w ogóle spróbować.

Cykor jebany.

Nie słyszałem, jak weszła matka.

– Ktoś do ciebie dzwoni, kochanie – powiedziała, zaciągając zasłony.

– Halo, Edward Dunford – powiedziałem do słuchawki telefonu w korytarzu, zapinając spodnie i zerkając na zegarek po ojcu.

Jedenasta trzydzieści pięć w nocy.

Jakiś mężczyzna:

– Rozróżba w sobotnią noc pasuje?

– Kto mówi?

Cisza.

– Kto mówi?

Stłumiony śmiech, a potem:

– Nie musisz tego wiedzieć.

– O co chodzi?

– Zainteresowany Romany Way?

– Czym?

– Białymi furgonetkami i Cyganami?

– Gdzie?

– Zjazd z M1 do Hunslet i Beeston.

– Kiedy?

– Spóźniłeś się.

Mężczyzna się rozłączył.

ROZDZIAŁ 3

Tuż po północy, niedziela, 15 grudnia 1974 roku.

Zjazd z autostrady M1 do Hunslet i Beeston.

Wyłonił się przede mną z ciemności, jakbym przespał całe życie:

Wysokie słupy żółcieni i dziwnych pomarańczów, palące błękity i soczyste czerwienie rozjaśniały czarną noc na lewo od autostrady.

Hunslet Carr w płomieniach.

Zaparkowałem szybko na poboczu, na światłach awaryjnych, myśląc, że całe pierdolone Leeds musi widzieć łunę.

Capnąłem notes i wyskoczyłem z auta, wdrapując się na nasyp obok autostrady, gramoląc się przez błoto i krzaki w kierunku ognia i hałasu. Hałas, wycie silników i nieustająca, monotonna łoskot, jakby wykuwał się sam czas.

Na szczycie nasypu położyłem się na brzuchu i oparłem na łokciach, wpatrzony w piekło na dole. Poda mną, w niecce Hunslet Carr, zaledwie pięćset metrów ode mnie, była moja Anglia pierwszych minut niedzieli 15 grudnia roku pańskiego 1974. Wyglądała tysiąc lat młodziej i ani odrobinę lepiej.

Pożar w cygańskim obozie, wszystkie dwadzieścia parę wozów kempingowych i przyczep w ogniu, nie do uratowania. Obozowisko Cyganów w Hunslet, które widziałem

kątem oka za każdym razem, gdy jechałem do pracy, teraz zmienione w jedną wielką nieckę ognia i nienawiści.

Nienawiści, bo wokół płonącego obozowiska krążył ryczący metalowy pierścień dziesięciu granatowych wozów, które pędziły siedemdziesiąt mil na godzinę, jakby prosto z toru wyścigowego Belle, kurwa, Vue, uwięziwszy w środku jedną wielką, pięćdziesięcioosobową rodzinę mężczyzn, kobiet i dzieci trzymających się za ręce i tulących do siebie w trwodze o życie, podczas gdy piekące płomienie oświetlały przerażenie na ich twarzach, a płacz dzieci i wrzaski kobiet przebijały się przez kolejne bariery hałasu i gorąca.

Pierdoleni kowboje i Indianie – w 1974 roku.

Patrzyłem, jak ojcowie i synowie, bracia i wujowie odłączyli się od rodzin i próbowali przypuścić szturm między samochodami, kopiąc, bijąc tę rzekę metalu, wznosząc w nocne niebo okrzyki bólu, gdy padali do tyłu w błoto.

A potem, gdy płomienie buchnęły jeszcze wyżej, zobaczyłem, kogo Cyganie tak rozpaczliwie usiłują osiągnąć, przeciwko komu z takim sercem walczą.

Wokół całego obozu, w cieniu pode mną, za samochodami, był szerszy krąg: dwa rzędy mężczyzn bijących miarowo pałkami w tarcze.

Policja Metropolitalna Yorkshire Zachodniego bawi się po godzinach.

A potem samochody się zatrzymały.

Cyganie zastygli w blasku ognia i zaczęli się powoli wycofywać do rodzin w środku kręgu, ciągnąc za sobą rannych.

Łomot o tarcze przybrał na sile i zewnętrzny krąg policjantów ruszył do przodu, jeden wielki czarny wąż sunący między wozami, aż zewnętrzny krąg stał się wewnętrznym, a wąż zatrzymał się naprzeciwko rodzin i płomieni.

Zulusi w stylu Yorkshire.

A potem łomot ucichł.

Słysząc było tylko trzask ognia i płacz dzieci.

Nie ruszało się nic, tylko serce pod moimi żebrami.

Potem, w mroku nocy z lewej strony zobaczyłem przednie światła furgonetki, która podskakiwała na wertepach, zbliżając się do obozu. Furgonetka, może biała, zahamowała nagle i z kabiny wyskoczyło trzech ludzi. Rozległy się jakieś okrzyki, kilku policjantów wyłamało się z szyku.

Tamci spróbowali wsiąść z powrotem do furgonetki, a ta – stanowczo biała – zaczęła się cofać na wstecznym.

Najbliższa policyjna suka ruszyła gwałtownie i rozbryzgując błoto, uderzyła w bok furgonetki – od zera do siedemdziesiątki na dystansie trzydziestu paru metrów.

Furgonetka zatrzymała się na dobre, policjanci doskoczyli i wyciągnęli tamtych mężczyzn przez wybite okna.

Zaczęli ich pałować.

Tymczasem wewnątrz okręgu mężczyzna o nagim torsie wystąpił do przodu. Schylił głowę i z krzykiem natarł na kordon.

Policyjny wąż natychmiast ruszył do ataku, zaciskając się wokół rodzin i połykając je w morzu czerni i pałek.

Zerwałem się za szybko z ziemi i runąłem z nasypu, z powrotem w stronę samochodu i autostrady.

Rzygając, dotarłem na dół.

Eddie Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, z ręką na drzwiczkach wiv, płomienie odbite w szybie.

Pobiegłem poboczem do telefonu awaryjnego, modląc się, żeby działał, a kiedy zadziałał, zacząłem błagać operatorkę, żeby wezwała wszystkie wolne pojazdy służb ratowniczych na zjazd z M1 do Hunslet i Beeston, gdzie – zapewniłem bez tchu – karambol dziesięciu samochodów szybko się powiększa, a wśród nich jest płonąca cysterna.

Potem popędziłem wzdłuż autostrady i z powrotem na nasyp, gdzie spojrzałem w dół na przegrywaną bitwę

i na zwycięstwo, które wypełniło moje ciało wściekłością równie bezsilną, co pochłaniającą.

Funkcjonariusze Policji Metropolitalnej Yorkshire Zachodniego otworzyli suki i wrzucali do środka zakrwawionych i pobitych mężczyzn.

Wewnątrz wielkiego kręgu ognia policjanci odzierali z ubrań cygańskie kobiety i dzieci, wrzucając łachmany w płomienie i bijąc nagie kobiety pałami jak popadnie.

Nagły i ogłuszający huk strzelb przesywał powietrze, gdy eksplodowały baki z paliwem i zabijano cygańskie psy, a policjanci strzelali do wszystkiego, co mogłoby ocalić z pożaru.

W środku tego piekła zobaczyłem nagą i samotną małą Cygankę, dziesięcioletnią lub jeszcze młodszą, o kręconych włosach i umazanej krwią twarzycze. Stała w tym kręgu nienawiści, z palcem w buzi, milcząca i nieruchoma.

Gdzie, do cholery, te wozy strażackie, gdzie te karetki?

Moja wściekłość przerodziła się we łzy. Leżąc na szczycie nasypu, przeszukałem kieszenie, aż znalazłem długopis, jak gdyby napisanie czegoś, czegokolwiek, mogło sprawić, że koszmar stanie się mniej rzeczywisty. Za zimno, kurwa, żeby dobrze złapać długopis, więc gryzmołem nim na czerwono po brudnym papierze, schowany w tych rzadkich krzaczkach, ale to nic nie pomagało.

A potem nagle jeden z nich znalazł się tuż przy mnie.

Otarłem błoto i łzy, zobaczyłem lśniąca czerwono-czarną twarz, która wyrwała się prosto z piekła. Mężczyzna biegł po nasypie w moją stronę.

Prawie wstałem mu na powitanie, ale runąłem z powrotem na ziemię, gdy trzech policjantów chwyciło go za stopy i wciągnęło z powrotem pod buty i pałki.

A potem zobaczyłem JEGO, w oddali, z tyłu za tym wszystkim.

Za pałującymi gliniarzami detektyw starszy nadinspektor George Oldman, oświetlony jak jakiś cholerny rysunek naskalny, stał przy suce, palił i pił z innymi policjantami, podczas gdy wóz kolebał się na boki.

George Oldman z kumplami odchylił głowy do tyłu, śmiali się długo i głośno, aż George umilkł i spojrział prosto w stronę, gdzie leżałem kilkaset metrów dalej.

Rzuciłem się twarzą na ziemię. Błoto wypełniło mi usta, kamyczki wrzynały się w skórę. Nagle wyrwano mnie z błota za włosy i zobaczyłem nad sobą tylko ciemne nocne niebo, a potem weszła na nim nalana jak księżyc twarz policjanta.

Pięść w skórzanej rękawicy wzięła mnie mocno za twarz, dwa palce w usta, dwa w oczy.

– Zamknij, kurwa, gały i milcz.

Zrobiłem, co kazał.

– Kiwnij głową, jeśli znasz kawiarnię Czerwony Strumyk na Doncaster Road. – Agresywny szept, gorący oddech przy moim uchu.

Pokiwałem głową.

– Chcesz mieć temat, to bądź tam dzisiaj o piątej rano.

Potem rękawica zniknęła, otworzyłem oczy na czarne niebo i jęk tysięcy syren.

Witaj w domu, Eddie.

Cztery godziny jazdy przed siebie, żeby przegonić z głowy wizje dzieci.

Czterogodzinny objazd po okolicznym piekle: Pudsey, Tingley, Hanging Heaton, Shaw Cross, Batley, Dewsbury, Chickenley, Earlsheaton, Gawthorpe, Horbury, Castleford, Pontefract, Normanton, Hemsworth, Fitzwilliam, Sharlston i Streethouse.

Nieprzyjemne miasteczka dla twardych facetów.

A ze mnie za duża mięczak, za duża cipa, żeby przejechać przez Morley, gdzie mieszkała Clare, albo zajrzeć

do Czarciego Rowu, za duży tchórz, żeby wrócić do obozu Cyganów albo chociaż do domu w Ossett.

Gdzieś w tym wszystkim sen skleił mi powieki, kiedy zjechałem do jakiejś zatoczki w Cleckheaton. Śniłem o południowych dziewczynach o imieniu Anna albo Sophie i o poprzednim życiu. Obudziłem się ze wzrodem i ostatnimi słowami charczącego ojca: „Południe zrobi z ciebie cholernego mięczaka, gwarantuję”.

Na jawie buzia małej Cyganki o kręconych włosach w kręgu ognia i szkolne fotografie dziewczynek, których już nie było.

Obróciłem kluczyk w stacyjce, przetarłem oczy i odjechałem w szarówce, gdy wszędzie wokół budziły się zielenie i brązy, wszystkie wilgotne i brudne, wszędzie pagórki i pola, domy i fabryki, wszędzie strach oblepiający mnie jak glina.

Strach za granicą, w domu i poza domem.

Świt na Doncaster Road.

Zatrzymałem vivę na parkingu za motelem i kawiarnią Czerwony Strumyk. Zaparkowałem między dwiema ciężarówkami i siedziałem, słuchając, jak Tom Jones śpiewa *I Can't Break the News to Myself* w Programie 2. Była za dziesięć piąta, kiedy przeszedłem przez nierówny plac do ubikacji na tyłach.

W środku śmierdziało, kafelki na podłodze były pokryte szarniatymi szczykami. Błoto i glina wyschły mi na skórze, która zaczerwieniła się lekko pod spodem. Odkręciłem kran z ciepłą wodą i wsunąłem dłonie pod lodowaty strumień. Chlusnąłem sobie na twarz, zamknąłem oczy i przeczesalem mokrymi rękami włosy. Brązowe strugi spływały mi na marynarkę i koszulę. Znowu obmyłem twarz i zamknąłem oczy.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi, poczułem powiew zimniejszego powietrza.

Zacząłem otwierać powieki.

Ktoś kopniakiem ściał mnie z nóg.

Rąbnąłem głową o krawędź umywalki, żółć wypełniła mi usta.

Padłem na kolana, z brodą na umywalce.

Ktoś złapał mnie za włosy, wpychając twarz z powrotem w brudną wodę.

– Nawet nie próbuj na mnie patrzeć, kurwa. – Znowu ten szept, gdy podniósł mi głowę o parę centymetrów nad wodę i przytrzymał.

Jedna myśl: Pierdol się, pierdol się, pierdol. Mówię:

– Czego chcesz?

– Milcz, kurwa.

Czekałem z tchawicą przyciśniętą do krawędzi umywalki.

Usłyszałem plaśnięcie i przymrużyłem oczy. Zobaczyłem obok umywalki coś, co wyglądało na cienką szarą kopertę.

Dłoń na włosach się rozwarła, a potem nagle odchyliła mi głowę do tyłu i jakby od niechcenia pchnęła mocno do przodu, na umywalkę.

Zatoczyłem się, machając ramionami, i wylądowałem na dupie. Ból rozsadzał mi czaszkę, spodnie na tyłku nasiąkły wodą.

Złapałem się umywalki i podźwignąłem na nogi. Wypadłem przez drzwi na parking.

Nic.

Dwaj kierowcy ciężarówek, którzy wychodzili właśnie z kawiarni, pokazali mnie palcami i roześmiali się głośno.

Oparłem się od drzwi do ubikacji i wpadłem z powrotem. Obaj kierowcy zgięli się wpół ze śmiechu.

Szara koperta formatu A4 leżała w kałuży przy umywalce. Podniosłem ją i strząsnąłem krople brązowej wody, mrugając oczami, żeby zobaczyć wyraźniej mimo bólu głowy.

Otworzyłem drzwi do jednej z kabin i chwyciłem za metalowy łańcuch, żeby spuścić bladeżółte gówno w klozecie. Zamknąłem pękniętą plastikową klapę nad skłębioną, huczącą wodą, usiadłem i otworzyłem kopertę.

Nowe piekło.

Wyciągnąłem dwie cienkie kartki zapisanego na maszynie papieru A4 i trzy powiększone fotografie.

Kopia raportu z sekcji zwłok Clare Kemplay.

Nie mogłem, nie zdobyłbym się, nie spojrziałem na fotografie. Z rosnącym przerażeniem przeczytałem maszynopis.

Sekcja została przeprowadzona 14 grudnia 1974 roku o godzinie 19.00 w szpitalu Pinderfields w Wakefield przez doktora Alana Couttsa, w obecności starszego nadinspektora Oldmana i nadinspektora Noble'a.

Ciało mierzyło 132 centymetry i ważyło 33 kilogramy.

Otarcia na twarzy, ślady ugryzienia w górnej części szyi po prawej stronie, a także na brodzie, na karku i na przedniej części szyi. Ślady po sznurze i podrażnienia na szyi wskazywały, że przyczyną śmierci było uduszenie.

Uduszenie.

Język został przegryziony jej własnymi zębami, kiedy się dusiła. Zasugerowano, że prawdopodobnie nie była pozbawiona przytomności, kiedy ucisk doprowadził do odcięcia powietrza.

Prawdopodobnie była przytomna.

Na klatce piersiowej ofiary wycięto brzytwą napis 4 LUV. I znowu sugestia była taka, że tej rany nie zadano po śmierci.

4 LUV.

Z MIŁOŚCI.

Ślady po więzach znaleziono także na kostkach nóg i nadgarstkach. W obu wypadkach były na tyle głębokie, że wywołały krwawienie, co wskazywało na to, że ofiara broniła się przed oprawcą przez długi czas. Dłonie zostały

przebite, przypuszczalnie dużym gwoździem albo podobnym metalowym narzędziem. Podobną ranę znaleziono na lewej stopie i wyglądało na to, że podjęto nieudaną próbę zadania takiej samej rany w prawą stopę, ze skutkiem niepełnego przekłucia.

Ofiara broniła się przed oprawcą przez długi czas.

Zachodziła potrzeba dalszych badań, jednak wstępne oględziny próbek zebranych ze skóry i paznokci ofiary wykazały obecność pyłu węglowego.

Pył węglowy.

Przełknąłem ślinę.

Pochwa i odbyt wykazywały rozdarcia i sińce zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Przyczyną wewnętrznych ran pochwy były kolce i łodyga róży, którą wsunięto do środka i tam pozostawiono. I znowu znakomita większość obrażeń powstała przed zgonem.

Kolce i łodyga róży.

Koszmar gonił koszmar.

Z trudem mogłem oddychać.

Później oprawca musiał obrócić ją na brzuch.

Plecy Clare Kempsey to była zupełnie inna historia.

Inne piekło:

Do jej pleców przyszyto dwa łabędzie skrzydła.

**KTOŚ ODRĄBAŁ MU SKRZYDŁA. PIEPRZONY
ŁABĘDŹ JESZCZE ŻYŁ.**

W podsumowaniu raportu patolog napisał:

Przyczyna zgonu: ASFIKSJA WYWOŁANA DUSZENIEM.

Przez cienki biały papier widziałem zarysy i cienie czarno-białego piekła.

Wcisnąłem to wszystko z powrotem do koperty, nie obejrzawszy zdjęć, i dostałem torsji, gdy mocowałem się z zamkiem w drzwiach.

Pchnąłem wreszcie drzwi na oścież, poślizgnąłem się i wpadłem na następnego jebanego kierowcę ciężarówki. Gorący mocz siknął mi na nogę.

– Odwal się, ty cwelu pierdolony!
Buch za drzwi, wciągnąłem w płuca powietrze, łyż
i żółć spływały mi po twarzy.
Żadne z obrażeń nie powstało po zgonie.
– Do ciebie mówię, pedale!
4 LUV.
Z MIŁOŚCI.

Matka siedziała w bujanym fotelu i wyglądała przez okno na ogród w lekkiej mżawce.

Przyniosłem jej filiżankę herbaty.

– Spójrz, jak ty wyglądasz – powiedziała, nie patrząc na mnie.

– I kto to mówi. Nieubrana o tej porze. To do ciebie niepodobne. – Łyknąłem gorącej słodkiej herbaty.

– Nie, kochany. Nie dzisiaj – wyszeptała.

Z radia w kuchni usłyszałem, jak zaczyna się serwis informacyjny o szóstej:

Osiemnaście osób zginęło w domu starców w Nottingham, to już drugi taki pożar w ciągu dwóch dni. Gwałciciel z Cambridge dopadł piątą ofiarę, a Anglia przegrywała w drugim meczu testowym 171 punktami.

Matka siedziała wpatrzona w ogród. Jej herbata stygła.

Zostawiłem kopertę na komodzie, walnąłem się na łóżko i spróbowałem zasnąć, ale nie mogłem. Papierosy nie pomagały, raczej pogarszały sprawę, podobnie jak whisky, która nie chciała jakoś zostać w żołądku, i wkrótce zwidziały mi się szczury z małymi skrzydełkami, które bardziej przypominały dobrotliwe wiewiórki z kosmatymi pyszczkami, ale potem nagle stawały się znowu szczurami, szeptały mi coś zgrzyźliwie do ucha, wyzywały mnie, znęcały się bardziej, niż gdyby okładano mnie kijami, aż wreszcie wyskakiwałem z łóżka i zapalałem światło, tylko że był dzień, więc wyłączałem je, a na-

stępnym razem znowu włączałem, wysyłając sygnały, których nie otrzymywał nikt, a już najmniej Piaskowy Dziadek.

– Z wyra wstać!

Kurwa.

– Czy ktoś w tym wraku jest ranny?

Otworzyłem oczy.

– Zdaje się, że miałeś niezłą nockę. – Barry Gannon z filiżanką herbaty w dłoni rozglądał się po moim zabałaganionym pokoju.

– Kurwa – mruknąłem. Żadnej możliwości ucieczki.

– To coś żyje!

– Jezu.

– Dzięki. Ja też ci mówię dzień dobry.

Dziesięć minut później byliśmy w trasie.

Dwadzieścia minut później, z bólem głowy i pustym żołądkiem, skończyłem opowiadać swoją historię.

– Tego łabędzia znaleziono w Bretton. – Barry jechał malowniczą trasą.

– W parku Bretton?

– Mój ojciec kumpluje się z Arnoldem Fowlerem i on mu powiedział.

Migawka z przeszłości, wspomnienie numer dziewięćdziesiąt dziewięć: siedzę po turecku na drewnianej szkolnej podłodze, a pan Fowler opowiada o ptakach. Facet był fanatykiem, zakładał kluby ornitologiczne w każdej szkole w zachodnim okręgu, rubrykę w każdej lokalnej gazecie.

– To on jeszcze żyje?

– I wciąż pisze do „Ossett Observer”. Chcesz powiedzieć, że go nie czytasz?

O mało nie parsknąłem śmiechem.

– A jak Arnold się o tym dowiedział?

– Znasz go. W świecie ptaków nie dzieje się nic, o czym by nie usłyszał.

Do jej pleców przyszyto dwa łabędzie skrzydła.

– Serio?

Barry wyglądał na znudzonego.

– Cóż, Sherlocku, wyobrażam sobie, że dobrzy ludzie z parku Bretton mu donieśli. W końcu spędza tam całe dnie.

Wyjrzałem przez okno. Kolejna cicha niedziela. Barry sprawiał wrażenie nieporuszonego ani nawet niezainteresowanego obozem cygańskim czy wynikami autopsji.

– Oldman jest cięty na Cyganów. – To wszystko, co Barry powiedział na ten temat, po czym dodał: – I na Irlandczyków.

Sekcja zwłok wywołała jeszcze słabszą reakcję. Żałowałem, że nie pokazałem Barry’emu zdjęć i że nie zdobyłem się na odwagę, by samemu je obejrzeć.

– Muszą być okropne – powiedziałem tylko.

Barry Gannon po prostu milczał.

– Ten w Czerwonym Strumyku to musiał być gliniarz – dorzuciłem.

– Taa.

– Ale dlaczego?

– Gierki, Eddie. Uprawiają z tobą pierdolone gierki. Uważaj na siebie.

– Jestem dużym chłopcem.

– Tak słyszałem. – Uśmiechnął się.

– To fakt powszechnie znany, zwłaszcza w tych okolicach.

– Których okolicach?

– Nie twój interes.

– Nie, twój! – Przystał się uśmiechać. – Nadal uważasz, że jest związek z tamtymi zaginionymi dziewczynkami?

– Nie wiem. To znaczy, tak. Możliwe.

– Dobrze.

A potem zaczął paplać znowu o Johnnym cholernym Kellym, niegrzecznym chłopcu ligi rugby, i rozwodzić się nad tym, że nie zagra w dzisiejszym meczu i nikt nie wie, gdzie się skurwysyn podział.

Wyjrzałem przez okno, myśląc: A kogo to, kurwa, obchodzi?

Barry zatrzymał się na skraju Castleford.

– Jesteśmy już na miejscu? – zapytałem, bo wyobrażałem sobie, że teren należący do Dawsona będzie bardziej odpicowany.

– Ty jesteś.

Nie załapałem, rozglądając się głupkowato dookoła.

– Brunt Street to będzie tamta pierwsza na lewo.

– He? – Zagubiony odwróciłem głowę w tamtą stronę.

Barry Gannon się śmiał.

– Kto taki mieszka przy Brunt Street 11, Sherlocku?

Znałem ten adres, zacząłem grzebać w bolącej głowie, aż powoli sobie przypomniałem.

– Garlandowie?

Jeanette Garland, lat osiem, zaginęła w Castleford 12 lipca 1969 roku.

– Co mi dasz w nagrodę?

– Odwal się.

Barry spojrzał na zegarek.

– Spotkamy się za parę godzin Pod Łabędziem po drugiej stronie szosy. Wymienimy się strasznymi opowieściami.

Wkurwiony wysiadłem z auta.

Barry pochylił się, żeby zamknąć drzwiczki.

– Jak ci mówiłem, jesteś mi winien przysługę.

– Taa. Piękne dzięki.

Odjechał roześmiany.

Brunt Street, Castleford.

Po jednej stronie przedwojenna zabudowa szeregową, po drugiej nowsze bliźniaki.

Numer 11 był w pierzei, miał drzwi pomalowane na ja-skrawoczerwony kolor.

Przemierzyłem ulicę tam i z powrotem trzy razy, żałując, że nie wziąłem notatek i nie mogę najpierw zadzwonić, i myśląc, że byłoby lepiej, gdybym nie śmierdział alkoholem. Wreszcie zapukałem do czerwonych drzwi, ale tylko raz i cicho.

Stałem na cichej ulicy, czekałem, a potem zrobiłem w tył zwrot.

Drzwi otworzyły się zamasyście.

– Słuchaj, nie mam pojęcia, gdzie on się, kurwa, podziewa. Więc się odwal!

Kobieta już miała zatrzaskać czerwone drzwi, ale się powstrzymała. Przeczesała palcami brudne blond włosy i ciaśniej otuliła chude ciało czerwonym cardiganem.

– Kim pan jest? – wyszeptwała.

– Edward Dunford. – Serce załomotało mi jak małpka o kraty klatki.

– Pan w sprawie Johnny’ego?

– Nie.

– To w jakiej?

– W sprawie Jeanette.

Przytknęła trzy chude palce do bladych warg i zamknęła niebieskie oczy.

Tam, przed drzwiami śmierci, gdy niebo przybrało grudniowy odcień błękitu, wyjąłem długopis i kilka kartek i powiedziałem:

– Jestem dziennikarzem. Z „Posta”.

– W takim razie niech pan wejdzie.

Zamknąłem za sobą czerwone drzwi.

– Proszę siadać. Nastawię czajnik.

Usiadłem w fotelu z białawym skórzanym obiciem w małym, ale dobrze urządzonej salonie od frontu. Większość rzeczy była nowa i droga, niektóre wciąż zapakowane w folię. Kolorowy telewizor grał, ale z wyłączonym

dźwiękiem. Zaczynał się właśnie program dla dorosłych analfabetów, tytuł *On the Move* wyświetlił się właśnie na boku pędzącego białego forda transita.

Zamknąłem na moment oczy, usiłując pozbyć się kaca.

Kiedy je otworzyłem, od razu ją zobaczyłem.

Na telewizorze stała fotografia, szkolny portret, którego się obawiałem.

Jeanette Garland, młodsza i o jaśniejszej karnacji od Susan i Clare, uśmiechała się do mnie najradośniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Jeanette Garland miała zespół Downa.

Z kuchni dobiegło gwizdanie czajnika, które gwałtownie ucichło.

Odwrociłem wzrok od zdjęcia i spojrzałem na szafeczkę pełną pucharów i metalowych kufli z przykrywką.

– Proszę – powiedziała pani Garland, stawiając na stoliku przede mną tacę. – Trzeba tylko troszkę poczekać.

– Z pana Garlanda musi być niezły sportowiec. – Uśmiechnąłem się i skinąłem głową na szafeczkę.

Pani Garland znowu mocniej się otuliła swoim czerwonym swetrem i usiadła na kanapie obitej skórą w kolorze przełamanej bieli.

– To mojego brata.

– Ach tak – powiedziałem, próbując wyliczyć jej wiek: Jeanette miała w 1969 roku osiem lat, więc jej matka musiała mieć wtedy ze dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem, czyli teraz ma trzydzieści parę...

Wyglądała, jakby nie spała od wielu dni.

Zauważyła, że się jej przyglądam.

– W czym mogę panu pomóc, panie Dunford?

– Piszę artykuł o rodzicach dzieci, które zaginęły.

Pani Garland zaczęła zbierać ze spódnicy jakieś paprochy.

Mówiłem dalej:

– Na początku zawsze jest wielkie zainteresowanie prasy, a potem sprawa powoli ginie.

– Ginie?

– Tak. Na przykład, czy uważa pani, że w tamtym okresie policja mogła zrobić więcej, żeby pani pomóc?

– Była taka jedna rzecz. – Pani Garland patrzyła prosto na mnie, czekała.

Zapytałem:

– A co mianowicie?

– Mogła znaleźć moją cholerną córeczkę, ty skurwysynu bez serca! – Zamknęła oczy, cała rozedrgana.

Wstałem. Zaszło mi w ustach.

– Przepraszam. Nie chciałem...

– Wynoś się!

– Przykro mi.

Pani Garland otworzyła oczy i podniosła na mnie wzrok.

– Wcale nie jest panu przykro. Gdyby był pan zdolny do takich uczuć, nie przyszedłby pan tutaj.

Stałem pośrodku pokoju, moje łydki w potrzasku między stolikiem a fotelem, i nagle pomyślałem o własnej matce, i zapragnąłem podejść i przytulić tę matkę. Niezdarnie próbowałem przejść nad stolikiem i czajnikiem z herbatą, nie wiedziałem, co powiedzieć, zdołałem tylko wykrztusić:

– Proszę...

Pani Paula Garland poderwała się z miejsca, błękitne oczy miała szeroko otwarte, pełne łez i nienawiści, gdy pchnęła mnie mocno z powrotem w stronę czerwonych drzwi.

– Cholerni dziennikarze! Przychodzicie do mojego domu, rozmawiacie ze mną o rzeczach, o których nie macie zielonego pojęcia, jakbyście rozmawiali o pogodzie albo jakieś wojnie w jakimś dalekim kraju. – Płakała teraz ogromnymi łzami. Otworzyła frontowe drzwi.

Z palącymi wypiekami wyszedłem na ulicę.

– To się naprawdę przydarzyło akurat mnie! – wykrzyknęła i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Stałem na ulicy, przed czerwonymi drzwiami i marzyłem, żeby być w tej chwili gdziekolwiek indziej na świecie, byle nie na Brunt Street w Castleford.

– No to jak się dogadaliście?

– Odwal się. – Zanim zjawił się Barry Gannon, miałem godzinę i trzy kufle piwa na ponure myśli. Zbliżała się już pora składania ostatnich zamówień, a większość klientów zmyła się z Łabędzia do domu na niedzielny obiad.

Barry usiadł z kuflem piwa i wyciągnął papierosa z mojej paczki.

– Czyli nie znaleźli Johnny’ego schowanego pod łóżkiem?

Nie byłem, kurwa, w nastroju.

– Co?

Barry powiedział powoli:

– Johnny’ego Kelly’ego. Wielkiej Nadziei Białych?

– No i co? – O mało go nie trzasnąłem.

– Jezu, kurwa, Chryste, Eddie.

Kufle pamiątkowe, puchary, kurwa mać!

– Jest spokrewniony z Garlandami?

– Czekam na następną nagrodę. Paula Garland jest jego siostrą. Facet mieszka tam, odkąd umarł jej mąż, a ta modelka puściła Johnny’ego w trąbę.

Znowu spiekłem raka, krew wrzała mi w żyłach.

– Mąż nie żyje?

– Kurde, Dunford. Powinieneś wiedzieć takie rzeczy.

– Cholera.

– Nigdy nie pogodził się z zaginięciem Jeanette. Palnął sobie w łeb dwa czy trzy lata temu.

– A ty o tym wiedziałeś? Czemu, kurwa, nic nie mówiłeś?

– Odpiérdol się ode mnie. Rób swoje jak należy albo pytaj. – Barry pociągnął duży łyk piwa, żeby ukryć uśmiech na gębie.

– Dobra, teraz pytam.

– Mąż skończył ze sobą mniej więcej w czasie, kiedy o Johnnym zaczynało być głośno, na boisku i poza nim.

– Fama łobuza?

– Tak, rozrywkowego chłopaka. Chajtnął się z Miss Jakiejś Zakichanej Dziury 1971 Roku. Małżeństwo się rozpadło. Więc kiedy tamta kopnęła go w tyłek, wprowadził się z powrotem do starszej siostry.

– Taki Georgie Best ligi rugby?

– Przypuszczam, że nie interesowałeś się nią zbytnio na Południu?

Z resztkami dumy odpowiedziałem:

– Jakoś tego typu rzeczy nie trafiały na pierwsze strony gazet, nie.

– A tutaj i owszem, więc powinieneś był, kurwa, wiedzieć.

Zapaliłem następnego papierosa, nie podobało mi się, że mi to wypomina z takim uśmiechem na gębie.

Ale do cholery z dumą i z moim upadkiem.

– A Paul Kelly z pracy? To kto dla Johnny'ego?

– Jakiś kuzyn czy ktoś taki. Zapytaj go.

Przełknąłem ślinę, obiecując sobie, że to będzie ostatni raz:

– I Kelly nie zjawił się dzisiaj na mecz?

– Nie wiem. Będziesz się musiał dowiedzieć, prawda?

– Taa – mruknąłem, myśląc: Boże, nie pozwól, żeby łzy stanęły mi w oczach.

Tubalny głos:

– Już czas, panowie.

Opróżniliśmy kufle.

– Jak ci poszło z panią Dawson? – zapytałem.

- Powiedziała, że moje życie jest w niebezpieczeństwie.
- Barry uśmiechnął się i wstał.
 - Żartujesz? Dlaczego?
 - A dlaczego nie? Za dużo wiem.
- Wyszliśmy dwuskrzydłowymi drzwiami na parking.
- Wierysz jej?
- Oni na każdego coś mają. Pytanie tylko, kiedy zdecydują się to wykorzystać. – Barry wgniół papierosa w żwir.
- Jacy oni?
- Przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków od samochodu.
- Oni nie mają nazwisk.
- Pierdol się – zarechotałem, trzy kufle piwa i świeże powietrze dodały mi animuszu.
- Mamy tu szwadrony śmierci. Więc czemu jeden z nich nie miałby przyjść po Barry’ego Gannona?
- Szwadrony śmierci?
- Myślisz, że tak jest tylko u żółtków albo Hindusów? Szwadrony śmierci są w każdym mieście, w każdym kraju.
- Odpierdoliło ci, kurwa! – Odwróciłem się i zacząłem odchodzić.
- Barry złapał mnie za ramię.
- Szkołą je w Irlandii Północnej. Dają im posmakować przemocy, a potem sprowadzają z powrotem tutaj, głodnych krwi.
- Nie pierdol. – Wyszarpnąłem mu się.
- Co? Naprawdę myślisz, że to bandy irlandoli w kurtkach robotniczych taszczą po okolicy duże wory z pieprzonym nawozem i wysadzają w powietrze te wszystkie puby?
- Tak – stwierdziłem z uśmiechem.
- Barry spuścił wzrok, przeczesał ręką włosy.
- Jeżeli na ulicy podchodzi do ciebie facet i pyta o adres, to się zgubił czy cię przysłuchuje?

Uśmiechnąłem się szerzej.

– Wielki Brat?

– On patrzy.

Podniosłem wzrok na szarzejące niebo.

– Jeżeli naprawdę jej wierzysz, powinieneś komuś o tym powiedzieć – zauważyłem.

– A niby komu miałbym powiedzieć? Stróżom prawa? Ci ludzie są tu prawem. Życie każdego jest zagrożone.

– To po co się męczyć? Czemu nie skończysz ze sobą jak Garland?

– Bo wierzę w dobro i zło. Wierzę, że zostanę osądzony, i to wcale nie przez nich. Więc chuj im wszystkim w dupę.

Spojrzałem na żwir, zachciało mi się sikać.

– Idziesz czy nie, pijaku jeden? – zapytał Barry, otwierając samochód.

– Nie, wybieram się w przeciwnym kierunku.

Otworzył drzwiczki.

– No to na razie.

– Taa, na razie. – Odwróciłem się i ruszyłem między samochodami przez parking.

– Eddie!

Odwróciłem się i zmrużyłem oczy przed blaskiem zachodzącego zimowego słońca.

– Nigdy nie korciło cię, żeby pójść na całość i zbawić nas wszystkich ode złego?

– Nie! – odkrzyknąłem z drugiego końca parkingu.

– Kłamca! – Barry się śmiał, podnosząc szybę w oknie i zapalając silnik.

Trzecia w niedzielne popołudnie, Castleford, czekam na autobus do Pontefract, zadowolony, że wywikłałem się z szaleństwa Barry'ego Gannona. Trzy kufle piwa i prawie cieszyłem się na myśl o powrocie do szczurów.

Szczurołap: historia, która chwyciła ludność Yorkshire za serce.

Nadjeżdżał autobus. Wystawiłem rękę z uniesionym kciukiem.

Szczurołap: Graham Goldthorpe, nauczyciel muzyki, który został komunalnym specjalistą od deratyzacji, a w ostatni Wieczór Figli udusił swoją siostrę Mary i powiesił ją w kominku.

Zapłaciłem kierowcy, poszedłem na tył pustego autobusu i zapaliłem szluga.

Szczurołap Graham Goldthorpe palnął sobie w łeb ze strzelby, żeby uciszyć znękaną umysł i położyć kres potwornym wizjom plag brudnych szczurów wędrownych.

„Mandy ciągnie druta pakistańcom” – napisano na oparciu siedzenia przede mną.

Szczurołap: historia bliska sercu Edwarda Dunforda, korespondenta działu kryminalnego na Anglię Północną, byłego pismaka z Fleet Street i syna marnotrawnego, który wstrząsnął mieszkańcami hrabstwa niepokojącą opowieścią i wizjami plag brudnych szczurów.

„Biali z Yorkshire” – przeczytałem na drugim fotelu.

Szczurołap: mój pierwszy artykuł w „Poscie”, który spadł jak z nieba, akurat gdy ojciec i Jack pierdolony Whitehead byli obaj w szpitalu.

Zadryndałem dzwonkiem, życząc Jackowi Whiteheadowi śmierci.

Kiedy wysiadłem z autobusu w Ponefract, było już pod wieczór. Ostoniłem następnego papierosa połą starego płaszcz po ojcu i pokonałem zimowy wiatr przy trzeciej próbie.

Kraina Szczurołapa. Podczas drogi z przystanku do Willman Close wypaliłem dokładnie całą długość playera i o mało nie wlałem w psie gówna, kiedy przydepnąłem peta.

Psie gówno na Willman Close, to by naprawdę wkurwiło Grahama Goldthorpe’a.

Było już ciemno i na większości choinek na ulicy paliły się lampki. Ale nie u Enid Sheard, żalostnej suki.

I nie u Goldthorpe'ów.

Przekląłem swoje pieskie życie i zapukałem do przeszklonych drzwi bungalowu, wsłuchując się w szczekanie olbrzymiego owczarka niemieckiego, który wabił się Hamlet.

Widziałem to ze sto razy podczas nazbyt krótkiego okresu pracy na Fleet Street. Rodziny, przyjaciele, koledzy i sąsiedzi zmarłego albo oskarżonego, ci sami ludzie, którzy udają tak bardzo urażonych, obrzydzonych, znieważonych, a nawet wściekłych, gdy tylko napomkną o pieniądzach za ich historię. Te same rodziny, przyjaciele, koledzy i sąsiedzi zmarłego albo oskarżonego – ci sami ludzie dzwonią miesiąc później, nagle tak chętni, wylewni, pomocni i tak cholernie pazerni, że od razu wspominali o pieniądzach za swoją opowieść.

– Kto tam? Kto tam? – Żałosna suka nie włączyła nawet światła w korytarzu, a co dopiero mówić o otworzeniu drzwi.

– Edward Dunford, pani Sheard. Z „Posta”, pamięta pani?! – zawołałem.

– Oczywiście, że pamiętam. Dzisiaj jest niedziela, panie Dunford! – odpowiedziała, przekrzykując ujadanie Hamleta.

– Mój redaktor, pan Hadden, mówił, że pani dzwoniła i chciała porozmawiać z reporterem! – krzyknąłem przez ozdobną szybę.

– Dzwoniłam w ostatni poniedziałek, panie Dunford. Interesy załatwiam w dniach pracy, a nie w dzień święty. Byłabym wdzięczna pańskiemu szefowi, gdyby postępował tak samo, młody człowieku.

– Przepraszam, pani Sheard. Byliśmy bardzo zajęci. Przyjechałem z daleka i zwykle nie pracuję... – mamrotałem, zastanawiając się, czy Hadden mnie okłamał, czy po prostu pokićkały mu się daty.

– W takim razie mogę powiedzieć tylko tyle, że lepiej,

żeby miał pan dla mnie pieniądze, panie Dunford – rzekła Enid Sheard, gdy otworzyła drzwi.

Prawie bez grosza, wkroczyłem do ciemnego i wąskiego korytarza, w smród roznoszony przez wilczura – smród, do którego wcześniej miałem nadzieję nigdy więcej nie wracać.

Wdowa Sheard, siedemdziesiąt irytujących lat, wprowadziła mnie do salonu i po raz kolejny znalazłem się w ciemnym pokoju z nią, jej wspomnieniami i kłamstwami, podczas gdy Hamlet drapał pazurami w przeszklone drzwi do kuchni.

Siadłem na brzeжку kanapy.

– Pan Hadden mówił, że chciała pani porozmawiać...

– Nigdy nie zamieniłam z tym pańskim Haddenem ani słowa...

– Ale rzeczywiście pragnie pani podzielić się z nami tym, co wie o wydarzeniach u sąsiadów? – Wpatrywałem się w ekran wyłączonego telewizora i widziałem martwe oczy Jeanette Garland, Susan Ridyard i Clare Kemplay.

– Byłabym wdzięczna, gdyby mi pan nie przerywał, panie Dunford.

– Przepraszam – powiedziałem. Żołądek ścisnął mi się za każdym razem, gdy myślałem o pani Garland.

– Coś cuchnie mi od pana alkoholem, panie Dunford. Wolałabym się raczej spotkać z tym miłym panem Whiteheadem z waszej redakcji. I nie w dzień świąty.

– Rozmawiała pani z Jackiem Whiteheadem?

Cienkie wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Rozmawiałam z niejakim panem Whiteheadem. Nigdy nie przedstawił mi się z imienia, a ja się nie dopytywałam.

Nagle w tej jej zimnej ciemnej norze zrobiło mi się gorąco.

– I co powiedział?

– Że powinnam porozmawiać z panem, panie Dunford. Że to nie jego temat.

– Co jeszcze? Co jeszcze mówił? – Z trudem łapałem powietrze.

– Gdyby pozwolił mi pan dokończyć...

Przesunąłem się w stronę jej fotela.

– Co jeszcze?

– Naprawdę, panie Dunford. Powiedział, że powinnam dać ten klucz panu. Ale powiedziałam...

– Klucz? Jaki klucz? – O mało nie zleciałem z kanapy starej wdowie prosto na kolana.

– Klucz do sąsiedniego domu – oświadczyła z dumą.

Nagle drzwi od kuchni otworzyły się zamasyście i wilczur wparował do pokoju, głośno szczekając, skoczył między nas i przejechał nam mokrym, gorącym jęzorem po twarzach.

– Naprawdę, Hamlet, dość już tego!

Na dworze było już ciemno i pani Enid Sheard długo majdrowała kluczem w zamku tylnych drzwi do bungalowu Goldthorpe'ów, zanim trafiła do dziurki. Przekręciła klucz i wszedłem do środka.

Miesiąc temu policja kategorycznie odrzucała wszelkie prośby o obejrzenie miejsca tragedii, a Enid Sheard nie zdradziła się ani słówkiem, że może mieć tam wstęp, ale oto stałem teraz w kuchni Goldthorpe'ów, w Norze Szczurołapa.

Spróbowałem włączyć światło.

– Musieli przecież wszystko odłączyć, prawda? – szepnęła pani Sheard zza progu.

Pstryknąłem włącznik jeszcze raz.

– Na to wygląda.

– Nie wejdę tam po ciemku. Wystarczy, że tu stoję, a ciarki chodzą mi po plecach. Daję słowo.

Zajrzałem do kuchni, zastanawiając się, kiedy ostatnio Enid Sheard dała komuś nie słowo, ale dupy. Cuchnęło

tu stęchlizną, jakbyśmy właśnie wrócili z tygodniowego biwaku.

– Będzie pan musiał przyjść, kiedy będzie jasno, co? Mówiłam, że nie powinno się pracować w niedzielę, prawda?

– Rzeczywiście, mówiła pani – mruknąłem spod zlewu, zastanawiając się, czy Enid Sheard miała radochę, kiedy ostatnio dała komuś dupy, i czy za tym tęskni. Odpowiedź mogłaby wiele wyjaśnić.

– Co pan tam robi, panie Dunford?

– Alleluja! – wykrzyknąłem i wygramoliłem się spod zlewu ze świeczką, myśląc: Dzięki ci, kurwa, Chryste, za nią i za program oszczędności energii „Trzydniowy Tydzień”.

– Cóż, skoro się pan upiera, żeby teraz się rozejrzeć – powiedziała Enid Sheard – to zobaczę, czy uda mi się znaleźć jakąś starą latarkę pana Shearda. Trzeba być przygotowanym, powtarzał mi zawsze. Zwłaszcza z tymi wszystkimi strajkami i w ogóle. – Zawróciła do swojego domku, ale wciąż paplała coś pod nosem.

Zamknąłem drzwi i wziąłem z szafeczki spodek. Zapaliłem świeczkę i przechyliłem ją, aż kilka kropli skapnęło na talerzyk, po czym przytwierdziłem do nich świeczkę.

Wreszcie sam w Norze Szczurołapa.

Było mi zimno w stopy, krew słabo krążyła.

Świeczka oświetliła ściany kuchni żółcieniami i czerwieniami, które przeniosły mnie i rzuciły z powrotem na wzgórze nad płonącym obozem Cyganów, przed oczami stanęła mi okolona ciemnymi loczkami buzia płaczącej małej Cyganki, podczas gdy inna dziewczynka leżała w kostnicy z łabędzimi skrzydłami przszytymi do pleców. Z wysiłkiem przełknąłem ślinę, zastanawiając się, co ja tu, kurwa, robię, i pchnięciem ręki otworzyłem przeszkłone drzwi z kuchni do reszty domu.

Bungalow miał taki sam rozkład pomieszczeń jak ten, który należał do pani Sheard.

Światelko docierające przez szybę frontowych drzwi na końcu przedpokoju stanowiło dodatkową pomoc dla blasku świeczki i wydobywało z mroku ciasny korytarz. Na ścianach parę szaroburych szkockich pejzaży i rycina przedstawiająca ptaka. Wszystkie pięć drzwi w korytarzu były zamknięte. Postawiłem świeczkę na stoliku z telefonem i zacząłem przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu papierowych świstków.

W Norze Szczurołapa...

Nie miałbym żadnych kłopotów ze sprzedażą tego materiału do ogólnokrajówek. Parę zdjęć i będę urządzony. Może jednak trzasnąć szybko książkę reportażową. Jak powiedziała Kathryn, ta historia praktycznie sama się pisała.

Willman Close 6, dom Grahama i Mary Goldthorpe'ów, brata i siostry, zabójcy i ofiary.

W przedpokoju u Szczurołapa wyjąłem długopis i wybrałem jedno drzwi.

Sypialnia na tyłach należała do Mary. Enid Sheard mówiła wcześniej, że Graham przykładał do tego szczególną wagę i nalegał, by starsza siostra miała dużą sypialnię ze względu na prywatność. Policja potwierdziła również, że w ciągu dwunastu miesięcy poprzedzających wydarzenia z 4 listopada Graham dwukrotnie dzwonił, skarżąc się na podglądacza pod oknem siostry. Policjantom nigdy nie udało się ustalić, czy skargi były uzasadnione, zresztą chyba nawet nie próbowali. Wziąłem w palce materiał ciężkich ciemnych zasłon i zastanawiałem się, czy są nowe, czy Graham kupił je dla Mary, żeby powstrzymać podglądacza i ocalić ją przed oczami, które widział.

Czyje były oczy, które wpatrywały się w ciało jego siostry? Czy były to oczy obcego, czy te same, które spoglądały na Grahama z lustra?

Zastony i wszystkie inne sprzęty zdawały się zbyt ciężkie jak na ten pokój, ale to samo można by powiedzieć o meblach u Enid Sheard z domu obok albo u mojej matki. Jednoosobowe łóżko, szafa na ubrania, toaletka z lustrem, wszystko duże i drewniane. Postawiłem świeczkę przy lustrze obok dwóch szczotek do włosów, szczotki do ubrań, grzebienia i zdjęcia matki Goldthorpe'ów.

Czy Graham wchodził do tego pokoju, kiedy spała, zbierał kosmyki blond włosów z jej szczotki, włosów takich, jakie miała ich matka, aby potem przechowywać je na pamiątkę jako skarby?

W lewej górnej szufladzie było trochę kosmetyków i kremy. W prawej górnej szufladzie znalazłem bieliznę Mary Goldthorpe. Była jedwabna, w nieładzie po policyjnym przeszukaniu. Dotknąłem pary białych majtek, przypominając sobie zdjęcia, które opublikowaliśmy w gazecie: zwyczajnej, ale niebrzydkiej kobiety. W chwili śmierci miała czterdzieści lat. Ani policji, ani mnie nie udało się znaleźć żadnego narzeczonego czy kochanka. Droga bielizna jak na kobietę bez faceta. I marnotrawstwo.

Graham przyglądał się jej włosom na poduszce, gdy spała. Szybko wysunął górną prawą szufladę i zagłębił dłonie w jedwabnej zawartości jej najbardziej intymnej szuflady. Nagle Mary poderwała się, siadając na łóżku.

Łazienka i ubikacja były w jednym pomieszczeniu, w środku unosił się zapach świerku. Stałem na różowym dywaniku i odlałem się szybko do klozetu Grahama Goldthorpe'a, wciąż myśląc o jego siostrze. Szum spuszczonej wody wypełnił cały bungalow.

– Graham? Co robisz? – wyszeptała.

Sypialnia Grahama znajdowała się obok łazienki, od frontu domu. Była mała i również przeładowana ciężkimi dziedzicznymi meblami. Na ścianie za zagłówkiem łóżka wisały trzy oprawione obrazki. Oparłem kolano o posłanie i uniosłem świeczkę do trzech kolejnych rycin

ptaków, podobnych do tej w korytarzu. Piżama Grahama wciąż leżała pod poduszką.

Graham znieruchomiał, piżama lepita mu się do spoczonego ciała.

Obok łóżka leżały sterty czasopism i teczek na dokumenty. Postawiłem świeczkę na szafce nocnej i podniosłem plik magazynów. Wszystkie były poświęcone transportowi, kolei albo autobusom. Zostawiłem je na kapie łóżka i podszedłem do biurka, na którym stał duży magnetofon szpulowy. Na regale było puste miejsce po szpulach, które zabrała policja.

Kurwa mać.

Taśmy Szczurołapa stracone – lecz wcale nie na dobre.

– Dziś wieczorem nakryła mnie w pokoju, kiedy jej pilnowałem. – Graham łkał pod kołdrą, podczas gdy taśma przewijała się cicho ze szpuli na szpulę. – Jutro jest Wieczór Figli i one przyjdą.

Wyciągnąłem z półki grubą księgę starych kolejowych rozkładów jazdy, zdumiony jej beużytecznością. Na odwrocie strony tytułowej Graham Goldthorpe nakleił rysunek sowy w okularach i napisał: TA KSIĄŻKA NALEŻY DO GRAHAMA I MARY GOLDTHORPE'ÓW. NIE KRADNIJ JEJ ALBO WYTROPIMY CIĘ I ZABIJEMY.

Ja pierdołę.

Wziąłem następną książkę i znalazłem taki sam napis, a potem w jeszcze jednej i w kolejnej.

Pieprzony świr.

Zacząłem układać książki z powrotem na półce, kiedy natknąłem się na *Przewodnik po kanałach Anglii Północnej* w twardej oprawie, który nie chciał się zamknąć, jak należy.

Otworzyłem go i – buch! – znowu piekło.

Między zdjęciami rozmaitych kanałów były fotografie dziewczynek.

Spojrzałem na drzwi.

– Nie.

– Ale właśnie tam...

– Wiem – mruknąłem, wyobrażając sobie Mary Goldthorpe wiszącą na własnej pończosze w kominku i mózg jej brata rozbryzganą na trzech ścianach. I zaraz wyobraziłem sobie też męża Pauli Garland.

– Trochę szkoda podróży, skoro pan nie zajrzy, jeśli chce pan znać moje zdanie – wymamrotała Enid Sheard.

W kuchni otworzyłem tylne drzwi, zdmuchnąłem świeczkę i zostawiłem spodek na suszarce do naczyń.

– Niech pan wróci do mnie na filiżankę herbaty – powiedziała Enid Sheard, gdy zamknęła drzwi i wrzuciła klucz do kieszeni fartucha.

– Nie, dziękuję. Już i tak dość się pani naprzykrzałem w niedzielę. – Pokażna książka wbijała mi się w brzuch.

– Panie Dunford, jak pan chce, może pan załatwić swoje sprawy na ulicy, na widoku publicznym, ale ja tak nie robię.

Uśmiechnąłem się.

– Przepraszam. Chyba nie bardzo rozumiem.

– Moje pieniądze, panie Dunford.

– Ach, oczywiście. Przepraszam. Wrócę jutro z fotografem. Wtedy przyniosę pani czek.

– Gotówkę, panie Dunford. Pan Sheard nigdy nie ufał bankom i ja też im nie ufam. Tak więc przyjmę sto funtów gotówką.

Ruszyłem ścieżką przez ogród.

– W takim razie sto funtów gotówką, pani Sheard. Proszę bardzo.

– I mam nadzieję, że tym razem zachowa się pan kulturalnie i zadzwoni, żeby zapytać, czy pora mi odpowiada! – zawołała Enid Sheard.

– Ależ pani Sheard, jak może pani w to w ogóle wątpić! – odkrzyknąłem i zerwałem się do biegu. *Przewodnik*

po kanałach Anglii Północnej wpijał mi się w zębra, a na końcu ulicy było już widać autobus.

– Sto funtów gotówką, panie Dunford!

– Dobrze się bawisz?

Ósma wieczorem w Press Clubie, na oku dwóch kamiennych lwów w centrum Leeds.

Kathryn zamawiała właśnie małą szklanekę, a ja trzymałem dużą.

– Od jak dawna tu jesteś? – zapytała.

– Od otwarcia.

Barmanka uśmiechnęła się do Kathryn i wymówiła bezgłośnie „od szóstej”, gdy podawała jej cydr.

– Ile już wypiteś?

– Za mało.

Barmanka pokazała cztery palce.

Łypnąłem na nią ze skrzywioną miną i powiedziałem:

– Usiądźmy przy którymś z pieprzonych stolików.

Kathryn zamówiła jeszcze dwa drinki i poszła za mną do najciemniejszego kąta sali.

– Nie wyglądasz dobrze, kochanie. Co porabiałeś?

Westchnąłem i wyciągnąłem papierosa z jej paczki.

– Nie wiem, od czego zacząć.

Z szafy grającej zaczęło właśnie lecieć *Life on Mars*.

– Nie musisz się streszczać. Nigdzie mi się nie spieszy – powiedziała Kathryn, kładąc swoją rękę na mojej.

Cofnąłem dłoń.

– Byłaś dzisiaj w redakcji?

– Tylko przez parę godzin.

– Kto jeszcze był?

– Hadden, Jack, Gaz...

Jack pierdolony Whitehead. Kark bolał mnie ze zmęczenia.

– A co robił w pracy w niedzielę?

– Jack? Był z powodu sekcji zwłok. Podobno była naprawdę makabryczna. Naprawdę... – Umilkła.

– Wiem.

– Rozmawiałeś z Jackiem?

– Nie. – Wyciągnąłem z jej paczki następnego szluga i przypaliłem od poprzedniego.

Bowiego zastąpił Elton.

Kathryn wstała i znowu podeszła do baru.

George Greaves przy innym stoliku uniósł w moją stronę papierosa. Kiwnąłem mu głową. Lokal powoli się zapełniał.

Odchyliłem się do tyłu i spojrzałem na lamety i lampki.

– Pan Gannon był?

Pochyliłem się do przodu zbyt gwałtownie i zakreśliło mi się w głowie, ścisnęło w żołądku.

– Barry już był?

– Nie – powiedziałem.

Chudy chłopak w śliwkowym garniturze odwrócił się i odszedł.

– Kto to był? – zapytała Kathryn, stawiając szklanki na stoliku.

– A chuj wie. Kumpel Barry'ego. Czyli sekcja zwłok będzie tematem dnia?

Znowu nakryła dłonią moją rękę.

– Tak.

Przesunąłem rękę.

– Kurwa mać. Coś dobrego?

– Tak. – Kathryn sięgnęła po papierosa, ale jej paczka była pusta.

Wyjąłem z kieszeni swoją.

– Jeszcze coś ważnego?

– Pożar w domu starców, osiemnaście ofiar śmiertelnych.

– Ale to nie będzie główny temat?

– Nie. Będzie nim Clare.

– Kurwa mać. Coś jeszcze?
– Gwałciciel z Cambridge. Remis w Pucharach. Leeds pokonali Cardiff.
– Nic o tym obozowisku Cyganów tuż obok M1?
– Nie. Ja w każdym razie nic nie słyszałam. A co?
– Nic. Słyszałem, że był tam pożar czy coś takiego.
Tak tylko pytam.

Kathryn wzięła z mojej paczki następnego szluga.

– A co z białą furgonetką? Znalazłaś coś? – spytałem, chowając papierosy do kieszeni. Usiłowałem sobie przypomnieć, jakim samochodem jeździł Graham Goldthorpe.

– Przykro mi, kochanie. Nie miałam czasu. Ale nie wydaje mi się, żeby coś było na rzeczy. Inaczej policja by o tym wspomniała, a w raportach pewno nie ma niczego na ten temat.

– Pan Ridyard był tego pewny.

– No to może policja po prostu wciskała rodzicom kit, żeby nie rozpaczali.

– Jeżeli tak, to powinna się smażyć w piekle.

Oczy Kathryn lśniły w rozproszonym świetle. Była bliska łez.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Nie szkodzi. Spotkałeś się z Barrym? – Głos jej drżał.

– Mhm. A sekcja zwłok... ile szczegółów podał?

Kathryn wychyliła drinka.

– Żadnych. A jak, do cholery, myślisz?

– Wiesz może, czy Johnny Kelly grał dzisiaj w drużynie Trinity?

– Nie, nie grał.

– Gaz mówił, co się stało?

– Nikt nic nie wie.

– Gaz mówił dlaczego?

– Nikt nic nie wie. – Kathryn podniosła pustą szklanekę, a potem znów ją odstawiła.

– Konferencja prasowa jest jutro?

- Kathryn wzięła pustą paczkę po papierosach.
- Oczywiście.
 - O której?
 - Mówili chyba, że o dziesiątej. Ale nie jestem pewna.
- Wyciągnęła z paczki sreberko.
- A co Hadden powiedział o sekcji zwłok?
 - Nie wiem, Eddie. Nie mam zielonego pojęcia. –
- Oczy znowu jej się zaszklily. Miała wypieki na twarzy.
- Edwardzie, możesz mnie poczęstować papierosem?
- Wyciągnąłem swoją paczkę.
 - Został tylko jeden.
- Kathryn pociągnęła nosem.
- Nieważne. Kupię sobie.
 - Nie bądź głupia. Bierz.
 - Pojechałeś do Castleford? – Szperała w swojej torebce.
- Taa.
 - Widziałeś Marjorie Dawson? Jaka ona jest?
- Zapaliłem swojego ostatniego szluga.
- Nie widziałem jej.
 - Co? – Kathryn liczyła drobniki do automatu z papierosami.
- Widziałem się z Paulą Garland.
 - Jezu, nie mów. Ja pierdzielę.

Jej matka spała, ojciec chrapał, a ja klęczałem na podłodze w jej sypialni.

Kathryn pociągnęła mnie do góry, przyciskając moje wargi do swoich, kiedy padliśmy na łóżko.

Myślałem o południowych dziewczynach o imieniu Sophie albo Anna.

Jej język przylgnął mocniej do mojego, smak jej własnej cipy w ustach podniecił ją jeszcze bardziej. Lewą stopą ściągnąłem jej z nóg majtki.

Myślałem o Mary Goldthorpe.

Wzięła mojego ptaka w prawą dłoń i wprowadziła go w głąb. Wycofałem się i prawą ręką chwyciłem fiuta, kręcąc nim dookoła jej cipy zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Myślałem o Pauli Garland.

Wbiła mi paznokcie w tyłek, chciała mnie głęboko w siebie. Wszedłem w nią mocnym sztychem. Nagle zassało mnie w żołądku, zrobiło mi się niedobrze.

Myślałem o Clare Kemplay.

– Eddie – wyszeptwała.

Pocałowałem ją mocno, najpierw wargi, potem brodę i szyję.

– Eddie? – Zmiana w jej głosie.

Pocałowałem ją mocno, najpierw wargi, potem brodę i szyję.

– Eddie! – Zmiana wcale nie na lepsze.

Przestałem ją całować.

– Jestem w ciąży.

– Co mówisz? – zapytałem, wiedząc dokładnie, kurwa, co mówi.

– Jestem w ciąży.

Wyślizgnąłem się z jej cipy i położyłem na plecach.

– Co my teraz zrobimy? – szepnęła, kładąc ucho na mojej piersi.

– Usuniemy.

Kurwa, wciąż byłem pijany.

Dochodziła druga w nocy, kiedy taksówka podrzuciła mnie na miejsce.

Kurwa, pomyślałem, gdy przekręciłem klucz w zamku drzwi od strony ogrodu. W pokoju na tyłach wciąż paliło się światło.

Kurwa, potrzebowałem herbaty i kanapki.

Zapaliłem światło w kuchni i zacząłem szperać w lodówce w poszukiwaniu szynki.

Kurwa, powinienem się chociaż przywitać.

Moja matka siedziała w bujanym fotelu wpatrzona w czarny telewizor.

– Chcesz herbaty, mamusiu?

– Twój przyjaciel Barry...

– Tak?

– Nie żyje, kochany.

– Kurwa – powiedziałem odruchowo. – Żartujesz.

– Nie, nie żartuję.

– Jak? Co się stało?

– Wypadek samochodowy.

– Gdzie?

– W Morley.

– W Morley?

– Policjanci mówili tylko, że w Morley.

– Policjanci?

– Dzwonili parę godzin temu.

– Dlaczego zadzwonili akurat tutaj?

– Znaleźli twoje nazwisko i adres w samochodzie.

– Moje nazwisko i adres?

Cała dygotała.

– Tak się martwiłam, Eddie. – Otuliła się mocniej szlafrokiem, drapiąc się cały czas po łokciu.

– Przepraszam.

– Gdzie ty się przez cały ten czas podziewałeś?! – teraz krzyczała. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio słyszałem, żeby podniosła głos.

– Przepraszam. – Podeszedłem i przytuliłem ją, właśnie gdy czajnik zagwizdał.

Wróciłem do kuchni i wyłączyłem palnik.

Przyniosłem do pokoju dwa kubki herbaty.

– Wypij, poczujesz się lepiej.

– To ten, który był tu po ciebie dziś rano, prawda?

– Taa.

– Wydawał się taki miły.

– Taa.

CZĘŚĆ II

KABEL

ROZDZIAŁ 4

– Hamulce puścili. Wpakował się prosto w tył furgonetki. Bum! – Gilman uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Furgonetka wiozła okna, prawda? – szepnął ten nowy. Siedział obok Toma.

– Tak. Słyszałem, że szyba odcięła mu głowę – powiedział ktoś, kto siedział za nami. Jeszcze jedna nowa twarz.

Wszyscy powiedzieliśmy:

– O kurwa.

Posterunek policji przy Wood Street w Wakefield.

Dzień jak co dzień – martwy kolega i martwa dziewczynka.

Spojrzałem na zegarek po ojcu w najbardziej parszywy i deszczowy poniedziałek ze wszystkich.

Dochodziła dziesiąta.

Spotkaliśmy się w Parthenonie na szczycie Westgate, piliśmy kawę i jedliśmy tosty, patrząc na zaparowane szyby w oknach i deszcz po drugiej stronie.

I gadaliśmy o Barrym.

O wpół do dziesiątej pobiegliśmy w ulewie, z konkurencyjnymi gazetami nad głowami, na Wood Street i trzecią rundę.

Gilman, Tom i ja dwa rzędy dalej olewaliśmy sprawę. Ci z ogólnokrajówek na przedzie. Znajome twarze z prze-

szłości, aż się zimno robiło. Ale ja miałem to w dupie. No, może nie do końca, ale prawie.

– Co on, kurwa, robił w Morley? – powiedział znowu Gilman i pokręcił głową.

– Znasz Barry’ego, pewnie szukał „Szczęściarza” – uśmiechnął się Tom z Bradford.

Buch! – masywna pięść w moją łopatkę.

– Pijany w trzy dupy, jak słyszałem.

Wszyscy się odwrócili.

Dokładnie za nami siedział Jack pierdolony Whitehead.

– Odwal się – powiedziałem słabym głosem, nie odwracając głowy.

– Mnie też miło cię znowu widzieć, wilczku. – Chuchał mi na kark, z gęby cuchnęło mu whisky.

– Serwus, Jack – powiedział Tom z Bradford.

– Straciłeś niezłą mowę żalobną dziś rano. Jak Bill skończył, w redakcji nie było ani jednej pary niezaptakanych oczu. Bardzo wzruszające.

Tom powiedział:

– Serio? To...

Jack Whitehead pochylił się do mojego ucha, ale nie zniżył głosu.

– Mogłeś też oszczędzić sobie podróży, wilczku.

A ja, patrząc przed siebie:

– Co?

– Pan Hadden chce cię widzieć z powrotem w bazie, wilczku. W try miga i tak dalej.

Czułem, jak Jack uśmiecha się za moimi plecami, aż mnie piekło między łopatkami.

Wstałem, nie spoglądając ani na Gilmana, ani na Toma.

– Pójdę do niego zadzwonić.

– Dobra, zrób to. Aha, jeszcze jedno, wilczku.

Odwróciłem się i spuściłem wzrok na Jacka.

– Policja cię szuka.
– Co?
– Piłeś z Barrym, jak słyszałem.
– Odwal się.
– Świadek koronny. Ile wypiliście?
– Odpierdol się.
– Ta jest. – Jack puścił oko i rozejrzał się po zatłoczonej sali. – Wygląda na to, że jesteś w dobrym miejscu we właściwym czasie. Choć raz.

Przepchnąłem się obok Toma i zacząłem jak najszybciej przedzierać się na koniec rzędu.

– A, jeszcze jedno, wilczku!

Nie chciałem się odwracać. Nie chciałem patrzeć znowu na ten pierdolony uśmiech. Nie chciałem tego mówić:

– Co?

– Gratulacje.

– Co? – powtórzyłem, utkwivszy między krzesłami a nogami pismaków.

– Bóg odbiera i Bóg daje.

Byłem na sali jedyną stojącą osobą, która nie byłaby z ekipy technicznej albo z policji, jedyną, która mówiła:

– Co?

– Tupot malutkich nóżek i tak dalej?

– O czym, do cholery, mówisz?

Wszyscy patrzyli teraz to na mnie, to na Jacka.

Jack założył ręce za głowę i roześmiał się teatralnie.

– Tylko mi nie mów, że dowiedziałem się o tej sensacji przed tobą.

Sala uśmiechała się razem z Jackiem.

– Twoja dziewczyna, Dunston?

– Dunford – poprawiłem go odruchowo.

– Jak sobie życzysz – odparł Jack.

– Co z moją dziewczyną?

– Powiedziała Stephanie, że nie czuje się dziś rano najlepiej. Ale będzie musiała się do tego przyzwycząić.

– Żartujesz, kurwa? – powiedział Tom z Bradford.
Gilman wlepił wzrok w podłogę i pokręcił głową.
A ja stałem jak ten palant, Edward Dunford, czerwony jak burak z pół Anglii Północnej, wszystkie oczy na mnie, tych ogólnokrajowych i tych lokalnych.

- No i...? – powiedziałem głupkowato.
- Postąpisz z nią uczciwie, mam nadzieję?
- Uczciwie! A co ty, kurwa, wiesz o uczciwości?
- Spokojnie, spokojnie.
- Odwal się. – Ruszyłem dalej przez rząd. Trwało całą wieczność, zanim dotarłem do końca. Na tyle długo, że Jack miał okazję znowu się ze mnie ponabijać.
- No nie wiem, ta dzisiejsza młodzież.

Cała sala śmiała się razem z nim.

- Myślę, że pani Whitehouse ma rację.

Cała sala zachichotała.

- Pierdolone społeczeństwo permissywne, ot co. Osobiście popieram Keitha Jonesa. Wysterylizować ich wszystkich!

Cała sala ryknęła na głos.
Po stu latach dotarłem wreszcie na koniec rzędu.
Jack Whitehead krzyknął:

- I nie zapomnij oddać się w ręce władz!

Cała sala gruchnęła śmiechem.

Przepchnąłem się obok puszczających oko gliniarzy i szturchających się nawzajem członków ekipy technicznej, aż dotarłem na tyły sali.

Chciałem zwinąć się w kłębek i zdechnąć jak pies.
Rozległ się huk.
W sali zapadła nagła cisza.
Boczne drzwi na drugim końcu sali zamknęły się z trzaskiem.

Odwróciłem się.
Wszedł detektyw starszy nadinspektor George Oldman w towarzystwie dwóch facetów w garniturach.

Czerwony jak burak, odwróciłem głowę, żeby po raz ostatni rzucić na niego okiem.

Oldman postarzał się o następne sto lat.

– Dziękuję za przybycie, panowie. Postaramy się omówić bardzo skrótowo te miejsca, które, jak wszyscy wiecie, wymagają takiego traktowania. Po mojej prawej stronie widzicie pana doktora Couttsa, patologa MSW, który dokonał sekcji zwłok. Dżentelmen po lewej to detektyw nadinspektor Noble, który razem ze mną poprowadzi polowanie na zabójcę albo zabójców małej Clare Kemplay.

Detektyw nadinspektor Noble patrzył prosto na mnie.

Wiedziałem, co się kroi, a miałem już dość. Starczyłoby mi do końca życia.

Odwróciłem się, otworzyłem dwuskrzydłowe drzwi i wyszedłem.

– Mówią, że Barry był pijany?

Deszcz wdzierał się do środka budki telefonicznej i wokół moich butów utworzyła się kałuża. Przez brudną szybę wpatrywałem się w żółte światła posterunku na Wood Street naprzeciwko.

– Tak twierdzi policja. – W głosie Haddena na drugim końcu linii pobrzmiwał żal.

Zacząłem przetrząsać kieszenie.

– Jack też tak mówi.

Stałem w kałuży, buty nasiąkały mi wodą, a ja żonglowałem pudełkiem zapalek, papierosem i słuchawką.

– Kiedy wrócisz do redakcji? – spytał.

Zapaliłem papierosa.

– Jakoś po południu.

Cisza, a potem:

– Musimy porozmawiać.

– Jasne.

Dłuższa cisza, a potem wreszcie:

– Eddie, co się wczoraj stało?

– Odwiedziłem Enid Sheard. Ma cholerny klucz do domu Goldthorpe’a.

Hadden, znacznie dalej niż dziesięć mil ode mnie, powiedział:

– Naprawdę?

– Tak, ale potrzebuję paru zdjęć. Może pan wystać Richarda albo Normana, żeby się tam ze mną spotkał?

– Kiedy?

Spojrzałem na zegarek po ojcu.

– Około dwunastej. I może dobrze by było, gdyby przyniósł pieniądze.

– Ile?

Popatrzyłem w głąb Wood Street. Czarne chmury sprawiły, że z poranka zrobił się wieczór.

Zaciągnąłem się mocno, aż poczułem lekki ból w piersi.

– Pazerna baba żąda dwóch stów.

Cisza.

A później:

– Eddie, co się wczoraj stało?

– Co?

– Z panią Dawson? Co się stało?

– W ogóle jej nie widziałem.

Hadden z gniewem w głosie:

– Ale przecież wyraźnie ci poleciłem...

– Zostałem w samochodzie.

– Ale prosiłem cię...

– Wiem, wiem. Barry uważał, że moja obecność będzie ją denerwować. – Rzuciłem papierosa w kałużę pod stopami i prawie sam sobie uwierzyłem.

Hadden, na drugim końcu połączenia, podejrzliwie:

– Naprawdę?

Papieros zasyczał w brudnej wodzie.

– Tak.

– O której wrócisz?

– Między drugą a trzecią.

– Musimy się spotkać.

– Tak, wiem.

Odwiesiłem słuchawkę.

Patrzyłem, jak Gilly, Tom i reszta wychodzą z posterunku i z marynarkami nad głowami biegną do samochodów i ciepłych, jasnych redakcji.

Naciągnąłem marynarkę na głowę i przygotowałem się do startu.

Trzydzieści minut później. W vivie śmierdziało bekonem.

Opuściłem szybę i spojrzałem w dół Brunt Street w Castleford.

Palce miałem tłuste od kanapki.

W oknie salonu pod numerem 11 paliło się światło, malowało żółte smugi na czarnym bruku na zewnątrz.

Łyknąłem gorącej słodkiej herbaty.

Światło zgasło i otworzyły się czerwone drzwi.

Paula Garland wyszła z domu z kwiecistą parasolką. Zamknęła drzwi na klucz i ruszyła w górę ulicy w kierunku vivy.

Podniosłem szybę i zapadłem się głębiej w fotel. Słyszałem stukot brązowych kozaków, kiedy się zbliżała. Zamknąłem oczy i przełknąłem ślinę, zachodząc w głowę, co ja jej, kurwa, powiem.

Kozaki przeszły na drugą stronę ulicy.

Wyprostowałem się i spojrzałem w tylną szybę.

Brązowe kozaki, beżowy płaszcz i kwiecista parasolka skręciły za róg i zniknęły mi z oczu.

Barry Gannon powiedział raz coś takiego: „Wszystkie wielkie budynki przypominają przestępstwa”.

Według notatek, które dał mi Hadden, kiedy w 1970 roku John Dawson zaprojektował i zbudował rezydencję Shangrila, chwalono ją zarówno w środowisku architektów,

jak i wśród szerokiej publiczności. Do środka zaproszono telewizję, dziennikarzy gazet i czasopism, by wszyscy mogli zobaczyć pełne przepychu wnętrza przedstawione wier- nie na rozkładówkach. Koszty, które pochłonęła budowa ogromnego bungalowu, oceniano na ponad pół miliona funtów – prezent od najbardziej wziętego powojennego brytyjskiego architekta dla żony z okazji ich srebrnych go- dów. Nazwana na cześć mitycznego miasta z *Zaginionego horyzontu*, ulubionego filmu Marjorie Dawson, Shangrila zawiadnęła wyobraźnią brytyjskiej opinii publicznej.

Na krótko.

Mój ojciec zwykł mawiać: „Jeśli chcesz poznać artystę, patrz na dzieło”.

Na ogół mówił wtedy o Stanleyu Matthewsie albo Donie Bradmanie.

Mgliście przypomniało mi się, jak pewnej niedzieli ojciec i matka specjalnie wybrali się vivą do Castleford. Wyobraziłem sobie, jak tam jadą, rozmawiając trochę, ale głównie słuchając radia. Prawdopodobnie zaparkowali na dole podjazdu, spoglądając do góry na Shangrilę przez przednią szybę. Czy przywieźli ze sobą kanapki i termos? Miałem cholerną nadzieję, że tego nie zrobili. Nie, wpadli raczej do Lumbs na lody w drodze powrotnej do Ossett. Widziałem rodziców, gdy tak siedzą w zaparkowanym sa- mochodzie i w milczeniu jedzą lody.

Kiedy wrócili do domu, ojciec musiał zasiąść do pisania krytyki Shangrili. Dzień wcześniej oglądał pewnie mecz Ossett Town, jeżeli grali akurat u siebie, i napisał o nim, zanim dorzucił parę uwag na temat Shangrili i pana Johna Dawsona.

W 1970 było jeszcze o rok przed Fleet Street, a ja w Brighton, w mieszkaniu z widokiem na morze, prześli- zgiwałem się wzrokiem po cotygodniowym liście z Północy, co dziewczyny z Południa o imieniu Anna albo Sophie uważały za tak urocze, a potem wyrzucałem niedoczy-

tany list do śmieci, dziękując, kurwa, Bogu, że Beatlesi pochodzą z Liverpoolu, a nie z Lambeth.

W 1974 roku siedziałem w tym samym samochodzie u podnóża tego samego podjazdu i przez strugi deszczu patrzyłem na ten sam duży biały bungalow, żałując, że jednak nie doczytałem tych paru uwag ojca o Shangrili i panu Johnie Dawsonie.

Otworzyłem drzwiczki, naciągnąłem marynarkę na głowę i pomyślałem: Po kiego chuja w ogóle tu, kurwa, przyjechałem?

Na podjeździe stały dwa auta, rover i jaguar, ale nikt nie otwierał drzwi.

Jeszcze raz nacisnąłem dzwonek i spojrzałem na ogród, na deszcz marszczący wodę w stawie, na vivę zaparkowaną w dole przy drodze. Zdawało mi się, że dostrzegłem w stawie dwie albo trzy ogromne jaskrawopomarańczowe ryby. Zastanawiałem się, czy lubią deszcz, czy w ogóle ma na ich życie jakikolwiek wpływ.

Odwrociłem się z powrotem do drzwi, żeby zadzwonić jeszcze jeden, ostatni raz, i znalazłem się twarzą w twarz z niemiło wyglądającym zwalistym facetem, opalonym i ubranym w strój do golfa.

– Czy pani Dawson jest przypadkiem w domu?

– Nie – odparł.

– A wie pan, kiedy może wrócić?

– Nie.

– A wie pan, gdzie mógłbym ją znaleźć?

– Nie.

– A czy pan Dawson jest w domu?

– Nie.

Twarz wydała mi się znajoma, ale dopiero teraz ją rozpoznałem.

– Cóż, w takim razie nie będę pana dłużej zatrzymywał, panie Foster.

Odwróciłem się i odszedłem.

W połowie podjazdu obejrzałem się do tyłu i zauważyłem, że jedna z zasłon się poruszyła. Skręciłem w prawo i po miękkiej trawie podszedłem do stawu. Krople deszczu tworzyły piękne wzory na powierzchni. Pod wodą jaskrawopomarańczowe ryby były nieruchome.

Odwróciłem się i spojrzałem na Shangrilę w deszczu. Zaokrąglone białe ściany wyglądały jak kosz muszli po ostrygach albo pieprzony gmach opery w Sydney. A potem przypomniałem sobie uwagę ojca o rezydencji i panu Johnie Dawsonie:

„Shangrila wyglądała jak śpiący łabędź”.

Południe.

Willman Close w Pontefract.

Knykcie zastukały o zaparowane okno vivy. Spadłem gwałtownie z chmur na ziemię, opuściłem szybę.

Paul Kelly wetknął głowę do samochodu.

– Ale historia z tym Barrym, co? Ja pierdzielę! – Był zdyszany i nie miał parasola.

– No – powiedziałem.

– Słyszałem, że odcięło mu głowę.

– Tak mówią.

– To dopiero koniec. I do tego w jebanym Morley, co?

– No, wiem.

Paul Kelly uśmiechnął się szeroko.

– Ale tu śmierdzi, człowieku. Co ty tu wyprawiasz?

– Jadłem kanapkę z bekonem. Uwaga – powiedziałem. Podniosłem szybę, ale nie do końca, a potem wysiadłem.

Kurwa mać.

Paul Kelly, fotograf. Kuzyn bardziej znanego Johna i jego siostry, Pauli.

Padło teraz jeszcze mocniej, a mnie dopadła paranoja.

Dlaczego Kelly, a nie Dicky albo Norm?
Dlaczego dzisiaj?
Zbieg okoliczności?
– Który to?
– Hę? – zapytałem, gdy zamknąłem samochód i naciągnąłem marynarkę na głowę.
– Dom Goldthorpe’ów? – Kelly patrzył na bungalowy.
– Który to jest?
– Numer szósty. – Przeszliśmy przez ulicę do domków po drugiej stronie.
Kelly wydobyl z torby kurewsko wielki japoński aparat.
– Czyli że stara jędza mieszka pod piątką?
– Taa. Hadden dał ci dla niej forse?
– Taa. – Wpychał aparat pod kurtkę.
– Ile?
– Dwie stówy.
– Gotówką?
– Taa. – Uśmiechnął się i poklepał kieszeń kurtki.
– Pół na pół? – zaproponowałem, pukając do przeszklonych drzwi.
– Będzie mi bardzo miło, proszę szanownego pana – powiedział Kelly, kiedy drzwi się otworzyły.
– Znacznie bardziej przyzwoita pora, nie sądzi pan, panie Dunford? – Enid Sheard uśmiechała się do Paula Kelly’ego.
– Tak myślę. – Kelly odwzajemnił uśmiech.
– Macie panowie ochotę na filizankę herbaty?
Czym prędzej powiedziałem:
– Dziękujemy, ale obawiam się, że czas trochę nas goni.
Enid Sheard wydeła wargi.
– W takim razie proszę panów tędy.
Zaprowadziła nas ścieżką między jednym bungalowem a drugim. Kiedy dotarliśmy do tylnych drzwi domu pod numerem 6, Kelly podskoczył, gdy nagle spod piątki rozległo się szczekanie.

- Hamlet – powiedziałem.
- Moje pieniądze, panie Dunford? – upomniała się Enid Sheard, ściskając klucz w dłoni.
- Paul Kelly wręczył jej szarą kopertę.
- Sto funtów w gotówce.
- Dziękuję, panie Kelly. – Wepchnęła pieniądze do kieszeni fartucha.
- Cała przyjemność po naszej stronie – powiedziałem.
- Otworzyła tylne wejście do domu numer 6.
- Nastawię czajnik, więc wystarczy, że zapukacie, panowie, do mnie, kiedy skończycie.
- Dziękujemy. To bardzo miło z pani strony – powiedział Kelly, kiedy wkroczyliśmy do domu.
- Zamknąłem jej drzwi przed samym nosem.
- Lepiej na siebie uważaj. Jak się baba podnieci, to sam wiesz, że będziesz ją mógł uspokoić tylko w jeden sposób.
- Roześmiałem się.
- Gadaj zdrow – odparł Paul ze śmiechem, gdy nagle zrzędała mu mina.
- Przestałem się śmiać i utkwilem wzrok w świeczce na suszarce do naczyń, myśląc o *Przewodniku po kanałach Anglii Północnej* i o tym, gdzie go, do cholery, zostawiłem.
- W domu Kathryn.
- Nora Szczurołapa – wyszeptał Kelly.
- No. Nic specjalnego, co?
- Ile mam ci pstryknąć? – Kelly zakładał na jeden z aparatów lampę błyskową.
- Myślę, że po parę na każdy pokój i kilka dodatkowych w salonie.
- Po parę w każdym pokoju?
- Tak między nami, to chcę trzasnąć o tym książkę, więc będę potrzebował sporo fotek. Możemy nawiązać współpracę, jeśli cię to interesuje.

– Tak? Fajnie, Eddie.

Trzymałem się w cieniu, gdy Kelly ruszył z kuchni na korytarz i podszedł do drzwi sypialni, która należała do Mary Goldthorpe.

– To jej pokój, tak?

– Tak – potwierdziłem i przycisnąłem się obok Kelly'ego.

Podszedłem do toaletki i otworzyłem górną szufladę po prawej. Sięgnąłem pod majtki, aż znalazłem to, czego szukałem. Ułożyłem pończochę tak, by zwisała z szuflady, i czułem się przy tym jak świnia.

– Istna magia. – Kelly cyknął zdjęcie, kiedy usunąłem się z drogi.

Spojrzałem za okno na ogród w deszczu i pomyślałem o własnej siostrze.

– Myślisz, że robili to razem?

– Prawdopodobnie. – Schowałem pończochę z powrotem i zamknąłem szufladę.

– A to świntuchy.

Poprowadziłem go do sypialni Grahama. Wziąłem z półki książkę i ją otworzyłem.

– Postaraj się uchwycić to tutaj – poprosiłem, wskazując naklejkę z sową i ostrzeżeniem.

– „Ta książka należy do Grahama i Mary Goldthorpe'ów. Nie kradnij jej albo wytropimy cię i zabijemy” – przeczytał Kelly. – O kuźwa.

– Cyknij jeden z regałów i resztę.

– Jakie pasjonujące lektury! – Zaśmiał się.

Przeszedłem przez wąski ciemny korytarz i otworzyłem drzwi do salonu od frontu.

Pierwszy rzucił mi się w oczy kominek.

Kelly stanął za moimi plecami, w mrocznym pokoju eksplodował błysk flesza.

– Tutaj to zrobił?

– Taa.

Naga i uduszona.

– W kominku, tak?

– Taa.

Powieszona w kominku.

– Czyli chcesz kilka fotek więcej?

– Taa.

Lufa strzelby w ustach.

– Aż ciary mi chodzą, jak słowo daję.

– No – powiedziałem w pustkę nad paleniskiem.

Palec na spuście.

– Dlaczego to zrobił?

– A chuj go wie.

Kelly prychnął.

– Musisz mieć jakieś domyśły, przecież żyjesz tą cholerną sprawą od Bóg wie jak dawna.

– Policja twierdzi, że nienawidził hałasu. Pragnął ciszy.

– No to mu się udało.

– Taa.

Patrzyłem na Kelly'ego, który trząsał kolejne zdjęcia, podczas gdy w pokoju błyskały białe gwiazdy.

Mąż Pauli też się zastrzelił.

– Zdumiewające, że w naszych czasach ludziom zależy jeszcze na kominkach – zauważył Kelly, wciąż pstrykając aparatem.

– Czasami się przydają.

– Taa, Świętemu Mikołajowi.

– Wyglądają stylowo? – zasugerowałem.

– No, te rzeczywiście. Pamiętasz to całe pierdolone zamieszanie z ich powodu?

– Jakie?

– No, z tymi domkami.

– Nie.

Kelly musiał wymienić film.

– Oj tak, niezłe zamieszanie. Pamiętam, bo chcieliśmy

załatwić jeden z tych domków dla babci i dziadka Kellych. Albo tutaj, albo w Castleford.

– Nie nadążam.

– To miały być domy dla starszych osób, właśnie dlatego wszystkie są parterowe. Ale pieprzony samorząd po prostu je sprzedał na wolnym rynku. I powiem ci jeszcze jedno, ci Goldthorpe'owie musieli mieć kupę forsy.

– Ile kosztowały?

– Już nie pamiętam. Ale na pewno nie były tanie. Zaprojektowane przez Johna pierdolonego Dawsona. Zapytaj tę starą babę z sąsiedniego domu. Założę się, że poda ci dokładnie, ile musiała wybulić.

– Te bungalowy zaprojektował John Dawson?

– Tak, ulubieniec Barry'ego. Mój ojciec uważa, że właśnie dlatego w radzie pojawił się pomysł, żeby je opylić. Przez ten cały szum o jego dziełach.

– Ja pierdolę.

– To jedna ze spraw, które Barry prześwieślał. Bo śmierdziała na kilometr, wtedy wszyscy o tym wiedzieli.

– Ja nie wiedziałem.

– Cóż, tutaj mówiło się o tym od dawna, więc przypuszczam, że na Południu żadna gazeta nie uznała tematu za ciekawy.

– Rzeczywiście, nic takiego do mnie nie dotarło. Kiedy właściwie zbudowano te bungalowy?

– Pięć, sześć lat temu. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy... – Kelly nie dokończył. Wiedziałem, co chciał powiedzieć.

Staliśmy w zimnym, ciemnym pokoju, w którym nagle rozbłyskiwało światło, i nie odzywaliśmy się do siebie, póki Kelly nie skończył.

– No dobra, to wszystko. Chyba że przychodzi ci do głowy coś jeszcze.

– Może jeszcze parę zdjęć na dworze, co? – zaproponowałem i spojrzałem na deszcz.

W ulicę skręcił samochód.

Kelly rzucił okiem za okno od frontu.

– Może lepiej byłoby wrócić w lepszą pogodę, ale spróbuję.

Samochód zatrzymał się przed domem.

– Kurwa – powiedziałem.

– W dupę – powiedział Kelly.

Z granatowo-białego wozu wysiadło dwóch funkcjonariuszy policji.

Dwaj policjanci zbliżali się do nas, właśnie gdy wyszliśmy z domu. Jeden był wysoki i brodaty, drugi niski, z dużym nosem. Mogliby tworzyć duet komediowy, ale wyglądali na wrednych sukinsynów, a nam wcale nie było do śmiechu.

Hamlet znowu zaszczekał i niższy gliniarz zaklął. Kelly zamknął za nami drzwi. Ani widu Enid Sheard. Łało jak diabli, a my nie mieliśmy się gdzie schować.

– Co tu robicie? – zapytał wysoki gliniarz z brodą.

– Jesteśmy z „Posta” – powiedziałem, spoglądając na Kelly’ego.

Niski policjant uśmiechał się szeroko.

– A co to ma, kurwa, znaczyć?

Sięgnąłem do kieszeni po dokumenty.

– Przygotowujemy artykuł.

– W kulki se, kurwa, lecisz – odezwał się znowu ten niski, po czym wyciągnął notes i spojrzał w niebo.

– Wszystko się zgadza – potwierdził Kelly, pierwszy z legitymacją dziennikarską.

Wysoki wziął od nas dokumenty i przytrzymał je, żeby niski spisał dane.

– To jak dostaliście się do domu?

Ten niski nie dał mi odpowiedzi.

– Kurwa mać! Otwórzcie drzwi, co? Nie mam zamiaru sterczeć na pierdolonej ulewie. – Wyrwał z notesu przemoczoną kartkę i zmiął ją w kulkę.

– Nie możemy – odparłem.
Wysoki przestał się uśmiechać.
– Możesz, kurwa, i to zrobisz.
– To zatrzask yale. Nie mamy klucza.
– A ty jesteś, kurwa, Święty Mikołaj, co? Jak dostaliście się do środka?

Zaryzykowałem i powiedziałem:

– Ktoś nas wpuścił.
– Przestań mi tu kręcić. Kto was, kurwa, wpuścił?
– Adwokat rodziny Goldthorpe'ów – powiedział Kelly.

– Czyli...?

Starałem się ukryć zadowolenie.

– Kancelaria Edward Clay i Syn, Towngate w Pontefract.
– A to przemądrzały dupek – burknął ten wysoki.
– Nie jesteś przypadkiem spokrewniony z Johnem Kellym? – zapytał niski policjant, oddając nam legitymacje.

– To mój kuzyn.

– Wy, irlandole, mnożycie się jak pieprzone króliki.

– Johnny wykręcił Lucana, co? Dał nogę.

– Nie wiem – powiedział Kelly tylko.

Wyższy policjant skinął głową w stronę ulicy.

– No to spierdalaj i znajdź go przed następną niedzielą, co?

– Nie ty, Mikołaju. – Ten niski trącił mnie palcem w pierś.

Kelly się odwrócił. Rzuciłem mu kluczyki do wavy. Wzruszył ramionami i potruchtał do samochodu. Staliśmy we trzech przy tylnym wejściu, w deszczu i strugach wody, które lały się z dachu bungalowu, słuchaliśmy ujadania Hamleta i czekaliśmy, aż ktoś się odezwie.

Ten niski, ociągając się, schował notes. Wysoki zdjął rękawiczki, rozprostował palce, aż strzeliły, po czym znów włożył rękawiczki. Zakołysałem się na piętach, z rękami w kieszeniach. Po nosie skapywała mi woda.

Minęło parę minut, miałem już dość, więc powiedziałem:

– No to o co chodzi?

Wyższy gliniarz nagle wyciągnął ramiona i pchnął mnie na drzwi, jedną ręką capnął mnie za gardło, a drugą przycisnął twarz do malowanego drewna. Moje stopy nie dotykały podłogi.

– Nie naprzykrzaj się ludziom, którzy chcą mieć spokój – wyszeptał mi do ucha.

– To nieuprzejme – syknął ten niski, parę centymetrów od mojej twarzy, stojąc na palcach.

Czekałem z napiętymi mięśniami brzucha, spodziewając się uderzenia.

Dłoń zamknęła się na moich jajach i potrząsnęła nimi lekko.

– Powinieneś znaleźć sobie jakieś hobby.

Ręka niskiego mocniej zacisnęła się na moich jajach.

– Na przykład obserwacja ptaków. Takie fajne, spokojne hobby.

Palec przecisnął się przez tkaninę spodni, wpychając mi się do dupy.

Chciało mi się rzygać.

– Albo fotografia. – Puścił moje jaja, pocałował mnie w policzek i odszedł, pogwizdując *We Wish You a Merry Christmas and a Happy New Year*. Hamlet znowu zaszczekał.

Wysoki gliniarz przycisnął mi twarz mocniej do drzwi.

– I pamiętaj, Wielki Brat patrzy.

Zatrąbił jakiś samochód.

Gliniarz upuścił mnie na ziemię.

– Zawsze.

Klakson znowu zatrąbił. Klęczałem, kaszląc, i patrzyłem, jak wielkie podkute buciory odchodzą ścieżką do radiowozu.

Opony skrzyły, a potem buciory i radiowóz zniknęły.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi. Szczekanie Hamleta zrobiło się głośniejsze.

Podźwignąłem się i przebiegłem na drugą stronę ulicy, jedną ręką masując sobie szyję, a drugą jaja.

– Panie Dunford! Panie Dunford! – zawołała Enid Sheard.

Kelly w wivie zdążył zapuścić silnik. Otworzyłem drzwiczki od strony pasażera i wskoczyłem do środka.

– O kuźwa – powiedział Kelly i wdepnął pedał gazu.

Jaja i twarz wciąż mnie paliły, kiedy się odwróciłem i zobaczyłem Enid Sheard, która darła się wniebogłosem na ulicy.

– Nie naprzykrzaj się ludziom, którzy chcą mieć spokój.

Kelly patrzył na autostradę przed sobą.

– To nie taka zła rada, wiesz?

– Co masz na myśli? – zapytałem, mimo że wiedziałem doskonale, o co mu chodzi.

– Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Paulą. Była w bardzo kiepskiej formie.

– Wiem. Przykro mi – powiedziałem ze wzrokiem na samochodzie z przodu. Zastanawiałem się, dlaczego czekał z tym aż do teraz.

– Mogłeś mnie najpierw zapytać.

– Nie wiedziałem. To był bardziej pomysł Barry’ego niż mój.

– Nie mów tak, Eddie.

– Nie, naprawdę. Nie miałem pojęcia, że to rodzina. Ja...

– Robiłeś po prostu swoje, wiem. Tyle że, wiesz, właściwie nikt z nas nigdy się po tym nie pozbierał. A teraz jeszcze ta druga dziewczynka... wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą.

– Wiem.

– No i jeszcze cała ta afera z naszym Johnnym. To się chyba nigdy nie skończy.

– Więc nie macie o nim żadnych wieści?

– Nie, jak kamień w wodę.

– Przykro mi, Paul – powiedziałem.

– Wiem, wszyscy uznali, że pewnie poderwał panienkę albo poszedł w tango, ale ja nie jestem tego taki pewien. Mam nadzieję, że tak się stało.

– Ale nie wydaje ci się?

– Johnny najmocniej to przeżył, rozumiesz, po Pauli i Geoffie. On uwielbia dzieci, sam jest po prostu dużym dzieciakiem i naprawdę ubóstwiał naszą małą Jeanie.

– Przykro mi.

– Wiem. Nie zamierzałem w ogóle o tym wspominać, tylko że...

Nie chciałem tego słyszeć.

– Gdzie twoim zdaniem się podział?

Kelly popatrzył na mnie.

– Gdybym wiedział, to nie woziłbym cię, kuźwa, jak jakiś pierdolony szofer, nie? – Spróbował się uśmiechnąć. Nie udało mu się.

– Przykro mi – powiedziałem po raz setny.

Wyrzałem przez okno na brązowe pola i pojedyncze brązowe drzewa, i resztki brązowych żywoptów. Zbliżaliśmy się do obozu Cyganów.

Kelly włączył radio i Bay City Rollers śpiewali przez chwilę *All of Me Loves All of You*, zanim znowu ich wyłączył.

Popatrzyłem za Kelly'ego, gdy obok migwały spalone przyczepy kempingowe, i zastanawiałem się, co tu powiedzieć.

Nikt się nie odzywał, aż dojechaliliśmy do Leeds i zaparkowaliśmy pod arkadami w pobliżu siedziby „Posta”.

Kelly zgasił silnik i wyciągnął portfel.

– Co z tym robimy?

– Pół na pół?

– Dobra – rzekł, odliczając dziesiątki.

Wręczył mi pięć.

– Dzięki – powiedziałem. – Co się stało z twoim wozem?

– Hadden powiedział, żebym pojechał autobusem. Że potem wracasz do redakcji i możesz mnie podwieźć.

– A co?

Kurwa, pomyślałem. No jasne.

– Nic, tak tylko pytam.

– Żyjemy we wspaniałej epoce dziennikarstwa śledczego, a Barry Gannon był jednym z tych, którzy tę epokę stworzyli. Gdzie widział niesprawiedliwość, domagał się sprawiedliwości. Gdzie widział kłamstwa, domagał się prawdy. Barry Gannon zadawał ważne pytania i kwestionował działalność ważnych ludzi, ponieważ wierzył, że brytyjskiej opinii publicznej należy się cała prawda. Powiedział raz, że prawda może nas tylko wzbogacić. Wraz z przedwczesnym odejściem Barry'ego my wszyscy, wszyscy, którzy szukają prawdy, staliśmy się o wiele ubożsi.

Bill Hadden, wyczerpany i dziwnie mały za swoim biurkiem, zdjął okulary i podniósł wzrok. Pokiwałem głową i pomyślałem, że Barry Gannon mówił tak wiele rzeczy nad tyłoma kuflami piwa, między innymi coś, co usłyszał w Indiach, o słońcu, trzech ślepcach i prawdzie.

Po stosownej pauzie zapytałem:

– To pójdzie w dzisiejszym numerze?

– Nie. Poczekamy na wyniki dochodzenia.

– Dlaczego?

– No wiesz, jak to jest. Nigdy nie wiadomo, co odkryją.

Co sądzisz o tekście?

– Bardzo dobry.

- Nie uważasz, że jest nadmiernie panegiryczny, prawda?
- Zupełnie nie – powiedziałem, zupełnie nie wiedząc, co, kurwa, znaczy „panegiryczny”.
- Dobrze – powiedział Hadden i odłożył zapisaną na maszynie kartkę A4 na bok. – Czyli udało ci się spotkać z Paulem Kellym, tak?
- Tak.
- I daliście pani Sheard pieniądze?
- Tak jest – potwierdziłem o wiele zbyt radośnie, zastanawiając się, czy żalosna baba nie zadzwoniła do Haddena z powodu tego incydentu z policjantami i nie zaczęła gadać o forsie.
- Zrobił zdjęcia i w ogóle?
- Tak.
- Skończyłeś artykuł?
- Prawie – skłamałem.
- Co jeszcze masz na warsztacie?
- Właściwie nic specjalnego – skłamałem znowu, myśląc o Jeanette Garland, Susan Ridyard, Clare Kemplay, płonących obozach Cyganów, o kanałach Anglii Północnej, Arnoldzie Fowlerze i jego łabędziach bez skrzydeł, Tralabumie i Tralabimie z policji, o ostatnich słowach Barry’ego Gannona.
- Mmm – mruknął Hadden. Miasto za jego plecami było już ciemne.
- Rozmawiałem wprawdzie z rodzicami Susan Ridyard w sobotę, tak jak pan mi polecił. Pamięta pan, ten kawałek do działu ludzkiego?
- Daj sobie z nim spokój. – Hadden wstał od biurka, żeby się poprzehadzać. – Chciałbym, żebyś się skupił na historii Clare Kemplay.
- Ale myślałem, że pan...
- Uniósł dłoń.
- Będziemy musieli znacznie lepiej zarysować tło, jeśli mamy ten temat jeszcze pociągnąć.

- Ale myślałem, że uznał pan, że to teraz temat Jacka?
- Znowu ten jęczący ton w moim głosie.
Spochmurniał.
- A ja myślałem, że uzgodniliśmy, że opracujecie go wspólnie?
Nie odpuszczałem.
- Na razie jakoś mało jest tego „wspólnie”.
- Mmm – mruknął, biorąc do ręki nekrolog Barry’ego.
- To bardzo ciężkie chwile dla nas wszystkich. Bez wątpienia miałeś swoje powody, ale nie zawsze byłeś na miejscu, kiedy cię potrzebowaliśmy.
- Przepraszam – powiedziałem, myśląc, jaki z niego jednak kutas.
Hadden znowu usiadł.
- Jak mówię, miałeś własne trudności i problemy, wiem. Rzecz w tym, że Jack zajmuje się bieżącym śledztwem, a ty tłem.
- Tłem?
- Jesteś w tym najlepszy. Jack właśnie dzisiaj mówił, jaki świetny byłby z ciebie powieściopisarz. – Hadden się uśmiechał.
- Już to sobie wyobrażałem, całą tę scenę.
- I to ma być komplement, tak?
Roześmiał się.
- Z ust Jacka Whiteheada i owszem.
- Tak? – Uśmiechnąłem się i zacząłem liczyć od stu do jednego.
- W każdym razie to na pewno ci się spodoba. Chciałbym, żebyś odwiedził medium...
- Osiemdziesiąt sześć, osiemdziesiąt pięć.
- Medium?
- Tak, medium, jasnowidzkę. – Przeszukiwał jedną z szuflad biurka. – Kobieta twierdzi, że doprowadziła policję do ciała Clare i że poproszono ją o pomoc w znalezieniu mordercy.

– A pan chce, żebym przeprowadził z nią wywiad? – westchnąłem. Trzydzieści dziewięć, trzydzieści osiem.

– Tak. O, proszę: Wakefield, Blenheim Road 28, mieszkania 5. Za szkołą podstawową.

Oho, wspomnień czar. Dwadzieścia cztery, dwadzieścia trzy.

– Jak się nazywa?

– Mandy Wymer. Każe się nazywać Mistyczna Mandy.

Dałem za wygraną.

– Położymy jej na dłoni pieniędzy?

– Niestety kobieta o tak rozlicznych talentach jak Mandy nie jest tania.

– Kiedy?

– Jutro. Umówiłem cię na pierwszą.

– Dziękuję – powiedziałem niezadowolony i wstałem.

Hadden wstał razem ze mną.

– Wiesz, że jutro będzie rozprawa w sprawie ustalenia przyczyny śmierci?

– Której?

– Barry’ego.

– Jutro?

– Tak. Niejaki sierżant Fraser chce z tobą porozmawiać. – Spojrzał na zegarek. – Za jakieś piętnaście minut, w recepcji.

Znowu gliny. Poczułem, jak kurczą mi się jaja.

– Jasne. – Otworzyłem drzwi, myśląc, że mogło być gorzej, że mógł wspomnieć o pani Dawson, o incydencie z dwoma gliniarzami w Pontefract albo nawet o cholernej Kathryn Taylor.

– I nie zapomnij o Mistycznej Mandy.

– Jakżebym mógł? – Już zamykałem drzwi.

– To coś w sam raz dla ciebie.

– Przepraszam, że naprzykrzam się panu o takiej porze, panie Dunford, ale staram się zbudować dokładny obraz

wczorajszych poczynań pana Gannona. – Sierżant był młody, przyjazny i jasnowłosy.

Pomyślałem, że jaja sobie robi.

– Przyjechał po mnie chyba około dziesiątej...

– Przepraszam pana. Gdzie to było?

– Na Wesley Street 10 w Ossett.

– Dziękuję. – Zanotował i znowu podniósł wzrok.

– Samochodem Barry'ego... ee... pana Gannona, pojechaliśmy do Castleford. Przeprowadziłem rozmowę z panią Garland na Brunt Street 11 w Castleford, a...

– Z Paulą Garland?

– Taa.

Sierżant Fraser przestał pisać.

– Tej od Jeanette Garland?

– Taa.

– Rozumiem. I w rozmowie brał udział pan Gannon?

– Nie. Pan Gannon spotkał się z panią Marjorie Dawson w jej domu. Czyli w Shangrili w Castleford. Tej od Johna Dawsona.

– Dziękuję. Więc po prostu pana podwiózł?

– Taa.

– I wtedy widział go pan po raz ostatni?

Zawahałem się.

– Nie. Spotkałem się z Barrym później w pubie Pod Łabędziem w Castleford między pierwszą a drugą. Nie jestem w stanie powiedzieć kiedy dokładnie.

– Czy pan Gannon pił?

– Myślę, że wypił jedno małe piwo. Najwyżej dwa.

– A potem?

– Każdy z nas poszedł w swoją stronę. Pan Gannon nie powiedział mi, dokąd się wybiera.

– A pan?

– Pojechałem autobusem do Pontefract. Miałem kolejny wywiad.

– A więc o której godzinie widział pan pana Gannona po raz ostatni?

– Musiało być najpóźniej za kwadrans trzecia – stwierdziłem. Pomyślałem o tym, jak mi mówił, że Marjorie Dawson powiedziała, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, a ja zbagatelizowałem sprawę. Postanowiłem to przemilczeć.

– I nie ma pan pojęcia, dokąd stamtąd pojechał?

– Nie. Uznałem po prostu, że wraca tutaj.

– Dlaczego tak pan pomyślał?

– Bez szczególnego powodu. Po prostu tak założyłem. Że wróci, by przepisać wywiad na maszynie.

– Nie ma pan pojęcia, czemu miałby pojechać do Morley?

– Nie.

– Rozumiem. Dziękuję. Będzie pan musiał stawić się jutro, żeby złożyć zeznania, wie pan o tym?

Pokiwałem głową.

– Trochę szybko, nie?

– Mamy prawie wszystkie szczegóły, a tak między nami, myślę, że rodzinie się spieszy, rozumie pan... ze względu na święta i w ogóle.

– Gdzie mam się stawić?

– W ratuszu Morley.

– W porządku – powiedziałem. Myślałem o Clare Kemplay.

Sierżant Fraser zamknął notes.

– Zadadzą panu mniej więcej te same pytania. Prawdopodobnie trochę bardziej skupią się na tym, ile wypił. Wie pan, jak to jest.

– Czyli że był pijany?

– Tak sędzę.

– A co z hamulcami?

Fraser wzruszył ramionami.

– Zawiodły.

– A ten drugi samochód?

- Stał.
- To prawda, że przewoził ładunek szyb?
- Tak.
- I że jedna przebiła się do kabiny?
- Tak.
- I...
- Tak.
- Więc śmierć była natychmiastowa?
- Tak. Chyba tak.
- Kurwa.
- Taa.

Obaj pobledliśmy. Wyrzałem przez okno w recepcji na samochody ludzi wracających w deszczu do domu, na przednie i tylne światła błyskające na przemian, żółte i czerwone, żółte i czerwone. Sierżant Fraser przewracał kartki w notesie.

Po chwili wstał.

- Wie pan, gdzie mogę zastać Kathryn Taylor?
- Jeżeli nie ma jej tutaj, to prawdopodobnie wróciła do domu.
- Nie. Nie udało mi się jej zastać ani tu, ani w domu.
- Cóż, wątpię, żeby cokolwiek na ten temat wiedziała. Przez większość wieczoru była ze mną.
- Tak słyszałem. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Milczałem.

Sierżant założył czapkę.

- Jeżeli będzie pan rozmawiał z panną Taylor, proszę jej przekazać, żeby się ze mną skontaktowała. Wystarczy zadzwonić na posterunek w Morley bez względu na porę.

- Dobrze.
- Dziękuję za pomoc, panie Dunford.
- Nie ma za co.
- A więc do zobaczenia jutro.
- Taa.

Patrzyłem, jak przemierzył recepcję, powiedział coś do Lisy za kontuarem, a potem wyszedł przez obrotowe drzwi.

Zapaliłem papierosa. Serce biło mi z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

Od trzech godzin siedziałem przy biurku i pracowałem.

W redakcji jedynej gazety w regionie, która ma i poranne, i popołudniowe wydanie, nigdy nie ma spokoju, ale tego dnia panowała prawie grobowa cisza i wszyscy urywali się z roboty, jak najwcześniej mogli. „Do widzenia” tu, „cześć, cześć” tam, i „paru z nas będzie później w Press Clubie, więc jeśli masz ochotę...”.

Ale brakowało Barry’ego Gannona.

Stukałem więc na maszynie i stukałem. Zabrałem się tak naprawdę do roboty po raz pierwszy, odkąd zmarł mój ojciec i zaginęła Clare Kemplay. Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem siedziałem przy tym biurku i po prostu pisałem. Chyba przy artykule o tych, którzy kradną samochody, żeby się przejechać dla przyjemności. Ale nie pamiętałem, czy ojciec wciąż był wtedy w szpitalu, czy już przeniesiono go do domu.

Brakowało Ronalda Dunforda.

Około szóstej Kelly przyniósł zdjęcia i przejrzelśmy je, odkładając najlepsze do szuflady. Kelly zaniósł mój artykuł i swoje fotki do adiustacji, a później do składania. W międzyczasie wypadło mi pięćdziesiąt słów, co w dobry dzień byłoby powodem do chlapięcia po dużym w Press Clubie z Kathryn.

Ale to nie był dobry dzień.

Brakowało Kathryn Taylor.

Poszedłem do Grubej Steph i powiedziałem, żeby nie kłapała ozorem, ale nie wiedziała, o co mi, kurwa, chodzi, tylko że Jack „miał, jeśli o ciebie chodzi, rację. Wszyscy

jesteśmy zdenerwowani, wiesz, ale powinienes wziąć się w garść”. Jack miał, jeśli o mnie chodzi, rację, powtarzała raz po raz Stephanie mnie i wszystkim w promieniu piętnastu kilometrów.

Brak Jacka pierdolonego Whiteheada?

Brak pierdolonego szczęścia.

Na każdym biurku leżał egzemplarz dzisiejszego wydania.

Tytuł na całą szerokość pierwszej strony „Evening Posta”.

AUTOR: JACK WHITEHEAD, DZIENNIKARZ KRYMINALNY ROKU 1968 i 1971.

Kurwa.

Sekcja zwłok 10-letniej Clare Kemplay wykazała, że dziewczynka była torturowana, została zgwałcona, a potem uduszona. Policja Yorkshire Zachodniego nie podała szczegółowych informacji na temat obrażeń, ale detektyw starszy nadinspektor George Oldman na dzisiejszej konferencji prasowej opisał okrucieństwo morderstwa jako „przechodzące ludzkie pojęcie” i powiedział: „To bez wątpienia najpotworniejsza sprawa, z jaką spotkałem się ja osobiście czy też którykolwiek funkcjonariusz Metropolitalnej Policji w Yorkshire Zachodnim”.

Patolog Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dr Alan Coutts, który przeprowadził autopsję, powiedział: „Nie ma słów, które mogłyby w pełni wyrazić straszliwe krzywdy, jakich doznała ta mała dziewczynka”. Doktor Coutts, weteran, który pracował przy ponad pięćdziesięciu sprawach o morderstwo, wyglądał na wyraźnie poruszonego, kiedy zabrał głos, mówiąc, że ma nadzieję, iż już nigdy nie będzie „zmuszony do wykonania takiego obowiązku”.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman oświadczył, że codzienne czynności związane z polowaniem na mordercę prowadzić będzie detektyw nadinspektor Peter Noble.

W roku 1968 detektyw nadinspektor Noble, wtedy funkcjonariusz policji regionu West Midlands, zdobył w kraju sławę jako ten, który najbardziej przyczynił się do aresztowania mordercy z Cannock Chase, Raymonda Morrisa. W latach 1965–67 Morris wykorzystał seksualnie i udusił trzy dziewczynki w okolicach Stafford, zanim został aresztowany przez ówczesnego detektywa inspektora Noble'a.

Detektyw nadinspektor Noble mówił o swojej determinacji w poszukiwaniach mordercy Clare Kemplay i zaapelował do obywateli o pomoc w następujących słowach: „Musimy schwycić tego zwyrodnialca, zanim odbierze życie następnej niewinnej ofierze”.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman dodał, że policję szczególnie interesują zeznania każdego, kto przebywał w pobliżu Czarciego Rowu w Wakefield w piątkowy wieczór 13 grudnia albo wcześniej rano w sobotę 14 grudnia.

Policja Metropolitalna Yorkshire Zachodniego apeluje, by osoby, które mogą udzielić stosownych informacji, dzwoniły bezpośrednio do biura wydziału zabójstw w Wakefield na numery 38-38 i 38-39 albo skontaktowały się z najbliższym posterunkiem policji. Policja zapewnia tym osobom anonimowość i pełną dyskrecję.

Artykułowi towarzyszyły dwa zdjęcia: ta sama fotografia szkolna Clare, którą zamieszczono obok mojego pierwszego tekstu o zaginionej, oraz ziarniste zdjęcie, które przedstawiało policjantów podczas przeszukiwania Czarciego Rowu, gdzie znaleziono zwłoki dziewczynki.

Czapki z głów dla Jacka.

Wydarłem pierwszą stronę, wepchnąłem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki i podszedłem do biurka Barry'ego Gannona. Z dolnej szuflady wyciągnąłem niezawodną butelkę bellsa, nalałem potrójną porcję do niedopitego kubka kawy.

Za ciebie, Barry Gannonie.

Smakowało jak pierdolone szczyny, więc znalazłem następny kubek zimnej kawy na innym biurku i golnąłem sobie jeszcze jednego.

Za ciebie, Ronaldzie Dunfordzie.

Pięć minut później położyłem głowę na swoim biurku, wdychając w nozdrza zapach drewna, whisky i dzisiejszej pracy na rękawach. Pomyślałem, czyby nie zadzwonić do Kathryn do domu, ale whisky musiała przeważać nad kawą i pod ostrymi biurowymi lampami zapadłem w drzemkę.

– Pobudka, wilczku.

Otworzyłem jedno oko.

– Wstawaj, śpiochu. Twój przyjaciel czeka na linii drugiej.

Otworzyłem drugie.

Jack Whitehead siedział na krześle Barry'ego przy jego biurku i machał do mnie słuchawką. Redakcja nie była już pusta, ludzie pracowali nad następnym wydaniem. Wyprostowałem plecy i kiwnąłem do Jacka głową, a ten puścił do mnie oko i po chwili na moim biurku zabrzączał telefon.

Odebrałem.

– Taa?

Młody męski głos powiedział:

– Edward Dunford?

– Taa?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem trzaśnięcie – Jack bynajmniej się, kurwa, nie spieszył z odłożeniem słuchawki. Spojrzałem na niego. Podniósł ręce w żartobliwym geście kapitulacji.

Wszyscy się roześmiali.

Czułem swój cuchnący oddech.

– Kto mówi?

– Znajomy Barry'ego. Zna pan pub Radość przy Roundhay Road?

– Taa.

– Proszę czekać o dziesiątej w budce telefonicznej. Potem się rozłączył.

Powiedziałem do głuchej słuchawki:

– Przepraszam, musiałbym najpierw zapytać naczelnego. Ale gdyby zechciał pan zadzwonić jutro... rozumiem, dziękuję. Do widzenia.

– Następna bomba, wilczku?

– Pierdolony Szczurołap. Ten temat mnie, kurwa, wykończy.

Wszyscy się roześmiali.

Nawet Jack.

Godzina 21.30, poniedziałek, 16 grudnia 1974 roku.

Wjechałem na parking hotelu Radość przy Roundhay Road w Leeds i postanowiłem zaczekać pół godziny w samochodzie. Zgasiłem silnik i światła. Siedziałem w vivie, przyglądając się hotelowi po drugiej stronie parkingu. Światło z baru dawało mi dobry widok na budkę telefoniczną i sam lokal.

Radość, brzydki nowoczesny pub ze wszystkimi starymi urokami każdego pubu między Harehills i Chapeltown. Restauracja, która nie serwowała żadnego jedzenia, i hotel, w którym nie było łóżek, taka właśnie była Radość.

Zajarałem papierosa, odrobinę opuściłem szybę i odchyliłem głowę do tyłu.

Jakieś cztery miesiące temu, wkrótce po moim powrocie na Północ, spędziłem tam prawie cały dzień i sporą część następnego, chlejąc na umór z George'em Greavesem, Gazem z działu sportowego i Barrym.

Jakieś cztery miesiące temu, kiedy powrót na Północ był jeszcze nowiną, a balanga w Radości dała mi niezły ubaw i w pewnym sensie otworzyła oczy.

Jakieś cztery miesiące temu, kiedy Ronald Dunford, Clare Kemplay i Barry Gannon wciąż żyli.

Tamta całodniowa sesja nie była właściwie zbyt zabawna, ale okazała się pożytecznym wprowadzeniem nowego i zielonego korespondenta działu kryminalnego w stosunki panujące w Anglii Północnej.

– To kraina Jacka Whiteheada – szepnął mi George Greaves, kiedy otworzyliśmy dwuskrzydłowe drzwi i wkroczyliśmy do Radości około jedenastej przed południem.

Po jakichś pięciu godzinach byłem gotów wrócić do domu, ale Radości nie miały się lokalne przepisy i mimo że lokal nie oferował ani jedzenia, ani parkietu do tańca, ani pokoiów hotelowych, sprzedawano w nim alkohol od jedenastej rano do trzeciej w nocy, ponieważ był to restauracją, to hotelem lub dyskoteką, zależnie z jakim gliniarzem akurat się gadało. I w przeciwieństwie do Hotelu Królowej w centrum miasta, w porze lunchu Radość oferowała swoim stałym gościom striptiz. A w dodatku, zamiast gorących dań w jadłospisie, lokal zapewniał klientom unikatową możliwość wylizania którejkolwiek ze striptizerek po bardzo atrakcyjnych cenach. Gaz z działu sportowego zapewnił mnie, że jest to przysmak, za który zawsze warto zapłacić piątaka.

– Nasz Gaz był mistrzem olimpijskim w nurkowaniu do cipy na główkę w Monachium – mówił ze śmiechem George Greaves.

– Ale naszych kibiców ta konkurencja akurat nie obchodzi – dodał Gaz.

Pierwszy raz rzygałem o szóstej, lecz gdy wpatrywałem się we włosy fonowe wirujące w pękniętej muszli klozetowej, czułem się na tyle dobrze, by balangować dalej.

Dzienna i wieczorna klientela Radości była właściwie taka sama, zmieniały się tylko proporcje. W ciągu dnia było więcej prostytutek i pakistańskich taksówkarzy, wieczorem zjawiało się więcej robotników i biznesmenów. Dziennikarzy na ba-

ni, gliniarzy po służbie i ponurych przybyszów z Karaibów można było spotkać zawsze, w dzień i w nocy.

To kraina Jacka Whiteheada.

Ostatnią rzeczą, którą z tamtego dnia jako tako zapamiętałem, było, jak rzygałem na parkingu, myśląc, że to kraina Jacka Whiteheada, nie moja.

Wyrzuciłem przez okno zawartość popielniczki w vieve, właśnie gdy jednoręki bandyta w pubie wypłacił komuś wygraną wśród oklasków i radosnych okrzyków, a po chwili z szafy grającej znowu popłynęła piosenka *The Isrealites*. Podniosłem szybę w oknie, zastanawiając się, ile razy musiałem wysłuchać tego cholernego nagrania przed czterema miesiącami. Czy tym ludziom nigdy się to, kurwa, nie nudziło?

Za pięć dziesiątą, kiedy szafa po raz enty grała *Young, Gifted and Black*, wygramoliłem się z vivy i krainy wspomnień i podszedłem do budki telefonicznej.

Punktualnie o dziesiątej odebrałem telefon po drugim dzwonku.

– Halo?

– Kto mówi?

– Edward Dunford.

– Jest pan sam?

– Tak.

– Jeździ pan zielonym vauxhallem vivą?

– Tak.

– Proszę pojechać na zbieg Harehills Lane i Chapeltown Road i zaparkować przy szpitalu.

Połączenie znowu zostało zakończone.

Dziesięć po dziesiątej zaparkowałem przed szpitalem Chapel Allerton, w miejscu gdzie Harehills Lane i Chapeltown Road zbiegają się i zmieniają w bardziej obiecującą Harrogate Road.

O dziesiątej jedenaście ktoś spróbował otworzyć drzwiczki od strony pasażera, a potem zapukał w szybę. Pochyliłem się nad fotelem i mu otworzyłem.

– Zawróć wóz i pojedź z powrotem do Leeds – powiedział Śliwkowy Garniturek z pomarańczowymi włosami, wsiadając. – Ktoś wie, że tu jesteś?

– Nikt – powiedziałem, gdy zacząłem wykręcać, myśląc: Kiepska podróba Bowiego.

– A twoja dziewczyna?

– Co z nią?

– Wie, że tu jesteś?

– Nie.

Pomarańczowa czupryna zatrzęsa się, gdy Śliwkowy Garniturek pociągnął nosem.

– Przy parku skręć w prawo.

– Tutaj?

– Tak. Pojedź drogą do kościoła.

Na skrzyżowaniu przy kościele Śliwkowy Garniturek znowu pociągnął nosem i powiedział:

– Zatrzymaj się tutaj i odczekaj pięć minut, a potem przejdź przez Spencer Place. Po jakichś pięciu minutach dotrzesz do Spencer Mount, to będzie piąta albo szósta przecznica po lewej. Numer 3 będzie po prawej. Nie dzwoń na dole, tylko pójdz prosto do mieszkania numer 5.

– Spencer Mount 3, mieszkania 5... – powtórzyłem, ale Śliwkowy Garniturek i pomarańczowa czupryna już oddalali się ode mnie w te pędy.

Około wpół do jedenastej szedłem przez Spencer Place i myślałem sobie: Pierdolić go i chuj z tą całą konspirą. I pierdolić go za to, że każe mi łązić po Spencer Place o wpół do jedenastej, jakby to był jakiś jebany sprawdzian.

– Tylko sobie patrzysz, kochanie?

Od dziesiątej do trzeciej w nocy, siedem dni w tygodniu, Spencer Place było najbardziej obleganym odcin-

kiem drogi w Yorkshire, jeśli nie liczyć Bradford w pobliżu Manningham. A dzisiejszy wieczór, pomimo zimna, nie był wyjątkiem. W tę i tamtą stronę powoli sunęły sznury samochodów, błyskając co chwila światłami hamowania, jakby ludzie właśnie wracali z urlopu.

– Podoba ci się, co widzisz?

Starsze kobiety siedziały na murkach przed nieoświetlonymi kamienicami, młodsze przechadzały się w tę i w tę, przytupując z zimna.

– Przepraszam, panie władzo...

Jedynymi facetami na ulicy oprócz mnie byli Karaibowie, którzy to wskakiwali, to wyskakiwali z zaparkowanych samochodów, ciągnąc za sobą gęsty dym i muzykę, oferowali własny towar i mieli na oku swoje białe dziewczyny.

– Ale z ciebie kutwa!

Śmiech podążył za mną, gdy skręciłem w Spencer Mount. Przeszedłem przez jezdnię i wspiałem się po trzech kamiennych schodkach do frontowych drzwi numeru 3, nad którymi na pękniętej szarej szybie widniała ułamana gwiazda Dawida.

Od Żydowskiej Dzielnicy do Miasta Wieprzowiny w ile lat?

Otworzyłem drzwi i ruszyłem po schodach na górę.

– Miła okolica – powiedziałem.

– Odwal się – syknął Śliwkowy Garniturek w otwartych drzwiach mieszkania numer 5.

Była to kawalerka z dużymi oknami, cuchnąca po zbyt wielu północnych zimach, zavalona zbyt wieloma meblami. Z każdej ze ścian spoglądała Karen Carpenter, ale na maleńkim adapterze Dancette leciał *Ziggy Stardust*. Były lampki świąteczne, lecz żadnej choinki.

Śliwkowy Garniturek uprzątnął ubrania z jednego z foteli i powiedział:

– Usiądź, proszę, Eddie.

– Obawiam się, że masz przewagę. – Uśmiechnąłem się.

– Barry James Anderson – powiedział Barry James Anderson z dumą.

– Następny Barry? – Fotel cuchnął stęchlizną.

– Tak, ale możesz mi mówić BJ. – Zachichotał. – Wszyscy tak robią.

Nie skapowałem.

– Okej.

– Tak, BJ na mnie wołają, bo biorę w japę. – Przestał się śmiać i pospiesznie podszedł do starej szafy w kącie.

– Jak poznałeś Barry’ego? – zapytałem, zastanawiając się, czy Barry Gannon był pedziem.

– Widywałem go tu i tam, rozumiesz. Tylko gadaliśmy.

„Odtylcowy Barry. Pieprzony pedał”.

– Gdzie go widywałeś?

– Po prostu, tu i tam. Herbaty? – powiedział, grzebiąc w głębi szafy.

– Nie, dzięki.

– Jak chcesz.

Zapaliłem papierosa i wziąłem brudny talerz jako popielniczkę.

– Proszę – powiedział BJ, wręczając mi reklamówkę z Hilliard’s, którą wydobyl z głębi szafy. – Barry chciał ci to przekazać, gdyby coś mu się stało.

– Gdyby coś mu się stało? – powtórzyłem, otwierając torbę. Była wypchana tekturowymi teczkami i dużymi szarymi kopertami. – Co to jest?

– Dorobek jego życia.

Wgniotłem papierosa w wyschnięty sos pomidorowy.

– Dlaczego? To znaczy, co sprawiło, że to tutaj został?

– Powiedz otwarcie: dlaczego mnie, tak? – BJ pociągnął nosem. – Wpadł tu do mnie wczoraj wieczorem.

Powiedział, że potrzebuje bezpiecznego miejsca, żeby przechować to wszystko. I że gdyby coś mu się stało, mam dać tobie.

– Wczoraj wieczorem?

BJ usiadł na łóżku i zdjął marynarkę.

– No.

– Widziałem cię wczoraj wieczorem, prawda? W Press Clubie?

– No. I nie potraktowałaś mnie zbyt miło. – Jego koszulę pokrywały tysiące drobnych gwiazdek.

– Byłem wkurzony.

– Więc nie ma sprawy. – Uśmiechnął się krzywo.

Zapaliłem następnego papierosa. Nie podobał mi się ten mały pedzio i jego gwiazdzista koszula.

– Co cię łączyło z Barrym?

– Widziałem to i owo, rozumiesz?

– Jasne – powiedziałem, zerkając na zegarek po ojcu.

BJ zerwał się z łóżka.

– Słuchaj, wcale cię nie zatrzymuję.

Wstałem.

– Przepraszam. Siadaj, proszę. Przepraszam.

BJ usiadł, wciąż naburmuszony.

– Znam rozmaitych ludzi.

– Jasne, że znasz.

Znowu skoczył na nogi i tupnął.

– Nie, odwal się. Znam sławnych ludzi.

Wstałem, wyciągnąłem ręce w uspokajającym geście.

– Wiem, wiem...

– Słuchaj, ciągnąłem fiuty i lizałem jaja niektórym z największych ludzi w tym kraju.

– Na przykład komu?

– O nie. Nie ma tak łatwo.

– No dobra. Dlaczego?

– Dla pieniędzy. Bo niby po co? Myślisz, że lubię siebie takiego, jaki jestem? W tym ciele? Spójrz na mnie!

To nie jestem ja. – Klęczał przede mną, targając gwiazdzistą koszulę. – Nie jestem pedalem. W środku jestem dziewczyną! – wykrzyknął, gdy poderwał się z podłogi, zdarł ze ściany jeden z plakatów Karen Carpenter i zmiął go tuż przed moim nosem. – Ona wie, jak to jest. On wie – powiedział, odwracając się i kopiać adapter. Ziggy zamilkł ze zgrzytem.

Barry James Anderson rzucił się na podłogę obok adaptera i roztrzęsiony schował głowę w ramionach.

– Barry wiedział.

Usiadłem z powrotem, a potem znowu wstałem.

Podszedłem do skulonego chłopca w śliwkowych spodniach i koszuli w srebrne gwiazdki, podniosłem go i ostrożnie położyłem na łóżku.

– Barry wiedział – wyłkał znowu.

Podszedłem do dancette i nastawiłem płytę, ale piosenka była dołująca i się zacinała, więc wyłączyłem adapter i usiadłem z powrotem w fotelu.

– Lubieś Barry’ego? – Wytarł twarz i usiadł, spoglądając na mnie.

– Tak, ale nie znałem go dobrze.

W oczach BJ znowu stanęły łzy.

– On cię lubił.

– Dlaczego myślał, że coś może mu się stać?

– No co ty?! – BJ aż podskoczył. – Kurwa, to było oczywiste.

– Dlaczego oczywiste?

– To się musiało tak skończyć. Miał tyle haków na tyłu ludzi.

Pochyliłem się do przodu.

– Na Johna Dawsona?

– John Dawson to tylko czubek pierdolonej góry lodowej. Nie czytałeś tych materiałów? – Skinął ręką na reklamówkę u moich stóp.

– Tyłko to, co publikował w „Poscie” – skłamałem.

Uśmiechnął się.

– Cóż, wszystkie koty są w tym worku.

Nie podobał mi się ten gówniarz, jego gierki, jego nora.

– Dokąd wczoraj pojechał od ciebie?

– Powiedział, że zamierza ci pomóc.

– Mnie?

– Tak powiedział. Chodziło o tę dziewczynkę z Morley, o to, że umiał to wszystko powiązać w całość.

A ja znowu na nogi.

– Jak to? Co o niej wiesz?

– To wszystko, co powiedział...

Owładnięty wizją skrzydeł przyszytych do jej pleców i cycków jak piłki od krykieta na jego piersi, przeleciałem przez pokój. Dopadłem go, krzycząc:

– Pomyśl!

– Nie wiem. Nie powiedział.

Capnąłem go za gwiazdki na koszuli i przycisnąłem do łóżka.

– Czy mówił coś jeszcze o Clare?

Chuchał mi prosto w twarz, jego oddech był równie zatęchły jak powietrze w pokoju.

– Jakiej Clare?

– Tej zabitej dziewczynce.

– Tylko że jedzie do Morley i że to ci pomoże.

– Jak, do cholery, miało mi to pomóc?

– Nie mówił, kurwa! Ile razy mam powtarzać?

– Nic więcej?

– Nic. A teraz puszczaj mnie, kurwa.

Złapałem go za usta i mocno ścisnąłem.

– Nie. Gadaj, dlaczego Barry ci to powiedział – warknąłem, ściskając go mocniej za japę, zanim go puściłem.

– Może dlatego, że trzymam oczy otwarte. Bo widzę i pamiętam, co zobaczyłem. – Dolna warga mu krwawiła.

Spuściłem wzrok na srebrne gwiazdki zmięte w mojej drugiej ręce i też je puściłem.

- Gówno wiesz.
- Możesz wierzyć, w co tylko chcesz.
- Wstałem i podszedłem do reklamówki z Hillard's.
- Właśnie.
- Wzięłem reklamówkę i podszedłem do drzwi.
- Otworzyłem je, a potem odwróciłem się do niego, żeby zadać ostatnie pytanie:
- Był pijany?
- Nie, ale pił, zanim tu przyszedł.
- Dużo?
- Czułem od niego alkohol. – Łzy spływały mu po policzkach.
- Odstawiłem reklamówkę na podłogę.
- Co się twoim zdaniem z nim stało?
- Myślałem, że go zabili – powiedział, pociągając nosem.
- Kto?
- Nie znam ich nazwisk i nie chcę znać.
- Prześladujące wspomnienie: „Szwadrony śmierci są w każdym mieście, w każdym kraju”.
- Kto? – zapytałem. – Dawson? Policja?
- Nie wiem.
- A dlaczego?
- Dla pieniędzy, a niby czemu? Żeby koty nie wydostały się z tego twojego worka. Żeby utopić je w rzece.
- Popatrzyłem przez pokój na plakat Karen Carpenter, która obejmowała gigantyczną Myszkę Miki.
- Podniosłem reklamówkę.
- Jak mogę się z tobą kontaktować?
- Barry James Anderson się uśmiechnął.
- Telefon 44-21-89. Powiedz, że dzwonił Eddie, a ja dostanę wiadomość.
- Zapisałem numer.
- Dziękuję.
- Proszę.

Z powrotem przez Spencer Place biegiem, gaz do dechy i vivą do Leeds i na autostradę M1. Miałem cholerną nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczę.

Planeta małąp, Ucieczka z ciemności, gonitwa myśli.

Deszcz na przedniej szybie, księżyc skradziony.

Bez owijania w bawełnę:

Znałem człowieka, który znał człowieka.

„Umiał to wszystko powiązać w całość”...

Anioły jak diabły, diabły jak anioły.

Sedno sprawy:

ZACHOWUJ SIĘ, JAKBY NIC SIĘ NIE STAŁO.

Patrzyłem na matkę śpiącą w fotelu i próbowałem zebrać to wszystko do kupy.

Nie tutaj.

Po schodach na górę, opróżniłem reklamówki i koperty, rozsypałem tekturowe teczki i fotografie na łóżku.

Nie tutaj.

Zebrałem cały ten bajzel do jednego dużego czarnego wora na śmieci, wypchałem sobie kieszenie garściami szpilek i igieł ojca.

Nie tutaj.

Z powrotem po schodach, pocałowałem matkę w czoło i buch w drzwi.

Nie tutaj.

Gaz do dechy, z piskiem opon przez Ossett o świcie.

Nie tutaj.

ROZDZIAŁ 5

Świt w kawiarni i motelu Czerwony Strumyk, wtorek, 17 grudnia 1974 roku.

Jeździłem całą noc, a potem wróciłem tutaj, jak gdyby to tutaj wszystko prowadziło.

Wybuliłem za dwa tygodnie z góry i dostałem to, za co zapłaciłem:

Pokój 27 znajdował się na tyłach, dwaj motocykliści z jednej strony i kobieta z czwórką bachorów z drugiej. Nie było telefonu, kibla ani telewizora. Ale za dwa funty za nockę miałem widok na parking, podwójne łóżko, szafę, biurko, umywalkę i obsługa nie zadawała żadnych pytań.

Zamknąłem drzwi, przekręcając dwukrotnie zamek, i zaciągnąłem wilgotne zasłony. Ściągnąłem pościel z łóżka i przypiąłem grube prześcieradło do zasłon, a potem postawiłem materac na sztorc, przykrywając nim zasłony i prześcieradło. Podniosłem zużytego kondoma, wrzuciłem do torby niedojedzonych chrupek.

Wróciłem do samochodu, wstępując po drodze do tego samego kibla, gdzie wykupiłem bilet na tę koszmarną jazdę.

Stałem przy pisuarze i szczałem, nie do końca pewien, czy jest wtorek czy środa. Strząsałem ostatnie krople i otworzyłem kopniakiem drzwi do kabiny, wiedząc, że nie

znajdę tam niczego oprócz roztopiającego się żółtego gówna w kłopie i pedalskich graffiti na ścianach.

Poszedłem do kawiarni od frontu. Kupiłem dwie duże kawy z mnóstwem cukru w brudnych styropianowych kubkach. Otworzyłem bagażnik wivya – zabrałem czarny worek na śmieci i dwie czarne kawy z powrotem do pokoju 27.

Znowu zamknąłem drzwi na dwa obroty klucza, wypiliem pierwszą kawę, wysypałem zawartość torby na drewniany stelaż łóżka i zabrałem się do roboty.

Koperty i teczki Barry'ego Gannona były ułożone nazwiskami, więc posegregowałem je alfabetycznie na połowie łóżka, a później przejrzałem zawartość grubej szarej koperty od Haddena, wsadzając kolejne kartki do odpowiednich teczek Barry'go.

Niektóre nazwiska były utytułowane, inne miały szarże, większość zaczynała się od zwyczajnego „pan”. Niektóre znałem, inne obliły mi się wcześniej o uszy, większość nic mi nie mówiła.

Na drugiej połowie łóżka rozłożyłem własne materiały podzielone na trzy małe stosiki i jeden duży: Jeanette, Susan, Clare i – po prawej – Graham Goldthorpe Szczurołap.

W głębi szafy znalazłem rolkę tapety. Wyciągnąłem garść szpilek ojca, odwróciłem tapetę na lewą stronę i przyczepiłem do ściany nad biurkiem. Grubym czerwonym flamastrem narysowałem na tapecie tabelę z pięcioma dużymi kolumnami. U góry każdej z nich napisałem pięć imion; JEANETTE, SUSAN, CLARE, GRAHAM, BARRY.

Obok tapety z tabelą przypiąłem mapę Yorkshire Zachodniego z wivya. Czerwonym flamastrem nakreśliłem cztery czerwone krzyżyki i czerwoną strzałkę prosto z Rochdale.

Dopijając drugą kawę, zebrałem się na odwagę.

Drżącymi rękoma otworzyłem kopertę, która leżała na szczycie stosiku Clare. Błagając o zmiłowanie, roz-

darłem szary papier i wyciągnąłem trzy duże czarno-białe fotografie. Z pustym żołądkiem i ustami pełnymi szpilek podszedłem znowu do tabeli na tapecie i ostrożnie przypiąłem trzy zdjęcia nad trzema imionami.

Cofnąłem się o krok i ze łzami na policzkach popatrzyłem na swoją nową tapetę, na cerę tak bladą, włosy tak jasne i skrzydła tak białe.

Anioł w czerni i bieli.

Trzy godziny później, z oczami czerwonymi od łez po tym, co przeczytałem, podniosłem się z podłogi pokoju 27.

Temat Barry'ego: Trzech dzianych facetów – John Dawson, Donald Foster i trzeci, którego Barry nie mógł albo nie chciał wskazać z nazwiska.

Mój temat: Trzy martwe dziewczynki – Jeanette, Susan i Clare.

Mój temat, jego temat – oba tematy: te same czasy, te same miejsca, inne nazwiska, inne twarze.

Tajemnica, historia:

Jedno powiązanie?

Miałem kupkę moniaków na automacie telefonicznym w recepcji Czerwonego Strumyka.

– Poproszę z sierżantem Fraserem.

Recepcja, cała w żółcieniach i brązach, cuchnęła dymem tytoniowym. Przez dwuskrzydłowe przeszklone drzwi patrzyłem, jak smarkacze grają w bilard i ćmią papierosy.

– Halo? Tu sierżant Fraser.

– Halo, mówi Edward Dunford. Otrzymałem pewne informacje o niedzielnym wieczorze, o Barrym...

– Jakiego rodzaju informacje?

Ułożyłem słuchawkę między barkiem a szyją i zapaliłem zapalniczkę.

– To był anonimowy telefon o tym, że pan Gannon pojechał do Morley w związku z Clare Kemplay – powiedziałem z papierosem w zębach.

– Coś jeszcze?

– Nie przez telefon. – Na ścianie obok telefonu widniały wyryte długopisem słowa *Młode chuje* i sześć numerów telefonicznych.

– Lepiej spotkajmy się przed rozprawą – powiedział sierżant Fraser.

Na zewnątrz znowu zaczęło padać i kierowcy ciężarówek nakrywali głowy płaszczami, gdy biegli do kawiarni i kibla.

– Gdzie? – zapytałem.

– W kawiarni U Angela za godzinę? To naprzeciwko ratusza w Morley.

– Okej. Ale chciałbym poprosić o przysługę. – Rozejrzałem się w poszukiwaniu popielniczki, lecz musiałem skiepować papierosa o ścianę.

Po drugiej stronie linii Fraser szepnął:

– Co?

Rozległ się sygnał i wrzuciłem następną monetę.

– Potrzebuję nazwisk i adresów robotników, którzy znaleźli zwłoki.

– Jakie zwłoki?

– Clare Kemplay. – Zacząłem liczyć serduszka zakochanych wyrysowane tu i ówdzie wokół telefonu.

– No nie wiem...

– Proszę – powiedziałem.

Ktoś napisał w jednym z serduszek na czerwono *Na zawsze razem*.

– Dlaczego ja? – zapytał Fraser.

– Bo myślę, że porządny z ciebie facet, a ja nie znam nikogo innego, do kogo mógłbym się z tym zwrócić.

Cisza, a potem:

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Czyli za godzinę – powiedziałem na koniec.
Odwiśniętem słuchawkę, po chwili znów ją podniosłem, wrzuciłem następną monetę i wykręciłem numer.

Des rucha żony garowników.

– Taa?

– Powiedz BJ-owi, że dzwonił Eddie, i przekaż mu ten numer: 27-65-78. Powiedz, żeby prosił Ronalda Gannona, pokój 27.

Pierdol się, Ken!

Odłożyłem słuchawkę, znowu ją podniosłem, wrzuciłem monetę i wykręciłem numer.

Prawdziwa miłość nie umiera nigdy.

– Halo, tu Peter Taylor.

– Halo. Czy zastałem Kathryn?

– Jeszcze śpi.

Spojrzałem na zegarek po ojcu.

– Czy kiedy się obudzi, mógłby pan jej przekazać, że dzwonił Edward?

– No dobra – powiedział jej ojciec, jakby robił mi wielką łaskę.

– Dziękuję, do widzenia.

Odłożyłem słuchawkę, znów ją podniosłem, wrzuciłem ostatnią monetę i wykręciłem numer.

Z kawiarni weszła do recepcji starucha, od której jechało bekonem.

– Ossett 25-61-99.

– To ja, mamó.

– Nic ci nie jest, kochanie? Gdzie jesteś?

Jeden smarkacz gonił drugiego wokół stołu, wymachując kijem bilardowym jak pałką.

– U mnie wszystko dobrze – powiedziałem. – Pracuję.

Starucha usiadła w brązowym fotelu naprzeciwko automatu telefonicznego i wpatrywała się w ciężarówkę i deszcz.

– Możliwe, że będę musiał wyjechać na parę dni.

– Dokąd?

Dzieciak z kijem dogonił drugiego i rzucił go na blat stołu bilardowego.

– Na Południe – powiedziałem.

– Zadzwonisz, prawda?

Starucha puściła donośnego bąka, a smarkacze w sali bilardowej przestali się bić i wbiegli do recepcji.

– Oczywiście...

– Kocham cię, Edwardzie.

Smarkacze podwinęli rękawy, przycisnęli wargi do ramion i zaczęli naśladować odgłosy pierdzenia.

– Ja ciebie też.

Starucha wpatrywała się w ciężarówkę i deszcz, a gówniarze tańczyli wokół niej.

Odłożyłem słuchawkę.

4 LUV.

Z MIŁOŚCI.

Kawiarnia U Angela naprzeciwko ratusza w Morley, pora śniadaniowa i duży ruch.

Byłem przy drugiej kawie, zupełnie skonany.

– Zamówić coś jeszcze? – Sierżant Fraser był przy barze.

– Poproszę kawę. Czarną, podwójny cukier.

Rozejrzałem się tępo po tytułach, które broniły dostępu do każdego śniadania w kawiarni:

Pięćset trzydzieści cztery miliony funtów deficytu w handlu zagranicznym, podwyżka gazu o 12 procent, świąteczny rozejm z IRA, zdjęcie nowego Doktora Who i Clare.

– Dzień dobry – powiedział Fraser, stawiając przede mną filiżankę kawy.

– Dziękuję. – Dopitem swoją zimną kawę i łyknąłem gorącej.

– Z samego rana rozmawiałem z koronerem. Mówi, że przesuną rozprawę na później.

- Trochę za bardzo się spieszyli.
- Kelnerka przyniosła pełny zestaw śniadaniowy i postawiła go przed sierżantem.
- Tak, ale co ze świętami i rodziną? Byłoby miło...
- Kurde, racja. Rodzina.
- Fraser zgarnął na widelec pół porcji naraz.
- Znasz ich?
- Nie.
- Uroczy ludzie – westchnął, wycierając kawałkiem tostu żółtka i sok z pomidorów.
- Tak? – Zastanawiałem się, ile Fraser ma lat.
- Ale wydadzą ciało, więc będzie można zorganizować pogrzeb.
- Załatwić sprawę.
- Fraser odłożył nóż i widelec i odepchnął nieskazitelnie czysty talerz na bok.
- Wydaje mi się, że powiedzieli, że w czwartek.
- Hm. W czwartek. – Nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy poddaliśmy ciało ojca kremacji, w ostatni czwartek czy piątek.
- Sierżant Fraser rozsiadł się na krześle.
- No więc co z tym anonimowym telefonem?
- Pochyliłem się do przodu i zniżyłem głos.
- Jak mówiłem. W środku cholernej nocy...
- No mów, Eddie.
- Podniosłem na niego wzrok. Blond włosy, wodniste błękitne oczy i pucołowata czerwona twarz, resztki liverpoolskiego akcentu i prosta obrączka ślubna na palcu. Wyglądał jak chłopak, obok którego siedziałem na chemii.
- Mogę mówić szczerze?
- Myślę, że wręcz powinieneś – powiedział Fraser, częstuując mnie papierosem.
- Barry miał informatora, rozumiesz? – Zapaliłem papierosa.

- Kabła?
- Informatora.
- Fraser wzruszył ramionami.
- Mów dalej.
- Wczoraj wieczorem w redakcji odebrałem telefon. Żadnego nazwiska, tylko żebym się stawiał w Radości na Roundhay Road. Kojarzysz lokal, nie?
- Nie! – Fraser się roześmiał. – Jasne, że kojarzę. Skąd wiedziałeś, że to nie podpucha?
- Barry miał mnóstwo kontaktów. Znał mnóstwo ludzi.
- O której to było godzinie?
- Około dziesiątej. Tak czy inaczej, pojechałem tam i spotkałem się z tym kolesiem...
- Fraser położył łokcie na stole, pochylony do przodu i uśmiechnięty.
- I kto to był?
- Murzyn, rozumiesz. – Zgasilem papierosa i wziąłem następnego z własnej paczki.
- Młody? Stary? Niski? Wysoki?
- Czarny. Kręcone włosy, szeroki nos, grube wargi. Co mam niby powiedzieć?
- Sierżant Fraser znowu się uśmiechnął.
- Powiedział, czy Barry Gannon pił?
- Zapytałem o to i powiedział, że Barry wypił parę głębszych, ale nie był napruty ani nic takiego.
- Gdzie to było?
- Zawahałem się, myśląc, że na tym mogę się wyłożyć, a potem powiedziałem:
- W Radości.
- Czyli że znajdują się świadkowie? – Fraser wyciągnął notes i zaczął pisać.
- Świadkowie z Radości, ta.
- Czy próbowałeś może przekonać naszego ciemnoskórego przyjaciela do przekazania tych informacji funkcjonariuszowi lokalnych organów ścigania?

- Nie.
- No więc?
- Około jedenastej albo jakoś tak powiedział, że Barry oznajmił, że jedzie do Morley. Że to ma jakiś związek z zabójstwem Clare Kemplay.
- Sierżant Fraser patrzył mi przez ramię na deszcz i ratusz po drugiej stronie ulicy.
- Jaki związek?
- Nie wiedział.
- Uwierzyłeś mu?
- A czemu nie?
- Weź na wstrzymanie, facet robi cię w chuja. O jedenastej wieczorem w niedzielę, po pijatyce w Radości?
- Tak powiedział.
- Niech będzie. Co twoim zdaniem Gannon takiego wiedział, że postanowił przyjechać aż tutaj w niedzielę, o tej porze?
- Nie wiem. Mówię tylko, co powiedział ten koleś.
- I to wszystko? – Sierżant Fraser się śmiał. – Gówno prawda. Przecież jesteś dziennikarzem. Musiałeś mu zadać więcej pytań.
- Zapaliłem następnego cholernego szluga.
- Tak. Ale facet nic nie wiedział.
- Góra będzie skakać z radości – westchnął Fraser.
- Podeszła kelnerka, zabrała filiżanki i talerz. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku przysłuchiwał się nam, patrząc na portret pamięciowy Gwałciciela z Cambridge, który mógł przypominać kogokolwiek.
- Zdobyłeś nazwiska? – zapytałem.
- Sierżant Fraser zapalił następnego papierosa i pochylił się do przodu.
- Tak między nami?
- Oczywiście – zapewniłem, wyciągając z marynarki długopis i kawałek papieru.
- Dwaj budowlańcy, Terry Jones i James Ashworth.

Stawiają nowe domy na tyłach więzienia w Wakefield. Pracują chyba dla Przedsiębiorstwa Budowlanego Fostera.

– Fostera – powtórzyłem jak echo, myśląc: Donald Foster, Barry Gannon, powiązanie.

– Nie znam adresów, zresztą nawet gdybym je znał, tobym ci ich nie podał. W każdym razie to byli ci dwaj.

– Dziękuję. Jeszcze tylko jedno pytanko?

Fraser wstał.

– Tak?

– Kto ma dostęp do raportu z sekcji zwłok i zdjęć Clare Kemplay?

Fraser znowu usiadł.

– A co?

– Jestem po prostu ciekaw. To znaczy, każdy gliniarz pracujący przy sprawie może je obejrzeć?

– Są do wglądu, owszem.

– A ty je widziałeś?

– Nie pracuję przy tej sprawie.

– Ale musiałeś brać udział w przeczesywaniu terenu?

Fraser spojrział na zegarek.

– Tak, ale teraz śledztwo jest poza Wakefield.

– Więc nie wiedziałbyś, kiedy te materiały zostały udostępnione?

– A co?

– Chcę się po prostu zorientować, jaka jest procedura. Tak z ciekawości.

Fraser znowu wstał.

– Zadawanie takich pytań nie wychodzi ludziom na zdrowie, Eddie. – Potem uśmiechnął się, puścił do mnie oko i powiedział: – Lepiej już pójde. Do zobaczenia po drugiej stronie ulicy.

– Tak.

Sierżant Fraser otworzył drzwi, a potem się odwrócił.

– Jesteśmy w kontakcie, tak?

- Tak. Jasne.
- I ani słowa, racja? – Prawie się śmiał.
- Ani słowa – mruknąłem, składając swoją kartkę papieru na pół.

Gaz z działu sportowego wchodził po schodach do ratusza.

Siedziałem akurat na jednym ze stopni i paliłem ostatniego papierosa.

– A co ty, kurwa, tutaj porabiasz?

– Naprawdę urocze – powiedział Gaz i uraczył mnie bezżębnym uśmiechem. – Jestem tu świadkiem, a co?

– Taa?

Uśmiech zniknął.

– Taa, jasna sprawa. Miałem się spotkać z Bazem w niedzielę wieczorem, ale się nie zjawił.

– Rozprawa zostanie odroczone, wiesz?

– Żartujesz, kurwa! Dlaczego?

– Policja nie wie jeszcze, co Barry robił w niedzielę wieczorem. – Poczęstowałem Gaza papierosem i sam sięgnąłem po następnego.

Gaz z powagą przyjął papierosa i ogień.

– Ale wiedzą, kurwa, że nie żyje, co?

Pokiwałem głową i powiedziałem:

– Pogrzeb jest w czwartek.

– Kurwa. Tak szybko?

– No.

Gaz odchrząknął i splunął na kamienny stopień.

– Widziałeś się z szefem?

– Jeszcze nie byłem w środku.

Zgasił papierosa i ruszył po schodach na górę.

– Lepiej już pójde.

– A ja zaczekam tutaj – powiedziałem. – Jeżeli będą mnie potrzebować, to wiedzą, gdzie jestem.

– Rozumiem.

– Słuchaj! – zawołałem za nim. – Słyszałeś coś może o Johnnym Kellym?

– Nic, kurwa – odparł Gaz. – Ale wczoraj wieczorem jakiś facet w Inns mówił, że Foster stracił już do niego cierpliwość.

– Foster?

– Don Foster. Prezes Trinity.

Wstałem.

– Don Foster jest prezesem Wakefield Trinity?

– No przecież. Z choinki żeś się, kurwa, urwał?

– Strata pieprzonego czasu. – Trzydzieści minut później Gaz z działu sportowego schodził z Billem Haddenem po schodach ratusza.

– Takich spraw nie można załatwiać na łapu-capu, Gareth – powiedział Hadden. Bez biurka wyglądał jakoś dziwnie.

Wstałem z zimnego stopnia, żeby się przywitać.

– Przynajmniej nie trzeba będzie czekać z pogrzebem.

– Dzień dobry, Edwardzie – powiedział Hadden.

– Dzień dobry. Ma pan chwilkę?

– Rodzina przyjęła to chyba lepiej, niż można by się spodziewać – zauważył Gaz, zniżając głos i oglądając się za siebie.

– Chyba tak – powiedziałem.

– Bardzo silni ludzie. Chcesz pogadać? – Hadden położył mi rękę na ramieniu.

– Do zobaczenia później. – Gaz z działu sportowego, korzystając z okazji, zbiegł po schodach, przeskakując po dwa schodki naraz.

– A co z Cardiff City?! – zawołał za nim Hadden.

– Załatwimy ich na amen, szefie! – odkrzyknął Gaz.

Hadden się uśmiechnął.

– Takiego entuzjazmu nie można kupić za żadne skarby świata.

- Tak – przyznałem. – To prawda.
- No więc o co chodzi? – zapytał Hadden, zakładając ręce na piersi, żeby nie zmarznąć.
- Pomyślałem, że się pojedę spotkać z dwoma mężczyznami, którzy znaleźli zwłoki, powiązę to z tym medium i odrobiną historii Czarciemu Rowu. – Powiedziałem to o wiele za szybko, jak człowiek, który myślał nad tym zdaniem przez pół godziny.
- Hadden zaczął się gładzić po brodzie, co nigdy nie wróżyło nic dobrego.
- Ciekawe. Bardzo ciekawe.
- Tak pan myśli?
- Mmm. Tylko ten ton trochę mnie martwi.
- Ton?
- Mmm. To medium, ta wróżka to raczej taki epizodzik w tle. Materiał dodatkowy. Ale ci, którzy znaleźli zwłoki, no nie wiem...
- Natychmiast przeszedłem do kontrataku.
- Mówił pan, że ona zna nazwisko mordercy. To wcale nie tło, to pierwsza strona.
- Hadden nie dał się sprowokować.
- Porozmawiasz z nią dzisiaj? – zapytał.
- Myślałem, że teraz do niej pojedę, skoro i tak jestem w Wakefield.
- Dobrze – powiedział Hadden, odchodząc do swojego rovera. – Przynieś mi wszystko do piątej i jutro to obgadamy.
- Tak jest! – zawołałem, rzucając okiem na zegarek po ojcu.

Z planem Leeds i Bradford rozłożonym na kolanach i notatkami na siedzeniu obok przedzierałem się przez uliczki Morley.

Skręciłem w Victoria Road i przejechałem nią powoli, a potem zaparkowałem tuż przed skrzyżowaniem z Rooms Lane i Church Street.

Barry musiał jechać z naprzeciwka, w kierunku Wakefield Road albo M62. Ciężarówka musiała stać tutaj, na światłach na Victoria Road, czekając, żeby skręcić w prawo w Rooms Lane.

Przekartkowałem notes, coraz szybciej i szybciej, z powrotem do pierwszej strony.

Jest!

Uruchomiłem samochód i wyjechałem na jezdnię, żeby zacząć na światłach.

Po lewej, po drugiej stronie skrzyżowania wznosiła się czarna bryła kościoła, a obok niego szkoła podstawowa Morley Grange.

Clare wyszła ze szkoły z dwiema koleżankami za kwadrans czwarta. Na skrzyżowaniu Rooms Lane i Victoria Road pożegnała się z nimi i ostatni raz widziano ją, gdy szła Victoria Road w kierunku domu.

Clare Kemplay.

Widziana ostatni raz.

Żegnaj.

Przejechałem przez skrzyżowanie, ciężarówka Co-op czekała, żeby skręcić w prawo w Rooms Lane.

Ciężarówka Barry'ego też pewnie tu stała, na światłach drogowych na Victoria Road, czekając na skręt w prawo w Rooms Lane.

Barry Gannon.

Widziany ostatni raz.

Żegnaj.

Sunąłem powoli przez Victoria Road, za mną trąbie nie klaksonów, podczas gdy Clare szła skocznym krokiem po chodniku obok, ubrana w pomarańczowy płaszcz i czerwone kalosze.

Ostatni raz widziano ją, gdy szła Victoria Road w kierunku domu.

Sports Ground, Sandmead Close, Winterbourne Avenue.

Clare stała teraz na rogu Winterbourne Avenue i machała rączką.

Włączyłem lewy migacz i skręciłem w Winterbourne.

Była to ślepa uliczka, przy której stało sześć starszych bliźniaków i trzy nowe wolno stojące domki.

Przed numerem 3 stał w deszczu policjant.

Zawróciłem, wjeżdżając na podjazd jednego z nowych domów i wykrecając.

Popatrzyłem na drugą stronę, na Winterbourne Avenue 3.

Zasłony zaciągnięte.

W vivie zgaś silnik.

Jedna z zasłon zafalowała.

Pani Kemplay, z rękami założonymi na piersi, w oknie.

Policjant spojrział na zegarek.

Odjechałem.

Przedsiębiorstwo Budowlane Fostera.

Teren budowy znajdował się za zakładem karnym w Wakefield, w pobliżu Czarciogo Rowu.

Pora lunchu w deszczowy grudniowy czwartek, panowała grobowa cisza.

Dreams Are Ten a Penny – cicha melodia w wilgotnym powietrzu.

Poszedłem dalej, na ucho.

– Można? – powiedziałem, odchylając brezent w drzwiach niedokończonego domu.

Czterech facetów jadło kanapki i siorbało herbatę z termosów.

– Czego? – zapytał jeden.

– Zgubiłeś się pan? – odezwał się drugi.

– Właściwie to szukam... – powiedziałem.

– Nigdy o nich nie słyszałem – powiedział pierwszy.

– Dziennikarz, co? – zauważył drugi.

– Widać?

– No – powiedzieli wszyscy razem.

– Wiecie, gdzie znajdę Terry’ego Jonesa i Jamesa Ashwortha?

Podniósł się rosty facet w kurtce roboczej i przelknął pół bochna chleba.

– Ja jestem Terry Jones.

Wyciągnąłem rękę.

– Eddie Dunford z „Yorkshire Post”. Możemy chwilkę pogadać?

Zignorował moją rękę.

– A zapłacisz mi?

Wszyscy zaśmiali się nad swoją herbatą.

– Cóż, na pewno możemy o tym porozmawiać.

– Bo jak nie, to możesz spierdalać – rzekł Terry Jones, wywołując następny wybuch śmiechu.

– Naprawdę – zaprotestowałem.

Terry Jones westchnął i pokręcił głową.

– Niektórzy to jednak mają tupet – powiedział jeden z robotników.

– Przynajmniej jest, kurwa, stąd – zauważył inny.

– No to chodź pan. – Terry Jones ziewnął, zanim przepłukał usta resztką herbaty.

– Dopilnuj, żeby zabulił! – krzyknął jeden z jego kumpli, gdy wychodziliśmy na zewnątrz.

– Mielście tu dużo dziennikarzy? – zapytałem, częstu-
jąc Terry’ego Jonesa papierosem.

– Chłopcy mówili, że był tu fotoreporter z „Sun”, ale my wtedy byliśmy na posterunku na Wood Street.

Na dworze mżyło, więc wskazałem inny niedokończony dom. Terry Jones pokiwał głową i poprowadził mnie tam.

– Policjanci długo was trzymali?

– Nie, raczej nie. Ale przy takich sprawach starają się nie zostawić niczego przypadkowi, prawda?

– A co z Jamesem Ashworthem? – Staliśmy w drzwiach, osłonięci przed deszczem, który padał tuż obok.

– Co?
– Długo go trzymali?
– Tak samo.
– A jest gdzieś w pobliżu?
– Choruje.
– Taa?
– Jakieś choróbsko chodzi po ludziach.
– Taa?
– Taa. – Terry Jones rzucił papierosa na ziemię, przydepnął go i dodał: – Kierownik jest na zwolnieniu od czwartku, Jimmy’ego nie ma od wczoraj, a paru chłopaków chorowało w zeszłym tygodniu.

– Kto ją znalazł? Pan czy Jimmy?
– Jimmy.
– Gdzie leżała? – zapytałem, spoglądając na błoto i deszcz.

Terry Jones charknął, wypluł masywną porcję flegmy i powiedział:

– Pokażę panu.

Przeszliśmy w milczeniu przez plac budowy do zagłębienia terenu, które biegło wzdłuż drogi z Wakefield do Dewsbury. Przed rowem rozciągała się granatowo-biała taśma policyjna. Po przeciwnej stronie, przy szosie w małym radiowozie siedziało dwóch gliniarzy. Jeden spojrzał na nas i kiwnął Terry’emu Jonesowi głową.

Robotnik pomachał mu w odpowiedzi ręką.

– Długo tu tak będą pilnować?

– Nie mam pojęcia.

– Aż do wczorajszego wieczoru wszystko było ukryte pod namiotami.

Patrzyłem w głąb Czarciego Rowu, na zardzewiałe wózki dziecięce i rowery, kuchenki i lodówki. Wszędzie wokół mnóstwo liści i śmieci, tak że nie sposób było zobaczyć dno.

– Widział ją pan? – zapytałem.

- Taa.
- Kurde.
- Leżała w jednym z wózków, mniej więcej w pół drogi na sam dół.
- W wózku?
- Wpatrywał się w coś daleko, daleko stąd.
- Policjanci go zabrali. Miała... Ożeż kurwa...
- Wiem. – Miałem zamknięte oczy.
- Policjanci powiedzieli, żebyśmy nikomu nie mówili.
- Wiem, wiem.
- Ale, kurwa... – Usiłował przełknąć kulę w gardle, powstrzymać łzy, które stanęły w oczach.
- Poczęstowałem go następnym papierosem.
- Wiem. Widziałem zdjęcia z sekcji zwłok.
- Niezapalonym papierosem wskazał oznaczony kawałek ziemi.
- Jedno skrzydło było tam, przy samej górze.
- Kurwa mać.
- Żałuję, że ją widziałem.
- Spojrzałem w głąb rowu, w myślach przewijały mi się zdjęcia, które przyczepiłem do ściany w Czerwonym Strumyku.
- Gdyby to tylko nie była ona – wyszeptał.
- Gdzie mieszka Jimmy Ashworth?
- Terry Jones popatrzył na mnie.
- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.
- Proszę?
- Ciężko to przeżył. To jeszcze smarkacz.
- Rozmowa może mu pomóc – powiedziałem, spoglądając na brudny niebieski wózek na zboczu.
- Bzdura – odparł, pociągając nosem.
- Proszę?
- W Fitzwilliam – powiedział Terry Jones, po czym odwrócił się i odszedł.

Przeszedłem pod policyjną taśmą i wychyliłem się w dół Czarciego Rowu, trzymając się korzenia martwego drzewa. Zdjąłem z krzaka białe pióro.

Czasu do zabicia: równo godzina.

Przejechałem obok Szkoły Królowej Elżbiety, zaparkowałem i potruchtałem w deszczu z powrotem do Wakefield, przyspieszając, gdy mijałem szkołę.

Czasu do zabicia: pięćdziesiąt minut.

Ponieważ był wtorek, obszedłem dookoła pchli targ, pałac szlugi i moknąc do suchej nitki, wpatrując się w wózki i rowerki dziecięce, i sprzęty domowe po zmarłych.

Targ pod dachem śmierdział mokrymi ubraniami, a tam, gdzie kiedyś był Antykwariat Joe'ego, wciąż stał kiosk z książkami.

Zerknąłem na zegarek po ojcu, przeglądając stosy starych komiksów o superbohaterach.

Czasu do zabicia: czterdzieści pięć minut.

W każdą sobotę rano przez trzy lata wsiadałem z ojcem do autobusu 126 o wpół do ósmej na przystanku w Ossett, ojciec czytał „Posta”, mówił o piŃce nożnej albo krykiecie, a ja z pustymi siatkami na kolanach marzyłem o stosach komiksów, które zawsze dostawałem w ramach wynagrodzenia za pomoc Joemu.

W każdą sobotę rano aż do owego sobotniego poranka, gdy Stary Joe nie otworzył kiosku, a ja stałem tam i czekałem, aż ojciec przyszedł, niosąc dwie siatki zakupów, z serem zawiniętym w papier na samym wierzchu.

Czasu do zabicia: trzydzieści pięć minut.

W Akropolis na szczycie Westgate, gdzie kiedyś podobą mi się kelnerka, wmusiłem w siebie talerz puddingu yorkshirskiego z sosem cebulowym, a potem wyrzygałem go w maleńkiej toalecie na tyłach, toalecie, gdzie marzyłem, że zaciągnę i zerznę kelnerkę o imieniu Jane.

Czasu do zabicia: dwadzieścia pięć minut.

Z powrotem na dworze, poszedłem w deszczu na rondo Bullring, mijając po drodze Strafford Arms, *największą mordernię wśród pubów na Północy*, i zakład fryzjerski, gdzie moja siostra pracowała kiedyś dorywczo i poznała Tony'ego.

Czasu do zabicia: dwadzieścia minut.

U Silvia, w ulubionej kawiarni matki, gdzie w tajemnicy spotykałem się po szkole z Rachel Lyons, zamówiłem czekoladową eklerkę.

Wyciągnąłem wilgotny notes i zabrałem się do czytania skąpych informacji, jakie zebrałem na temat Mistycznej Mandy.

Przyszłość, tak samo jak przeszłość, jest już zapisana. Nie można jej zmienić, ale może nam ona pomóc w zagojeniu ran teraźniejszości.

Siedziałem przy samym oknie i spoglądałem na Wakefield.

Przyszłość dokonana.

Padalo teraz tak rzęsiście, że całe miasto wyglądało, jakby było pod wodą. Modliłem się, żeby rzeczywiście tak się stało, żeby deszcz potopił ludzi i zmył to zasrane miasto z powierzchni ziemi.

Zużyłem już cały czas, jaki miałem do zabicia.

Dopiłem słodką gorącą herbatę, zostawiłem eklerkę i ruszyłem z powrotem ku St Johns, z fusem od herbaty przyklepionym do wargi i białym piórkiem w kieszeni.

Blenheim Road była jedną z najpiękniejszych ulic w Wakefield, z okazałymi, potężnymi drzewami i dużymi domami ustawionymi w głębi małych działek.

Numer 28 nie stanowił wyjątku, był to wielki stary dom, w którym wydzielono dwa odrębne mieszkania.

Przeszedłem przez podjazd, omijając wypełnione kałużami dziury, i wkroczyłem do środka. W oknach korytarza i klatki schodowej były witraże, a wokół unosił się zapaszek jak w starym kościele w czasie zimy.

Mieszkanie numer 5 znajdowało się na pierwszym piętrze, po prawej stronie.

Spojrzałem na zegarek po ojcu i zadzwoniłem do drzwi. Dzwonek brzmiał jak *Tubular Bells* i kiedy otworzyły się drzwi, pomyślałem o *Egzorcystcie*.

Kobieta w średnim wieku, jak wycięta ze zdjęcia w „Yorkshire Life”, w tradycyjnej bluzce i spódnicy, wyciągnęła do mnie rękę.

– Mandy Wymer – powiedziała i uściśniła mi dłoń.

– Edward Dunford. Z „Yorkshire Post”.

– Proszę wejść, zapraszam.

Przycisnęła się do ściany, kiedy przechodziłem obok. Zostawiła uchylone drzwi i podążyła za mną ciemnym, obwieszonym ciemnymi olejnymi obrazami korytarzem do dużego mrocznego pokoju z dużymi oknami zasłoniętymi przez jeszcze większe drzewa. W kącie stała kocia kuweta i w całym pokoju czuć było jej smród.

– Proszę usiąść – powiedziała pani domu, wskazując odległy kąt dużej sofy przykrytej kapą z nierównomiernie farbowanego po hipisowsku płótna.

Zachowawczy ubiór kobiety kłócił się zarówno z orientalno-hipisowskim wystrojem mieszkania, jak i z jej profesją. Najwyraźniej nie udało mi się ukryć zdziwienia.

– Mój były mąż jest Turkiem – powiedziała nagle.

– Były? – zapytałem, włączając dyktafon w kieszeni.

– Wrócił do Stambułu.

Nie mogłem się oprzeć.

– A pani tego nie przewidziała?

– Jestem medium, panie Dunford, nie przepowiadam przyszłości.

Usiadłem na wskazanym miejscu. Czuję się jak du-reń, zupełnie nie wiedziałem, co mówić.

W końcu powiedziałem:

– Nie wywarłem najlepszego wrażenia, prawda?

Pani Wymer podniosła się szybko z fotela.

- Napije się pan herbaty?
– Chętnie, jeśli to nie kłopot.
Praktycznie wybiegła z pokoju i zatrzymała się nagle w drzwiach, jakby wpadła na jakąś niewidoczną szklaną ścianę.
– Pachnie pan złymi wspomnieniami tak mocno – powiedziała cicho, odwrócona do mnie plecami.
– Słucham?
– Śmiercią. – Stała w drzwiach rozedrgana i blada, z dłonią zaciśniętą na futrynie.
Podniosłem się.
– Dobrze się pani czuje?
– Myślę, że powinien pan wyjść – szepnęła, zsuwając się po futrynie na podłogę.
– Pani Wymer... – Ruszyłem w jej stronę.
– Nie! Proszę!
Wyciągnąłem rękę, chciałem ją podnieść.
– Pani Wymer...
– Proszę mnie nie dotykać!
Cofnąłem się, a ona skuliła się na podłodze.
– Przepraszam – powiedziałem.
– Jej woń jest tak silna. – Raczej jęczała, niż mówiła.
– Jaka woń?
– Jest pan nią przesiąknięty.
– Czym?! – wykrzyknąłem zdenerwowany, myśląc o BJ-u, o dniach i nocach, które spędziłem w wynajętych pokojach z umyślowo chorymi. – Czym, niech pani powie!
– Jej śmiercią.
Powietrze ścięło się nagle, gęste i mordercze.
– O czym pani, do cholery, gada? – Zbliżałem się do niej, krew szumiała mi w uszach.
– Nie! – zaczęła krzyczeć, uciekając przede mną, sunąc tyłkiem po podłodze, z wyciągniętymi nogami i rękoma, aż tradycyjna spódnica podjechała jej do góry.
– Boże, nie!

– Zamknij się! Zamknij! Zamknij! – darłem się, biegnąc za nią.

Poderwała się na nogi, błagając:

– Proszę, proszę, proszę, proszę zostawić mnie w spokoju!

– Chwila!

Wskoczyła do pokoju i zatrzasnęła przede mną drzwi, na sekundę jeden z palców lewej ręki utkwiał mi w zawiasie.

– Ty pierdolona suko! – krzyknąłem, kopiąc i waląc pięściami w zamknięte drzwi. – Ty pierdolona wariatko!

Przestałem się awanturować, wepchnąłem bolący palec do ust i zacząłem ssać.

W mieszkaniu zapadła cisza.

Oparłem czoło o drzwi i powiedziałem cicho:

– Proszę, pani Wymer...

Słyszałem zza drzwi jej lęклиwe łkanie.

– Proszę, pani Wymer. Muszę z panią porozmawiać.

Usłyszałem szuranie przesuwanych mebli, komód i szaf dostawianych do drzwi.

– Pani Wymer?

Cichy głos dobiegł przez kolejne warstwy drewna, jak głos dziecka szepczącego do przyjaciela spod kołdry:

– Niech pan im powie o innych...

– Słucham?

– Proszę im powiedzieć o innych.

Przywarłem do drzwi, posmak politory na moich wargach.

– Jakich innych?

– Innych.

– Jakich innych, do kurwy nędzy? – wykrzyknąłem, szarpiąc kłamkę.

– O wszystkich innych pod tymi pięknymi nowymi dywanami.

– Zamknij się!

– Pod trawą, która rośnie między rozpadlinami i kamieniami.

– Zamknij się! – Pięciami w drewno, kostki we krwi.

– Niech im pan powie. Proszę im powiedzieć, gdzie są.

– Zamknij się, kurwa! Zamknij! – Huknąłem głową o drzwi, fala hałasu odpłynęła, w mieszkaniu cisza i mrok.

– Pani Wymer? – szepnąłem.

Cisza, mroczna cisza.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę, wystraszony.

Gaz do dechy na autostradzie M1, odprawiam egzorcyzmy na duchach Wakefield z przeszłości i teraźniejszości.

Rzut oka we wsteczne lustro, zielony rover na moim ogonie, a ja w paranoi myślę, że to policjanci w nieoznakowanym wozie.

Oczy wysoko w niebo, jazda w brzuchu tłustego wieloryba, niebo w kolorze szarego cielska, nagie czarne drzewa jak potężny szkielet, wilgotna klatka.

Znowu w lustro, rover coraz bliżej.

Skręciłem do Leeds, mijając zwęglone szczątki obozu cygańskiego, czarne sylwetki wypalonych przyczep niczym kości w jakimś pogańskim kręgu ku czci zmarłych.

Jeszcze raz w lustro, rover pojechał dalej na północ.

Zaparkowałem vivę pod łukami stacji. Dwie czarne wrony wyjadały śmieci z czarnych worków, rozdzielając zepsute mięso. Ich krakanie odbijało się echem w mroku, w tych czasach zarazy.

Dziesięć minut później siedziałem przy biurku.

Zadzwoiłem do informacji telefonicznej, potem do Jamesa Ashwortha, a potem do BJ-a.

Żadnych odpowiedzi, wszyscy na świątecznych zakupach.

– Wyglądasz okropnie. – Stephanie, z naręczem dokumentów, gruba jak pieprzony wieprz.

– Nic mi nie jest.

Stephanie stała przed moim biurkiem i czekała.

Wpatrywałem się w jedyną kartkę świąteczną na biurku, próbując odgonić wizje Jacka Whiteheada pierdolącego Stephanie w tyłek. Nawet mi trochę stanął.

– Rozmawiałam wieczorem z Kathryn.

– I co?

– Nie obchodzi cię to? – Już była zła.

Ja też.

– Nie twój interes, jak się, kurwa, czuję.

Nie ruszyła się z miejsca, tylko stała tak, przestępując z nogi na nogę. Oczy zaszyły jej łzami.

Zrobiło mi się przykro, więc powiedziałem:

– Przepraszam, Steph.

– Jesteś świnia. Pierdolona świnia.

Kiwała swoim tłustym łbem, zgadzając się z własnymi tłustymi myślami.

– To nie pierwszy raz, prawda?

– Co ci Kathryn powiedziała?

– Były też inne, prawda?

Inne, zawsze te inne.

– Rozgryzłam cię, Edwardzie Dunford – ciągnęła, pochylając się nad biurkiem, ramiona jak uda. – Rozgryzłam.

– Zamknij się – mruknąłem pod nosem.

– Ilu innym to zrobiłeś, hę?

– Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy, tłusta krowo.

Przez redakcję przetoczyła się burza oklasków, łomot pięści o blaty, tupot nóg o podłogę.

Spojrzałem na kartkę świąteczną od Kathryn.

– Ty świnio! – wybuchła.

Podniosłem wzrok znad kartki, ale wybiegła już z płaczem za drzwi.

Po drugiej stronie sali George Greaves i Gaz zasalutowali mi papierosami.

Pokazałem im uniesiony kciuk. Na knykciu świeża krew.

Była piąta po południu.

– Wciąż muszę porozmawiać z tym drugim, Jamesem Ashworthem. To właściwie on znalazł zwłoki.

Hadden podniósł wzrok znad stosu kartek świątecznych. Wsunął jedną z większych pod spód i powiedział:

– Trochę tego mało.

– Kobieta zupełnie zwariowała.

– A próbowałeś uzyskać od policji wypowiedź do cytowania?

– Nie.

– W sumie wszystko jedno – westchnął i znowu zaczął przeglądać kartki.

Padalem na pysk ze zmęczenia i byłem tak głodny, że aż mnie mdliło, a w pokoju straszny gorąc i duchota. Wszystko aż nazbyt rzeczywiste.

Hadden podniósł na mnie wzrok.

– Coś nowego dzisiaj? – zapytałem, w moich ustach nagle pełno żółci.

– Nic, co nadawałoby się do druku. Jack wpadł w jeden ze swoich...

Przełknąłem.

– Jeden ze swoich?

– Powiedzmy, że lubi trzymać karty przy orderach.

– Jestem pewien, że robi to, co najlepsze.

Hadden zwrócił mi wstępną wersję mojego tekstu.

Otworzyłem teczkę na kolanie, wkładając ten artykuł i wyciągając inny.

– No i jeszcze to...

Hadden wziął ode mnie kartkę i pchnął okulary wyżej na grzbiet nosa.

Spojrzałem w okno za jego plecami, żółte biurowe światła odbijały się od szyby na tle ciemnego deszczowego Leeds.

– Okaleczone łabędzie, he?

– Jak na pewno pan wie, mamy ostatnio falę okaleczeń zwierząt.

Hadden westchnął, rumieniąc się.

– Nie jestem głupi. Jack pokazał mi raport z autopsji.

Ustyszałem, jak jacyś ludzie śmieją się w innej części gmachu.

– Przepraszam – powiedziałem.

Hadden zdjął okulary i rozmasował grzbiet nosa.

– Za bardzo się starasz.

– Przepraszam – powtórzyłem.

– Jesteś jak Barry. On był taki sam, zawsze...

– Nie zamierzałem wspomnieć ani o sekcji zwłok, ani o Clare.

Hadden wstał zza biurka i zaczął się przechadzać.

– Nie możesz po prostu czegoś napisać, a potem uznać, że to cholerna prawda, tylko dlatego, że tak myślisz.

– Nigdy tak nie robię.

– No nie wiem – mówił teraz do ciemności za oknem. – Odnoszę wrażenie, że ostrzeliwujesz cały cholerny krzak, tylko dlatego, że może kryć się za nim coś wartego ustrzelenia.

– Przykro mi, że pan tak sądzi – odparłem.

– Jest wiele dróg do celu, wiesz?

– Wiem.

Hadden się odwrócił.

– Arnold Fowler pracuje dla nas od lat.

– Wiem.

– Nie chcesz chyba straszyć biedaka swoimi koszmarnymi historiami?

– Nie zrobiłbym tego.

Hadden usiadł z powrotem za biurkiem i głośno westchnął.

– Zdobądź jakieś cytaty. Nadaj tematowi ton opiekuńczej troski i nie wspominaj o tej cholernej sprawie z Clare Kemplay.

Wstałem, w pokoju nagle pociemniało, a potem znów się rozjaśniło.

– Dziękuję.

– Pchniemy to w czwartek. Oburzające znęcanie się nad zwierzętami.

– Oczywiście. – Otworzyłem drzwi, żeby zaczerpnąć powietrza, podeprzeć się, no i wyjść.

– Jak z końmi w kopalniach.

Z własnymi flakami w przelyku pogałem do kibla.

– Halo. Czy zastałem Kathryn?

– Nie.

W redakcji cisza i spokój, a ja prawie skończyłem to, co miałem do zrobienia.

– A wie pan, kiedy wróci?

– Nie.

Gryzmoliłem na bibule, rysując róże i skrzydła. Odłożyłem pióro.

– Może jej pan przekazać, że dzwonił Edward?

Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

Napisałem długopisem *Medium i wiadomość* nad artykułem, dodałem znak zapytania i zapaliłem papierosa.

Zaciągnąłem się parę razy, wyrwałem z notesu czystą kartkę, skiepowiałem szluga i spisałem dwie listy. U dołu strony napisałem „Dawson” i podkreśliłem.

Byłem zmęczony, głodny i zupełnie zagubiony.

Zamknąłem oczy przed ostrym blaskiem biurowych lamp i szumem w głowie.

Upłynęła chwila, zanim usłyszałem, że dzwoni telefon.

– Edward Dunford, słucham.

– Tu Paula Garland.

Pochyliłem się do przodu, z łokciami na biurku, żeby utrzymać ciężar słuchawki i własnej głowy.

– Tak?

– Słyszałam, że spotkał się pan dzisiaj z Mandy Wymer.

– Tak, poniekąd. Skąd pani wie?

– Nasz Paul mi powiedział.

– Rozumiem. – Nie miałem pojęcia, co jeszcze powiedzieć.

Nastało dłuższe milczenie, wreszcie podjęła:

– Bardzo zależy mi na tym, żeby dowiedzieć się, co mówiła.

Wyprostowałem grzbiet, przełożyłem słuchawkę z ręki do ręki i wytarłem dłoń z potu o nogawkę.

– Panie Dunford?

– Cóż, właściwie to nie powiedziała mi za wiele.

– Proszę, panie Dunford. Cokolwiek?

Trzymając słuchawkę między uchem i brodą, spojrzałem na zegarek po ojcu i wepchnąłem *Medium i wiadomość* do koperty.

Powiedziałem:

– Mogę się z panią zobaczyć Pod Łabędziem. Za jakąś godzinę?

– Dziękuję.

W głąb korytarza, do archiwum.

Przez katalog, indeks, do sedna.

Zerknąłem na zegarek po ojcu. 20.05.

Z powrotem w przeszłość:

Lipiec 1969 roku, lądowanie na Księżycu, mały krok dla człowieka, wielki krok dla ludzkości.

12 lipca 1969 roku, zaginięcie ośmioletniej Jeanette Garland.

13 lipca, *Błagalny apel matki*.

14 lipca, detektyw nadinspektor Oldman apeluje.
15 lipca, policja idzie tropem ostatnich kroków Jeanette.
16 lipca, policja rozszerza obszar poszukiwań.
17 lipca, policja skonsternowana.
18 lipca, policja odwołuje poszukiwania.
19 lipca, *Medium zgłasza się na policję.*
Małe kroki, wielkie kroki.
17 grudnia 1974 roku, notes pełen nagryzmołonych
cytatów.
Rzut oka na zegarek po ojcu. 20.30.
Czas goni.

Pod Łabędziem, Castleford.
Zamówiłem przy barze duże piwo i szkocką.
W pubie gwar, jakaś impreza świąteczna zorganizowa-
na przez pracodawcę, wszyscy śpiewali numery z szafy
grającej.
Ręka przy moim łokciu.
– Jedno jest dla mnie?
– A które pani chce?
Paula Garland wzięła szklanekę whisky i przedarła się
przez tłum do automatu z papierosami. Położyła torebkę
na szklanej obudowie automatu.
– Często pan tu przychodzi, panie Dunford? – uśmiech-
nęła się.
– Edwardzie, proszę. – Postawiłem kufel na automacie.
– Nie, nie dość często.
Roześmiała się i poczęstowała mnie papierosem.
– Pierwszy raz?
– Drugi – przyznałem, myśląc o poprzedniej wizycie.
Podałem jej ogień.
– Zwykle nie ma takiego tłoku.
– Więc pani często tu przychodzi?
– Próbuje mnie pan poderwać, panie Dunford? –
Śmiała się.

Wydmuchnąłem dym nad jej głową i się uśmiechnąłem.

– Kiedyś często tu bywałam – powiedziała i nagle przestała się śmiać.

Nie byłem pewien, co powiedzieć.

– Wygląda na fajny lokal – zauważyłem.

– Bo był. – Uniosła szklanę do ust.

Bardzo starałem się nie gapić, ale była taka błada w swoim czerwonym swetrze, a do tego fałdy i wzór na kołnierzu sprawiały, że cała jej głowa wydawała się taka drobna i delikatna.

A kiedy napiła się whisky, na policzkach pojawiły się małe czerwone plamki, jakby ktoś ją uderzył pięścią albo spoliczkował.

Paula Garland wychyliła resztę szkockiej drugim haustem.

– Jeśli chodzi o niedzielę. Ja...

– Nie ma o czym mówić. Zachowałem się nagannie. Jeszcze kolejkę? – powiedziałem, o wiele za szybko.

– Na razie dziękuję.

– Jakby co, wystarczy słówko.

Po Gilbertcie O’Sullivanie zaczął śpiewać Elton John.

Oboje rozejrzeliśmy się z zagubieniem po pubie, uśmiechając się na widok papierowych czapeczek i jemioty.

Wreszcie powiedziała:

– Więc widział się pan z Mandy Wymer?

Zapaliłem następnego papierosa, flaki przewróciły mi się w brzuchu. –

– Taa.

– Dlaczego pan do niej poszedł?

– Twierdziła, że powiedziała policji, gdzie znaleźć ciało Clare Kemplay.

– Nie wierzy jej pan?

– Ciało znalazło dwóch robotników budowlanych.

– Co powiedziała?

– Nie miałem tak naprawdę okazji, żeby ją zapytać.

Paula Garland zaciągnęła się mocno.

– Wie, kto to zrobił?

– Twierdzi, że tak.

– Nie powiedziała kto?

– Nie.

Bawiła się pustą szklanką, obracając ją w rękę.

– Wspomniała o Jeanette?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? – Miała łzy w oczach.

– Powiedziała coś o „innych”, to wszystko.

– Co? Co powiedziała?

Potoczyłem wzrokiem po pubie. Rozmawialiśmy prawie szeptem, ale były to jedyne dźwięki, jakie słyszałem, jak gdyby reszta świata nagle zamilkła.

– Powiedziała, że powinienem „powiedzieć im o innych”, a potem po prostu bredziła o jakichś cholernych dywanach i trawie między kamieniami.

Paula Garland odwróciła się ode mnie, drgały jej barki.

Położyłem dłoń na jej ramieniu.

– Tak mi przykro.

– Nie, to mnie jest przykro, panie Dunford – powiedziała do czerwonej aksamitnej tapety. – To bardzo miło z pańskiej strony, że pan tu przyszedł, ale teraz chciałabym być sama.

Wzięła swoją torebkę i papierosy. Kiedy się do mnie odwróciła, miała na policzkach pod oczami niewyraźne czarne zacieki.

Uniosłem ręce, nie pozwalając jej przejść.

– Myślę, że to wcale nie jest dobry pomysł.

– Proszę – nalegała.

– Niech mi pani przynajmniej pozwoli zawieźć się do domu.

– Nie, dziękuję.

Przepchnęła się obok mnie, przez tłum, do drzwi.
Wypiłem duszkiem piwo i wziąłem swoje szlugi.

Brunt Street, ciemna linia kamienic naprzeciwko białych fasad bliźniaków, trochę świateł po obu stronach ulicy.

Zaparkowałem po stronie bliźniaków, na przeciwnym końcu od numeru 11. Liczyłem drzewa i czekałem.

Dziewięć drzew i pięć minut później usłyszałem stukot brązowych kozaków. Ześlizgnąłem się niżej na fotelu i obserwowałem, jak Paula Garland otwiera czerwone drzwi i wchodzi do środka.

Pod numerem 11 nie zapaliły się żadne światła.

Siedziałem w vivie i patrzyłem, zastanawiając się, co bym powiedział, gdybym ośmielił się zapukać do tych czerwonych drzwi.

Dziesięć minut później mężczyzna w czapce wyszedł z psem z jednego z bliźniaków i przeszedł przez jezdnię. Odwrócił się i spojrzał na mój samochód, podczas gdy pies wysrał się pod kamienicą.

Światła pod numerem 11 nadal były zgaszone.

Zapuściłem silnik.

Z ustami tłustymi od porcji paskudnych frytek z Czerwonego Strumyka ułożyłem kupkę monet na automacie telefonicznym i wykręciłem pierwszy numer.

– Taa?

– Czy powiedziałeś BJ-owi, że Eddie dzwonił?

Przez dwuskrzydłowe przeszklone drzwi widziałem, że w bilard grają te same szczyły.

– Zostawił wiadomość. Zadzwoń do ciebie o północy.
Odwiesiłem słuchawkę.

Spojrzałem na zegarek po ojcu. 23.35.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem następny numer.

Po trzecim sygnale się rozłączyłem.

Chuj z nią.

Usiadłem w brązowym fotelu, gdzie tego ranka pierdnęła starucha. Czekałem. Stukot bil i przekleństwa gówniarzy odpędzały senność.

Punktualnie o dwunastej wstałem z fotela i dobiegłem do telefonu, zanim któryś ze smarkaczy zdążył odebrać.

– Taa?

BJ zapytał:

– Ronald Gannon?

– To ja, Eddie. Dostałeś moją wiadomość?

– Tak.

– Potrzebuję twojej pomocy i chcę pomóc tobie.

– Wczoraj nie sprawiałeś takiego wrażenia.

– Przepraszam.

– I słusznie. Masz coś do pisania?

– No – powiedziałem, przeszukując w pośpiechu kieszenie.

– Może warto by było, żebyś porozmawiał z Marjorie Dawson. Znajdziesz ją w Domu Opieki Hartleyów w Hemsworth, przebywa tam od niedzieli, od spotkania z Barrym.

– Kurwa, jak się tego dowiedziałeś?

– Znam odpowiednich ludzi.

– Chcę wiedzieć, kto ci to powiedział.

– Chcesz, ale się nie dowiesz.

– Pierdol się, BJ. Po prostu muszę wiedzieć.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Kurwa.

– Ale mogę ci powiedzieć jedno: Widziałem Jacka Whiteheada, jak wychodził z Radości. Wyglądał na schlanego i wściekłego. Na twoim miejscu byłbym ostrożny, mój drogi.

– Znasz Jacka?

- Znamy się ho-ho i jeszcze trochę.
- Dzięki.
- Jest za co – zarechotał i odłożył słuchawkę.

Trzy razy budziłem się na podłodze pokoju 27 z tego samego snu.

Za każdym razem myślałem: Teraz jestem bezpieczny, teraz jestem bezpieczny, śpij dalej.

Za każdym razem ten sam sen; Paula Garland na Brunt Street ściskająca mocno poły otulającego ją czerwonego swetra krzyczy mi prosto w twarz.

Za każdym razem kruk sfruwa z nieba o tysiącu od-cieni szarości i czepia się pazurami jej brudnych blond włosów.

Za każdym razem ściga ją w głąb ulicy, próbując wy-dziobać albo wydrapać oczy.

Za każdym razem sparaliżowany budzę się na pod-łodze.

Za każdym razem księżycowa poświata wlewa się do pokoju, półmrok sprawia, że zdjęcia na ścianie oży-wają.

Ostatnim razem okna spływały krwią.

ROZDZIAŁ 6

Środa, 18 grudnia 1974 roku.

Siódma rano, a ja poza pokojem, dzięki, kurwa, Bogu.

Herbata i tost z masłem w kawiarni Czerwonego Strumyka.

Kierowcy ciężarówek trzymali przed sobą gazety. A na pierwszych stronach:

Wilson zaprzecza, by Stonehouse był szpiegiem; Trzy wybuchy bomb – jeden zabity; Ceny benzyny w górę do 74 pensów.

Johnny Kelly na ostatnich stronach, już w prasie krajowej:

Lord Lucan Ligi? Gdzie nasz zdolny łobuz?

Weszli dwaj policjanci, zdjęli czapki i usiedli przy stoliku przy oknie.

Przerzucałem kartki z bazgrołami w swoim notesie, gdy nagle zamarło mi serce.

Arnold Fowler, Marjorie Dawson i James Ashworth.

Trzy spotkania.

Z powrotem w recepcji Czerwonego Strumyka, nowa kupka drobniaków na automacie.

– Arnold Fowler, słucham?

– Halo, tu Edward Dunford z „Posta”. Przepraszam,

że pana niepokoję, ale piszę artykuł o atakach na łabędzie w parku Bretton.

– Rozumiem.

– Miałem nadzieję, że moglibyśmy się spotkać.

– Kiedy?

– Jeszcze dziś rano? Przepraszam, ale to dosyć pilne.

– Będę dziś rano właśnie w Bretton. Prowadzę Przechadzkę Przyrodoznawczą dla uczniów Horbury, ale zaczynam dopiero o wpół do jedenastej.

– Mogę tam być o wpół do dziesiątej.

– W takim razie spotkajmy się w sali głównej.

– Dziękuję.

– Do widzenia.

Jazda do Bretton. Jasne zimowe słońce przebijało się przez przednią szybę i kłuło w oczy, a dmuchawa ogrzewania chodziła tak głośno jak radio.

IRA i Stonehouse, wyścig o pierwsze miejsce na listach przebojów na święta, Clare Kemplay umierała raz jeszcze, tym razem na scenie narodowej.

Spojrzałem we wsteczne lustro.

Wymacałem ręką gałkę i przełączyłem się na stację lokalną.

Sprawa Clare w Radiu Leeds wciąż żywa, dzwoniący domagają się, żeby coś z tym zrobić, i jaką trzeba być bestią, żeby dopuścić się czegoś takiego, a w ogóle to wieszac takich to za mało.

Policja nagle zamilkła, żadnego tropu, żadnej konferencji prasowej.

Myślę sobie: Cisza przed pierdoloną burzą.

– Ładny dzień na przechadzkę – powiedziałem, cały w uśmiechach.

– Na odmianę – odrzekł Arnold Fowler, sześćdziesiąt pięć lat i ubrany zgodnie z wiekiem.

Główna sala duża i zimna, ściany oblepione dziecięcymi rysunkami i malunkami ptaków i drzew.

Wysoko w górze, z belek stropowych zwisał ogromny łabędź z papier mâché.

Sala cuchnęła jak stary kościół w zimie i pomyślałem o Mandy Wymer.

– Znałem pańskiego ojca – powiedział Arnold Fowler, prowadząc mnie do maleńkiej kuchni z dwoma krzesłami i stołem z błękitnym blatem z laminatu.

– Naprawdę?

– O tak. Świetny krawiec. – Odpiął tweedową marynarkę i pokazał metkę, którą widywałem codziennie przez całe życie: *Ronald Dunford, krawiec*.

– Jaki ten świat mały – zauważyłem.

– Tak. Chociaż nie tak jak kiedyś.

– Ojcu byłoby bardzo miło.

– Nie wydaje mi się. Jeśli dobrze pamiętam Ronalda Dunforda.

– Ma pan rację. – Uśmiechnąłem się i pomyślałem, że minął dopiero tydzień.

Arnold Fowler powiedział:

– Zasmuciła mnie wiadomość o jego odejściu.

– Dziękuję.

– Jak miewa się pańska matka?

– Trzyma się, wie pan. Jest bardzo silna.

– Tak. Prawdziwa kobieta z Yorkshire.

– Odwiedził pan szkołę Trinity, kiedy się tam uczyłem, wie pan? – powiedziałem.

– Nie dziwię się. Przypuszczam, że odwiedziłem każdą szkołę w Yorkshire Zachodnim. Podobała się panu moja lekcja?

– Tak. Bardzo dobrze ją zapamiętałem, ale zupełnie nie potrafiłem rysować.

Arnold Fowler się uśmiechnął.

– Więc nigdy nie przystąpił pan do mojego Klubu Przyrodniczego?

- Nie, przykro mi. Byłem w Boys' Brigade.
- Żeby grać w piłkę?
- Tak. – Roześmiałem się po raz pierwszy od długiego czasu.
- Nadal tracimy przez to członków. – Podał mi kubek herbaty. – Proszę sobie posłodzić.
- Wyspałem dwie kopiaste łyżeczki i długo mieszałem.
- Kiedy podniosłem wzrok, Arnold Fowler wpatrywał się we mnie.
- Więc czemu nagle Bill Hadden zainteresował się łabędziami?
- To nie Hadden. Napisałem artykuł o poranionych koniach w Netherton, a potem usłyszałem o tych łabędziach.
- Jak pan o nich usłyszał?
- Po prostu w rozmowach w redakcji „Posta”. Barry Gannon...
- Arnold Fowler pokręcił głową.
- Straszna, straszna sprawa. Jego ojca też znam. Znam bardzo dobrze.
- Naprawdę? – zapytałem, udając głupiego.
- Tak. Taka szkoda. Bardzo zdolny młody człowiek, ten Barry.
- Wypiłem tyk gorącej słodkiej herbaty i powiedziałem:
- Nie znam żadnych szczegółów.
- Słucham?
- O tych łabędziach.
- Rozumiem.
- Wyciągnąłem notes.
- Ile było do tej pory tych ataków?
- W tym roku dwa.
- A kiedy konkretnie?
- Jeden jakoś w sierpniu. A drugi nieco ponad tydzień temu.
- Powiedział pan „w tym roku”?

– Owszem. Ataki zawsze są.
– Naprawdę?
– Tak. Aż niedobrze się człowiekowi robi.
– Ataki tego samego rodzaju?
– Nie, nie. Te z tego roku były wprost bestialskie.
– Co pan ma na myśli?
– Biedne ptaki były torturowane.
– Torturowane?
– Odrąbano im skrzydła. Łabędzie jeszcze wtedy żyły.

Usta miałem wyschnięte na pieprz, kiedy zapytałem:

– A zwykle?
– Kusze, wiatrówki, rzutki.
– Co na to policja? Zawsze pan zgłasza te przypadki?
– Tak. Oczywiście.
– I co powiedzieli?
– W zeszłym tygodniu?
– Taa. – Pokiwałem głową.
– Nic. Bo co niby mają powiedzieć? – Arnold Fowler zaczął się nagle wiercić i bawić łyżeczką.
– Czyli że policja w ogóle do pana nie przyjechała od zeszłego tygodnia?

Arnold Fowler wyjrzał przez kuchenne okno na jezioro.

– Panie Fowler?
– Jaki artykuł pan pisze, panie Dunford?
– Prawdziwy.
– Cóż, proszono mnie, bym zachował swoje prawdziwe historie dla siebie.
– Co ma pan na myśli?
– Poproszono mnie o zachowanie pewnych spraw dla siebie. – Popatrzył na mnie jak na głupca.
– Ma pan czas, żeby pokazać mi, gdzie je pan znalazł?
– zapytałem.
– Tak.

Wstaliśmy i wyszliśmy przez salę główną, pod papierowym łabędziem, na zewnątrz.

Przy drzwiach zapytałem:

– Czy przychodziła tu kiedyś Clare Kemplay?

Arnold Fowler podszedł do wykonanego ołówkiem rysunku na podwiniętej kartce, który wisiał nad pokrytym grubą warstwą farby kaloryferem. Przedstawiał dwa całujące się łabędzie na jeziorze.

Wygładził jeden z rogów.

– Na jakim parszywym świecie żyjemy.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem na zimne słońce.

Zeszliśmy ze wzgórza w kierunku mostu przerzuczonego przez Jezioro Łabędzi.

Po drugiej stronie jeziora chmury przesuwwały się szybko przed słońcem, a u podnóży wrzosowisk kładły się smugi cienia, fiolety i brązy wyglądały jak posiniaczona twarz.

Pomyślałem o Pauli Garland.

Arnold Fowler zatrzymał się na moście.

– Ten ostatni wyglądał, jakby po prostu wyrzucono go za barierkę, z powrotem do jeziora.

– Gdzie odrąbano mu skrzydła?

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, nikt tak naprawdę nie szukał tego miejsca.

– A ten drugi, ten z sierpnia?

– Łabędzica wisiała za szyję na tamtym drzewie. – Wskazał duży dąb na drugim brzegu. – Najpierw ją ukrzyżowano, a potem odcięto skrzydła.

– Żartuje pan?

– Nie, wcale nie żartuję.

– I nikt niczego nie zauważył?

– Nie.

– Kto je znalazł?

– Tę na dębie jakieś dzieciaki, a tego ostatniego jeden z ogrodników.

– I policja nic nie zrobiła?

– Panie Dunford, stworzyliśmy świat, w którym ukrzyżowanie łabędzia postrzega się jako wygłup, a nie przestępstwo.

W milczeniu wróciliśmy na wzgórze.

Z autokaru na parkingu wysypywały się dzieci, które wysiadając, popychały się i ciągnęły nawzajem za kurtki.

Otworzyłem drzwiczki samochodu.

Arnold Fowler wyciągnął rękę.

– Niech pan się trzyma, panie Dunford.

– Pan też – odrzekłem, ściskając mu dłoń. – Miło było znowu pana zobaczyć.

– Tak. Szkoda, że w takich okolicznościach.

– Taa, wiem.

– Powodzenia – powiedział Arnold Fowler i odszedł do dzieci.

– Dziękuję.

Zaparkowałem na pustym parkingu przy pubie, gdzieś między Bretton a Netherton.

Budka telefoniczna była pozbawiona wszystkich szyb i większości czerwonej farby. Kiedy wykręcałem numer, owiewał mnie wiatr.

– Posterunek policji w Morley.

– Poproszę z sierżantem Fraserem.

– Zechce pan podać swoje nazwisko?

– Edward Dunford.

Czekałem, licząc przejeżdżające samochody, wyobrażając sobie tłuste paluchy zakrywające słuchawkę i wołanie niosące się przez posterunek.

– Halo, tu sierżant Fraser.

– Witam. Tu Edward Dunford.

– Myślałem, że wyjechałeś na Południe.

– Skąd ten pomysł?

- Tak mówiła twoja matka.
- Cholera. – Liczenie samochodów, liczenie kłamstw.
- Próbowałaś się ze mną skontaktować?
 - Owszem, chodziło o drobiazg, czyli o naszą wczorajszą rozmowę. Moi zwierzchnicy bardzo nalegali, żebym przyjął oficjalne zeznanie.
 - Przepraszam.
 - No to czego chcesz?
 - Następnej przysługi.
 - Chyba żart!
 - Coś za coś?
 - Co? Znowu słuchałeś, co gadają na mieście?
 - Przesłuchaliście Marjorie Dawson w sprawie ostatniej niedzieli?
 - Nie.
 - Czemu?
 - Bo jest gdzieś na Południu, w odwiedzinach u kochającej matki.
 - Nie wydaje mi się.
 - No to gdzie jest, Sherlocku?
 - W pobliżu.
 - Nie zachowuj się jak chuj, Dunford.
 - Powiedziałem: coś za coś.
 - A wypchaj się – syknął do słuchawki. – Powiesz mi, gdzie ona jest, albo cię przyskrzynię za utrudnianie śledztwa.
 - Daj se na wstrzymanie. Chcę się tylko dowiedzieć, co macie o martwych łabędziach z parku Bretton.
 - Naćpałeś cię, kurna? O jakich martwych łabędziach?
 - Niedawno w Bretton odcięto dwóm łabędziom skrzydła. Chcę się po prostu dowiedzieć, co policja na ten temat sądzi. To wszystko.
 - Fraser dyszał ciężko.
 - Odcięto?

- Tak, odcięto. - Słyszał plotki, pomyślałem.
- Znaleziono je?
- Co?
- Skrzydła.
- Przecież wiesz, że tak, do kurwy nędzy.
- Cisza, a potem:
- Dobra.
- Czyli?
- Dobra, zorientuję się w tej sprawie.
- Dziękuję.
- A teraz, gdzie jest Marjorie Dawson?
- W Domu Opieki Hartleyów w Hemsworth.
- A skąd to, kurwa, wiesz?
- Usłyszałem na mieście.
- Puściłem słuchawkę i zostawiłem ją dyndającą na kablu.

Ja, noga na pedał gazu.

Sierżant Fraser, buty numer 10 biegną przez postęrunek.

Ja, dziesięć minut od Domu Opieki Hartleyów.

Sierżant Fraser zapina kurtkę, bierze czapkę.

Ja, uchylona szyba, zapalony papieros, nastawiony Program 3, na falach Vivaldi.

Sierżant Fraser usiadł przed gabinetem komendanta, spoglądając na tani zegarek, który żona kupiła mu na poprzednie święta.

Ja uśmiechnięty, co najmniej godzinę do przodu.

Ze świeżymi kwiatami w garści zadzwoniłem do drzwi Domu Opieki Hartleyów.

Do St James nigdy nie przyniosłem kwiatów.

Nigdy nie przyniosłem ojcu ani jednej łodygi, ani jednego wiechcia.

Dom, który wyglądał jak stary pałac albo hotel, rzucał zimny cień na zaniedbaną trawę i chaszczę. Dwie sta-

ruszki gapiły się na mnie z wykuszowego okna oranżerii. Jedna masowała sobie lewy cyc, ściskając w palcach sutek.

Zastanawiałem się, kiedy moja matka przestała przynosić ojcu kwiaty.

Rumiana kobieta w średnim wieku ubrana w biały fartuch otworzyła mi drzwi.

– Mogę panu w czymś pomóc?

– Mam nadzieję. Przyjechałem odwiedzić ciocię Marjorie. Panią Marjorie Dawson.

– Ach tak. Rozumiem. Proszę tędy. – Przytrzymała mi otwarte drzwi.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnim razem odwiedziłem ojca, czy było to w poniedziałek, czy we wtorek.

– Jak się czuje?

– Cóż, musieliśmy dać jej coś na nerwy. Tylko tyle, żeby się uspokoiła. – Wprowadziła mnie do dużego holu z jeszcze większymi schodami.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziałem.

– Cóż, słyszałam, że kiedy ją znowu przywieziono, była mocno zdenerwowana.

Znowu? – pomyślałem, gryząc się w język.

– Kiedy ostatnim razem widział pan ciotkę, panie...?

– Dunston. Eric Dunston. – Z uśmiechem wyciągnąłem do niej rękę.

– White – powiedziała pani White, ściskają mi dłoń. – Hartleyów nie ma w tym tygodniu.

– Miło mi panią poznać – powiedziałem szczerze zadowolony, że nie natknąłem się na Hartleyów.

– Pańska ciocia jest na piętrze. Pokój 102. Oczywiście jedyńka.

Ojciec też trafił w końcu do jedyńki, już bez kwiatów, tylko jako stos kości w brązowej torbie ze skóry.

Pani White, w obcisłym białym fartuchu, poprowadziła mnie na górę.

Ogrzewanie było rozkręcone na maksymalną temperaturę, słyszałem cichy szum telewizora albo radia. Zapachy z kuchni podążyły za nami, gdy wchodziliśmy po schodach, zupełnie jakby ciągnęły się za mną aż z samego szpitala St James w Leeds.

Na piętrze przeszliśmy pocąym się korytarzem pełnym dużych żeliwnych kaloryferów i dotarliśmy do pokoju 102.

Serce biło mi szybko i głośno, gdy powiedziałem:

– Dziękuję. Już i tak za długo zawracałem pani głowę, pani White.

– Och, proszę nie żartować. – Pani White się uśmiechnęła, zapukała i otworzyła drzwi. – To żaden kłopot.

Pokój był piękny, skąpany w zimowym słońcu i pełen kwiatów, radio grało cicho coś lekkiego, z Programu 2.

Pani Marjorie Dawson leżała z zamkniętymi oczami z głową na dwóch poduszkach, kołnierzyk jej koszuli nocnej wystawał spod pościeli. Pot, który cienką warstwą pokrywał jej twarz, wygładził też włosy, przez co wyglądała chyba na młodszą niż w rzeczywistości.

Wyglądała jak moja matka.

Spojrzałem na butelki lucozade i wody Robinson's Barley i zobaczyłem w szkle odbicie wychudzonej twarzy ojca.

Pani White podeszła do łóżka, delikatnie dotknęła ramienia pani Dawson.

– Marjorie, kochana. Masz gościa.

Pani Dawson powoli otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju.

– Napije się pan herbatki? – zapytała pani White, gdy poprawiła bukiet na szafeczce nocnej.

– Nie, dziękuję – odparłem ze wzrokiem utkwionym w panią Dawson.

Pani White zabrała mi kwiaty i podeszła do umywalki w kącie.

– No dobrze, wstawię je tylko do wody, a potem zostawię was samych.

– Dziękuję – powiedziałem, myśląc: Kurwa mać.

Pani Dawson patrzyła prosto na mnie, ale jakbym był powietrzem.

Pani White napełniła wazon wodą.

– To Eric, kochana. Twój siostrzeniec – powiedziała, a potem odwróciła się do mnie i szepnęła: – Proszę się nie przejmować. Czasami potrzebuje paru chwil, żeby dojść do siebie. Wczoraj wieczorem zachowywała się tak samo, kiedy przyszedł pański wujek z przyjaciółmi.

Pani White postawiła wazon na szafeczce.

– Cóż, no to skończyłam. Gdyby czegoś pan potrzebował, będę w oranżerii. Do zobaczenia później.
– Uśmiechnęła się i puściła do mnie oko, zamykając drzwi.

Nagle pokój wypełnił się nieznośną muzyką z Programu 2.

Zrobiło się nieznośnie gorąco.

Ojciec odszedł.

Zbliżyłem się do okna. Zatrask został zamalowany. Przesunąłem palcem po farbie.

– Zamknięte na stałe.

Odwróciłem się. Pani Dawson siedziała z wyprostowanymi plecami na łóżku.

– Właśnie widzę – powiedziałem.

Stałem przy tym oknie jak ciotek, cały byłem zlany potem.

Pani Dawson wyciągnęła rękę i wyłączyła radio na szafeczce.

– Kim pan jest?

– Edward Dunford.

– A czemu pan tu przyszedł, panie Edwardzie Dunford?

– Jestem dziennikarzem.

- Więc nagadał pan drogiej pani White kłamstw?
- Przywilej zawodowy.
- Skąd pan wiedział, że tu jestem?
- Otrzymałem anonimowy cynk.
- Jak przypuszczam, powinnam czuć się wyróżniona, że stałam się tematem anonimowego cynku – rzekła pani Dawson, odgarniając kruczoczarne włosy za uszy. – To brzmi tak, jakbym była wielką gwiazdą, nieprawdaż?
- Raczej koniem wyścigowym – odparłem, myśląc o BJ-u.
- Pani Marjorie Dawson uśmiechnęła się i powiedziała:
 - To czemu interesuje się pan taką starą szkapą jak ja, panie Edwardzie Dunford?
 - Mój kolega, Barry Gannon, był u pani z wizytą w ostatnią niedzielę. Pamięta pani?
 - Pamiętam.
 - Powiedziała pani, że jego życie jest w niebezpieczeństwie.
 - Doprawdy? Mówię tyle różnych rzeczy. – Pani Dawson pochyliła się i powąchała kwiaty, które jej przyniosłem.
 - W niedzielę wieczorem zginął.
 - Pani Dawson podniosła oczy – mokre i gasnące.
 - I przyszedł pan, żeby mi to powiedzieć?
 - Nie wiedziała pani?
 - Któż wie, co powinnam wiedzieć ostatnimi czasy? Spojrzałem przez okno na nagie drzewa, ich zimne cienie niknęły razem ze słońcem.
 - Dlaczego powiedziała mu pani, że jego życie jest w niebezpieczeństwie?
 - Zadawał zuchwałe pytania na temat zuchwałych ludzi.
 - Jakie pytania? O pani mężu?
 - Pani Dawson uśmiechnęła się ze smutkiem.
 - Panie Dunford, o moim mężu można powiedzieć niejedno, ale akurat nie to, że jest zuchwały.

– To o czym państwo rozmawialiście?
– O wspólnych znajomych, architekturze, sporcie, tego rodzaju sprawach. – Po jej policzku na szyję spłynęła łza.

– O sporcie?

– O lidze rugby, uwierzyłby pan?

– A konkretnie?

– Cóż, nie jestem kibicem, więc cała rozmowa była dość jednostronna.

– Ale Donald Foster jest kibicem, prawda?

– Doprawdy? Myślałam, że raczej jego żona. – Następna łza.

– Żona?

– Doprawdy, panie Dunford, znowu to samo. Zuchwałe rozmowy mogą kosztować życie.

Znów odwróciłem się do okna.

Wysypanym żwirem podjazdem zbliżał się granatowo-biały policyjny radiowóz.

– O kurwa.

Fraser?

Spojrzałem na zegarek po ojcu.

Dzwoniłem do niego dopiero czterdzieści parę minut temu.

Nie Fraser?

Podszedłem do drzwi.

– Opuszcza mnie pan tak szybko?

– Obawiam się, że policja tu jest. Możliwe, że będą chcieli porozmawiać z panią o Barrym Gannonie.

– Znowu... – westchnęła pani Dawson.

– Znowu? Jak to znowu?

Rozległ się tupot, jakby stonoga chodziła w butach, i krzyki od strony schodów.

– Myślę, że rzeczywiście powinien pan już iść – powiedziała pani Dawson.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Tak, myślę, że rzeczywiście powinieneś iść – rzekł pierwszy policjant w drzwiach.

Ten brodaty.

Nie Fraser.

Do diabła z Fraserem.

– Chyba mówiliśmy, żebyś nie naprzykrzał się ludziom, którzy chcą mieć spokój – powiedział drugi, niższy policjant.

Przyszło ich tylko dwóch, ale miałem wrażenie, jakby cały pokój był pełny facetów w czarnych mundurach, podkutych butach i z pałami w rękach.

Ten niski podszedł do mnie.

– Na kogo wypadnie, na tego bęc.

Ostry ból od kopnięcia w kostkę powalił mnie na kolana.

Padłem na dywan, mrugając oczami mokrymi od piekących łez. Usiłowałem się podnieść.

Podeszła do mnie para białych rajstop.

– Ty kłamliwy sukinsynu – syknęła pani White.

Para dużych stóp odprowadziła ją gdzieś dalej.

– Jesteś martwy – szepnął niższy policjant, gdy wziął mnie za włosy i wywłókł z pokoju.

Skóra na głowie bolała jak rozdrapana rana. Spojrzałem na łóżko.

Pani Dawson leżała na boku, plecami do drzwi, przy grającym głośno radiu.

Drzwi się zatrzasnęły.

Pokój zniknął.

Wielkie małpie łapska capnęły mnie mocno pod pachy, mniejsze szpony wciąż trzymały za włosy.

Zobaczyłem ogromny kaloryfer, złażącą płatami farbę.

O kurwa! Ciepła biała wełna w czarno-żółty ból.

Byłem na szczycie schodów, buty ledwo trzymały mi się na nogach.

A potem trzymałem się poręczy w połowie drogi na dół.

O kurwa! Straciłem dech w płucach i parę żeber.

Potem byłem pod schodami, próbowałem wstać z jedną ręką na najniższym stopniu, a drugą na piersi.

O kurwa! Skóra na głowie – ból czerwony, żółty, czarny.

Potem całe ciepło zniknęło i był już tylko zimny wiatr i grudki żwiru z podjazdu w moich dłoniach.

O kurwa! Moje plecy!

A potem biegliśmy wszyscy przez podjazd.

O kurwa! Moja głowa w zielone drzwi wivy.

Potem obmacywali mi fiuta, szperali w kieszeniach, aż zwijałem się i chichotałem od łaskotek.

O kurwa! Wielkie łapska w skórzanych rękawicach ścisnęły mi twarz w żółto-czerwony ból.

A potem otworzyli drzwiczki mojego wozu, wyciągnęli moją rękę do przodu.

Kurwa, kurwa, kurwa!

Potem czerni.

Żółte światło.

Kto pokocha naszego biednego Czerwonego Kapturka Eddiego?

Znowu to żółte światło.

– Och, Bogu niech będą dzięki.

Różowa twarz matki kręcącej głową.

– Co się stało, kochanie?

Za nią dwie wysokie czarne postaci niczym ogromne wrony.

– Eddie, kochanie?

Żółty pokój pełny czerni i granatów.

– Jest pan na urazówce w Pinderfields – oznajmił niski męski głos z czerni w tle.

Coś na końcu mojego ramienia.

– Czuje pan cokolwiek?

Wielka, gruba zabandażowana ręka na końcu mojego ramienia.

– Ostrożnie, kochanie – powiedziała matka, delikatna brązowa dłoń na moim policzku.

Żółte światło, czarne błyski.

– Oni wiedzą, kim jestem! Wiedzą, gdzie mieszkamy!

– Zostawmy go na razie – powiedział inny mężczyzna. Czarny błysk.

– Przepraszam, mamó.

– Nie przejmuj się tym, kochanie.

Taksówka, pakistańska rozmowa w radiu i zapach świerku.

Spuściłem wzrok na swoją białą prawą dłoń.

– Która godzina?

– Właśnie minęła trzecia.

– Środa?

– Tak, kochanie. Środa.

Za oknem przesuwało się centrum Wakefield.

– Co się stało, mamó?

– Nie wiem, kochanie.

– Kto cię wezwał?

– Wezwał? To ja cię znalazłam.

– Gdzie?

Moja matka, z twarzą do okna, pociągnęła nosem.

– Na podjeździe.

– Co z samochodem?

– Znalazłam cię w samochodzie. Na tylnym siedzeniu.

– Mamó...

– Całego we krwi.

– Mamó...

– Leżałeś zupełnie bez ruchu.

– Proszę...

– Myślałam, że nie żyjesz. – Płakała.

Spojrzałem na swoją białą dłoń, opatrunki cuchnęły mocniej niż samo wnętrze taksówki.

– A ci policjanci?

– Kierowca karetki ich wezwał. Wystarczyło, że rzucił na ciebie okiem, i od razu zawiadomił policję.

Położyła dłoń na moim zdrowym ramieniu, spojrzała mi prosto w oczy.

– Kto ci to zrobił, synku?

Moja zimna prawa dłoń pulsowała pod bandażami.

– Nie wiem.

Z powrotem w domu na Wesley Street w Ossett.

Drzwiczki taksówki zamknęły się za mną z trzaskiem.

Podskoczyłem.

Na drzwiach pasażerskich vivy były brązowe smugi.

Matka szła za mną po podjeździe, zamykając torebkę.

Wsunąłem lewą rękę do prawej kieszeni.

– Co robisz?

– Muszę lecieć.

– Nie bądź głupi, synku.

– Mamo, proszę.

– Nie jesteś zdrow.

– Mamo, przestań.

– Nie, ty przestań. Nie rób mi tego.

Spróbowała capnąć mi z ręki kluczyki.

– Mamo!

– Nienawidzę cię za to, Edwardzie.

Wycofałem samochód z podjazdu, łyzy i czarne błyski w oczach.

Matka stała na podjeździe i patrzyła, jak odjeżdżam.

Jednoręki kierowca.

Czerwone światło, zielone światło, żółte, czerwone.

Płacz na parkingu Czerwonego Strumyka.
Czarny ból, biały ból, żółty ból i więcej.

Pokój 27 – nietknięty.

Jedna garść pod kran i zimna woda na głowę.

Twarz w lustrze brązowa od starej krwi.

Pokój 27, wszędzie krew.

Dwadzieścia minut później w drodze do Fitzwilliam.

Prowadziłem z jedną ręką na wstecznym lusterku, zerwałem zębami nakrętkę ze słoiczka i połknąłem sześć tabletek paracetamolu naraz, żeby uśmierzyć ból.

Z białą grubą dłonią na kierownicy, lewą ręką przesuwałem kieszenie. Zdrową dłonią i zębami rozprostowałem kartkę wyrwaną z książki telefonicznej w Czerwonym Strumyku.

Ashworth, D., Newstead View 69, Fitzwilliam.

W kółeczku i podkreślone.

PIERDOLIĆ IRA napisane sprayem na żelaznym moście do miasta.

– Czołem, panowie. Gdzie Newstead View?

Trzech nastolatków w szerokich zielonych spodniach jarało na spółkę papierosa, plując poprzecinaną różowymi żyłkami flegmą w okno przystanku autobusowego.

– Że co? – powiedzieli.

– Newstead View?

– Przy alkoholowym w prawo. A potem w lewo.

– Wielkie dzięki.

– No i słusznie.

Z trudem podniosłem szybę w oknie i silnik mi zgaśł, kiedy odjeżdżałem. Pożegnały mnie trzy pary zielonych spodni, różowy deszcz i dwa wystawione palce.

Pod opatrunkiem moje cztery palce zbite w jedną miazgę.

W prawo przy sklepie alkoholowym, a potem w lewo w Newstead View.

Zatrzymałem się i zgasilem silnik.

Newstead View było ciągiem domów stojących naprzeciwko zaśmieconych wrzosowisk. Konie pasły się między rdzewiejącymi traktorami i kupami złomu. Horda psów gonila ulicą za foliową torebką. Gdzieś w pobliżu ryczały dzieci.

Poszperałem w kieszeniach marynarki.

Wyciągnąłem długopis, miałem pusto w żołądku i łyzy w oczach.

Spojrzałem na białą prawą dłoń, która nie chciała się zacisnąć, na białą prawą dłoń, która nie mogła pisać.

Długopis sturłał się powoli z bandażu na podłogę samochodu.

Newstead View 69, zadbane ogródki i farba oblażąca z okiennych framug.

Blask włączonego telewizora.

Puk, puk.

Lewą ręką włączyłem dyktafon w prawej kieszeni marynarki.

– Dzień dobry. Nazywam się Edward Dunford.

– Tak? – wycedziła z irlandzkim akcentem przedwcześnie osiwiła kobieta o wystających zębach.

– Czy jest James?

Z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie niebieskiego fartucha powiedziała:

– Pan jesteś ten z „Posta”, prawda?

– Tak, to ja.

– Ten, który rozmawiał z Terryem Jonesem?

– Tak.

– Czego pan chcesz od naszego Jimmy’ego?

– Tylko chwilkę pogadać, nic więcej.

– Dość już się nagadał na policji. Nie potrzeba mu powtórki. Zwłaszcza z takimi jak...

Wyciągnąłem rękę i przytrzymałem się futryny, żeby nie upaść.

– Miałeś pan jakiś wypadek, co?

– Tak.

Pani Ashworth westchnęła i wymamrotała:

– Lepiej pan wejdź i sobie usiądź. Nie wyglądasz najlepiej.

Zagoniła mnie do dużego pokoju na fotel, który stał za blisko ognia.

– Jimmy! Jest tu ten pan z „Posta”, który chce się z tobą zobaczyć.

Lewy policzek już mnie piekł, kiedy usłyszałem dwa donośne łupnięcia z pokoju na górze.

Pani Ashworth wyłączyła telewizor i w pokoju zapanaował pomarańczowy półmrok.

– Powinieneś pan być przyjsć wcześniej.

– Dlaczego?

– No bo na własne oczy tego nie widziałam, ale mówi się, że było mnóstwo policji.

– Kiedy?

– Około piątej dziś rano.

– Gdzie? – zapytałem, wysilając wzrok w mroku, żeby przyjrzeć się szkolnej fotografii, która stała na telewizorze. Długowłosy młodzieniec uśmiechał się do mnie zawadiacko, węzeł jego krawata był tak duży, jak sama twarz.

– Tu. Na tej ulicy.

– Dzisiaj o piątej rano?

– Tak, o piątej. Nikt nie wie, o co im się rozchodziło, ale wszyscy uznali, że to był...

– Cicho, mamó!

W drzwiach stanął Jimmy Ashworth ubrany w starą szkolną koszulę i fioletowe spodnie od dresu.

– O, wstałeś. Herbatki? – zapytała matka.

– Poproszę – powiedziałem.

– Dobra – powiedział młokos.

Pani Ashworth wyszła z pokoju niemal rakiem, mamrocząc coś pod nosem.

Chłopak usiadł na podłodze, oparł się plecami o kanapę i potrząsnął głową, odgarniając włosy z oczu.

– Jimmy Ashworth?

Potaknął.

– Ty jesteś ten facet, który gadał z Terryem?

– Tak, to ja.

– Terry mówił, że może być z tego dla nas jakaś forsa?

– Może. – Rozpaczliwie pragnąłem się przesiąść.

Jimmy Ashworth sięgnął za siebie na poręcz kanapy po szlugi. Paczka upadła na dywan i chłopak wyciągnął jednego papierosa.

Przesunąłem się na brzeg siedziska i powiedziałem półgłosem:

– Opowiesz mi, co się stało?

– A co się stało z twoją ręką? – odparł Jimmy, zapalając.

– Ktoś mi przytrzasnął drzwiami samochodu. A z twoim okiem?

– Widać, co?

– Tylko jak poświecisz. Gliniarze cię tak załatwili?

– Może.

– Dali ci wycisk, co?

– Można tak powiedzieć.

– To postaraj się chociaż wyciągnąć z tego trochę forsy. Opowiesz, co się stało?

Jimmy Ashworth zaciągnął się mocno, a potem powoli wypuścił dym w pomarańczową poświatę, która biła od ognia w kominku.

– Czekaliśmy na kierownika, ale on wcale nie przyszedł, a strasznie padało, więc po prostu zbijaliśmy bąki, wiesz, piliśmy herbatę i tak dalej. Poszedłem do rowu, żeby się odlać, i właśnie wtedy ją zobaczyłem.

– Gdzie leżała?

– W rowie, ale prawie przy samej górze. A potem zobaczyłem te, te...

W kuchni zagwizdał czajnik.

– Skrzydła?

– Więc wiesz?

– No.

– Terry mówił?

– No.

Jimmy Ashworth odgarnął włosy z twarzy i przypalił je sobie trochę papierosem.

– Kurde.

Swąd spalonych włosów wypełnił pokój.

Jimmy Ashworth popatrzył na mnie.

– Były przyszyte.

– I co zrobisz? – zapytałem, odwracając się jak najdalej od ognia.

– Nic. Po prostu mnie, kurwa, замуrowało. Nie mogłem uwierzyć, że to ona. Wyglądała inaczej, taka błada.

Pani Ashworth wróciła z tacą i postawiła herbatę na stole.

– Ciągle powtarzali, jaka to była urocza dziewczynka – wyszeptać.

Całe prawe ramię mi zdrętwiało, jakby przestała w nim krążyć krew.

– I byłeś sam? – spytałem.

– Taa.

W dłoni znowu pulsował ból, bandaże nasiąkały potem, skóra zaczęła swędzieć.

– A co z Terryem Jonesem?

– Co?

– Dziękuję – powiedziałem, przyjmując od pani Ashworth filiżankę herbaty. – Kiedy Terry ją zobaczył?

– Przecież jasne, że wróciłem do chłopaków i im powiedziałem, no nie?

– Kiedy to było?

– Jak to?

– Powiedziałeś przed chwilą, że cię zamurowało, więc zastanawiam się, jak długo stałeś tam, zanim zawiadomiłeś pozostałych.

– Nie wiem, kurwa.

– Jimmy, proszę. Nie w domu – upomniała go półgłosem matka.

– Ale on jest jak te cholerne mendy. Nie wiem, jak długo to było.

– Przepraszam, Jimmy – powiedziałem i postawiłem filiżankę herbaty na kominku, żeby podrapać się przez bandaż.

– Wróciłem do baraku i miałem nadzieję, że kierownik już będzie, ale...

– Pan Foster?

– Nie, nie. Pan Foster jest szefem. Kierownikiem jest pan Marsh.

– George Marsh. Bardzo miły człowiek – powiedziała pani Ashworth.

Jimmy Ashworth popatrzył na matkę, westchnął i powiedział:

– W każdym razie kierownika nie było, tylko Terry.

– A pozostali?

– Pojechali gdzieś furgonetką.

– Więc powiedziałeś Terry’emu Jonesowi, co znalazłeś, i on poszedł z tobą do Czarciego Rowu?

– Nie, nie. Poszedłem i zadzwoniłem na policję. Raz mi wystarczył.

– Więc Terry poszedł się rozejrzeć, podczas gdy ty dzwoniłeś na policję?

– Tak.

– Był sam?

– Sam, tak jak powiedziałem.

– I?

Jimmy Ashworth odwrócił wzrok, spoglądając w pomarańczową poświatę.

– I przyjechała policja, i wzięli nas na posterunek na Wood Street.

– Myśleli, że on to zrobił, wie pan. – Pani Ashworth wycierała sobie oczy chusteczką.

– Mamo! Zamknij się.

– A co z Terryem Jonesem? – zapytałem. Pulsujący ból w ręce się wzmógł, a potem zanikł. Czulem, że czegoś brakuje.

– Tamten to nic dobrego.

– Mamo, zamkniesz się w końcu?!

Ciągle to gorąco. Byłem odrętwiały i zmęczony.

– Policja go przesłuchała?

– Tak.

Pociłem się, swędziało mnie, rozpaczliwie pragnąłem uciec z tego cholernego pieca.

– Ale nie podejrzewali, że to był on, prawda?

– Nie wiem. Sam ich zapytaj.

– Dlaczego uważali, że ty to zrobisz, Jimmy?

– Jak powiedziałem, zapytaj ich.

Wstałem.

– Bystry z ciebie chłopak, Jimmy.

Podniósł wzrok, zaskoczony.

– Jak to?

– Że trzymasz język za zębami.

– To dobry chłopak, panie Dunford. Nie zrobił nic złego – powiedziała pani Ashworth, wstając.

– Dziękuję, że zaprosiła mnie pani do środka, pani Ashworth.

– Co pan o nim napiszesz? – Stała w drzwiach z rękami głęboko w swoich niebieskich kieszeniach.

– Nic.

– Nic? – Jimmy Ashworth stał obok, był bosy.

– Nic – powtórzyłem, unosząc swoją grubą białą rękę.

Pojechałem powoli przez czerń z powrotem do Czerwonego Strumyka, łykając kolejne pigułki i rozsypując kilka na podłodze. Światła ciężarówek i choinek mijały mnie w mroku niczym widma.

Miałem łzy na policzkach, i to wcale nie z bólu.

„Na jakim parszywym świecie żyjemy”.

Zabijano dzieci, a wszystkich gównu to obchodziło.
Król Herod żyje.

W jaskrawożółtej recepcji wyciągnąłem następną kupkę moniaków. Wykręciłem numer na Wesley Street i czekałem ze słuchawką przy uchu pięć minut.

„Nienawidzę cię za to, Edwardzie”.

Pomyślałem, czy zadzwonić do domu siostry, ale się rozmyśliłem.

Wyszedłem, kupiłem „Evening Posta” i wypiliśmy w kawiarni Czerwonego Strumyka kawę.

W gazecie zatrząsienie artykułów o podwyżkach cen i IRA. Była jedna krótka notatka o dochodzeniu w sprawie zabójstwa Clare Kemplay, nudne wypowiedzi detektywa nadinspektora Noble’a na drugiej stronie, bez nazwiska autora.

Co robił Jack, do kurwy nędzy?

„Widziałem Jacka Whiteheada, jak wychodził z Radości. Wyglądał na schlanego i wściekłego”.

Na dalszych stronach pełno o Leeds United, piłka nożna kopnęła ligę rugby w tylek.

Nic o Johnnym Kellym ani o Wakefield Trinity, tylko St Helens 7 punktów do przodu.

„Doprawdy? Myślałam, że raczej jego żona”.

Kreśliłem kółka wyschniętą łyżeczką od kawy:

Zaginiona dziewczynka: Clare Kemplay –

Ciało Clare znalezione przez Jamesa Ashwortha –

James Ashworth, zatrudniony w Przedsiębiorstwie Budowlanym Fostera –

Przedsiębiorstwo Budowlane Fostera, należące do Donalda Fostera –

Donald Foster, prezes klubu rugby Wakefield Trinity –

Gwiazda Wakefield Trinity, Johnny Kelly –

Johnny Kelly, brat Pauli Garland –

Paula Garland, matka Jeanette Garland –

Jeanette Garland: Zaginiona dziewczynka.

„Wszystko jest powiązane. Pokażcie mi dwie sprawy, które nie byłyby powiązane”.

Barry Gannon, jakby siedział przy stoliku, naprzeciwko mnie:

– To jaki masz plan?

Z powrotem w jaskrawożółtej recepcji, tuż po szóstej przrzuciałem kartki książki telefonicznej.

– Tu Edward Dunford.

– Tak?

– Muszę się z panią zobaczyć.

– Niech pan lepiej wejdzie.

Pani Paula Garland w drzwiach numeru 11 przy Brunt Street w Castleford.

– Dziękuję.

Z prawą ręką w kieszeni. Wkroczyłem do kolejnego ciepłego salonu, właśnie zaczynał się odcinek *Coronation Street*.

Z kuchni wyszła niska i gruba ruda kobieta.

– Dzień dobry, panie Dunford.

– To Clare Szkotka, mieszka dwa domy dalej. Właśnie sobie idzie, prawda?

– Tak. Miło mi pana poznać – powiedziała Clare Szkotka, ściskając moją lewą dłoń.

– Mam nadzieję, że nie wychodzi pani ze względu na mnie? – skłamałem zawodowo.

– Uuu, jakie dobre manieri, hę? – Zaśmiała się.

Paula Garland wciąż trzymała otwarte jaskrawoczerwone drzwi.

– Do zobaczenia jutro, kochana.

– Tak. Miło było pana poznać, panie Dunford. Może spotkamy się znowu na maleńkiego świątecznego drinka, he?

– Eddie, proszę. Byłoby bardzo miło. – Uśmiechnąłem się.

– W takim razie do zobaczenia, Eddie. Wesołych świąt!

– Clare uśmiechnęła się szeroko.

Paula Garland wyszła z nią na ulicę i odprowadziła kilka kroków.

– No to cześć – powiedziała na dworze, chichocząc.

Stałem przez chwilę sam w salonie, wpatrzony w zdjęcie na telewizorze.

Paula Garland wróciła i zamknęła czerwone drzwi.

– Przepraszam za to.

– Nie, to ja powinienem przeprosić, za ten telefon i...

– Niech się pan nie wygłupia. Proszę siadać.

– Dziękuję. – Usiadłem na białej skórzanej kanapie.

– Jeśli chodzi o wczoraj, to... – zaczęła.

Uniosłem ręce.

– Nie ma sprawy.

– Co się stało z pańską dłonią? – Paula Garland podniosła własną dłoń do ust, wpatrując się w zwój zszarzałych bandaży.

– Ktoś przytrzasnął mi ją drzwiami mojego samochodu.

– Żartuje pan?

– Nie.

– Kto?

– Dwaj policjanci.

– Żartuje pan?

– Nie.

– Dlaczego?

Podniosłem wzrok i spróbowałem się uśmiechnąć.

– Myślałem, że dowiem się tego od pani.

– Ode mnie?

Kawałek czerwonej bawełnianej nitki przyczepił się do jej brązowej rozkloszowanej spódnicy. Chciałem zmienić temat i powiedzieć jej o tej czerwonej nitce. Ale powiedziałem:

– Ci sami dwaj gliniarze próbowali mnie odstraszyć po tym, jak byłem tu w niedzielę.

– W niedzielę?

– Wtedy przyszedłem po raz pierwszy.

– Nie zgłaszałam niczego policji.

– A komu pani o mnie powiedziała?

– Tylko naszemu Paulowi.

– Komu jeszcze?

– Nikomu.

– Proszę mi powiedzieć.

Paula Garland stała pośrodku pokoju, otoczona meblami, pucharami i zdjęciami, i kartkami świątecznymi, otulając się mocno cardiganem w żółte, zielone i brązowe pasy.

– Pani Garland...

– Paula, proszę – wyszeptwała.

Pragnąłem tylko skończyć tę rozmowę, wyciągnąć rękę, zdjąć tę czerwoną bawełnianą nitkę, wziąć Paulę w ramiona i mocno przytulić.

Ale powiedziałem:

– Proszę, Paula, muszę wiedzieć.

Westchnęła i usiadła naprzeciwko mnie na białym skórzanym fotelu.

– Kiedy sobie poszedłeś, byłam zdenerwowana i...

– Tak?

– No i wpadli do mnie Fosterowie..

– Donald Foster?

– Z żoną.

- Dlaczego przyszli?
Błękitne oczy Pauli Garland błysnęły chłodem.
- To moi znajomi.
- Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.
Westchnęła.
- Przyszli zapytać, czy mam jakieś wieści od John-
ny'ego.
- Kiedy to było?
- Jakieś dziesięć albo piętnaście minut po twoim odej-
ściu. Nadal płakałam i...
- Przepraszam.
- To nie była tylko twoja wina. Przez cały weekend
wydzwaniiali do mnie, chcieli rozmawiać z Johnnym.
- Kto?
- Dziennikarze. Twoi koledzy. – Mówiła teraz do pod-
łogi.
- I powiedziałaś o mnie Fosterowi?
- Nie mówiłam, jak się nazywasz.
- A co powiedziałaś?
- Tylko że jakiś pierdolony pismak przylazł i wypytywał
o Jeanette. – Paula Garland podniosła wzrok, spoglądając
na moją prawą rękę.
- Opowiedz mi o nim – powiedziałem, czując, jak moja
zmartwiała dłoń znowu się budzi.
- O kim?
- Ból narastał i pulsował.
- O Donaldzie Fosterze.
- Paula Garland z pięknymi blond włosami upiętymi
do tyłu zapytała:
- Ale co?
- Wszystko.
- Przełknęła ślinę.
- Jest bogaty i lubi Johnny'ego.
- I?
- Zamrugła nerwowo i wyszeptwała:

– I był dla nas bardzo dobry, kiedy Jeanette zaginęła.
Z suchymi ustami i rozpaloną dłonią, wpatrzony
w czerwoną bawełnianą nitkę, powiedziałem:

– I?

– I zachowuje się jak sukinsyn wobec tych, którzy mu
podpadli.

Uniosłem białą prawą rękę.

– Myślisz, że zrobiłby coś takiego?

– Nie.

– Nie?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie, nie wiem, bo nie wiem, dlaczego miałby to robić.

– Dlatego że tyle wiem.

– Jak to? Co takiego wiesz?

– Wiem, że wszystko jest powiązane, a on jest łącz-
nikiem.

– Jakim łącznikiem? O czym mówisz? – Paula Garland
drapała się teraz po przedramionach.

– Donald Foster zna ciebie i Johnny’ego, a ciało Clare
Kemplay znaleziono na jednym z jego placów budowy.

– To wszystko?

– Jest łącznikiem między Jeanette i Clare.

Paula Garland pobladła i zadrżała, rozdrapując sobie
skórę na ramionach.

– Myślisz, że Donald Foster zabił tę małą dziewczynkę
i zabrał mi moją Jeanette?

– Tego nie mówię, ale on wie.

– Co wie?

Skoczyłem na równe nogi, wymachując bandażami,
podnosząc głos:

– Gdzieś tam jest facet, który porywa, gwałci i morduje
małe dziewczynki, i będzie gwałcił i mordował dalej,
i nikt go nie powstrzyma, bo nikogo to tak naprawdę nie
obchodzi.

– Mnie obchodzi.

– Wiem, że ciebie obchodzi, ale ich nie. Im zależy tylko na ich kłamstewkach i pieniądzach.

Paula Garland poderwała się z fotela, całując mnie w usta, całując mnie po oczach, po uszach, ściskając mnie mocno, powtarzając w kółko:

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Lewą dłoń przycisnąłem do jej kręgosłupa, prawa ręka dyndała odrętwiała, czepiając się jej spódnicy, a kawałek czerwonej nitki przylgnął do mojego bandaża.

– Nie tutaj – powiedziała Paula. Delikatnie wzięła mnie za prawą rękę i poprowadziła stromymi schodami na górę.

Na piętrze było troje drzwi, dwoje zamkniętych i uchylone drzwi do łazienki. Dwie plastikowe plakietki: *Pokój mamy i taty* i *Pokój Jeanette*.

Wpadliśmy przez drzwi „mamy i taty”, Paula całowała mnie coraz mocniej, mówiła coraz szybciej i szybciej:

– Ciebie to naprawdę obchodzi. Nawet nie wiesz, jak dużo to dla mnie znaczy. Od tak dawna nikogo to nie obchodziło.

Znaleźliśmy się na łóżku, światło z korytarza padało ciepłymi refleksami na szafę i toaletkę.

– Wiesz, jak często wciąż budzę się i myślę: muszę zrobić Jeanette śniadanie, muszę pójść ją obudzić?

Leżałem na niej, odwzajemniając pocałunek. Buty spały z łoskotem na podłogę.

– Chcę tylko zasypiać i budzić się jak normalni ludzie.

Usiadła na łóżku i zdjęła cardigan w żółto-zielono-brązowe paski. Spróbowałem pochylić się i oprzeć na prawej ręce, odpinając lewą ręką guziki w kształcie kwiatków na bluzce.

– Kiedyś tak bardzo było dla mnie ważne, żeby nikt o niej nie zapomniał, żeby nikt nigdy nie mówił o niej, jakby nie żyła albo w czasie przeszłym.

Moja lewa ręka rozpiniała suwak spódnicy, ręka Pauli na moim rozporku.

– Wiesz, nie byliśmy szczęśliwi, Goeff i ja. Ale odkąd urodziła się Jeanette, wszystko nabrało sensu.

Czułem w ustach słony smak, jej łyzy i słowa były niczym rześisty, nieustanny deszcz.

– Ale nawet wtedy, nawet kiedy była jeszcze niemowlęciem, leżałam w nocy i nie mogłam zasnąć, zastanawiając się, co bym zrobiła, gdyby coś jej się stało. Widziałam ją martwą, leżałam i nie mogłam zasnąć, i widziałam ją martwą.

Ścisnęła mojego fiuta zbyt mocno, a ja wepchnąłem rękę w jej majtki.

– Zwykle potrąconą przez samochód albo ciężarówkę, leżącą na ulicy w swoim czerwonym płaszczyku.

Całowałem jej cycki, potem brzuch, uciekałem od jej słów i pocałunków do cipy.

– Czasami wyobrażałam ją sobie uduszoną, zgwałconą i zamordowaną, i biegłam do jej pokoju, budziłam ją i tuliłam, tuliłam, tuliłam.

Przechesowała palcami moje włosy, odrywając płatki strupów, moja krew pod jej paznokciami.

– A potem, kiedy nie wracała do domu coraz dłużej, wszystko, co sobie wyobrażałam, wszystkie te okropności, wszystko to się sprawdziło.

Paliała mnie ręka, głos Pauli zmienił się w biały szum.

– Wszystko się sprawdziło.

A ja, mój fiut, wszedłem mocno i szybko do jej wytłumionego wnętrza.

Ona, jej jęki i szepty w ciemności.

– Chowamy naszych zmarłych żywcem, prawda?

Ssałem jej sutek.

– Pod kamieniami, pod trawą.

Kąsałem płatek jej ucha.

– Słyszemy ich codziennie.

Ssałem jej dolną wargę.
– Oni do nas mówią.
Ścisnąłem jej biodra.
– Pytają: dlaczego, dlaczego, dlaczego?
Ja, szybciej i szybciej.
– Codziennie ją słyszę.
Szybciej.
– Słyszę, jak pyta mnie: dlaczego?
Szybciej.
Sucha podrażniona skóra o suchą podrażnioną skórę.
– Dlaczego?
Myślałem o Mary Goldthorpe, o jej jedwabnych majtkach i pończochach.
– Puka do tych drzwi i chce się dowiedzieć dlaczego!
Szybciej.
– Chce wiedzieć dlaczego!
Moje suche kanty o jej suche brzegi.
– Słyszę, jak pyta: dlaczego, mamusiu?
Myślałem o Mandy Wymer, o tym, jak spódnica podjechała jej do góry.
– Dlaczego?
Szybko.
Sucho.
Myślę o nie tej Garland.
Koniec.
– Nie mogę znowu być sama.
Z suchym i obolałym fiutem słucham, jak jej słowa dobiegają z ciemności.
– Zabrali mi ją. A potem Goeff...
Z otwartymi oczami myślę o dwururkach, o Goeffie Garlandzie i Grahamie Goldthorpie, o rozbryzganej krwi.
– Był tchórzem.
Światła przejeżdżających samochodów malowały ruchome cienie na suficie i zastanawiałem się, czy Goeff

strzelił sobie w łeb w tym domu, w tym pokoju, czy może gdzie indziej.

Paula mówiła:

– I tak czułam, że obrączka jest za luźna na palcu.

Leżałem w łóżku wdowy i matki, myśląc z zaciśniętymi powiekami o Kathryn Taylor, więc tak jakby mnie tam naprawdę nie było.

– A teraz Johnny.

Doliczyłem się tylko dwóch sypialni i jednej łazienki. Zastanawiałem się, gdzie sypiał brat Pauli Garland. Czy Johnny zajął pokój Jeanette.

– Nie mogę dłużej tak żyć.

Delikatnie gładziłem się po prawym ramieniu, jej pościelowy szept działał usypiająco.

Była wigilia Bożego Narodzenia, wieczór. Nowa chata z bali stała w środku ciemnego lasu, świeczki paliły się żółtym płomieniem w oknach. Szedłem przez las, lekki śnieg zapadał się pod moimi stopami, zmierzałem do domu. Na ganku przed chatą zatupałem, strząsając śnieg z butów, i otworzyłem ciężkie drewniane drzwi. Ogień trząskał w palenisku i w izbie unosił się zapach dobrego jedzenia. Pod idealną choinką stały pudła pięknie zapakowanych prezentów. Wszedłem do sypialni i zobaczyłem ją. Leżała pod ręcznie szytą kołdrą, jej złociste włosy były rozsypane na bawełnianych poduszkach w kratę. Usiadłem na brzegu łóżka, odpinając guziki. Wślizgnąłem się cicho pod kołdrę, przytulając się do niej. Była zimna i mokra. Zacząłem szukać po omacku jej rąk i nóg. Usiadłem i odkryłem kołdrę, cała pościel czerwona. Została tylko głowa i pierś, rozdarte wzdłuż szwów, bez ramion i nóg. Szarpnąłem pościel – serce spadło z głuchym łoskotem na podłogę. Podniosłem je zabandażowaną ręką, kurz i pierze kleiły się do krwi. Przycisnąłem pobrudzone serce do jej piersi, gładząc jej złociste kędziory. Włosy zostały mi w ręce, odrywając się i zsuwając z głowy. Leżałem w łóżku cały w pierzu i krwi, w wigilijny wieczór, gdy ktoś zapukał.

Ocknąłem się.

– Co to było?

Paula Garland wygramoliła się z łóżka.

– Telefon dzwoni.

Wzięła swój żółto-zielono-brązowy sweter, wkładając go, gdy schodziła po schodach. Dupę miała na wierzchu, a kolory zupełnie jej nie pasowały.

Leżałem na łóżku, słuchając szurania myszy albo ptaków gdzieś na dachu.

Po dwóch albo trzech minutach usiadłem, wstałem, ubrałem się i zszedłem na dół.

Paula Garland kołysała się w przód i w tył na białym skórzanym fotelu, ściskając szkolną fotografię Jeanette.

– Co się dzieje? Co się stało? – Myślałem sobie: Kurwa, kurwa, kurwa. Wizje wypadków samochodowych i zakrwawionych szyb.

– To był Paul...

Padłem na kolana, potrząsnąłem nią.

– Co?

– Znaleźli go.

– Kogo? Paula?

– Jakiegoś chłopaka z Fitzwilliam.

– Co?

– Mówią, że to on jest sprawcą.

– Czego?

– Mówią, że zabił Clare Kemplay i...

– Co?

– On mówi, że zabił inne.

Nagle wszystko wydało się czerwone, jakby oślepiła mnie krew.

Paula Garland mówiła dalej:

– Powiedział, że zabił Jeanette.

– Jeanette?

Miała otwarte usta i oczy, nie wydała żadnego dźwięku, nie płakała.

Popędziłem po schodach na górę, moja ręka płonęła.
Zbiegłem po schodach z butami w garści.

– Dokąd idziesz?

– Do redakcji.

– Nie idź, proszę.

– Muszę.

– Nie mogę zostać sama.

– Muszę iść.

– Wrócisz?

– Oczywiście.

– Słowo harcerza?

– Słowo harcerza.

Dziesiąta wieczorem, środa, 18 grudnia 1974 roku.

Szosa śliska, czarna i mokra.

Z jedną ręką na kierownicy i stopą mocno dociskającą pedał gazu, gdy lodowaty wiatr świszczwał w kabinie vivy, myślałem o Jimmym Jamesie Ashworcie.

„Myśleli, że on to zrobił, wie pan”.

Spojrzałem we wsteczne lusterko – na autostradzie prawie pusto, tylko ciężarówki, kochankowie i Jimmy James Ashworth.

„Mamo! Zamknij się”.

Zjechałem z autostrady przy obozie Cyganów, czerni na czerni skrywała zniszczenia. Potrząsnąłem prawą ręką, rozgrzewając krew, myśląc o Jimmym Jamesie Ashworcie.

„Dlaczego uważali, że ty to zrobiłeś, Jimmy?”.

Przez świąteczne dekoracje świetlne w centrum Leeds, układając artykuł w głowie, myśląc o Jimmym Jamesie Ashworcie.

„Zapytaj ich”.

Gmach „Yorkshire Post”, żółte światła na dziesięciu piętrach. Zaparkowałem pod budynkiem i uśmiechnąłem się szeroko, myśląc o Jimmym Jamesie Ashworcie.

„Bystry z ciebie chłopak, Jimmy”.

Duża choinka w recepcji, dwuskrzydłowe przeszklone drzwi z wypisanymi białym sprayem świątecznymi życzeniami. Wcisnąłem guzik windy, myśląc: Jimmy James Ashworth.

„Trzymasz język za zębami”.

Rozsunęły się drzwi windy. Wsiadłem do środka i wcisnąłem guzik z numerem 10, waliło mi serce, myślałem: Jimmy James Ashworth.

„To dobry chłopak, panie Dunford. Nie zrobił nic złego”.

Drzwi windy otworzyły się na dziesiątym piętrze, w redakcji ruch, wszyscy gadają. Ten sam wyraz na wszystkich twarzach, MAMY GO!

Ścisnąłem dyktafon w lewej garści, myśląc o Jimmym Jamesie Ashworcie, dziękując Jimmowi Jamesowi Ashworthowi.

„Co pan o nim napiszesz?”.

To będzie bomba.

Do gabinetu Haddena, bez pukania.

W pokoju spokój jak w oku cyklonu.

Jack Whitehead podnosi wzrok, oczy duże jak spodki, dwudniowy zarost.

– Edwardzie... – Hadden, okulary zsunięte do połowy nosa.

– Przeprowadziłem z nim dziś po południu wywiad. Przeprowadziłem z nim pierdolony wywiad!

Hadden skrzywił się boleśnie.

– Z kim?

– Nie, nie przeprowadziłeś. – Jack uśmiechnął się do mnie szeroko, smród gorzały w powietrzu.

– Siedziałem w jego salonie i praktycznie wszystko mi opowiedział.

– Serio? – Jack z drwiącym zdziwieniem.

– Tak, serio.

– O kim ty mówisz, wilczku?

– O Jamesie Ashworcie.

Jack Whitehead uśmiechnięty popatrzył na Billa Haddena.

– Siadaj – powiedział Hadden, wskazując miejsce obok Jacka.

– O co chodzi?

– Edwardzie, nie aresztowano żadnego Jamesa Ashwortha – powiedział łagodnie.

Jack Whitehead udał, że spogląda w notatki, unosząc brew jeszcze wyżej. Nie mógł się powstrzymać i rzekł:

– Chyba że znany jest także jako Michael John Myshkin.

– Kto?

– Michael John Myshkin – powtórzył Hadden.

– Rodzice są polaczkami, nie rozumieją po angielsku ni w ząb – zaśmiał się Jack, jakby to było zabawne.

– Proszę, wilczku. Przeczytaj sobie. – Jack Whitehead rzucił mi pierwsze poranne wydanie. Gazeta odbiła się ode mnie i spadła na podłogę. Pochyliłem się, żeby ją podnieść.

– Co się stało z twoją ręką, na Boga Ojca? – zapytał Hadden.

– Przycięta drzwiami.

– Mam nadzieję, że to nie wpłynie niekorzystnie na twój styl, co, wilczku?

Zacząłem szeleścić gazetą, przerzucając kartki lewą ręką.

– Potrzebujesz drugiej pary rąk? – Jack zarechotał.

– Nie.

– Na pierwszej stronie. – Uśmiechnął się.

Tytuł krzyczał: SCHWYTANY!

Podtytuł szdyził: *Sprawa Clare: Wydział zabójstw aresztuje mężczyznę z okolicy.*

Następny wiersz się przechwalał AUTOR: JACK WHITEHEAD, DZIENNIKARZ KRYMINALNY ROKU.

Czytałem dalej:

We wczesnych godzinach porannych policja aresztowała mieszkańca Fitzwilliam w związku z zabójstwem dziesięcioletniej Clare Kemplay.

Według informacji ze źródła policyjnego, przekazanych wyłącznie naszej gazecie, mężczyzna przyznał się do morderstwa i oficjalnie postawiono mu zarzuty. Jeszcze dziś rano sąd pokoju w Wakefield wyda decyzję o jego tymczasowym aresztowaniu.

Źródło policyjne ujawniło ponadto, że mężczyzna przyznał się także do popełnienia szeregu innych morderstw i wkrótce można się spodziewać następnych zarzutów.

Policyjni śledczy z całego kraju mają dzisiaj przybyć do Wakefield, aby przestuchać mężczyznę na okoliczność innych podobnych spraw, które jeszcze nie doczekały się rozwiązania.

Upuściłem gazetę na podłogę.

– Miałem rację.

– Tak myślisz? – rzucił Jack.

Zwróciłem się do Haddena.

– Wie pan, że tak. Mówiłem, że są powiązane.

– Które sprawy są brane pod uwagę? – zapytał Hadden.

– Jeanette Garland i Susan Ridyard – powiedziałem ze łzami w oczach.

– Na początek – dodał Jack.

– Mówiłem, kurwa, mówiłem.

– Język, Edwardzie – mruknął Hadden.

– Siedziałem w tym gabinecie, siedziałem w gabinecie Oldmana i obu wam to mówiłem.

Ale wiedziałem, że jest już po herbacie.

Siedziałem więc teraz na samym końcu tego wszystkiego, z Haddenem i Jackiem Whiteheadem, a ręka drętwiała mi z bólu. Przeniósłem wzrok z jednego na drugiego. Jack się uśmiechał, Hadden bawił się okularami. Gabinet, sala

redakcyjna, ulice za oknami, wszystko nagle ucichło. Przez moment zastanawiałem się, czy na dworze nie zaczął padać śnieg.

Tylko przez moment, bo potem znowu się zaczęło:

– Mamy jakiś adres? – zapytałem Haddena.

– Jack?

– Newstead View 54.

– Newstead View! To ta sama pierdolona ulica!

– Co? – Cierpliwość Haddena była na wyczerpaniu.

– James Ashworth, chłopak, który znalazł zwłoki, mieszka na tej samej pieprzonej ulicy co ten facet.

– No i? – Jack się uśmiechnął.

– Odwal się, Jack!

– Proszę, nie mów takim językiem u mnie w gabinecie.

Jack Whitehead uniósł ręce w prześmiewczym geście kapitulacji.

Widziałem czerwień, czerwień i nic, tylko czerwień, głowę rozsadał mi ból.

– Mieszkają na tej samej ulicy, do cholery, w tym samym mieście, piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki.

– Zbieg okoliczności – orzekł Jack.

– Tak sądzisz?

– Tak sądzę.

Opadłem plecami na oparcie krzesła, prawa ręka mi ciążyła od zastanej krwi, wrażenie ciężkości rozlewało się na wszystko, jakby śnieg padał tutaj, w tym gabinecie, w mojej głowie.

– Facet sam im wszystko wyśpiewał – stwierdził Jack Whitehead. – Czego chcesz więcej?

– Pierdolonej prawdy.

Jack parsknął śmiechem, prawdziwym, głębokim, głośnym śmiechem, aż mu się boki trzęsły.

Hadden był coraz bardziej niezadowolony z naszego zachowania.

- Co na niego mieli? – zapytałem ściszym głosem.
Hadden westchnął.
- Niesprawne światła hamowania.
- Żartuje pan?
- Jack przestał się śmiać.
- Nie chciał się zatrzymać. Wóz policyjny ruszył w pościg.
Złapali go, a on ni stąd, ni zowąd wyśpiewał to wszystko.
- Jaki to był samochód?
- Ford transit – powiedział Jack, unikając mojego spojrzenia.
- Jakiego koloru?
- Białe. – Uśmiechnął się, częstując mnie papierosem.
- Wziąłem papierosa, myśląc o pani Ridyard i jej plakatach, o tym, jak siedziała w swoim salonie z zeszeconym widokiem za oknem.
- Ile facet ma lat?
- Jack zapalił papierosa.
- Dwadzieścia dwa.
- Dwadzieścia dwa? To znaczy, że w sześćdziesiątym dziewiątym miał dopiero szesnaście albo siedemnaście.
- I co?
- Daj spokój, Jack!
- Czym się zajmuje? – Hadden zapytał Jacka, ale patrzył na mnie.
- Pracuje w zakładzie fotograficznym. Wywołuje zdjęcia.
- W mojej głowie zalew, fala za falą szkolnych fotografii małych dziewczynek.
- Czujesz, że to nieprawda, co, wilczku? – odezwał się Jack.
- Nie – mruknąłem.
- Chciałbyś, żeby to nie był on, wiem.
- Nie.
- Jack pochylił się do przodu.

– Byłem taki sam. Cała ta ciężka praca, wszystkie te przeczucia i po prostu jakoś nie możesz tego przełknąć.

– Nie – burknąłem, myślami w białym fordzie transiencie oklejonym fotografiami uśmiechniętych jasnowłosych martwych dzieci.

– To gorzka pigułka, ale go schwytali.

– Taa.

– Przywykniesz do tego. – Jack puścił do mnie oko, podnosząc się chwiejnie z krzesła. – Do zobaczenia jutro.

– Tak, dziękuję, Jack – powiedział Hadden.

– Wielki dzień, hę? – rzucił Jack, zamykając za sobą drzwi.

– Taa – mruknąłem otępiały.

W pokoju zaległa cisza, ale w powietrzu nadal czuć było alkohol.

Po kilku sekundach zapytałem:

– Co teraz?

– Chciałbym, żebyś zarysował sylwetkę tego całego Myshkina. Technicznie rzecz biorąc, sprawa jest dopiero w toku, ale skoro się przyznał i ma postawione zarzuty, to będziemy kryci.

– Kiedy zamierza pan wydrukować jego nazwisko?

– Jutro.

– Kto relacjonuje rozprawę o tymczasowe aresztowanie?

– Jack zajmie się zarówno rozprawą, jak i konferencją prasową.

– Bierze jedno i drugie?

– No, jak chcesz, też możesz pójść, ale ze względu na pogrzeb i w ogóle, pomyślałem...

– Pogrzeb? Jaki pogrzeb?

Hadden popatrzył na mnie znad oprawek okularów.

– Jutro jest pogrzeb Barry’ego.

Utkwiłem wzrok w kartce świątecznej na biurku. Obrazek ciepłego i rozjaśnionego domku w przyprószonym śniegiem lesie.

– Kurwa, zapomniałem – szepnąłem.
– Myślę, że najlepiej będzie, jak Jack zajmie się jutro tym wszystkim.

– O której pogrzeb?

– O jedenastej. W krematorium w Dewsbury.

Wstałem, nogi i ręce miałem osłabione ciężarem martwej krwi. Ruszyłem po morskim dnie do wyjścia.

Hadden podniósł wzrok znad lasu kartek świątecznych i powiedział półgłosem:

– Dlaczego byłeś taki pewny, że to James Ashworth?

– Nie byłem – odrzekłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Paul Kelly siedział na krawędzi mojego biurka.

– Nasza Paula do ciebie dzwoniła.

– Tak?

– Co jest grane, Eddie?

– Nic.

– Nic?

– Zadzwoiła do mnie. Powiedziała, że mówiłeś jej o moim spotkaniu z Mandy Wymer.

– Zostaw ją w spokoju, Eddie.

Roboty na dwie godziny, przy jednej ręce do pisania na maszynie zrobiło się ich cztery. Przepisałem notatki z rozmowy z Ridyardami do głównej historii Jacka Whiteheada, prześlizgując się oględnie po moich spotkaniach z panią Paulą Garland:

Jack – pani Garland woli nie mówić o zniknięciu córki. Jej kuzynem jest Paul Kelly, pracownik tej gazety, i poprosił, abyśmy uszanowali jej życzenie i zostawili ją w spokoju.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer.

Po drugim sygnale:

– Halo, Edward?

– Taa.

- Gdzie jesteś?
 - W pracy.
 - Kiedy wrócisz?
 - Znowu ktoś mnie odstrasza.
 - Kto?
 - Twój Paul.
 - Przepraszam. Ma dobre intencje.
 - Wiem, ale ma również rację.
 - Edwardzie, ja...
 - Zadzwoń do ciebie jutro.
 - Wybierasz się do sądu?
- Byłem sam jeden w całej redakcji.
- Taa.
 - To on, prawda?
 - Taa, na to wygląda.
 - Przyjedź do mnie, proszę.
 - Nie mogę.
 - Proszę!
 - Zadzwoń jutro, obiecuję. Muszę kończyć.

W słuchawce zaległa głucha cisza, żołądek zawiązał mi się w supeł.

Trzymałem głowę w obu dłoniach, tej zdrowej i tej chorej, obie cuchnęły szpitalem i nią.

Leżałem po ciemku na podłodze pokoju 27 i myślałem o kobietach.

Ciężarówki przyjeżdżały i wyjeżdżały z parkingu, w ich światłach cienie tańczyły po ścianach pokoju niczym kościotrupy.

Leżałem na brzuchu, plecami do ściany, z zamkniętymi oczami i rękami na uszach i myślałem o dziewczynach.

W nocy na dworze ktoś trzasnął drzwiczkami samochodu.

Podskoczyłem z krzykiem jak oparzony.

ROZDZIAŁ 7

Szósta rano.

Czwartek, 19 grudnia 1974 roku.

Moja matka siedziała w bujanym fotelu w salonie na tyłach i wyglądała przez okno na ogród w szarym porannym deszczu ze śniegiem.

Podąłem jej filiżankę herbaty.

– Wróciłem po czarny garnitur.

– Wyłożyłam ci na łóżko czystą koszulę. – Nie tknęła herbaty i wciąż wyglądała przez okno.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Co ci się, kurwa, stało w rękę? – zapytał Gilman z „Manchester Evening News”.

– Głupi wypadek. – Uśmiechnąłem się, siadając z przodu.

– Nie tylko jeden, co? – Tom z Bradford puścił do mnie oko.

Posterunek Policji Metropolitalnej Yorkshire Zachodniego na Wood Street w Wakefield.

– Taa, a jak tam ta dziewczyna? – Gilman się zaśmiał.

– Stul pysk – syknąłem czerwony na gębie i rzuciłem okiem na zegarek po ojcu. 8.30.

– Ktoś umarł? – spytał ten nowy, siadając obok trzech czarnych garniturów.

– Taa – odparłem i nawet się nie odwróciłem.

– Kurde, przepraszam – wymamrotał.
– Dupek z Południa – mruknął Gilman.
Spojrzałem do tyłu na te wszystkie reflektory telewizyjne.

– Kurwa, ale gorąco.
– Którędy wszedłeś? – zapytał Tom z Bradford.
– Od frontu – powiedział ten nowy.
– Dużo ludzi na zewnątrz?
– Całe setki.
– Kurde.
– Masz nazwisko? – szepnął Gilman.
– Taa. – Uśmiechnąłem się.
– Adres? – spytał Gilman głośno i z dumą.
– Taa – odpowiedzieliśmy wszyscy razem.
– Kurde.
– Cześć, panienki! – Jack Whitehead siadł bezpośrednio za mną i zaczął boleśnie masować mi kark.
– Cześć, Jack – powiedział Tom z Bradford.
– Trzymasz rękę na pulsie, wilczku?
– Tylko na wypadek, gdyby tobie coś umknęło, Jack.
– Dobra już, dobra, dziewczynki – mruknął Gilman.
Otworzyły się boczne drzwi.

Trzy uśmiechnięte szeroko gęby i odświętne garnitury.

Komendant Angus wziął do ręki białą kartkę A4 i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dzień dobry, panowie. Wczoraj wczesnym rankiem, po krótkim pościgu policyjnym, na Doncaster Road w Wakefield pojmano mężczyznę. Sierżant Bob Craven i konstabl Bob Douglas dali kierowcy białego fordą transita sygnał, aby zatrzymał pojazd, ponieważ miał niesprawne światło hamowania. Kiedy kierowca furgonetki nie zastosował się do rozkazu, funkcjonariusze ruszyli w pościg i ostatecznie zmusili pojazd do zjechania z jezdni i zatrzymania się.

Komendant Angus, o falistych szpakowatych włosach, które przypominały czekoladkę Walnut Whip, zawiesił głos, wciąż promiennie uśmiechnięty, jakby spodziewał się oklasków.

– Mężczyznę przywieziono tutaj, na Wood Street, gdzie został przesłuchany. W trakcie przesłuchania wstępnego dał do zrozumienia, że wie coś o ważniejszej sprawie. Detektyw nadinspektor Noble przystąpił wtedy do przesłuchania mężczyzny w związku z porwaniem i zamordowaniem Clare Kemplay. Wczoraj o godzinie ósmej wieczorem mężczyzna przyznał się do winy. Następnie postawiono mu oficjalne zarzuty i dziś przed południem stawi się w sądzie pokoju w Wakefield.

Angus rozsiadł się niczym człowiek, który napchał się do syta bożonarodzeniowym puddingiem.

W sali rozpętała się burza, gruchnęły pytania i posypał się grad nazwisk.

Trzej mężczyźni milczeli jak zakłęci i uśmiechnęli się jeszcze szerzej.

Spojrzałem w czarne oczy Oldmana.

„Myślisz, że jesteś jedynym szczwanym chujkiem, który poskładał to do kupy?”

Oczy Oldmana na mnie.

„Moja cholerna matka staruszka byłaby w stanie to wymyślić”.

Detektyw starszy nadinspektor spojrzał na komendanta. Obaj kiwnęli do siebie głowami i mrugnęli porozumiewawczo.

Oldman uniósł ręce.

– Panowie, panowie! Owszem, zatrzymany mężczyzna jest również przesłuchiwany w sprawie innych podobnych przestępstw. Jednak w obecnej chwili nie mogę udzielić bardziej szczegółowych informacji na ten temat. Ale w imieniu pana komendanta, detektywa nadinspektora Noble’a i wszystkich, którzy brali i biorą udział w śledz-

twie, chciałbym publicznie podziękować sierżantowi Cravenowi i konstablowi Douglasowi. Są to pierwszorzędni funkcjonariusze, którym należą się nasze serdeczne podziękowania.

I znowu z sali poleciał huragan nazwisk, dat, pytań.

O Jeanette z sześćdziesiątego dziewiątego i Susan z siedemdziesiątego drugiego. Bez odpowiedzi.

Trzej uśmiechnięci mężczyźni wstali.

– Dziękuję, panowie! – zawołał Noble, otwierając przełożonym boczne drzwi.

– Wal się!! – krzyknąłem w swoim czarnym garniturze, białej koszuli i szarych bandażach.

POWIESIĆ SUKINSYNA,
POWIESIĆ SUKINSYNA,
POWIESIĆ GO NATYCHMIAST!

Wood Street, siedziba trójwładzy w Wakefield:

Glin, sądu i samorządu.

Właśnie minęła dziewiąta, a ja w tłumie.

TCHÓRZ, TCHÓRZ, MYSHKIN TO TCHÓRZ!

Dwa tysiące gospodyń i ich bezrobotnych synów.

Gilman, Tom i ja w największym ścisku.

Dwa tysiące zdartych i ochrypłych gardeł i ich synów.

Suedehead z mamuszką, egzemplarzem „Daily Mirror”
i stryczkiem domowej roboty.

Więcej dowodów nie trzeba.

TCHÓRZ, TCHÓRZ, MYSHKIN TO TCHÓRZ!

Paskudne łapska ciągną, łapią i pchają nas to tu, to tam,
to w tę, to we w tę.

Nagle capnięty za kołnierz, czuję, jak wyciąga się
po mnie długa ręka sprawiedliwości.

Sierżant Fraser przybył na ratunek.

POWIESIĆ GO!

POWIESIĆ!

POWIESIĆ DRANIA NA GAŁĘZI!

Za marmurowymi ścianami i grubymi dębowymi drzwiami sądu w Wakefield czekało ulotne ukojenie, ale nie dla mnie.

– Musimy porozmawiać – szepnąłem, odwracając się i poprawiając sobie krawat.

– Jeszcze, kurwa, jak – syknął Fraser. – Ale nie tutaj i nie teraz.

Buty numer 10 odmaszerowały w głąb korytarza.

Wepchnąłem się do sali sądowej numer 2. W środku pełno stłoczonych ludzi i cisza.

Wszystkie miejsca siedzące zajęte, zostały tylko stojące.

Żadnych rodzin, tylko panowie z prasy.

Jack Whitehead w pierwszym rzędzie, wychylony za drewnianą poręcz, śmieje się z woźnym.

Podniosłem wzrok na witraże przedstawiające pagórki i owce, wiatraki i Jezusa, ale słońce na dworze było tak słabe, że szyby odbijały tylko pasy lamp, które głośno brzęczały nad naszymi głowami.

Jack Whitehead odwrócił się, przymrużył powieki i za-salutował mi.

Stłumione skandowanie tłumu za marmurem i dębowymi drzwiami zdawało się wlewać do sali i mieszać z naszymi szeptami, krzyki demonstrantów wyznaczały rytm jak na starożytniej galerze.

– To na dworze to jakieś cholerne wariactwo – wysapał Gilman.

– Przynajmniej dostaliśmy się do środka – powiedziałem, opierając się o tylną ścianę.

– No. Chuj wie, co się stało z Tomem i Jackiem.

Pokazałem przód sali.

– Jack jest tam.

– Jak, do kurwy nędzy, udało mu się tam dotrzeć tak szybko?

– Musi tu być jakiś podziemny tunel łączący sąd z posterunkiem.

– No. A Jack ma klucz – prychnął Gilman.

– Cały Jack.

Odwrociłem się nagle do witraży, gdy na zewnątrz urósł czarny kształt, by po chwili zlecieć niczym jakieś ogromne ptaszysko.

– Co to, kurwa, było?

– Jakiś transparent. Tubylcy zaczynają się denerwować.

– Nie tylko oni.

I wtedy się pojawił, jak na komendę.

Ława oskarżonych pełna funkcjonariuszy w cywilu wpatrzona w sąd, jeden z nich przykuty kajdankami do podsądnego.

Michael John Myshkin stał przed ławą w brudnym niebieskim kombinezonie i czarnej kurtce robotniczej, tłusty jak świnia, z za dużą głową.

Zabulgotało mi w żołądku, a żółć podeszła do gardła. Z wysiłkiem przetknąłem ślinę.

Michael John Myshkin zamrugał i nadmuchał bańkę ze śliny na wargach.

Sięgnąłem po długopis, ból przeszył mi rękę od paznokcia aż po bark i musiałem znowu oprzeć się o ścianę.

Michael John Myshkin wyglądał starzej niż na dwadzieścia dwa lata, ale uśmiechnął się do nas z miną chłopca dwa razy młodszego.

Pisarz sądowy podniósł się z miejsca, odkaszlnął i powiedział:

– Czy jest pan Michaelem Johnem Myshkinem zamieszkałym na Newstead View 54 w Fitzwilliam?

– Tak – powiedział Michael John Myshkin, oglądając się na jednego z detektywów przy ławie oskarżonych.

– Oskarżono pana o to, iż w dniach od 12 do 14 grudnia wbrew ładowi miłościwie nam panującej królowej zamordował pan Clare Kemplay. Ponadto zarzuca się panu, że 18 grudnia w Wakefield prowadził pan pojazd mechaniczny bez należytej troski i uwagi.

Michael John Myshkin, potwór Frankenstein w kajdanach, oparł wolną rękę o poręcz i westchnął.

Pisarz sądowy skinął głową na innego mężczyznę, który siedział naprzeciwko.

Mężczyzna wstał i oświadczył:

– William Bamforth, radca w prokuraturze hrabstwa.

Proszę zaprotokołować, że pan Myshkin nie korzysta obecnie z pomocy adwokata. W imieniu Policji Metropolitalnej Yorkshire Zachodniego zwracam się z prośbą o zatrzymanie pana Myshkina w areszcie na osiem kolejnych dni, aby można było dalej go przesłuchiwać w związku z przestępstwami natury podobnej do tego, o które został już oskarżony. Chciałbym również przypomnieć wszystkim zgromadzonym na tej sali, a zwłaszcza prasie, że sprawa wciąż jest *sub judice*. Dziękuję.

Pisarz sądowy znowu wstał.

– Panie Myshkin, czy ma pan jakieś obiekcje co do prośby prokuratora o zatrzymanie pana w areszcie na następnych osiem dni?

Michael John Myshkin podniósł wzrok i pokręcił głową.

– Nie.

– Czy życzy pan sobie uchylecia ograniczeń prawnych związanych z relacjonowaniem sprawy?

Michael John Myshkin spojrzał na jednego z detektywów.

Detektyw nieznacznie pokręcił głową i Michael John Myshkin szepnął:

– Nie.

– Panie Michaelu Johnie Myshkin, pozostanie pan w areszcie tymczasowym przez osiem następnych dni. Ograniczenia związane z relacjonowaniem sprawy pozostają w mocy.

Detektyw odwrócił się, ciągnąc Myshkina za sobą.

Wszyscy na widowni wyciągnęli szyje.

Michael John Myshkin przystanął na szczycie schodów, odwrócił się, by spojrzeć z powrotem na salę, a potem o mało się nie poślizgnął i jeden z funkcjonariuszy musiał go przytrzymać.

Jako ostatnia zniknęła nam z oczu tłusta ręka, którą pomachał na pożegnanie, gdy schodził po schodach.

Oto ręka, która odbierała życie, pomyślałem.

– Co ty na to?

– Wygląda odpowiednio do roli – powiedziałem.

– Taa. Może być. – Gilman mrugnął.

Dochodziła jedenasta, kiedy viva, a za nią samochód Gilmana, skręciła do krematorium w Dewsbury.

Rzęsisty deszcz zelżał do zimnej mżawki, ale wiatr był silny jak w zeszłym tygodniu, nie było, kurwa, mowy, by udało mi się zająrać szluga z jedną ręką w bandażach.

– Później – mruknął sierżant Fraser przy drzwiach.

Gilman popatrzył na mnie, ale nic nie powiedział.

W środku krematorium pełno ludzi i cisza.

Jedna rodzina plus prasa.

Zajęliśmy ławkę na tyłach kaplicy, poprawiając krawaty i przyklepując włosy, kiwając głowami do dziennikarzy połowy redakcji prasowych w Anglii Północnej.

Jack pierdolony Whitehead na przedzie, pochylony nad ławką, gadał z Haddenem, jego żoną i Gannonami.

Podniosłem wzrok na następny witraż z pagórkami i owcami, wiatrakami i Jezusem, modląc się, żeby Barry miał lepsze nabożeństwo niż mój ojciec.

Jack Whitehead odwrócił się, przymrużył powieki i pomachał w moją stronę.

Na dworze wiatr smagał mury budynku ze świstem podobnym do jęku morza i krzyku mew, a ja zastanawiałem się, czy ptaki potrafią mówić.

– Niech już, kurna, jadą z tym koksem – szepnął Gilman.

– Gdzie Jack? – spytał Tom z Bradford.

– Tam z przodu. – Uśmiechnąłem się.
– Ja pierdolę. Jeszcze jeden tunel? – Gilman się roześmiał.

– Uważaj na język – szepnął Tom.

Gilman zaczął przeglądać modlitewnik.

– O kurwa, pardon.

Odwróciłem się nagle do witraża, gdy obok przeszła Kathryn Taylor, cała w czerni, pod rękę z Grubą Steph i Gazem z działu sportowego.

Gilman sprzedał mi kuksańca i puścił oko.

– Ty farciarzu pieprzony.

– Odwal się – syknąłem, czerwony na gębie, patrząc, jak kostki zdrowej dłoni zbieleły, gdy zacisnąłem palce na drewnianej ławce.

Nagle organista uderzył we wszystkie cholerne klawisze naraz.

Wszyscy wstali.

A tam on.

Wpatrywałem się w trumnę na drugim końcu sali i nie byłem w stanie sobie przypomnieć, czy ta mojego ojca była z drewna o jaśniejszym czy ciemniejszym odcieniu.

Spojrzałem na modlitewnik na posadzce, pomyślałem o Kathryn.

Podniosłem wzrok, zastanawiając się, gdzie usiadła.

Otyły mężczyzna w brązowym kaszmirowym płaszczu patrzył na mnie z drugiej nawy.

Obaj odwróciliśmy się i wlepiliśmy wzrok w podłogę.

– Gdzie się podziewałaś?

– W Manchesterze – powiedziała Kathryn Taylor.

Staliśmy przed krematorium, na zbieżności między drzwiami a samochodami, wiatr i deszcz piździły jak skurwysyn. Ludzie w czarnych garniturach i płaszczach wylewali się na zewnątrz, próbowali zapalić papierosy, otwierali parasole, ściskali sobie dłonie.

– Co robiłaś w Manchesterze? – zapytałem, doskonale, kurwa, wiedząc, co tam robiła.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedziała i odeszła do samochodu Grubej Steph.

– Przepraszam.

Kathryn Taylor szła dalej.

– Mogę do ciebie zadzwonić dziś wieczorem?

Stephanie otworzyła drzwiczki od strony pasażera, a Kathryn schyliła się i podniosła coś z fotela.

Odwróciła się i cisnęła we mnie książką, krzyżując:

– Masz, zostawiłeś to u mnie ostatnim razem, kiedy mnie ruchałeś!

Przewodnik po kanałach Anglii Północnej przeleciał nad podjazdem, rozsypując za sobą zdjęcia uczennic.

– Kurwa mać – zakląłem i rzuciłem się, żeby pozbierać fotografie.

Biały samochodzik Grubej Steph wyjechał na wstecznym z parkingu.

– Nie ona jedna jest na świecie.

Podniosłem wzrok. Sierżant Fraser podał mi zdjęcie uśmiechniętej jasnowłosej dziesięciolatki.

– Odwal się.

– Nie ma potrzeby tak się zachowywać.

Wyrwałem mu zdjęcie.

– Niby jak?

Hadden, Jack Whitehead, Gilman, Gaz i Tom kręcili się wszyscy przy drzwiach, obserwując nas.

– Przykro mi z powodu twojej ręki – powiedział Fraser.

– Przykro ci? Wystawiłeś mnie, kurwa.

– Nie mam pojęcia, o czym, kurwa, mówisz.

– Taa, jasne.

– Słuchaj, musimy pogadać.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

Wcisnął mi do kieszeni skrawek papieru.

– Zadzwon do mnie dziś wieczorem.

– Wal się! – odparłem, wyciągając kluczyki.

Obok wivyy rozmawiało dwóch zwałistych facetów, którzy stali przy wiśniowym jaguarze. Przekręciłem kluczyk, wyjąłem go, a potem otworzyłem drzwiczki, wszystko to lewą ręką. Pochyliłem się, rzuciłem cholerną książkę i zdjęcia na tylne siedzenie i włożyłem kluczyk w stacyjkę.

– Pan Dunford? – powiedział grubas w płaszczu z brązowego kaszmiru.

– Taa?

– Ma pan ochotę na lunch?

– Co?

Grubas uśmiechnął się, zacierając ręce w skórzanych rękawiczkach.

– Postawię panu lunch.

– Dlaczego?

– Chciałbym z panem porozmawiać.

– O czym?

– Powiedzmy, że nie będzie pan żałował.

Spojrzałem z powrotem na krematorium.

Bill Hadden i Jack Whitehead rozmawiali z sierżantem Fraserem.

– Dobra – powiedziałem, myśląc: A chuj ze stypą w Press Clubie.

– Wie pan, gdzie jest Klub Towarzystki Karaczi przy Bradford Road?

– Nie.

– Obok klubu Variety, tuż przed Batley.

– Okej.

– Za dziesięć minut?

– Po prostu pojedę za panem.

– Git.

Dzielnica pakistańska, koloryt lokalny.

Czarne cegły i czarne sari, brązowi chłopcy grający w krykieta na zimnie.

Dzielnica fabryk i meczetów, Yorkshire, rok 1974.

Curry i turbany.

Straciwszy jaguara z oczu na ostatnich światłach, wjechałem na nieutwardzony parking przy klubie Variety i postawiłem vivę obok wiśniowego wozu.

W sąsiednim lokalu miała śpiewać na świątecznej imprezie Shirley Bassey i słyszałem próbę jej zespołu. Szedłem między brudnymi kałużami pełnymi petów i torebek po chrupkach przy dźwiękach *Goldfinger*.

Klub Towarzyski Karaczi był wolnostojącym dwupiętrowym budynkiem, który kiedyś miał coś wspólnego z przemysłem tekstylnym.

Po pokonaniu trzech kamiennych schodków stanąłem przed wejściem do restauracji, włączyłem dyktafon i otworzyłem drzwi.

W środku klub Karaczi okazał się ogromną czerwoną salą z kwiecistą tapetą i piskliwą wschodnią muzyką.

Wysoki Pakistańczyk w nieskazitelnie białej tunice zaprowadził mnie do jedyne go zajętego stolika.

Dwaj grubi faceci siedzieli obok siebie, zwróceni twarzami do drzwi, a przed nimi leżały dwie pary skórzanych rękawiczek.

Starszy z nich, ten, który zaprosił mnie na lunch, wstał i wyciągnął do mnie rękę, mówiąc:

– Derek Box.

Przez stół uściśnąłem mu dłoń lewą ręką i usiadłem, spoglądając na młodszego mężczyznę o twarzy boksera.

– To jest Paul. Mój pomocnik – powiedział Derek Box. Paul kiwnął głową, ale się nie odezwał.

Kelner przyniósł na srebrnej tacy podptomyki *popppadom* i pikle.

– Wszyscy weźmiemy specjalność lokalu, Sammy – zamówił Derek Box, przełamując podptomyk.

– Dobrze, panie Box.

Box uśmiechnął się do mnie.

- Mam nadzieję, że lubi pan pikantne curry.
- Jadłem je do tej pory tylko raz – powiedziałem.
- No to czeka pana cholernie dobra uczta.

Rozejrzałem się po ogromnej mrocznej sali z ciężkimi białymi obrusami i grubymi srebrnymi sztućcami.

Derek Box nakładając na podłómyk trochę pikli i jogurtu:

- Niech pan nałoży sobie porządny kopczyk.

Skorzystałem z rady.

- Wie pan, dlaczego lubię ten lokal?

– Nie – powiedziałem, żałując, że się odezwałem.

– Ponieważ cenię sobie dyskrecję i prywatność, a tu jesteśmy tylko my trzej i paru brudasów.

Lewą ręką podniosłem uginający się placek i wpakowałem go sobie do ust.

- To właśnie lubię – rzekł Box. – Prywatność.

Kelner wrócił z trzema kuflami piwa.

- A i żarcie nie jest złe, nie, Sammy? – Box zarechotał.

Paul się uśmiechnął.

Derek Box uniósł kufel.

- Zdrówko.

Paul i ja dołączyliśmy do toastu, a potem się napiliśmy.

Wyjąłem swoje papierosy. Paul podstawił mi ciężkiego ronsona.

- Fajnie tu, nie? – powiedział Derek Box.

Uśmiechnąłem się.

- Bardzo kulturalnie.

– Taa. W przeciwieństwie do tego paskudztwa – zauważył Box i skinął na moją szarą zabandażowaną dłoń na białym obrusie.

Spuściłem wzrok na rękę, a potem podniosłem go znowu na Boxa.

– Byłem pod wielkim podziwem pracy pańskiego kolegi, panie Dunford – powiedział.

- Dobrze go pan znał?

– O tak. Łączyła nas bardzo szczególna więź.
– Tak? – Podniosłem kufel.
– Mmm. Korzystna dla obu stron.
– W jakim zakresie?
– Cóż, mam to szczęście, że ze względu na swoją pozycję mogę od czasu do czasu przekazać dalej wiadomość, która do mnie trafia.

– O jakich wiadomościach pan mówi?
Derek Box odstawił kufel i wbił we mnie wzrok.
– Nie jestem żadnym kapusiem, panie Dunford.
– Wiem.
– Nie jestem również aniołem, ale jestem człowiekiem interesu.

Pociągnąłem solidny łyk piwa, a potem spokojnie spytałem:

– Jakimi interesami się pan zajmuje?
Uśmiechnął się.
– Samochodami, chociaż mam pewne ambicje w branży budowlanej, ale nie trąbię o tym na prawo i lewo.
– Jakiego rodzaju ambicje?
– Niespełnione. – Roześmiał się. – Na razie.
– To jak pan i Barry...
– Już powiedziałem, nie jestem aniołem i nigdy takiego nie udawałem. Są jednak ludzie w tym kraju, w tym hrabstwie, którzy dostali tak duży kawałek tortu, że mnie się to nie podoba.

– Tortu, czyli rynku budowlanego?
– Tak.
– Więc udzielał pan Barry’emu informacji na temat pewnych osób i ich działalności w branży budowlanej?
– Tak. Barry wykazywał szczególne zainteresowanie, jak pan to określił, działalnością pewnych panów.

Kelner wrócił z trzema talerzami żółtego ryżu i trzema miskami ciemnoczerwonego sosu. Postawił przed każdym z nas po porcji.

Paul wziął swoją miskę i wylał całą zawartość na ryż, mieszając wszystko razem.

Kelner powiedział:

- Życzy pan sobie chleba *nan*, panie Box?
- Owszem, Sammy. I jeszcze jedną kolejkę.
- Dobrze, panie Box.

Nabrałem łyżkę curry ze swojej miski i przechyliłem, niewielka ilość sosu skapnęła na ryż.

– Wcinaj, chłopie. Nie bawmy się w zbędne ceremonie.

Zjadłem widelec ryżu z curry, poczułem ogień w ustach i wychyliłem resztę piwa.

Po chwili powiedziałem:

- Taa, jest całkiem w porządku.
- W porządku? Toż to, kurwa, niebo w gębie! – Box roześmiał się z otwartymi czerwonymi ustami.

Paul pokiwał głową i wyszczerzył się w czerwonym od curry uśmiechu.

Zjadłem następny widelec potrawy, obserwując, jak obaj z każdym kęsem pochylają się coraz bardziej nad talerzami.

Pamiętałem Dereka Boxa, a przynajmniej pamiętałem historie, jakie ludzie opowiadali o nim i jego braciach.

Pamiętałem historie o tym, jak bracia Box ćwiczyli szybkie ucieczki na Field Lane, jak dzieciaki przychodzili oglądać ich w niedziele rano, jak Derek zawsze siedział za kierownicą, a Raymond i Eric zawsze wskakiwali i wyskakiwali z samochodu, gdy pędzili po Church Street.

Kelner wrócił, niosąc na srebrnej tacy piwo i trzy chlebki *nan*.

Pamiętałem, jak braci Box przyskrzyniono za obrabowanie Edynburskiego Pociągu Poczтового, jak twierdzili, że ich wrobiono, jak Eric zmarł zaledwie kilka tygodni przed zwolnieniem z więzienia, jak Raymond wyprowadził się do Kanady albo Australii i jak Derek próbował zaciągnąć się na wojnę w Wietnamie.

Derek i Paul rozrywali chlebki na kawałki i wycierali nimi do czysta swoje miski.

– Proszę – powiedział Derek Box, rzucając mi pół chlebka.

Kiedy dokończył, uśmiechnął się, zapalił cygaro i odsunął się od stołu. Zaciągnął się mocno, popatrzył na końcówkę cygara, wydmuchnął dym.

– A pan podziwiał pracę Barry’ego?

– Mm, taa.

– Co za strata.

– Taa. – Widziałem, jak światło odbija się od kropelek potu w jasnych włosach i na czole Dereka Boxa.

– Wydaje się, że szkoda by było jej nie dokończyć, pozostawić tyle materiałów nieopublikowanych, nie sądzi pan?

– Taa. To znaczy, nie wiem...

Paul wystawił ronsona, podając mi ogień.

Zaciągnąłem się głęboko i spróbowałem rozruszać prawą rękę. Bolało jak skurwysyn.

– Pozwoli pan, że zapytam, nad czym pan obecnie pracuje, panie Dunford?

– Nad sprawą śmierci Clare Kemplay.

– Odrażające! – Derek Box westchnął. – Po prostu odrażające. Aż słów brakuje. I?

– To właściwie tyle.

– Naprawdę? Więc nie kontynuuje pan krucjaty świętej pamięci przyjaciela?

– Czemu pan pyta?

– Doszły mnie słuchy, że otrzymał pan materiały zebrane przez naszego czcigodnego zmarłego.

– Kto to panu powiedział?

– Nie jestem kablem, panie Dunford.

– Wiem, wcale nie mówię, że pan jest.

– Słyszę o różnych rzeczach i znam ludzi, którzy różne rzeczy słyszą.

Spojrzałem na widelec ryżu, który leżał zimny na moim talerzu.

– Kto to był?

– Pije pan w Strafford Arms?

– W Wakefield?

– Tak. – Box się uśmiechnął.

– Nie. Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak.

– Cóż, może pan powinien. Widzi pan, na piętrze jest prywatny klub, trochę podobny do waszego Press Clubu. To miejsce, gdzie taki biznesmen jak ja i funkcjonariusz w służbie prawa i porządku mogą się spotkać w mniej oficjalnej atmosferze. Zdjąć krawat, że się tak wyrażę.

Nagle ujrzałem siebie na tylnym siedzeniu własnego samochodu, czarną tapicerkę mokrą od krwi, a za kierownicą wysokiego brodatego mężczyznę, który nuci pod nosem piosenkę Roda Stewarta z radia.

– Wszystko w porządku? – zapytał Derek Box.

Pokręciłem głową.

– Nie jestem zainteresowany.

– Ale będzie pan. – Box do mnie mrugnął, jego oczy były małe i pozbawione rzęs.

– Nie wydaje mi się.

– Daj mu to, Paul.

Paul sięgnął pod stół i wyciągnął cienką szarą kopertę. Rzucił mi ją nad brudnymi talerzami i pustymi kufkami.

– Niech pan otworzy – zachęcił mnie Box.

Wziąłem kopertę i wepchnąłem do środka lewą rękę. Poczułem znajomą śliskość odbitek fotograficznych.

Spojrzałem na Dereka Boxa i Paula nad białym obrusem. Wizje małych dziewczynek z czarno-białymi skrzydłami przyszytymi do skóry pływały w bursztynowym piwie.

– Rzuć pan, kurwa, okiem.

Przycisnąłem kopertę zawiniętą w szare bandażę ręką, lewą dłońią powoli wyjąłem fotografie. Odsunąłem tale-

rze i miski na bok i wyłożyłem na blat trzy powiększenia czarno-białych zdjęć.

Dwaj nadzy mężczyźni.

Derek Box uśmiechał się, jego usta wyglądały jak ostro wycięta czerwona kreska.

– Słyszałem, że gustuje pan raczej w cipach, panie Dunford. Dlatego przepraszam za obleśność tych fotek.

Rozłożyłem zdjęcia jedno obok drugiego.

Barry James Anderson ciągnący druta i liżący jaja jakimś staruchowi.

– Kto to? – zapytałem.

– Widzi pan, jak potężni potrafią upaść – westchnął Derek Box.

– Zdjęcia nie są zbyt wyraźne.

– Myślę, że okazałyby się dość wyraźne dla przewodniczącego i byłego radnego Williama Shawa, brata bardziej znanego Roberta Shawa, gdyby kiedykolwiek zechciał pan dać mu w prezencie parę fotek do rodzinnego albumu.

Starcze ciało nabrało ostrości, obwisły brzuch i chude zębra, siwe owłosienie i pieprzyki.

– Bill Shaw?

– Obawiam się, że tak.

Chryste.

William Shaw, przewodniczący nowej Metropolitalnej Rady Regionu Wakefield i Nadzoru Policji Yorkshire Zachodniego, były lokalny działacz Zjednoczonego Związku Pracowników Transportu i Robotników i delegat, który reprezentował związek w Narodowym Komitecie Wykonawczym Partii Pracy.

Popatrzyłem na nabrzmiałe jądra, na węzły żył na fiucie, na siwe włosy łonowe.

William Shaw, brat bardziej znanego Roberta.

Robert Shaw, wiceminister w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i typowany na następnego do awansu.

Przewodniczący Shaw, typowany do laski wcale nie marszałkowskiej.

O kurwa.

Przewodniczący Shaw jako trzeci człowiek Barry'ego? Dawsongate.

– Barry wiedział? – zapytałem.

– Tak. Ale brakowało mu instrumentów, że się tak wyrażę.

– Chce pan szantażować Shawa tymi zdjęciami?

– „Szantaż” nie jest słowem, które miałem na myśli.

– To o jakim słowie pan myślał?

– O „perswazji”.

– Czemu miałyby ta perswazja służyć?

– Chciałbym przekonać pana przewodniczącego, że powinien odciąć się od wszystkich swoich politycznych kręctw w zamian za pewność, że jego życie prywatne takim właśnie pozostanie.

– Dlaczego?

– Brytyjska opinia publiczna otrzyma prawdę, na jaką zasługuje.

– I?

– A my... – Box puścił do mnie oko. – Dostaniemy to, czego chcemy.

– Nie.

– W takim razie nie jest pan człowiekiem, za którego pana miałem.

Spuściłem wzrok na czarno-białe fotografie, które leżały na białym obrusie.

– Czyli jakiego? – spytałem.

– Odważnego.

– Chce pan powiedzieć, że te fotografie są odważne? – Odepchnąłem zdjęcia szarą zabandażowaną ręką.

– W tych czasach, owszem.

Wyciągnąłem ze swojej paczki papierosa, a Paul sięgnął przez stół, podając mi ogień.

– Facet nie jest żonaty, prawda? – powiedziałem.

– To bez znaczenia. – Box się uśmiechnął.

Wrócił kelner z pustą tacą.

– Lody, panie Box?

Box skinął cygarem w moją stronę.

– Tylko jedną porcję dla mojego przyjaciela.

– Dobrze, panie Box. – Kelner zaczął układać brudne talerze i kufle na srebrnej tacy, zostawiając na stole tylko popielniczkę i trzy fotografie.

– W tym kraju toczy się wojna, panie Dunford. Między rządem a związkami zawodowymi, między lewicą i prawicą, między bogatymi i biednymi. A do tego są jeszcze irlandole, brudasy, czarni, cioty i zbrojeńcy, nawet cholerne baby. Wszyscy chcą wyrwać dla siebie jak najwięcej. Wkrótce nie zostanie już nic dla białego mężczyzny z klasy robotniczej.

– A to pan?

Derek Box wstał.

– Łupy idą do zwycięzcy.

Kelner wrócił ze srebrnym pucharem lodów.

Paul pomógł Derekowi Boxowi włożyć kaszmirowy płaszcz.

– Jutro w porze lunchu, na pięterku w Strafford Arms.

Uścisnął mocno mój bark i wyszedł.

Spuściłem wzrok na lody przede mną. Stały między czarno-białymi fotografiami.

– Smacznego! – zawołał Derek Box od drzwi.

Popatrzyłem na fiuty i jaja, na dłonie i języki, na ślinę i nasienie.

Odepchnąłem lody na środek stołu.

Telefon za jedną monetę z Hanging Heaton, wykręciłem numer, chuchając curry w słuchawkę.

Nikt nie odebrał.

Ja za drzwi, pierdnięcie w pół kroku.

Jednoręki kierowca w drodze do Fitzwilliam, radio włączone niezbyt głośno.

Michael John Myshkin jako pierwsza wiadomość w lokalnym serwisie o drugiej, świąteczne zawieszenie broni IRA pierwsze w serwisie krajowym.

Zerknąłem na kopertę na fotelu pasażera i zatrzymałem samochód.

Minęły dwie minuty i jednoręki kierowca był znowu w drodze, z kopertą grzechów przewodniczącego Williama Shawa schowaną pod fotelem pasażera.

Spojrzałem we wsteczne lusterko.

Prawie ciemno, a jeszcze przed trzecią.

Druga wizyta na Newstead View.

Z powrotem wśród koni i psów, rdzy i foliowych torebek.

Przejechałem powoli ciemną ulicą.

Błask włączonego telewizora pod numerem 69.

Zaparkowałem przed tym, co zostało z numeru 54.

Wcześniej była tu dzika horda, zostawiła ślady świętowania i walki – trzy wybite okna jak lima pod oczami.

Nad oknem od frontu wymalowano ociekającą białą farbą: *Powiesić zboczeńca i LUFC**.

Braźnowe drzwi wejściowe leżały wśród istnego lasu porąbanych i przypalonych kikutów mebli, pokopanych i pociętych na środku maleńkiego trawnika zasypanego rodzinnymi gratami, szmatkami i szpargałami.

Dwa psy ganiały się, to wpadając, to wybiegając z rodzinnego domu Myshkinów.

Przeszedłem ostrożnie ogrodową ścieżką, nad lampami bez abażurów i pociętymi poduszkami, z duszą na ramieniu minąłem psa, który szarpał się z ogromnym pluszowym misiem pandą, i przekroczyłem próg popękanej framugi drzwi.

* Skrót od nazwy klubu *Leeds United Football Club*.

W środku unosił się smród spalenizny, usłyszałem szum lejącej się wody.

Błaszany kosz na śmieci leżał w morzu potłuczonego szkła pośrodku zdewastowanego salonu. Nie było telewizora ani sprzętu stereo, tylko puste miejsca, gdzie kiedyś stały, i plastikowa choinka wygięta na pół. Żadnych prezentów ani kartek z życzeniami.

Przeszedłem nad ludzkim gównem na najniższym stopniu i ruszyłem po mokrych schodach na górę.

Wszystkie krany w łazience były odkręcone do oporu, z wanny wylewała się woda.

Klozet i umywalka zostały pokopane i roztrzaskane, zalewając niebieski dywanik. Na zewnętrznej stronie wanny był żółty zaciek rzadkiej sraczkii, a powyżej namazany czerwonym sprayem napis *NF**.

Zakręciłem kurki i zabandażowaną dłońią podwinąłem lewy rękaw. Wsadziłem lewą rękę do brązowej lodowatej wody, szukając korka. Musnąłem coś twardego na dnie wanny.

Coś tam było.

Moja jedyna zdrowa ręka znieruchomiała, a potem szybko wyciągnąłem korek i rękę razem z nim.

Stałem wpatrzony w opadającą wodę, wycierając rękę o spodnie. Pod powierzchnią brązowej gównianej wody zaczął się wyłaniać ciemny kształt.

Wepchnąłem obie dłonie pod pachy i zacisnąłem powieki.

Na dnie spoczywała sportowa torba Slazengera uszyta z granatowej skóry.

Była zamknięta na suwak i leżała na boku.

Chuj z nią, nie tykać jej, lepiej nie wiedzieć.

Z zaschniętymi ustami kucnąłem i obróciłem suwakiem do góry.

* Skrót od *National Front*, nazwy skrajnie nacjonalistycznej partii politycznej.

Była ciężka.

Reszta wody spłynęła do rury, pozostała tylko gówniana breja, szczoteczka do szorowania rąk i paznokci i niebieska skórzana torba Slazengera.

Chuj z nią, nie tykać jej, lepiej nie wiedzieć.

Zabandażowaną dłońią przytrzymałem torbę, a lewą zacząłem otwierać suwak.

Zaciął się.

Chuj z tym.

Znowu się zaciął.

Nie tykać jej.

Świeży smród gówna.

Lepiej nie wiedzieć.

Futro, zobaczyłem futro.

Gruby pręgowany kot, martwy.

Wygięty grzbiet i otwarty pyszczek.

Niebieska obroża i medalik z imieniem, którego nie zamierzałem dotykać.

Wspomnienia pogrzebów zwierząt, Archiego i Skarpet, w ogrodzie domu przy Wesley Street.

Chuj z tym, trzeba było nie tykać, sam się prosiłeś.

Z powrotem na korytarz, jeszcze dwoje drzwi.

Większa sypialnia, ta po lewej z dwoma pojedynczymi łózkami, śmierdziała szczynami i dymem. Materace zostały ściągnięte na podłogę, a na nich leżał stos ubrań. Jedna ze ścian osmalona.

Znowu napisy czerwonym sprayem: *Brudasy won, Pierdolić IRA*.

Wyszedłem na korytarz i zbliżyłem się do następnej tandetnej plastikowej tabliczki z napisem: *Pokój Michaela*.

Pokój Michaela Johna Mishkina był nie większy od celi.

Pojedyncze łóżko zostało przewrócone na bok, zasłony zerwane z karnisza, szyba w oknie pęknięta przy wywalonej szafie. Plakaty zerwano ze ścian, zdzierając przy okazji pasy tapety w kwiaty magnolii, i teraz leżały na podłodze

przysypane amerykańskimi i angielskimi komiksami, blokami rysunkowymi i kredkami.

Podniosłem numer *Hulka*. Kartki były mokre i cuchnęły szczynami. Upuściłem zeszyt i zacząłem grzebać butem wśród stosów komiksów i papierzysek.

Pod książką o kung-fu znalazłem blok rysunkowy, który wyglądał na niezniszczony.

Pochyliłem się i go otworzyłem.

Ujrzałem okładkę komiksu. Została narysowana flamastrem i kredkami.

Człowiek Szczur, księżę czy szkodnik?

Autor: Michael J. Myshkin.

Dziecięco niewprawną ręką narysowano ogromnego szczura z ludzkimi rękami i stopami, który siedział na tronie w koronie, otoczony setkami mniejszych szczurów.

Człowiek Szczur uśmiechał się, mówiąc: „Ludzie nie są naszymi sędziami. My sądzimy ludzi!”.

Nad znakiem Człowieka Szczura napisano długopisem:

Numer 4, cena 5 pensów, MJM Comics.

Otworzyłem pierwszą stronę.

W sześciu oknach: Ród szczurów prosi Człowieka Szczura, swojego księcia, żeby wyszedł z podziemi i ocalił Ziemię przed ludźmi.

Na drugiej stronie: Człowieka Szczura gonia żołnierze.

Na stronie trzeciej Człowiekowi Szczurowi udało się uciec.

Wyrosły mu skrzydła.

Skrzydła pieprzonego łabędzia.

Wepchnąłem ręcznie rysowany komiks pod połę marynarki i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi pokoju Michaela.

Zszedłem po schodach, od frontowych drzwi doleciało mnie głośnie stukanie i dziecięce głosy.

Dziesięcioletni chłopiec w zielonym swetrze z trzema żółtymi gwiazdkami stał na krześle ustawionym na schodku przed domem i wbijał gwóźdź w górną belkę futryny.

Trzej koledzy zachęcali go i popędzali, jeden z nich trzymał w brudnych rączkach stryczek zawiązany na sznurze do prania.

– Co tu robisz? – zapytał jeden z chłopców, kiedy zszedłem po schodach.

– Właśnie, co? – dodał drugi.

Wkurzony i z nadętą miną burknąłem:

– Co wy tu robicie?

– Nic – powiedział chłopak z młotkiem, zeskakując z krzesła.

Dzieciak ze stryczkiem zapytał:

– Z policji?

– Nie.

– Więc możemy robić, co nam się podoba – orzekł chłopak z młotkiem.

Wyciągnąłem kilka monet.

– Gdzie jego rodzina?

– Zwiali – powiedział jeden.

– I nigdy nie wrócą, jeżeli wiedzą, co dla nich dobre – dokończył ten z młotkiem.

Potrząsnąłem monetami.

– Ojciec jest inwalidą?

– No! – Zaśmiali się, wydając odgłosy rżenia.

– A mama?

– To pierdolona wiedźma – powiedział chłopak ze sznurkiem.

– Pracuje?

– Sprząta w szkole.

– Której?

– Podstawówce przy głównej drodze.

Przesunąłem krzesło na bok i zszedłem na dróżkę. Spojrzałem na ciemne i ciche domy po bokach.

– Dasz nam forse?! – krzyknął za mną najmłodszy chłopiec.

– Nie.

Chłopak z młotkiem znowu podstawił sobie krzesło, wziął od kolegi sznur, stanął na krześle i zawiesił stryczek na gwoździu.

– Na co to ma być? – zapytałem, otwierając vivę.

– Na zboków! – krzyknął jeden z chłopaków.

– No! – Ten na krześle, z młotkiem w garści, wybuchnął śmiechem. – Lepiej, żebyś się nie okazał jednym z nich.

– W wannie na górze jest zdechły kot – powiedziałem, gdy wsiadałem do samochodu.

– Wiemy. – Najmłodszy zachichotał. – Przecież sami go, kurwa, zajebaliśmy, co nie?

Dla grzecznych dzieci słońeczko świeci.

Siedziałem w samochodzie przed szkołą podstawową w Fitzwilliam.

Dochodziła piąta, w szkole nadal paliły się światła i w oknach widać było ściany obwieszone świątecznymi rysunkami i malunkami.

Na ciemnym placu dzieci w workowatych spodniach i wełnianych swetrach z tymi dużymi żółtymi gwiazdami grały w nogę, ganiając całą czeredą za tandetną pomarańczową piłką.

Siedziałem w vivie, z zabandażowaną ręką wepchniętą pod pachę, marzęłem, myślałem o Holokauście i zastanawiałem się, czy Michael John Myshkin chodził do tej szkoły.

Po jakichś dziesięciu minutach część światel pogasła i z budynku wyszły trzy grube białe kobiety z chudym mężczyzną w niebieskim kombinezonie. Pomachały mężczyźnie na pożegnanie, a on zbliżył się do dzieci i próbował zabrać im piłkę. Kobiety śmiały się, kiedy opuszczały teren szkoły.

Wysiadłem z samochodu i przebiegłem przez ulicę, żeby je dogonić.

– Halo, przepraszam panie!

Trzy grube kobiety odwróciły się i przystanęły.

– Pani Myshkin?

– Żartujesz pan? – prychnęła największa z nich.

– Ładniutki jesteś, co? – Najstarsza zachichotała.

Uśmiechnąłem się.

– „Yorkshire Post”.

– Troszku się pan spóźniłeś, co? – powiedziała największa.

– Słyszałem, że tu pracuje?

– Pracowała, do wczoraj – mruknęła najstarsza.

– Gdzie ją mogę znaleźć? – zapytałem kobietę w okularach w drucianych oprawkach, która się dotąd nie odzywała.

– Niech pan na mnie nie patrzy. Jestem nowa.

– Nasz Kevin mówi – odezwała się najstarsza – że jeden z waszych umieścił ich oboje w jakimś eleganckim hotelu w Scarborough.

– To nie w porządku – powiedziała ta nowa.

Stałem tam i myślałem: Kurwa, kurwa, kurwa.

Z boiska dobiegały krzyki i tupot butów.

– W końcu wybiją okno, skaranie boskie – westchnęła największa.

– Wy dwie pracowałyście z panią Myshkin, tak?

– Przez ponad pięć lat, owszem – powiedziała najstarsza.

– No to jaka ona jest?

– Ciężkie życie miała, ot co.

– Jak to?

– Ano, mąż na rencie, bo pylica...

– Mąż był górnikiem?

– Tak. Pracował z naszym Patem – dodała największa.

– A Michael?

Kobiety popatrzyły po sobie z kwaśnymi minami.

– Żyje na innej planecie – szepnęła ta nowa.
– To znaczy?
– Trochę tępy, słyszałam.
– Ma jakichś kumpli?
– Kumpli? – powtórzyły dwie równocześnie.
– Bawi się z kilkoma smykami ze swojej ulicy – powiedziała najstarsza, wzdrygając się. – Ale to żadni kumple.
– Brrr, niedobrze się robi na samą myśl, nie? – odezwała się nowa kobieta.
– Ale chyba musi kogoś mieć?
– Nie zadawał się z nikim, ja tam w każdym razie nie wiem.

Pozostałe kiwały głowami.

– A znajomi z pracy?

Najgrubsza pokręciła głową, mówiąc:

– Nie pracuje tutaj, prawda? W Castleford?

– Tak. Nasz Kevin powiedział, że u jakiegoś fotografa.

– W księgarni ze świńskimi książkami, słyszałam – powiedziała ta nowa.

– Żarty sobie stroisz? – oburzyła się najstarsza.

– Tak słyszałam.

Mężczyzna w niebieskim kombinezonie stał przy szkolnej bramie z kłódką i łańcuchem w rękach i krzyczał na dzieciarnię.

– Te dzisiejsze bachory – westchnęła największa.

– Skaranie boskie, ot co.

– Dziękuję paniom bardzo – powiedziałem.

– Proszę, kochanieńki. – Najstarsza się uśmiechnęła.

– W każdej chwili – dodała największa z pań.

Zachichotały, odchodząc, a nowa się odwróciła i pomachała mi.

– Wesołych świąt! – zawołała.

– Wesołych świąt.

Wyciągnąłem szluga i poklepałem się po kieszeniach, szukając zapalek. Znalazłem ciężkiego ronsona Paula.

Zważyłem zapalniczkę w lewej dłoni, a potem zapaliłem papierosa, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ją wziąłem.

Zgraja dzieci przebiegła obok mnie po chodniku, kopiąc tandetną pomarańczową piłkę i obrzucając woźnego wyzwiskami.

Wróciłem się do zamkniętej na kłódkę bramy.

Woźny w niebieskim kombinezonie szedł przez boisko z powrotem do głównego budynku.

– Przepraszam! – zawołałem przez pomalowaną na czerwono bramę.

Szedł dalej.

– Przepraszam!

Przy drzwiach do szkoły odwrócił się i spojrział prosto na mnie.

Złożyłem dłonie w tubę.

– Przepraszam. Możemy chwilkę porozmawiać?

Odwrócił się, otworzył drzwi i wszedł do czarnego budynku.

Oparłem czoło o bramę.

Ktoś wyskrobał w czerwonej farbie *Huj*.

Jazda w głąb nocy.

Do widzenia, Fitzwilliam, gdzie noc zapada wcześniej i nic nie jest takie, jak się chce, gdzie dzieci zabijają koty, a dorośli zabijają dzieci.

Jechałem z powrotem do Czerwonego Strumyka i skręcałem właśnie w lewo na A655, kiedy z łoskotem i piskiem opon wyjechała na mnie ciężarówka.

Rozległo się nerwowe trąbienie, a ja zahamowałem i zatrzymałem się z poślizgiem. Ciężarówka była zaledwie kilka cali od moich drzwi.

Spojrzałem we wsteczne lustro z walącym sercem, światła samochodów tańczyły mi w oczach.

Zwalisty brodaty facet w wielkich buciorach wyskoczył z szoferki i ruszył do vivy. Niósł kurewsko wielki czarny kij.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i wdepnąłem pedał gazu. W głowie jedna myśl: Barry, Barry, Barry.

Złote Runo w Sandal, właśnie minęła szósta. Wciąż czwartek, 19 grudnia, najdłuższy dzień w tygodniu samych długich dni.

Duże piwo przy barze, whisky w żołądku, moneta w automacie.

– Gaz? Tu Eddie.

– Dokąd się, kurwa, urwałeś?

– Jakoś nie miałem ochoty na Press Club, rozumiesz.

– Przegapiłeś niezły cyrk.

– Taa?

– No, Jack zupełnie się, kurwa, rozkleił, poryczał się i w ogóle...

– Słuchaj, znasz adres Donalda Fostera?

– A po kiego chuja ci ten adres?

– To ważne, Gaz.

– Chodzi o Kelly'ego i Paulę?

– Nie. Słuchaj, wiem, że to w Sandal...

– Taa. Wood Lane.

– Jaki numer?

– Na Wood Lane nie ma, kurwa, numerów. Posiadłość nazywa się Trinity Towers czy jakoś tak.

– Dzięki, Gaz.

– Taa? Tylko, kurwa, nie powołuj się na mnie.

– Nie ma sprawy. – Odłożyłem słuchawkę, zastanawiając się, czy Kathryn daje mu teraz dupy.

Następna moneta, następny telefon.

– Muszę porozmawiać z BJ-em.

Głos w słuchawce bełkotał jak z drugiego krańca świata.

– Kiedy się z nim zobaczysz? To ważne.

Westchnięcie z obrzeży ziemi.

– Powiedz mu, że dzwonił Eddie i że to pilne.

Wróciłem do baru i wziąłem swoje piwo.

– To pana? – zapytał właściciel i skinął głową na plastikową torbę Hillard's, która leżała pod automatem telefonicznym.

– Tak, dziękuję – powiedziałem i wychyliłem kufel.

– Niech pan nie kładzie toreb, gdzie popadnie, zwłaszcza w pubach, do ciężkiej cholery.

– Przepraszam. – Podeszedłem z powrotem do telefonu, myśląc: Odpierdol się, facet.

– Już myślałem, że to bomba albo coś.

– Taa, przepraszam – mruknąłem, gdy podniosłem blok Michaela Johna Myshkina i zdjęcia przewodniczącego Williama Shawa i Barry'ego Jamesa Andersona, myśląc sobie: Bo to jest, kurwa, bomba, ty ćwoku zasrany.

Zaparkowałem na chodniku przed Trinity View na Wood Lane w Sandaŕ.

Wepchnąłem plastikową torbę z powrotem pod fotel kierowcy razem z *Przewodnikiem po kanałach Anglii Północnej*, zgasilem papierosa, łyknąłem dwa proszki przeciwbólowe i wysiadłem.

Aleja była cicha i ciemna.

Przeszedłem długim podjazdem do Trinity View, uruchamiając po drodze reflektory na fotokomórkę. Na podjeździe stał rover, a na piętrze domu paliły się światła. Zastanawiałem się, czy został zaprojektowany przez Johna Dawsona.

Nacisnąłem guzik dzwonka i usłyszałem kaskadę dźwięków, które rozbrzmiały w całym domu.

– Tak? Kto tam? – zapytała kobieta zza sztucznie postarzonych drzwi.

– Ja z „Yorkshire Post”.

Chwila ciszy, a potem zgrzyt zamka i drzwi się otworzyły.

– Czego pan chce?

Kobieta miała czterdzieści parę lat, ciemne włosy z trwałą zrobioną u dobrego fryzjera. Miała na sobie

czarne spodnie, jedwabną bluzkę do kompletu i kołnierz ortopedyczny.

Podniosłem zabandażowaną rękę.

– Wygląda na to, że oboje byliśmy na wojnie.

– Zapytałam, czego pan chce.

Pierwszy strzał – pudło.

– Chodzi o Johnny’ego Kelly’ego.

– A mianowicie? – odpowiedziała pani Patricia Foster o wiele za szybko.

– Miałem nadzieję, że pani albo pani mąż macie o nim jakieś wiadomości.

– A niby czemu mielibyśmy o nim cokolwiek wiedzieć?

– odparła pani Foster z jedną ręką na drzwiach, a drugą na kołnierzu.

– Bo przecież gra w klubie pani męża i...

– To nie jest klub mojego męża. On jest tam tylko prezesem.

– Przepraszam. Czyli że nie słyszała pani, co się z nim dzieje?

– Nie.

– I nie ma pani pojęcia, gdzie może przebywać?

– Nie. Niech pan posłucha, panie...

– Gannon.

– Gannon? – powtórzyła pani Patricia Foster powoli i spojrzała na mnie z góry ciemnymi oczami, co przy długim nosie nadawało jej wygląd orlicy.

Przełknąłem ślinę.

– Czy mógłbym wejść do środka i zamienić słówko z pani mężem?

– Nie. Nie ma go w domu, a ja nie mam panu nic więcej do powiedzenia – odrzekła pani Foster, zamykając drzwi.

Próbowałem je przytrzymać, ale zatrzasnęły mi się przed nosem.

– A co pani zdaniem się z nim stało, pani Foster?

– Zaraz zadzwonię na policję, panie Gannon, a po-

tem wykonam telefon do mojego dobrego znajomego Billa Haddena, pańskiego szefa – oznajmiła zza drzwi, gdy za-zgrzytał zamek.

– I niech pani nie zapomni zadzwonić do męża! – zawołałem, a potem odwróciłem się i pobiegłem przez zalany światłem podjazd, myśląc: A niech zaraza spadnie na wasze głowy.

Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, w budce telefonicznej na Barnsley Road tłucze kijem o ziemię, żeby wypłoszyć węże.

Nie może się udać, pomyślałem.

– Jaki jest numer do ratusza w Wakefield?

– 36-12-34.

Spojrzałem na zegarek ojca, myśląc: Pół na pół.

– Poproszę z przewodniczącym Shawem.

– Obawiam się, że pan Shaw ma teraz zebranie.

– To pilne, sprawa rodzinna.

– Pańska godność, proszę?

– Jestem przyjacielem rodziny. To pilne.

Popatrzyłem na drugą stronę ulicy, w okna ciepłych domów, na żółte światło lamp w pokojach i choinki.

Inny głos powiedział:

– Przewodniczący Shaw jest w urzędzie hrabstwa.

Numer telefonu: 36-12-36.

– Dziękuję.

– Nic poważnego, mam nadzieję?

Rozłączyłem się, znowu podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer.

– Poproszę z przewodniczącym Shawem.

– Przykro mi, pan przewodniczący jest na zebraniu.

– Wiem. To pilna sprawa rodzinna. Podano mi ten numer w jego biurze.

W jednym z ciemnych okien na piętrze po drugiej stronie ulicy wyglądało na mnie dziecko. Na parterze

mężczyzna i kobieta przy zgaszonym świetle oglądali telewizję.

– Halo, mówi przewodniczący Shaw.

– Nie zna mnie pan, panie Shaw, ale musimy się spotkać. To bardzo ważne.

– Kto mówi? – zapytał zdenerwowany.

– Musimy porozmawiać, proszę pana.

– Czemu miałbym z panem rozmawiać? Kim pan jest?

– Podejrzewam, że ktoś spróbuje pana wkrótce zaszantażować.

– Kto? – zapytał błagalnym tonem, przestraszony.

– Musimy się spotkać, panie Shaw.

– Czym?

– Pan wiem czym.

– Nie, nie wiem. – Głos mu drżał.

– Ma pan bliźnię po wyrostku i lubi pan, jak nasz wspólny znajomy o pomarańczowych włosach całuje ją, żeby mniej bolało.

– Czego pan chce?

– Jakim samochodem pan jeździ?

– Roverem. Dlaczego?

– Jakiego koloru?

– Śliwkowym, fioletowym.

– Proszę czekać na parkingu długoterminowym przy Westgate Station jutro o dziewiątej rano. Bez towarzysztwa.

– Nie mogę.

– Znajdzie pan jakiś sposób.

Odwiesiłem słuchawkę, serce waliło mi dziewięćdziesiąt mil na godzinę.

Podniosłem wzrok na okno po drugiej stroni ulicy, ale dziecka już nie było.

Edward Dunford, korespondent działu kryminalnego na Anglię Północną, ściga zarazę na głowy ich wszystkich, oprócz jednej.

– Gdzie się podziewałeś?

– Tu i tam.

– Widziałeś go?

– Mogę wejść?

Paula Garland otworzyła mi czerwone drzwi i splótła rękę na piersi.

W ciężkiej szklanej popielniczce dopalał się papieros, z telewizora leciała cicho muzyka z listy przebojów *Top of the Pops*.

– Jak wyglądał?

– Zamknij drzwi, kochanie. Zimno jest.

Paula Garland zamknęła czerwone drzwi i stała w przedpokoju, wpatrując się we mnie.

W telewizji Paul Da Vinci śpiewał *Your Baby Ain't Your Baby Anymore*.

Z lewego oka na jej mlecznobiały policzek skapnęła łza.

– Więc ona nie żyje.

Podszedłem i przytuliłem ją, czując pod cienkim czerwonym swetrem kości kręgosłupa.

Byłem odwrócony plecami do telewizora i usłyszałem oklaski, a potem początek *Father Christmas Do Not Touch Me*.

Zadarła głowę i pocałowałem kącik jej oka. Wilgotna powieka smakowała solą.

Paula uśmiechnęła się do telewizora.

Odwróciłem się bokiem i zobaczyłem, jak przebrane za seksownych Mikołajów tancerki Pan's People pływają wokół muzyków Goodies z włosami przystrojonymi lametami i świecącymi ozdóbkami.

Podniosłem Paulę, stawiając jej drobne stopy w pończochach na nosach moich butów, i zaczęliśmy tańczyć, objając się łydkami i udami o meble, a ona śmiała się i płakała, i tuliła mnie mocno.

Obudziłem się gwałtownie w jej łóżku.

Pokój na parterze był cichy i pachniał zwietrzałym dymem.

Nie zapaliłem światła, tylko usiadłem na kanapie w samych majtkach i podkoszulku. Podniosłem słuchawkę.

– Jest BJ? Tu Eddie – szepnąłem.

W pokoju słychać było tylko tykanie zegara.

– Co za szczęście. Za długo już nie rozmawialiśmy – odszepnął BJ w słuchawce.

– Znasz Dereka Boxa?

– Niestety, ta przyjemność dopiero mnie czeka.

– W każdym razie on wie, że znałeś Barry'ego.

– Jaki ten świat mały.

– Taa, mały i paskudny. Box dał mi kilka fotek.

– Jak miło.

– Nie rób se jaj, BJ. To zdjęcia, na których ciągniesz druta przewodniczącemu Williamowi Shawowi.

Cisza. Tylko *Aladdin Sane* po drugiej stronie, na końcu świata.

– Przewodniczący Shaw jest trzecim człowiekiem Barry'ego, tak? – zapytałem.

– Brawo, wygrałeś talon na balon.

– Wal się.

Zapaliło się światło.

Paula Garland stała u podnóża schodów, ledwie okryta czerwonym cardiganem.

Uśmiechnąłem się i wymówiłem bezgłośnie „przepraszam”. Słuchawka w mojej dłoni była mokra.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał BJ po drugiej stronie.

– Zamierzam zadać przewodniczącemu Shawowi pytania, których Barry nigdy nie miał okazji zadać.

– Nie mieszaj się w to! – syknął BJ.

Wpatrywałem się w Paulę, mówiąc:

– Nie mieszać się? Już jestem w to zamieszany. Między innymi przez ciebie, sukinsynu.

– Nie jesteś zamieszany w sprawę Dereka Boxa. Barry też nie był.

– Derek Box twierdzi coś innego.

– To sprawa między nim a Donaldem Fosterem. To ich pieprzona wojenka, więc niech biją się sami.

– Zmieniłeś śpiewkę. Co masz na myśli?

Paula Garland patrzyła na mnie, naciągając dół swetra niżej.

Spojrzałem na nią przepaszająco.

– Chuj z Derekiem Boxem. Spal te zdjęcia albo zatrzymaj je dla siebie, może przydadzą ci się do czegoś innego.

– BJ zachichotał.

– Bez jaj. To poważna sprawa.

– Oczywiście, że poważna, Eddie. A co myślałeś? Kurwa, przecież Barry nie żyje, a ja nie mogłem nawet pójść na pogrzeb, bo za bardzo się boję.

– Ty zakłamanym chujku – syknąłem i odłożyłem słuchawkę.

Paula Garland wciąż na mnie patrzyła.

A ja skołowany – w kręgu ciągle tych samych myśli.

– Eddie?

Wstałem, skórzane obicie sofy wywołało pieczenie na moich gołych udach.

– Kto to był?

– Nikt. – Przepchnąłem się obok niej i ruszyłem po schodach na górę.

Wszedłem do sypialni i z kieszeni marynarki wziąłem proszek przeciwbólowy.

– Nie możesz odcinać mnie w ten sposób od swojego śledztwa – powiedziała, wchodząc po schodach.

Włożyłem spodnie.

Paula Garland stała w drzwiach sypialni.

– To moja córeczka nie żyje, to mój mąż popełnił samobójstwo, to mój brat zniknął.

Mocowałem się z guzikami koszuli.

– Sam chciałeś wmieszać się w to całe pieprzone gówno – wyszeptała. Na dywan zaczęły kapać jej łzy. – Nikt cię nie zmuszał.

Podetknąłem jej pod nos pięść w szarych od brudu bandażach.

– A to? Jak myślisz, co to jest?

– Nie powinieneś był tego mówić.

– Czemu? A co niby zrobisz?

Wokół cisza i noc, a my staliśmy w drzwiach na piętrze i patrzyliśmy na siebie.

– Ale ciebie to nie obchodzi, prawda, Eddie?

– Odpierdol się – zakląłem i zbiegłem po schodach do wyjścia.

– Naprawdę gówno cię to obchodzi, co?

ROZDZIAŁ 8

Tydzień Nienawiści.

Piątek, 20 grudnia 1974 roku, o świcie.

Nie śpię, leżę w pokoju 27 na podłodze, okryty śniegiem podartych na drobne kawałki kartek, resztkami setki wypisanych czerwonym flamastrem list.

Wielki gruby pisak w lewej dłoni, w głowie galimatias i wciąż te same myśli.

Lista nazwisk.

Lista dat.

Lista miejsc.

Lista dziewczynek.

Lista chłopców.

Lista skorumpowanych, korumpujących, korumpowalnych.

Lista policjantów.

Lista świadków.

Lista rodzin.

Lista oskarżonych.

Lista martwych.

Tonąłem w listach, w zalewie informacji.

Miałem właśnie zamiar spisać listę dziennikarzy, ale podarłem wszystko na pierdolone confetti, aż papier poranił lewą dłoń, a prawa ręka zdrętwiała.

NIE MÓW MI, KURWA, ŻE NIC MNIE TO NIE
OBCHODZI.

Leżałem na plecach i myślałem o liście kobiet, które przeleciałem.

Piątek, 20 grudnia 1974 roku, o świcie.

Pora zadać ból.

Dziewiąta rano na parkingu długoterminowym przy Westgate Station w Wakefield.

Siedziałem nieruchomo w vivie, obserwując, jak ciemnofioletowy rover 2000 wjeżdża na parking. W szarej kopercie obok mnie tylko jedna czarno-biała fotografia.

Rover zaparkował tak daleko od bramy, jak tylko się dało.

Siedziałem, zmuszając go, żeby czekał przez całe wiadomości w radiu, przez zawieszenie broni IRA, dalsze starania Michaela Johna Myshkina, by pomóc policji w rozwiązaniu kolejnych spraw, przez doniesienia, że widziano Johna Stonehouse'a na Kubie, i przez rozpadające się małżeństwo Reggiego Bosanqueta.

W roverze nikt się nie poruszył.

Zapaliłem następnego szluga i tylko po to, żeby pokazać, kto tu rządzi, przesiedziałem w vivie, gdy Petula Clark śpiewała *Little Drummer Boy*.

Kierowca rovera uruchomił silnik.

Wepchnąłem fotografię do kieszeni marynarki, wciśnąłem guzik nagrywania w dyktafonie i otworzyłem drzwiczki.

Silnik rovera zgasł, gdy zbliżałem się w szarym świetle.

Zapukałem w szybę drzwi pasażera i je otworzyłem.

Zerknąłem na puste tylne siedzenie i wsiadłem, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki.

– Niech pan patrzy prosto przed siebie, panie przewodniczący.

Samochód był kosztowny, w ciepłej kabinie czuć było zapach psiej sierści.

– Czego pan chce? – W głosie Williama Shawa nie było ani złości, ani lęku, jedynie rezygnacja.

Też spojrzałem prosto przed siebie, usiłując nie patrzeć na chudą siwowłosą i dystygowaną postać, na dłonie w rękawiczkach zaciśnięte bezsilnie na kierownicy zaparkowanego auta.

– Zapytałem, czego pan chce – powiedział, zerkając na mnie.

– Proszę patrzeć dalej przed siebie, panie przewodniczący – odparłem i wyciągnąłem pozaginane zdjęcie z kieszeni, kładąc je na desce rozdzielczej przed nim.

Przewodniczący William Shaw wziął do ręki fotografię, na której BJ robił mu laskę.

– Przepraszam, że tak paskudnie wymiętoszone. – Uśmiechnąłem się.

Shaw rzucił zdjęcie na podłogę u moich stóp.

– To żaden dowód.

– A kto mówi, że próbuję czegokolwiek dowieść? – Podniosłem odbitkę.

– To mógłby być każdy.

– Owszem. Ale nie jest, prawda?

– To czego pan chce?

Pochyliłem się do przodu i wcisnąłem zapalniczkę pod odbiornikiem radiowym.

– Ile razy spotkał się pan z mężczyzną na zdjęciu?

– A co? Czemu pan o to pyta?

– Ile razy? – powtórzyłem.

Shaw zacisnął ręce mocniej na kierownicy.

– Trzy albo cztery.

Zapalniczka wyskoczyła. Shaw drgnął nerwowo.

Wetknąłem do ust papierosa i zapaliłem, dziękując Bogu po raz kolejny za pomoc człowiekowi z jedną ręką.

– Jak go pan poznał?
Przewodniczący zamknął oczy.
– Podeszedł i sam mi się przedstawił.
– Gdzie? Kiedy?
– W jakimś barze w Londynie.
– W Londynie?
– W sierpniu byłem tam na konferencji o samorządności lokalnej.

Wrobili cię, pomyślałem, wrobili cię, kurwa, panie przewodniczący.

– A potem spotkał się pan z nim znowu tutaj?

Przewodniczący William Shaw pokiwał głową.

– I zaczął pana szantażować?

Znowu pokiwał głową.

– Ile zażądał?

– Kim pan jest?

Popatrzyłem na parking. Komunikaty z dworca niosły się echem nad pustymi samochodami.

– Ile mu pan dał?

– Parę tysięcy.

– Co powiedział?

Shaw westchnął.

– Powiedział, że to na operację.

Zgasilem papierosa.

– Wspomniał o kimś innym?

– Powiedział, że są ludzie, którzy chcą mnie skrzywdzić, a on może mnie ochronić.

Popatrzyłem na czarną deskę rozdzielczą, bałem się drugi raz spojrzeć na Shawa.

– Kto?

– Nie padły żadne nazwiska.

– A powiedział, dlaczego chcą pana skrzywdzić?

– Nie musiał.

– Niech pan wyjaśni.

Przewodniczący puścił kierownicę i odwrócił głowę.

– Najpierw chcę się dowiedzieć, kim pan, do cholery, jesteś.

Odwróciłem się gwałtownie i przycisnąłem mu zdjęcie do twarzy tak mocno, że prawy policzek przykleił mu się do bocznej szyby.

Nie odpuszczałem, przyciskając zdjęcie coraz mocniej i szepcząc mu do ucha:

– Jestem człowiekiem, który może zrobić ci krzywdę kurewsko szybko i w tej chwili, jeśli nie przestaniesz skomleć i nie zaczniesz odpowiadać na moje pierdolone pytania.

Przewodniczący William Shaw zaczął klepać się po udach, dając do zrozumienia, że się poddaje.

– A teraz mów, ty cioto pierdolona.

Upuściłem fotografię i rozsiadłem się znów w fotelu.

Shaw pochylił się do przodu, masując sobie oba policzki. W oczach miał czerwone żyłki i łzy.

Upłynęła prawie minuta, zanim się odezwał:

– Co chce pan wiedzieć?

W oddali, po drugiej stronie parkingu, zobaczyłem mały pociąg regionalny, który wtoczył się powoli na stację, wyrzucając maleńkich pasażerów na zimny peron.

Zamknąłem oczy.

– Muszę się dowiedzieć, dlaczego chcą pana szantazować.

– Wie pan. – Shaw pociągnął nosem, opadając z powrotem na oparcie fotela.

Odwróciłem się gwałtownie i trzasnąłem go otwartą dłońią w policzek.

– Po prostu powiedz, do kurwy nędzy!

– Z powodu interesów, jakie robię. I ludzi, z którymi je ubijam. Z powodu pieprzonych pieniędzy.

– Pieniądze! – Roześmiałem się. – Zawsze pieniądze.

– Tamci też chcą się załapać. Podać liczby, daty? – Shaw był bliski hysterii, osłaniał rękami twarz.

– Gównu mnie obchodzą wasze zasrane przekręciki, beton kiepskiej jakości i wszystkie te wasze ciemne sprawy, tylko chcę o nich usłyszeć z twoich ust.

– Ale co? Co mam powiedzieć?

– Nazwiska. Podaj ich pierdolone nazwiska!

– Foster, Donald Richard Foster. O niego panu chodzi?

– Dalej.

– John Dawson.

– To już wszyscy?

– Z tych, co się naprawdę liczą.

– A kto chce się załapać?

Bardzo powoli i cicho powiedział:

– Jesteś pieprzonym dziennikarzem, mam rację?

Przecucie, intuicja.

– Spotkałeś kiedyś niejakiego Barry’ego Gannona?

– Nie! – krzyknął, uderzając czołem w kierownicę.

– Pierdolony kłamca. Kiedy to było?

Shaw trząś się, leżąc na kierownicy.

Nagle w Wakefield rozległ się jęk syren.

Zesztywniałem, strach ścisnął mi żołądek i jaja.

Syreny przycichły.

– Nie wiedziałem, że jest dziennikarzem – wyszeptał Shaw.

Przełknąłem ślinę.

– Kiedy?

– Tylko dwa razy.

– Kiedy?

– Jakoś w zeszłym miesiącu, a potem jeszcze tydzień temu, w ostatni piątek.

– I powiedziałeś Fosterowi?

– Musiałem. To nie mogło się dłużej ciągnąć, po prostu nie mogło.

– I co powiedział?

Shaw podniósł wzrok, miał zaczerwienione białka.

– Kto?

– Foster.

– Powiedział, że się tym zajmie.

Popatrzyłem przez parking na podjeżdżający pociąg do Londynu, pomyślałem o mieszkaniach z widokiem na morze i południowych dziewczynach.

– On nie żyje.

– Wiem – wyszeptał Shaw. – Co zamierzasz zrobić?

Zdjąłem z języka włos z psiej sierści i otworzyłem drzwiczki po swojej stronie.

Przewodniczący trzymał w dłoniach fotografię, podawał mi ją.

Nie wziąłem.

– Możesz ją sobie zachować, to ty.

– Wygląda tak blado – rzekł William Shaw, sam w swoim kosztownym aucie, wpatrzony w zdjęcie.

– Co powiedziałaś?

Wyciągnął rękę, żeby zamknąć drzwiczki.

– Nic.

Pochyliłem się, przytrzymując otwarte drzwi, i wrzasnąłem:

– Mów, kurwa, co powiedziałaś!

– Że wygląda inaczej, wydaje się blebszy, to wszystko.

Zatrzasnąłem drzwiczki i szybkim krokiem ruszyłem przez parking, myśląc o Jimmym Jamesie pierdolonym Ashworcie.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę.

Zabandażowana ręka na kierownicy, druga w schowku na rękawiczki szuka między pigułkami i mapami, szmatkami i szlugami.

W radiu The Sweet.

Nerwowe zerknięcia we wsteczne lustro.

Znalazłem minikasetę, wyszarpnąłem dyktafon z kieszeni, wyciągnąłem jedną taśmę i wepchnąłem drugą.

Przewijanie do tyłu.

Wcisnąłem odtwarzanie:

„Nie mogłem uwierzyć, że to ona”.

Słucham.

„Wyglądała inaczej, taka blada”.

Stop.

Fitzwilliam.

Newstead View 69, blask telewizora.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę, ogrodową ścieżką.

Puk, puk, puk.

– Czego pan chcesz? – Pani Ashworth próbowała zamknąć mi drzwi przed nosem.

Wsunąłem stopę w drzwi, wpychając się do środka.

– Zaraz, nie można ot tak wdzierać się ludziom do domów!

– Gdzie on jest? – zapytałem, objając się o jeden z jej obwisłych cyców.

– Nie ma go tu. Zaraz, co pan?!

Po schodach na górę, buch w drzwi.

– Dzwonię po policję! – zawołała pani Ashworth na parterze przy schodach.

– Proszę bardzo – powiedziałem, patrząc na niezastane łóżko i plakat Leeds United. W pokoju woń zimowej wilgoci i spermy.

– Ostrzegam pana! – krzyknęła.

– Gdzie on jest? – zapytałem, schodząc po schodach.

– W pracy, nie?

– W Wakefield?

– Nie wiem. Nigdy mi się nie opowiada.

Spojrzałem na zegarek po ojcu.

– O której wyszedł z domu?

– Furgonetka przyjechała za kwadrans siódma tak jak zawsze.

– Kumpluje się z Michaeliem Myshkinem, prawda?

Pani Ashworth otworzyła przede mną drzwi, wydymając wargi.

- Pani Ashworth, wiem, że ci dwaj się znają.
 - Jimmy’emu zawsze było mu go żal. Taki już jest, taki ma charakter.
 - Bardzo wzruszające – powiedziałem, wychodząc.
 - To nic nie znaczy! – zawołała pani Ashworth od progu.
- Przemierzyłem ścieżkę, otworzyłem furtkę i spojrzałem w górę ulicy na wypaloną ruinę numeru 54.
- Mam nadzieję, że pani sąsiedzi też tak myślą.
 - Wy to zawsze robicie z igły widły! – wydarła się na mnie i zatrzasnęła drzwi.

W dół Barnsley Road prosto do Wakefield, zerkając we wsteczne lusterko.

Radio włączone.

Jimmy Young i arcybiskup Canterbury debatuje o *Gwałcie analnym* i *Egzorcystyce* z angielską publicznością przy radio-odbiornikach.

„Powinno się obu filmów zakazać. Są po prostu obrzydliwe”.

Przez przystrojone w świąteczne lampki ulice, w pierwszych kroplach deszczu obok ratusza i siedziby władz hrabstwa.

„Egzorcyzmy, tak jak praktykuje się je w Kościele anglikańskim, są głęboko religijnym obrzędem, a nie czymś, do czego można przystępować z lekceważeniem. Ten film kreuje zupełnie fałszywe wyobrażenie o egzorcyzmach”.

Zaparkowałem naprzeciwko sklepu z nabiałem Lumps Dairy przy Drury Lane Library, deszcz był zimny, szary i ciężki.

„Jeżeli seks pozbawi się poczucia winy, to pozbawi się poczucia winy całe społeczeństwo, a nie wydaje mi się, by bez poczucia winy społeczeństwo mogło prawidłowo funkcjonować”.

Wyłączyłem radio.

Siedziałem w aucie, paliłem i obserwowałem, jak samochody rozwożące mleko wracają pod sklep.

Tuż po jedenastej trzydzieści.

Minąłem truchtem więzienie i wbiegłem na plac budowy, tablica Przedsiębiorstwa Budowlanego Fostera dudniła smagana deszczem.

Odstoniłem brezent w drzwiach niedokończonego budynku, w środku usłyszałem *Tubular Bells*.

Trzech śmierzdzących potężnych facetów z papierosami.

– No nie, kurwa, znowu ty – powiedział zwalisty facet z kanapką w ustach i termosem herbaty w garści.

– Szukam Jimmy’ego Ashwortha.

– Nie ma go tu, prawda? – odezwał się potężny facet w kurtce odwrócony do mnie plecami.

– A Terry Jones?

– Też go tu nie ma – powiedział ten w kurtce, a dwaj pozostali uśmiechnęli się szeroko.

– Wiecie, gdzie są?

– Nie – powiedział ten z kanapką.

– A kierownik budowy jest gdzieś w pobliżu?

– No jakoś nie masz dzisiaj szczęścia, co?

– Dziękuję – powiedziałem, myśląc: A udław się, ty grubo pierdolony tępaku.

– Nie ma za co. – Facet z kanapką uśmiechnął się i wyszedł z powrotem na plac.

Postawiłem kołnierz marynarki, wepchnąłem ręce i bandaże głęboko w kieszenie. A tam, oprócz ronsona Paula i drobniaków, znalazłem piórko.

Przeszedłem między stosami tanich cegieł i budowanymi domami do Czarciego Rowu, myśląc o ostatniej szkolnej fotografii Clare z tym ładnym nerwowym uśmiechem, obok innych czarno-białych zdjęć na moich ścianach w Czerwonym Strumyku.

Podniosłem wzrok, wciąż z piórkiem w palcach.
Jimmy Ashworth potykał się i biegł przez polanę w moją stronę, duże czerwone krople krwi leciały mu z nosa i czoła na tę jego chudą, bladą klatkę piersiową.
– Co się, kurwa, dzieje?! – zawołałem.
Zwolnił kroku, gdy się do mnie zbliżał, udając, że nie dzieje się nic takiego.
– Co ci się stało?
– Po prostu się odwał, okej?
W oddali zobaczyłem Terry’ego Jonesa, który wracał za Jimmym z Czarciego Rowu.
Chwyciłem Jimmy’ego za ramię.
– Co on ci powiedział?
Usiłował mi się wyrwać.
– Zostaw mnie! – wrzasnął.
Złapałem za drugi rękaw jego kurtki.
– Widziałeś ją już wcześniej, prawda?
– Odpierdol się!
Terry Jones zaczął biec, machając do nas.
– Powiedziałeś o niej Michaelowi Myshkinowi, tak?
– Odwał się! – krzyknął Jimmy i ściągnął z siebie kurtkę i koszulę, rzucając się do ucieczki.
Obróciłem się i powaliłem go chwytem z rugby na ziemię.
Jimmy runął w błocko pode mną.
Przycisnąłem go do ziemi.
– Gdzie ją, kurwa, widziałeś?!
– Odwał się! – Jimmy Ashworth wrzeszczał, patrząc wysoko w szare niebo, z którego na ubłoconą i zakrwawioną twarz lały się strugi deszczu.
– Gadaj, gdzie ją, kurwa, widziałeś!
– Nie.
Chlasnąłem go zabandażowaną ręką w twarz, igła bólu przeszła mi całe ramię, wbijając się w serce.
– Gadaj! – ryknąłem.

– Zostaw go, kurwa! – Terry Jones ciągnął mnie do tyłu za kołnierz.

– Odpierdol się – powiedziałem, wymachując rami-
nami i próbując go uderzyć.

Jimmy Ashworth wyrwał się spode mnie, skoczył na no-
gi i z gołą piersią popędził w kierunku domów. Deszcz,
błoto i krew spływały mu po nagim grzbiecie.

– Jimmy! – krzyknąłem, siłując się z Terryem Jonesem.

– Zostaw go, kurwa, w spokoju – syknął Jones.

Trzej zwaliści faceci wyszli na plac budowy i śmiali się
z Jimmy’ego, gdy mijał ich w pełnym biegu.

– Widział ją już wcześniej, do cholery.

– Daj spokój!

Jimmy Ashworth biegł dalej.

Trzej robotnicy przestali się śmiać i zaczęli iść w naszą
stronę.

Terry Jones puścił mnie i szepnął:

– Lepiej stąd pryskaj.

– Załatwię cię, kurwa, Jones.

Terry Jones podniósł kurtkę i koszulę Jimmy’ego
Ashwortha.

– W takim razie będziesz tylko marnował czas.

– Taa?

– Taa. – Uśmiechnął się smutno.

Odwrociłem się i odszedłem w stronę Czarciego Rowu,
wycierając błoto z rąk w nogawki spodni.

Usłyszałem krzyk i obejrzałem się za siebie. Terry Jones
z uniesionymi ramionami zaganiał trzech dryblasów z po-
wrotem na plac budowy.

Po Jimmym Ashworcie ani śladu.

Stanąłem na skraju rowu, spoglądając w dół na zardzewia-
łe wózki i rowery, kuchenki i lodówki, myśląc, że jest tutaj całe
nowoczesne życie i była też dziesięcioletnia Clare Kemplay.

Czarnymi od ziemi palcami wyciągnąłem z kieszeni
białe piórko.

Przy Czarcim Rowie podniosłem wzrok na wielkie czarne niebo i przyłożyłem białe piórko do bladoróżowych warg, myśląc: Gdyby tylko to nie była ona.

Strafford Arms, rondo Bullring w Wakefield.

Sam środek miasta w piątek przed świętami.

Człowiek w Błocie po schodach na górę i do drzwi.

Tylko dla członków.

– W porządku, Grace, ten pan jest ze mną – powiedział Box do kobiety za barem.

Derek Box i Paul siedzieli przy barze, whisky i cygara w rękach.

Z szafy grającej leciał Elvis.

Tylko Derek, Paul, Grace, Elvis i ja.

Box wstał ze stolka i przeszedł przez salę do stolika przy oknie.

– Wygląda pan jak ścierwo. Co się, kurwa, stało?

Usiadłem naprzeciwko Boxa, plecami do Paula i drzwi i spojrzałem na deszczowe Wakefield.

– Byłem w Czarcim Rowie.

– Myślałem, że kogoś już za to przyskrzynili?

– Ja też tak myślałem.

– Niektórych spraw najlepiej nie ruszać – powiedział Derek Box, spoglądając na czubek cygara.

– Jak przewodniczącego Shawa?

Ponownie zapalił cygaro.

– Widział się pan z nim?

– Owszem.

Paul postawił przede mną szklankę whisky i piwo.

Wlałem whisky do kufła.

– I?

– I prawdopodobnie właśnie w tej chwili rozmawia o tym z Donaldem Fosterem.

– Dobrze.

– Dobrze? Foster kazał wykończyć Barry'ego, do cholery.

- Prawdopodobnie.
- Prawdopodobnie?
- Barry zrobił się ambitny.
- O czym pan mówi?
- Wie pan o czym. Barry miał własne cele.
- No to co? Foster musiał, kurwa, zwariować. Nie możemy tego tak zostawić. Musimy coś zrobić.
- Nie zwariował – odrzekł Box. – Ma tylko silną motywację.
- Dobrze go pan zna czy co?
- Byliśmy razem w Kenii.
- W interesach?
- W interesach Jej Królewskiej Mości. Służyliśmy w pierdolonej Armii Brytyjskiej na Wyżynach, chroniliśmy tyłki takich tłustych piździelców, jakimi sami dzisiaj jesteśmy, walczyliśmy z cholernymi powstańcami Mau-Mau.
- O kurwa.
- No. Zeszli z gór jak jakieś pieprzone plemię indiańskie, gwałcili kobiety, odcinali mężczyznom fiuty i wieszali je na płotach.
- Żartuje pan?
- A wyglądam, jakbym żartował?
- Nie.
- Nie byliśmy aniołami, panie Dunford. Byłem z Donem Fosterem, kiedy urządziliśmy zasadzkę na pierdolony oddział rebeliantów. Strzelaliśmy im w kolana kulami kalibru .303, żeby mieć potem lepszy ubaw.
- Kurwa.
- Foster się nie spieszył. Nagrywał ich krzyki, ujadanie psów, twierdził, że pomagają mu zasnąć.
- Podniosłem ze stołu zapalniczkę Paula i zapaliłem papierosa.
- Paul przyniósł jeszcze dwie whisky.
- To była wojna, panie Dunford. Zupełnie tak jak teraz.

Wziętem swoją szklanę.

Box pocił się, kiedy pił, jego oczy skrywała ciemność.

– Rok temu mieliśmy przywrócić reglamentację. Teraz mamy inflację na poziomie pierdolonych dwudziestu pięciu procent.

Chlapnąłem kolejny łyk whisky, byłem pijany, przestraszony i znużony.

– Co to ma wspólnego z Donem Fosterem albo Barrym?

Box zapalił następne cygaro i westchnął.

– Kłopot z waszym pokoleniem polega na tym, że nic nie wiecie. Dlaczego według pana facet z łodzią pokonał faceta z fajką w 1970 roku?

– Wilson osiadł na laurach.

– E tam, na jakich laurach! – Box się roześmiał.

– No to dlaczego?

– Ponieważ tacy ważniacy jak Cecil King, Norman Collins, lord Renwick, Shawcross, Paul Chambers z ICI, Lockwood w EMI i McFadden w Shellu, a także inni ich pokroju usiedli razem do stołu i ustalili, że miarka się przebrała.

– No i?

– No i ci ludzie mają władzę, mogą człowieka wynieść na szczyt albo złamać mu karierę.

– Co to ma wspólnego z Fosterem?

– Nie słucha mnie pan, do cholery! Wytłumaczę to w waszym języku.

– Proszę bardzo...

– Władza jest jak klej. Trzyma ludzi takich jak my w kupie, sprawia, że wszystko jest na swoim miejscu.

– Pan i Foster jesteście...

– Jesteśmy jak dwie krople wody, on i ja. Lubimy ruchać i trzepać kasę i nie jesteśmy specjalnie wybredni, z kim i jak robimy jedno i drugie. Ale on wyrósł ponad miarę i teraz próbuje mnie wykosić, a to mnie wkurza.

– Więc postanowił pan wykorzystać mnie i Barry’ego do szantażowania jego kumpli?

– Mieliśmy umowę, ja, Foster i jeszcze jeden człowiek. Ten drugi nie żyje. Czekali, aż wróci z Australii, i zgarnęli go, kiedy wychodził z odwiedzin u matki w Blackpool. Związali mu ramiona za plecami ręcznikiem, a potem owinęli go sześcioma metrami taśmy od barków aż do bioder. Później wpakowali go do bagażnika jego samochodu i zawieźli na wrzosowiska. O świcie trzech facetów postawiło go na nogi i trzymało, czwarty dźgnął go pięciokrotnie nożem prosto w serce.

Patrzyłem na dno szklanki, sala wokół trochę się bujała.

– Tym zabitym był mój brat. Przyjechał do domu tylko na jeden dzień.

– Przykro mi.

– Na pogrzebie ktoś zostawił kartkę. Bez nazwiska, tylko napis: „Trzej ludzie mogą dochować tajemnicy, jeśli dwaj nie żyją”.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – powiedziałem cicho.

Box kiwnął głową do Paula, który siedział przy barze, i rzekł głośno:

– Zdaje się, że przeceniliśmy pana, panie Dunford.

Paul podszedł do mnie od tyłu, ciężka ręka spoczęła na moim barku.

– Niech pan robi to, czego się od pana wymaga, panie Dunford, a dostanie pan swój temat. Resztę proszę zostawić nam.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – powtórzyłem.

Box wyłamał sobie palce, aż chrupnęły stawy, a potem się uśmiechnął.

– Przykra sprawa. Bo już siedzisz w tym gównie po uszy.

Paul podniósł mnie za kołnierz.

– A teraz spierdalaj!

Człowiek w Błocie nogi za pas.

Z powrotem przez Westgate.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Barry i Clare.

Mata martwa Clare Kemp play pocałowała tego chłopca i doprowadziła go do łez.

Clare i Barry.

Brudny Barry, kiedy był dobry, był bardzo, bardzo dobry, lecz kiedy był zły, był bardzo, bardzo zły.

W drzwiach stał policjant, chroniąc się przed deszczem. A ja gotów byłem paść na kolana u jego stóp, zaklinać go, żeby okazał się dobrym człowiekiem, i opowiedzieć mu całą tę smutną historię, żeby wejść do środka, uciec od deszczu.

Ale co mu powiedzieć?

Powiedzieć, że wpadłem po uszy, oblepiony błotem i pijany w trzy dupy.

Człowiek w Błocie prosto do Leeds, zaschnięte błoto pękało, gdy jechałem.

Człowiek w Błocie prosto do biurowych toalet, upakany gnojem.

Z czystą twarzą i jedną dłonią, w brudnym garniturze i z czarnym bandażem usiadłem za swoim biurkiem o trzeciej po południu w piątek 20 grudnia.

– Fajny garnitur, Eddie.

– Odpierdol się, George.

– Ja też życzę ci wesołych świąt.

Na biurku mnóstwo karteczek z wiadomościami i pocztówek z życzeniami. Sierżant Fraser zadzwonił rano dwa razy, Bill Hadden prosi o spotkanie w najbliższej dogodnej chwili.

Rozparłem się na krześle, podczas gdy George Greaves pierdnął donośnie, wywołując aplauz nielicznych, którzy zdążyli wrócić z obiadu.

Uśmiechnąłem się i wziąłem do ręki kartki z życzeniami, trzy z Południa, plus list z moim imieniem i nazwiskiem wytłoczonym na plastikowej taśmie naklejonej na kopercie.

Po drugiej stronie redakcji Gaz przyjmował zakłady na mecz Newcastle z Leeds.

Otworzyłem kopertę i za pomocą zębów i lewej ręki wyciągnąłem kartkę.

– Chcesz na kogoś postawić, Eddie?! – zawołał Gaz.

Na składanej karcie widniała chata z drewnianych bali pośrodku przysypanego śniegiem lasu.

– Pół funta na Lorimera! – odkrzyknąłem.

– Jack już na niego postawił.

W środku, nad drukowanymi życzeniami świątecznymi, ktoś przykleił jeszcze dwa paski tłoczonej taśmy.

– No to ja na Yoratha – powiedziałem pod nosem.

Na górnej taśmie napis: ZAPUKAJ DO DRZWI.

– Na kogo?

Na drugiej taśmie: MIESZKANIA 405, CITY HEIGHTS.

– Na Yoratha – powtórzyłem wpatrzony w kartkę.

– Od kogoś, kogo znam?

Podniosłem wzrok.

Jack Whitehead powiedział:

– Mam tylko nadzieję, że od kobiety.

– Co to ma niby znaczyć?

– Słyszałem, że zadajesz się z młodymi chłopcami. –

Jack się uśmiechnął.

Wsunąłem kartkę do kieszeni marynarki.

– Taa?

– Tak. Z pomarańczowymi włosami.

– Od kogo to słyszałeś, Jack?

– Wróbelki ćwierkały.

– Cuchniesz gorzałą.

– Ty też.

– Są święta.

- Zaraz będzie po świętach. – Jack wyszczerzył zęby.
- Szef chce cię zobaczyć.
 - Wiem – powiedziałem, nie ruszając się z miejsca.
 - Poprosił, żebym cię znalazł i dopilnował, byś znowu się nie zgubił.
 - Będziesz mnie trzymał za rączkę?
 - Nie jesteś w moim typie.

– Bzdury.

– Odwal się, Jack. Posłuchaj.

Znowu wcisnąłem guzik odtwarzania:

„Nie mogłem uwierzyć, że to ona. Wyglądała inaczej, taka błada”.

– Bzdury – powtórzył Jack. – Chłopak mówi o zdjęciach, które były we wszystkich gazetach, w telewizji.

– Nie sędzę.

– Jej twarz była wszędzie.

– Ashworth wie coś więcej.

– Ale Myshkin przyznał się do winy.

– To akurat gównie znaczy, sam zresztą wiesz.

Bill Hadden siedział za biurkiem, z okularami opuszczonymi do połowy nosa, gładził się po brodzie i nic nie mówił.

– Powinieneś zobaczyć cały ten majdan, który wynieśli z pokoju tego małego zbrojnego.

– Czyli co?

– Zdjęcia małych dziewczynek, całe pudła zdjęć.

Spojrzałem na Haddena.

– Myshkin tego nie zrobił.

Naczelnny powiedział powoli:

– Ale dlaczego mieliby robić z niego kozła ofiarnego?

– A jak pan myśli? To tradycja.

– Trzydzieści lat – powiedział Jack. – Jestem trzydzieści lat w zawodzie i wiem, że strażacy nigdy nie kłamią, a gliniarze owszem, często. Ale nie tym razem.

- Gliniarze wiedzą, że to nie on, i też to wiesz.
- Ale to on. Przyznał się.
- I co z tego?
- Słyszałeś kiedyś o kryminalistyce i dowodach rzeczowych, o medycynie sądowej?
- To gówno prawda. Nic na niego nie mają.
- Panowie, panowie! – Hadden pochylił się do przodu. – Odnoszę wrażenie, że odbyliśmy tę rozmowę już wcześniej.
- Właśnie – mruknął Jack.
- Nie, bo wcześniej myślałem, że Myshkin jest winny, ale...
- Hadden uniósł ręce.
- Edwardzie, proszę.
- Przepraszam – powiedziałem ze wzrokiem wlepionym w kartki na jego biurku.
- Kiedy postawią go znowu przed sądem? – zapytał.
- Jutro z samego rana – odparł Jack.
- Następne zarzuty?
- Przyznał się już do Jeanette Garland i tej dziewczynki z Rochdale...
- Susan Ridyard – podpowiedziałem.
- Ale słyszałem, że to jeszcze nie wszystko.
- Wspomniał coś o tym, gdzie są ciała? – spytałem.
- W ogródku za twoim domem, wilczku.
- No dobrze. – Hadden przybrał ojcowski ton. – Edwardzie, ty przygotujesz tę sylwetkę Myshkina na poniedziałek. A ty, Jack, zrelacjonujesz następną rozprawę.
- Zrobi się, szefie. – Jack wstał.
- Dobry kawałek o tych dwóch gliniarzach. – Naczelnny pokiwał głową jak dumny ojciec.
- Dziękuję. Fajni faceci, znam ich od dłuższego czasu.
- Do zobaczenia jutro wieczorem, Jack – powiedział Hadden.

– Tak. Serwus, wilczku – rzucił jeszcze Jack, gdy wychodził.

– Pa. – Też wstałem, cały czas przyglądając się kartkom na biurku Haddena.

– Usiądź jeszcze na chwilę, dobrze? – poprosił Hadden, wstając.

Usiadłem.

– Słuchaj, Edwardzie, chciałbym, żebyś wziął urlop aż do końca miesiąca.

– Co?

Hadden był odwrócony do mnie plecami, patrzył na ciemne niebo.

– Nie rozumiem – powiedziałem, doskonale go rozumiejąc, skupiony na jednej małej karteczce leżącej wśród innych.

– Nie chcę, żebyś przychodził do redakcji w takim stanie.

– Jakim?

– Takim. – Odwrócił się i pokazał mnie dłonią.

– Byłem na placu budowy, pracowałem nad tematem.

– Jakim tematem?

– Clare Kemplay.

– To już koniec.

Wpatrywałem się w tę jedną kartkę na biurku, na jeszcze jedną chatę z bali stojącą w środku przysypanego śniegiem lasu.

– Weź sobie urlop do końca miesiąca. I niech ktoś zajmie się tą twoją ręką – powiedział Hadden, siadając.

Wstałem.

– Wciąż chce pan ten artykuł o Myshkinie?

– Tak, oczywiście. Przepisz go na maszynie i daj Jackowi.

Otworzyłem drzwi, ale jeszcze rzutem na taśmę, z myślą: A chuj wam wszystkim w dupę, zapytałem:

– Zna pan Fosterów?

Hadden nie podniósł nawet wzroku.

– A przewodniczącego Williama Shawa?

Popatrzył na mnie.

– Przykro mi, Edwardzie. Naprawdę.

– Nie ma powodu. Ma pan rację – odparłem. – Potrzebuję pomocy.

Ostatni raz przy swoim biurku, z myślą, żeby uderzyć z tym, kurwa, do prasy krajowej, zgarnąłem wszystko, co leżało na blacie, do starej brudnej torby Co-op. Gównu mnie obchodziło, kto się dowie, że pakuję manatki.

Jack pierdolony Whitehead rzucił mi na puste biurko popołudniowe wydanie i uśmiechnął się promiennie.

– Na pamiętkę.

Podniosłem na niego wzrok, zacząłem liczyć od dziesięciu do jednego.

W redakcji cisza, wszystkie oczy na mnie.

Jack Whitehead pochylił się nade mną, nos w nos.

Spojrzałem w dół na złożoną na pół gazetę z tytułem na całą szerokość strony:

DZIĘKI WAM SKŁADAMY.

– Rozłóż ją.

Na drugim końcu redakcji rozdzwonił się telefon. Nikt się nie ruszył, żeby odebrać.

Rozłożyłem gazetę. Na dolnej połowie strony widniało zdjęcie dwóch mundurowych policjantów odbierających gratulacje od komendanta Angusa.

Dwaj mundurowi policjanci, jak w morde.

Wysoki z brodą, niski bez brody.

Gapilem się na gazetę, na zdjęcie, na podpis:

Komendant Angus gratuluje sierżantowi Bobowi Cravenowi i konstablowi Bobowi Douglasowi dobrze wykonanej roboty.

„To wzorowi funkcjonariusze, którym należą się nasze serdeczne podziękowania”.

Podniosłem gazetę, złożyłem ją znowu na pół, wepchnąłem do reklamówki i puściłem do Jacka oko.

– Dzięki.

Nie odpowiedział.

Wzięłem swoją torbę i przeszedłem w ciszy przez salę.

George Greaves wyglądał przez okno, Gaz z działu sportowego wpatrywał się w swój ołówek.

Na moim biurku zadzwonił telefon.

Jack Whitehead podniósł słuchawkę.

Gruba Steph przy drzwiach, z naręczem dokumentów, uśmiechnęła się do mnie.

– Przykro mi, kochany.

– To sierżant Fraser! – zawołał Jack zza mojego biurka.

– Powiedz mu, żeby się odpiardolił. Zostałem zwolniony.

– Został zwolniony – powiedział Jack i odłożył słuchawkę.

Raz, dwa, trzy, cztery, po schodach na dół i w drzwi.

Press Club, tylko dla członków, tuż przed piątą.

Przy barze, jeszcze jako członek, ze szkocką w jednej ręce i telefonem w drugiej.

– Halo. Czy zastałem Kathryn?

Szafa gra *Yesterday Once More* za moje pieniądze.

– A orientuje się pan, kiedy wróci?

Do diabła z The Carpenters, oczy łzawiły mi od dymu z mojego papierosa.

– A mógłby jej pan powiedzieć, że dzwonił Edward Dunford?

Odłożyłem słuchawkę, wychyliłem szkocką, zapaliłem następnego szluga.

– Poproszę jeszcze raz to samo, kochana.

– I jeszcze jedna kolejka dla mnie, Bet.

Obejrzałem się.

Jack pierdolony Whitehead klapnął na stołek obok.

– Masz na mnie, kurwa, ochotę czy co?

– Nie.

– To czego, kurwa, chcesz?

– Powinniśmy pogadać.

– Dlaczego?

Barmanka postawiła przed nami dwie szklanki whisky.

– Ktoś cię wrabia.

– Taa? Też mi nowina, Jack.

Poczęstował mnie papierosem.

– No to kto, wilczku?

– Może jednak zaczniemy od dwóch twoich kumpli, Dużego i Małego Boba?

Jack sam zapalił papierosa i mruknął:

– A czemu?

Podstawiłem mu pod twarz prawą rękę, wymachując przed nosem bandażami, aż runąłem do przodu, gdy krzyczałem:

– A temu! Jak myślisz, co to jest?

Jack usunął się z drogi i złapał mnie za prawą rękę.

– Oni ci to zrobili? – zapytał, sadzając mnie z powrotem na stolku, ze wzrokiem wbitym w czarny zwój na końcu mojego ramienia.

– Tak, między spaleniem obozu cygańskiego, wykradzeniem zdjęć z sekcji zwłok i wymuszaniem za pomocą pięści przyznania się do winy niedorozwiniętego chłopaka.

– O czym ty mówisz?

– Tylko o tym, jak nowa Policja Metropolitalna Yorkshire Zachodniego pełni służbę, przy poparciu starego dobrego „Yorkshire Post”.

– Odbiło ci, kurwa.

Wychyliłem swoją szkocką.

– Wszyscy wciąż mi to mówią.

– No to powinieneś ich, kurwa, posłuchać.

– Odwal się, Jack.

- Eddie?
- Co?
- Pomyśl o swojej matce.
- Co masz, kurwa, na myśli?
- Czy nie dość już przeszła? Ledwo tydzień minął, od-
kąd pochowaliście twojego ojca.

Pochyliłem się i dźgnąłem go dwoma palcami w ko-
ścistą pierś.

- Nie waż się, kurwa, mieszać do tego mojej rodziny.
Wstałem i wyjąłem kluczyki od samochodu.
- Nie powinienes prowadzić w tym stanie.
- A ty nie powinienes w tym stanie pisać, jednak pi-
szesz.

Podniósł się, trzymając mnie za ramiona.

- Wrabiają cię, tak jak wrobiono Barry’ego.
 - Puszczaj mnie, do kurwy nędzy!
 - Z Derekiem Boxem to nie przelewki.
 - Puszczaj!
- Usiadł z powrotem na stołku.
- Tylko potem nie mów, że nikt cię nie ostrzegął.
 - Odpierdol się – warknąłem i ruszyłem po schodach
na górę, nienawidząc tego kłamliwego sukinsyna i par-
szywego świata, w którym żyje.

Autostradą M1 z Leeds na południe, siódma wieczorem
i spory ruch. W moich przednich światłach zaczęły lśnić
strugi deszczu.

W radiu *Always on My Mind*.

Ja na pasie szybkiego ruchu, co chwila zerkam we wstecz-
ne lusterko, zerkam w lewo, gdzie nie ma już obozu
Cyganów.

Przeskakuję z jednej stacji radiowej na drugą, unikam
serwisów informacyjnych.

Nagle z mroku wyłania się zjazd do Castleford, cały
rozświetlony.

Skręciłem, przecinając trzy pasy, i usłyszałem wściekle trąbienie kierowców, wykrzywione twarze widm uwieczonych w swoich autach, ciskające we mnie przekleństwami.

O włos od śmierci i jedna myśl: No to już.

No to już.

Pukanie do drzwi...

– Jesteś pijany.

– Chcę tylko porozmawiać – powiedziałem na schodku przed numerem 11, czekając, aż te czerwone drzwi zatrasną mi się przed nosem.

– Lepiej wejdź.

Gruba Szkotka z sąsiedztwa siedziała na kanapie przed *Opportunity Knocks* i gapiała się na mnie.

– Wypił parę głębszych – powiedziała Paula, zamykając drzwi.

– Nie ma w tym nic złego. – Szkotka się zaśmiała.

– Przepraszam. – Usiadłem na kanapie obok niej.

Paula powiedziała:

– Zrobię ci herbaty.

– Dziękuję.

– Chcesz jeszcze filiżankę, Clare?

– Nie, ja już sobie pójdę. – Ruszyła za Paulą do kuchni.

Siedziałem na sofie przed telewizorem, słuchałem szepców zza ściany i patrzyłem, jak młoda tancerka, stepując, podbija serca milionów widzów. Tuż nad nią, na telewizorze, uśmiechała się do mnie Jeanette.

– Do zobaczenia, Eddie. – Szkotka Clare już była przy drzwiach.

Chciałem wstać, ale ostatecznie zostałem na kanapie i wymamrotałem:

– Taa, dobranoc.

– No. Bądź grzeczny – powiedziała, gdy zamykała za sobą czerwone drzwi.

W telewizji rozległy się oklaski.

Paula podała mi kubek herbaty.

– Proszę.

– Przepraszam za to. I za wczorajszy wieczór.

Usiadła na kanapie obok mnie.

– Nieważne, nie przejmuj się.

– Zawsze zjawiam się tak jak teraz, a do tego jeszcze te bzdury, które nawygadywałem wczoraj wieczorem. Nie chciałem, żeby tak wyszło.

– Nie szkodzi, nie przejmuj się. Nie musisz nic mówić.

W telewizji roboty z innej planety jadły purée z proszku.

– Kiedy mi naprawdę zależy.

– Wiem.

Chciałem zapytać o Johnny’ego, ale odstawiłem kubek i pochyliłem się nad nią, lewą ręką zbliżając jej twarz do mojej.

– Jak twoja dłoń? – szepnęła.

– W porządku – powiedziałem, całując jej wargi, podbródek, policzki.

– Nie musisz tego robić – powiedziała.

– Chcę.

– Dlaczego?

Małpka w kaszkiecie piła w telewizji herbatę z filiżanki.

– Bo cię kocham.

– Proszę, nie mów tak, jeśli tak nie myślisz.

– Mówię, co myślę.

– To powiedz jeszcze raz.

– Kocham cię.

Paula odepchnęła mnie i wzięła za rękę. Wyłączyła telewizor i poprowadziła po stromych, stromych schodach na górę.

„Pokój mamy i taty”, w sypialni tak zimno, że widziałem własny oddech.

Paula usiadła na łóżku i zaczęła rozpinać bluzkę, jej nagie ciało całe w gęsiej skórcie.

Pchnąłem ją na pierzynę i ściągnąłem sobie nogami buty, które z głośnym łoskotem wylądowały na podłodze.

Wierciła się pode mną, próbując wydostać się ze swoich spodni.

Podciągnąłem do góry jej bluzkę i czarny stanik i zacząłem ssać jasnobrazowe sutki, kęsając je lekko.

– Ale z ciebie zbereźnik – zachichotała.

– Dziękuję. – Uśmiechnąłem się, czując śmiech w jej brzuchu.

– Kocham cię – powiedziała i wsunęła dłonie w moje włosy, lekko popychając moją głowę w dół.

Dałem się pokierować, otworzyłem suwak jej spodni i ściągnąłem je razem z błękitnymi bawełnianymi majtkami.

Paula Garland wepchnęła mi głowę w cipę i zaplotła nogi na moich plecach.

Moja broda zrobiła się mokra i lekko piekła, gdy schła.

Paula pchnęła mnie z powrotem do siebie.

– Kocham cię – powiedziała.

– Kocham cię – wymamrotałem z ustami pełnymi jej piczy.

Pociągnęła mnie z powrotem do góry, na cycki.

Całowałem po drodze jej ciało, kończąc na wargach, przynosząc jej smak jej samej.

Jej język na moim, oba w smaku cipki.

Podparłem się, ból przeszył mi ramię i obróciłem ją na brzuch.

Paula leżała na pierzynie z twarzą w poduszce i miała na sobie tylko stanik.

Spojrzałem na swojego chuja.

Paula uniosła lekko tyłek, a potem znowu go opuściła.

Odgarnąłem jej włosy i zacząłem całować kark, szyję, płatki uszu, gramoląc się między jej nogi.

Znowu uniosła dupę, mokrą od soków i potu.

Usiadłem i zacząłem ocierać fiuta o wargi cipy, z obandażowaną ręką w jej włosach, a lewą dłonią przyciśniętą płasko do zagłębienia jej pleców.

Uniosła tyłek wyżej, napierając cipą na chuja.

Mój ptak dotknął jej dupy.

Wyciągnęła po niego rękę, prowadząc go z powrotem do pizdy.

Do środka i z powrotem, do środka i z powrotem.

Paula, twarzą do dołu, z zaciśniętymi pięściami.

Wysunąłem się z niej szybko.

Paula westchnęła, rozwierając dłonie.

Fiut dotknął jej dupy.

Paula próbuje się na mnie obejrzeć.

Fiut na skraju jej dupy.

Paula krzyknęła w poduszkę.

Wcisnąłem się do środka.

Paula Garland krzyczy i krzyczy w poduszkę.

Zabandażowana ręka przyciska jej twarz do dołu, druga sięga na brzuch.

Paula Garland próbuje się wyrwać.

A ja rucham ją mocno w dupę.

Paula drży i łka bezsilnie.

Sztych, cofnięcie, sztych, cofnięcie.

Paula z krwią na dupie.

Sztych, cofnięcie, sztych, cofnięcie. Krew na fiucie.

Paula Garland w płacz.

Dochodzi, dochodzi, dochodzi.

Woła Jeanette.

Dochodzę.

Zdechłe psy i potwory, i szczury z małąskimi skrzydełkami.

Ktoś łaził mi pod czaszką w ciężkich buciorach i świecił latarką w ciemne zakamarki.

A ona stała na ulicy otulona w czerwony sweter i uśmiechała się do mnie.

Nagle wielkie czarne ptaszysko sfrunęło z nieba w jej włosy, ścigając ją w głąb ulicy, wrywając grube złociste kępy zakrwawione u korzeni.

Potem z odsłoniętymi błękitnymi bawełnianymi majtkami leżała na drodze niczym zdechły pies potrącony przez ciężarówkę.

Obudziłem się i spróbowałem wrócić do snu, myśląc: Jestem już bezpieczny, jestem już bezpieczny, mogę znowu zasnąć.

Zdechłe psy i potwory, i szczury z maleńkimi skrzydełkami.

Ktoś łaził mi pod czaszką w ciężkich buciorach i świecił latarką w ciemne zakamarki.

Siedziałem w drewnianej chacie, wpatrzony w przystrojoną choinkę, a izbę wypełniały smakowite zapachy gotowanych potraw.

Wziąłem spod choinki duże pudło zapakowane w gazetę i rozwiązałem czerwoną wstążkę.

Ostrożnie odwinąłem gazetę, żeby móc ją później przeczytać.

Spojrzałem na małe drewniane pudełko na kolanach, na gazecie i odwiązanej czerwonej wstążce.

Zamknąłem oczy i otworzyłem pudełko, stłumiony łomot mojego serca wypełnił izbę.

– Co to jest? – powiedziała, podchodząc do mnie od tyłu i dotykając mojego ramienia.

Zakryłem pudełko zabandażowaną ręką, zanurzając głowę w fałdach bawełnianego materiału w czerwoną kratkę.

Wzięła pudełko z moich rąk i zajrzała do środka.

Pudełko upadło na podłogę, izba pełna zapachów potraw, stłumionego łomotu serca, jej cholernych wrzasków.

Patrzyłem, jak wypełzło z pudełka na podłogę, zostawiając pająkowate ślady krwi ciągniętą za sobą pępowiną.

– Pozbądź się tego! – krzyczała. – Pozbądź się tego natychmiast!

Przewróciłem je na plecy i uśmiechnęło się do mnie.

Obudziłem się i spróbowałem wrócić do snu, myśląc: Jestem już bezpieczny, jestem już bezpieczny, mogę znowu zasnąć.

Zdechłe psy i potwory, i szczury z maleńkimi skrzydełkami.

Ktoś laził mi pod czaszką w ciężkich buciorach, świecił latarką w ciemne zakamarki.

Nie spałem, leżałem w podziemiach na drzwiach i marzłem.

Nad głową słyszałem stłumione dźwięki z telewizora, *Opportunity Knocks*.

Wpatrywałem się w ciemność, maleńkie punkciki światła coraz bliżej.

Nad głową usłyszałem stłumione dzwonienie telefonu i łopot skrzydeł.

Widziałem w ciemnościach szczury z maleńkimi skrzydełkami, które przypominały raczej dobrotliwe wiewiórki z kosmatymi pyszczkami. Nad głową usłyszałem stłumione dźwięki grającej płyty, *The Little Drummer Boy*. Szczury szeptały mi coś zgryźliwie do ucha, wyzywały mnie, znęcały się bardziej, niż gdyby okładano mnie kijami.

Obok mnie stłumiony dziecięcy płacz.

Poderwałem się, żeby włączyć światło, ale już się paliło.

Obudzony leżałem na dywanie i marzłem.

ROZDZIAŁ 9

– Co to jest, do cholery?

Obudziło mnie uderzenie gazetą prosto w twarz.

Sobota, 21 grudnia 1974 roku.

– Mówisz, że mnie kochasz, mówisz, że ci zależy, a potem ruchasz mnie w dupę i piszesz takie gówno!

Usiadłem na łóżku, rozcierając policzek zabandażowaną ręką.

Tak, sobota, 21 grudnia 1974 roku.

Paula Garland w niebieskich dżinsowych dzwonach i czerwonym wełnianym swetrze stała nad łóżkiem.

Z pierzyny patrzył na mnie „Yorkshire Post”:

11 DNI ROZEJMU ŚWIĄTECZNEGO Z IRA.

– Co?

– Nie wciskaj mi kitu, ty zakłamanym zasańcu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Podniosła gazetę, rozłożyła ją i zaczęła czytać:

Błagalna prośba matki, autor: Edward Dunford.

Pani Paula Garland, siostra gwiazdy rugby, Johnny'ego Kelly'ego, płakała, gdy opowiadała o swoim życiu od zagnięcia jej córki, Jeanette, przed pięciu laty.

– Od tamtego dnia straciłam wszystko – powiedziała pani Garland, odnosząc się do śmierci męża Goeffa w 1971 roku, który popełnił samobójstwo po bezowocnym dochodzeniu policji w sprawie miejsca pobytu ich

zaginionej córce. – Chcę, żeby to wszystko się już skończyło – szlochala pani Garland. – I może teraz jest na to szansa.

Paula przerwała.

– Mam czytać dalej?

Z jajami w skotłowanej pościeli siedziałem na brzegu łóżka i wpatrywałem się w plamę białego światła słonecznego na cienkim kwiecistym dywanie.

– Ja tego nie napisałem.

– Autor: Edward Dunford.

– Ja tego nie napisałem.

Aresztowanie mieszkającego w Fitzwilliam mężczyzny w związku z zaginięciem i zamordowaniem Clare Kemplay przyniosło pani Garland rodzaj tragicznej nadziei.

– Nigdy nie przypuszczałam, że to powiem, ale po tych wszystkich latach chcę się po prostu dowiedzieć, co się stało – wyszochala pani Garland. – A jeśli to oznacza, że dowiem się najgorszego, to po prostu będę musiała się z tym pogodzić i żyć dalej z tą świadomością.

– Ja tego nie napisałem.

– Autor: Edward Dunford – powtórzyła.

– Ja tego nie napisałem.

– Kłamca! – wrzasnęła Paula Garland, chwytając mnie za włosy i wywlekając z łóżka.

Upadłem goły na cienki kwiecisty dywan, powtarzając:

– Ja tego nie napisałem.

– Wynoś się!

– Proszę cię, Paulo – powiedziałem, sięgając po spodnie.

Pchnęła mnie i znowu przewróciła, gdy spróbowałem wstać. Wciąż krzyczała:

– Wynoś się! Wynoś!

– Paula, daj se na wstrzymanie i mnie posłuchaj.

– Nie! – wrzasnęła znowu i zadrapała mi paznokciami ucho.

– Odwal się – krzyknąłem i odepchnąłem ją, zbierając swoje łachy.

Osunęła się na podłogę w kącie przy szafie, zwinęła się w kłębek i zaszlochała:

– Nienawidzę cię, kurwa, nienawidzę!

Włożyłem spodnie i koszulę, krew ciurkała mi z ucha. Wziąłem marynarkę.

– Nie chcę cię widzieć już nigdy więcej – wymamrotała.

– Nie przejmuj się, nie będziesz musiała – odburknąłem i zbiegłem po schodach do drzwi.

Suka.

Zegar w samochodzie pokazywał, że dochodzi dziewiąta, białe zimowe słońce prawie mnie oślepiało.

Pierdolona suka.

Na szosie A655 ładny poranek, płaskie brązowe pola jak okiem sięgnąć.

Cholerna pierdolona suka.

Radio włączone, Lulu śpiewała *Little Drummer Boy*, tylne siedzenie pełne reklamówek.

Durna cholerna pierdolona suka.

Wybiła godzina dziewiąta, ucho wciąż piekło, zapraszamy na wiadomości:

„Policja Yorkshire Zachodniego wszczęła śledztwo w sprawie zabójstwa kobiety, której zwłoki znaleziono wczoraj w mieszkaniu w okolicach St Johns”.

Ręce mi zdrętwiały, krew zamarzła w żyłach.

„Kobietę zidentyfikowano jako 36-letnią Mandy Denizli”.

Mięśnie napięły się na kościach, samochód zjechał z drogi na trawiaste pobocze.

„Pani Denizli pracowała jako medium pod panięmskim nazwiskiem Wymer i stała się znana w całym kraju po tym,

jak pomogła policji w szeregu dochodzeń. Ostatnio pani Denizili twierdziła, iż wskazała policji miejsce, gdzie znajdowało się ciało zamordowanej uczennicy Clare Kemplay. Twierdzeniu temu zdecydowanie zaprzeczył detektyw nadinspektor Peter Noble kierujący śledztwem”.

Moje czoło na kierownicy, usta zakryte dłońmi.

„Chociaż do obecnej chwili policja ujawniła mało szczegółów dotyczących samego przestępstwa, krążą pogłoski, iż było wyjątkowo brutalne”.

Szarpałem się z drzwiczkami i bandażem, żółć poleciała na podłokietnik i trawę.

„Policja zwraca się z apelem do wszystkich, którzy znali panią Denizili, aby jak najszybciej zgłaszali się na zeznania”.

Szalona pierdolona suka.

Z samochodu i na kolana, żółć ściekała po podbródku na ziemię.

Cholerna pierdolona suka.

Plułem żółcią i flegmą, ten wrzask w moich uszach, gdy z dupą na podłodze cofała się w głąb korytarza, te rozwalone ramiona i nogi, ta spódnica, która podjechała do góry.

Pierdolona suka.

Żwir na moich dłoniach, ziemia na czole, a ja wpatrzony w trawę rosnącą w pęknięciach asfaltu.

Suka.

Jak wycięta ze stron „Yorkshire Life”.

Trzydzieści minut później, z twarzą czarną od ziemi i rękami zielonymi od soku z trawy, stałem w recepcji motelu Czerwony Strumyk, ze słuchawką w obandażowanej dłoni.

– Poproszę z sierżantem Fraserem.

Żółcienie, brązy, smród dymu – czułem się prawie jak w domu.

– Halo, tu sierżant Fraser.

Pomyślałem o wronach na drutach telefonicznych, przelknąłem ślinę.

– Tu Edward Dunford.

Cisza, tylko szum na linii w oczekiwaniu na słowa.

Stukot kul bilardowych za przeszklonymi drzwiami, a ja zastanawiam się, jaki to dzień tygodnia, zastanawiam się, czy to dzień szkolny, myślę o wronach na drutach telefonicznych i zastanawiam się, co myśli Fraser.

– Masz przejebane, Dunford – powiedział Fraser.

– Musimy się spotkać.

– Spadaj na drzewo. Musisz oddać się w ręce policji.

– Co?

– Słyszałeś. Chcą cię przesłuchać.

– W związku z czym?

– W związku z zamordowaniem Mandy Wymer.

– A chuj im w dupę.

– Gdzie jesteś?

– Słuchaj...

– Nie, ty, kurwa, słuchaj. Od dwóch dni usiłuję się z tobą skontaktować...

– Posłuchaj, proszę...

Znowu cisza, tylko szum na linii w oczekiwaniu na jego albo moje słowa.

Stukot kul bilardowych za przeszklonymi drzwiami, a ja zastanawiam się, czy to ta sama gra, zastanawiam się, czy w ogóle chce im się pilnować wyników, myślę o wronach na drutach telefonicznych i zastanawiam się, czy Fraser próbuje ustalić, skąd dzwonię.

– Tak? – powiedział Fraser.

– Podam ci nazwiska i daty, wszystkie informacje, które mam o Barrym Gannonie i wynikach jego dochodzenia.

– Tak?

– Ale potrzebuję czegoś w zamian. Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co można u was usłyszeć o tym,

co się dzieje z Michael'em Myshkinem, co mówi o Jeanette Garland i Susan Ridyard. I chcę mieć zeznania, w których przyznał się do winy.

– Tak?

– Spotkamy się o dwunastej w południe. Przekażę ci wszystko, co mam, a ty dasz mi to, co uda ci się zdobyć. Ale musisz dać mi słowo, że nie będziesz próbował mnie zwinąć.

– Tak?

– Jeżeli mnie aresztujesz, powiem, że jesteś umoczony.

– Tak?

– Daj mi czas do północy, potem się zgłoszę.

Cisza, tylko szum linii w oczekiwaniu na słowa.

Stukot kul bilardowych za przeszklonymi drzwiami, a ja zastanawiam się, gdzie jest pierdząca starucha, zastanawiam się, czy nie zmarła w swoim pokoju i nikt jej jeszcze nie znalazł, myślę o wronach na drutach telefonicznych i zastanawiam się, czy Fraser wystawił mnie w Domu Opieki Hartleyów.

– Gdzie? – szepnął sierżant Fraser.

– Na skrzyżowaniu A655 i B6134 jest nieużywana stacja benzynowa, jak się jedzie na Featherstone.

– O dwunastej?

– W południe.

Rozłączył się, w słuchawce martwa cisza, a ja czułem się bardzo podobnie.

Stukot kul bilardowych za przeszklonymi drzwiami.

Na podłodze pokoju 27 po opróżnieniu kieszeni i toreb wpatrywałem się w minikasety oznaczone jako Box i SHAW. Włączyłem odtwarzanie.

Przepisywałem swoje i ich słowa poranioną ręką.

„Nie jestem również aniołem, ale jestem człowiekiem interesu”.

„Chciałbym przekonać pana przewodniczącego, że powinien odciąć się od wszystkich swoich politycznych kręctw”.

Odłożyłem na bok jedno zdjęcie.

„Jutro w porze lunchu, na pięterku w Strafford Arms”.

Wymiana kaset, odtwarzanie:

„Z powodu pieprzonych pieniędzy”.

Zapisałem dużymi drukowanymi literami.

„Foster, Donald Richard Foster. O niego panu chodzi?”.

Słuchałem kłamstw.

„Nie wiedziałem, że jest dziennikarzem”.

Przełożyłem kasetę na drugą stronę.

„O wszystkich innych pod tymi pięknymi nowymi dywanami”.

Przewinałem do tyłu.

„Proszę mnie nie dotykać!”.

Wcisnąłem nagrywanie, żeby to skasować.

„Pachnie pan złymi wspomnieniami tak mocno”.

Na podłodze pokoju 27 wypchałem szarą kopertę do oporu kawałkami Barry’ego i wynikami jego śledztwa, polizałem klej i zalepiłem ją a potem nagryzmoiliłem z przodu nazwisko Frasera.

„A pani tego nie przewidziała?”.

Przy drzwiach swojego pokoju w Czerwonym Strumyku tyknąłem tabletkę i zapaliłem papierosa. Szara koperta w mojej ręce i kartka świąteczna w kieszeni.

„Jestem medium, panie Dunford, nie przepowiadam przyszłości”.

Jeszcze jedno drzwi.

Południe.

Sobota, 21 grudnia 1974 roku.

Między ciężarówką a autokarem przejechałem obok nieużywanej stacji Shella na skrzyżowaniu A655 i B6134.

Na placu stał musztardowożółty austin maxi, sierżant Fraser opierał się o maskę.

Przejechałem jeszcze sto metrów i zatrzymałem się na poboczu, opuściłem szybę, zawróciłem wóz, włączyłem dyktafon na nagrywanie i podjechałem do stacji.

Zatrzymałem się obok maxi i powiedziałem:

– Wsiadaj.

Sierżant Fraser, w płaszczu narzuconym na mundur, obszedł vivę od tyłu i wsiadł.

Ruszyłem z placu i skręciłem w lewo na B6134 do Featherstone.

Sierżant Fraser, z ramionami założonymi na piersi, patrzył prosto przed siebie.

Przez chwilę czułem się tak, jakbym przeniósł się do innego świata, jak w *Doktorze pierdolonym Who*, gdzie ja jestem gliniarzem, a Fraser nie, gdzie ja jestem dobry, a on nie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Fraser.

– Jesteśmy na miejscu. – Wjechałem do zatoczki tuż obok czerwonej przyczepy kempingowej, gdzie sprzedawano herbatę i ciasta z owocami.

Zgasilem silnik i spytałem.

– Postawić ci coś?

– Nie, tak jest w porządku.

– W porządku? Znasz sierżanta Cravena i jego kumpla?

– Taa. Wszyscy ich znają.

– Dobrze ich znasz?

– Znam ich reputację.

Wyjrzałem przez obryzganą brązowym błotem szybę na niskie brązowe żywopłoty, które dzieliły płaskie brązowe pola, gdzie wyrastały od czasu do czasu samotne brązowe drzewa.

– A co? – zapytał Fraser.

Wyciągnąłem z kieszeni zdjęcie Clare Kemplay – to, jak leżała na stole w prosektorium z łabędzim skrzydłem przyszytym do pleców.

- Podałem zdjęcie Fraserowi.
- Myślę, że dał mi to albo Craven, albo jego partner.
 - O kurwa. Dlaczego?
 - Wrabiają mnie.
 - Dlaczego?
- Wskazałem reklamówkę, która leżała pod jego stopami.
- Wszystko jest tam.
 - Tak?
 - Tak. Zapisy rozmów, dokumenty, zdjęcia. Wszystko, czego potrzebujesz.
 - Zapisy rozmów?
 - Mam oryginalne kasety i przekazę ci je, kiedy uznasz, że ich potrzebujesz. Nie przejmuj się, wszystko tu jest.
 - Oby – powiedział Fraser, zaglądając do torby.
- Wyciągnąłem spod marynarki dwie kartki papieru i wręczyłem jedną Fraserowi.
- Zapukaj do tych drzwi.
 - Chapeltown, Spencer Mount 3, mieszkania 5 – przeczytał Fraser.
- Drugą kartkę schowałem z powrotem do kieszeni.
- Taa.
 - Kto tam mieszka?
 - Barry James Anderson. To znajomy Barry'ego Gannona, gwiazda niektórych fotek i taśm, które znajdziesz w torbie.
 - Dlaczego mi go dajesz?
- Popatrzyłem w dal na kres płaskich brązowych pól, na niebo, które z błękitnego robiło się białe.
- Nie mogę dać nic innego.
- Fraser wsunął kartkę do kieszeni i wyciągnął notes.
- A ty co masz dla mnie?
 - Jakoś, cholera, niewiele – odrzekł Fraser, otwierając notes.
 - Zeznanie, w którym przyznał się do winy?
 - Nie dosłowne.

- Szczegóły?
 - Żadnych nie ma.
 - Co powiedział o Jeanette Garland?
 - Przyznał się. I tyle.
 - O Susan Ridyard?
 - To samo.
 - Kurde.
 - No – powiedział sierżant Fraser.
 - Myślisz, że to on je załatwił?
 - Sam się przyznał.
 - Powiedział, gdzie to wszystko zrobił?
 - W swoim Podziemnym Królestwie.
 - Nie jest do końca normalny.
 - A kto jest? – westchnął Fraser.
- W zielonym samochodzie, pośród brązowych pól, pod białym niebem powiedziałem:
- To wszystko?
- Sierżant Fraser zajrzał do notesu.
- Mandy Wymer.
 - Kurwa.
 - Sąsiadka znalazła ją wczoraj około dziewiątej rano. Została zgwałcona, oskalpowana i powieszona na drucie z żyrandola.
 - Oskalpowana?
 - Tak jak to robili Indianie.
 - Kurwa.
 - Utajniono tę informację przed wami, dziennikarzami.
- Fraser się uśmiechnął.
- Oskalpowana – wyszeptalem.
 - Kotom też się dostało. Prawdziwy horror.
 - Kurwa.
 - Twój były szef o tobie poinformował. – Fraser zamknął notes.
 - Myślą, że ja to zrobiłem?
 - Nie.

– Czemu nie?
– Jesteś dziennikarzem.
– Więc?
– Więc myślą, że możesz wiedzieć, kto to zrobił.
– Dlaczego ja?
– Ponieważ musiałeś być jedną z ostatnich pieprzonych osób, które widziały ją żywą. Dlatego.

– Kurwa.

– Wspomniała o swoim mężu?

– Niczego o nim nie mówiła.

Sierżant Fraser znowu otworzył notes.

– Sąsiedzi zeznali, że u pani Wymer była jakaś awantura we wtorek po południu. Według twojego byłego pracodawcy musiało to być tuż przed albo tuż po tym, jak się z tobą widziała.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Sierżant Fraser spojrzął mi w oczy i znowu zamknął notes.

– Myślę, że kłamiesz.

– Czemu miałbym to robić?

– Nie wiem. Siła przyzwyczajenia?

Odwróciłem się i popatrzyłem na martwy brązowy żywopłot, martwe brązowe pole i martwe brązowe drzewo.

– Co powiedziała o Clare Kemplay? – zapytał cicho Fraser.

– Nic takiego.

– Czyli?

– Myślisz, że jest jakiś związek?

– Oczywiście.

– Jaki? – powiedziałem suchymi popękkanymi wargami, podczas gdy mokre serce waliło mi jak młotem.

– Kurwa, a jak myślisz? Wymer pracowała przy tych sprawach.

– Noble i jego ludzie temu zaprzeczają.

– To co? Wszyscy wiemy, że było inaczej.

– I?
– No i jeszcze ty.
– Ja? Jak to?
– Brakujące ogniwo.
– I to sprawia, że wszystko jakoś się łączy?
– Sam mi powiedz.
– Powinieneś być zostać cholernym dziennikarzem.
– Ty też – syknął Fraser.
– Odwal się – odparłem, uruchamiając samochód.
– Wszystko jest powiązane – rzekł sierżant Fraser.
Spojrzałem dwukrotnie we wsteczne lusterko i wyjechałem na szosę.
Na skrzyżowaniu B6134 i A655 Fraser się upewnił:
– O północy?
Pokiwałem głową i zatrzymałem się przy austinie maxi na placu przed pustym warsztatem.
– Niech będzie w Morley – powiedział Fraser, biorąc reklamówkę, zanim wysiadł.
– Taa. Czemu nie?
Jedna karta do rozegrania. Odjeżdżając, spojrzałem we wsteczne lusterko.

City Heights w Leeds.

Zamknąłem samochód pod białym niebem, które zaczęło szarzeć, grożąc deszczem, nie śniegiem, i pomyślałem, że w lecie musi być tu całkiem nieźle.

Blok z lat sześćdziesiątych – oblażące żółte i błękitne tynki, bariereki z początkami rdzy.

Ruszyłem po schodach na czwarte piętro. Łomot piłki o ścianę, wrzaski dzieciarni na wietrze. Myślałem o Beatlesach i okładkach ich płyt, o czystości i dzieciach.

Na czwartym piętrze przeszedłem długim balkonem, obok zaparowanych okien kuchennych i stłumionych dźwięków z radia, aż dotarłem do żółtych drzwi z numerem 405.

Zapukałem do drzwi mieszkania 405 na City Heights w Leeds i czekałem.

Po chwili nacisnąłem również na dzwonek.

Nic.

Pochyliłem się i uniosłem metalową klapkę skrzynki na listy.

Oczy zwilgotniały mi od ciepłego powiewu, usłyszałem relację z wyścigów konnych w telewizji.

– Przepraszam! – zawołałem do skrzynki.

Wyścig uciął.

– Przepraszam!

Oko znowu do szpary, wypatrzyłem parę białych skarpetek idących w moją stronę.

– Wiem, że tam jesteś – powiedziałem, wyprostowując się.

– Czego tam? – zapytał męski głos.

– Chciałbym tylko zamienić słówko.

– O czym?

Rzucając ostatnią kartę, jaką miałem, powiedziałem do drzwi:

– O twojej siostrze.

Zgrzyt obracanego klucza i żółte drzwi się otworzyły.

– Co z nią? – zapytał Johnny Kelly.

– Pstryk! – Uniosłem zabandażowaną rękę.

Johnny Kelly, w niebieskich džinsach i swetrze, ze złamanym nadgarstkiem i poobijaną irlandzką twarzą, powtórzył:

– Co z nią?

– Powinieneś się do niej odezwać. Martwi się o ciebie.

– A ty, kurwa, kto jesteś?

– Edward Dunford.

– Znamy się?

– Nie.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę świąteczną i podałem mu.

– Wesołych świąt.

– Głupia cipa – rzekł Kelly, otwierając ją i wpatrując się w dwa paski plastikowej taśmy z tłoczonym napisem.

– Mogę wejść?

Odwrócił się i ruszył w głąb mieszkania, a ja podążyłem za nim wąskim korytarzem, obok łazienki i sypialni, do dużego pokoju.

Kelly usiadł w fotelu z winylowym obiciem, trzymając się za nadgarstek.

Usiadłem na dwuosobowej kanapie od kompletu ustawionej naprzeciwko kolorowego telewizora, gdzie konie skakały bezgłośnie przez przeszkody. Za moimi plecami był widok na kolejne zimowe popołudnie w Leeds.

Nad gazowym kominkiem, w rozmaitych odcieniach pomarańczy i brązów uśmiechała się polinezyjska dziewczyna z kwiatem we włosach i pomyślałem o małych Cygankach z ciemnymi włosami i o różach tam, gdzie róż nigdy być nie powinno.

U dołu ekranu zaczęły się pokazywać wyniki po pierwszej połowie: Leeds przegrywało z Newcastle.

– Ale u Pauli wszystko dobrze, prawda?

– A jak myślisz? – Skinąłem głową na otwartą gazetę, która leżała na stoliku z laminatu.

Johnny Kelly pochylił się do przodu, wpatrując się w druk.

– Jesteś z któregoś z tych pierdolonych szmatławców, co?

– Znam waszego Paula.

– To ty wysmarowałeś to gównno, co?

– Nie, ja tego nie napisałem.

– Ale jesteś z jebanego „Posta”?

– Nie, teraz nie.

– Kuźwa. – Pokręcił głową.

– Słuchaj, nie zamierzam nikomu nic mówić.
– Jasne. – Uśmiechnął się.
– Po prostu powiedz mi, co się stało, a obiecuję, że nie pisnę słowa.

Johnny Kelly wstał.

– Jesteś pierdolonym pismakiem.
– Już nie.
– Nie wierzę ci.
– Dobra, powiedzmy, że jestem. Tak czy siak, mógłbym po prostu napisać dowolne gówno.

– Zwykle to właśnie robicie.

– Racja, więc chodzi mi tylko o rozmowę.

Johnny Kelly był teraz za mną i wyglądał przez ogromne zimne okno na ogromne zimne miasto.

– Jeżeli nie jesteś już dziennikarzem, to czemu tu przyszedłeś?

– Przyszedłem, żeby spróbować pomóc Pauli.

Z powrotem usiadł w winylowym fotelu, rozmasował nadgarstek i się uśmiechnął.

– No nie, następny.

W pokoju się ściemniało, ogień w gazowym kominku nabierał blasku.

– Jak do tego doszło? – zapytałem.

– Wypadek samochodowy.

– Tak?

– Tak – powiedział Kelly.

– Ty prowadziłeś?

– Ona.

– Kto?

– A jak myślisz?

– Pani Patricia Foster?

– Bingo.

– Co się stało?

– Byliśmy za miastem i właśnie wracaliśmy...

– Kiedy to było?

- W ostatni piątek wieczorem.
- Dobra, i co dalej? – Myślałem o długopisach i papierze, kasetach i taśmach.
- Po drodze zatrzymaliśmy się na parę głębszych, więc ona siedła za kierownicą, bo ja więcej wypilem. W każdym razie, jechaliśmy Dewsbury Road i... sam nie wiem, chyba się wygłupialiśmy, aż tu nagle jakiś facet wyszedł na jezdnię i bum, rąbnęliśmy go.
- Gdzie?
- W nogi, klatkę piersiową, nie mam pojęcia.
- Nie, nie. Gdzie na Dewsbury Road?
- Jak się wjeżdża do Wakey, w pobliżu więzienia.
- W pobliżu tych nowych domów, które buduje Foster?
- Taa. Zdaje się, że tak. – Uśmiechnął się.
- Wszystko jest powiązane, pomyślałem, nie ma czegoś takiego jak przypadek, istnieje jakiś plan, tak jak istnieje jakiś bóg.
- Wiesz, że niedaleko stamtąd znaleziono Clare Kemplay?
- Taa?
- Taa.
- Kelly patrzył gdzieś za mnie.
- Nie wiedziałem tego.
- Co się potem stało?
- Przypuszczam, że tylko go drasnęliśmy, ale było cholernie ślisko, więc samochód wpadł w poślizg, a ona straciła nad nim panowanie.
- W poliestrowym ubraniu siedziałem na winylowej sofie, wpatrzony w stolik z blatem z laminatu w mieszkaniu z betonu i myślałem o gumie i metalu, o skórze i szkle.
- O krwi.
- Musieliśmy chyba uderzyć w krawężnik, a potem w słup od latarni albo coś takiego.
- A co z człowiekiem, którego potrąciliście?

– Nie wiem. Jak mówię, przypuszczam, że puknęliśmy go tylko trochę.

– Sprawdziliście? – spytałem, częstując go papierosem.

– Taa, jak cholera – powiedział Kelly i zapalił.

– I co potem?

– Wyciągnąłem ją z auta, sprawdziłem, czy nic się jej nie stało. Z szyją nie było najlepiej, ale nic sobie nie złamała. Tylko potłuczona. Wsiadliśmy z powrotem i odwiozłem ją do domu.

– Czyli samochód był w porządku?

– Nie, ale na chodzie.

– Co powiedział Foster?

Kelly zdusił papierosa.

– Nie czekałem, żeby tego słuchać.

– I przyjechałeś tutaj?

– Musiałem zejść na jakiś czas z widoku. Nie wychylać się.

– On wie, że tu jesteś?

– Jasne. – Kelly wziął ze stolika białą kartę i rzucił mi ją przez blat. – Sukinsyn wysłał mi nawet zaproszenie na swoją pieprzoną imprezę świąteczną.

– Jak cię znalazł? – zapytałem, mrużąc w mroku oczy, żeby przyjrzeć się kartce.

– W końcu to jeden z jego domów, nie?

– To dlaczego tu siedzisz?

– Bo ostatecznie facet nie może mi, kurwa, nic powiedzieć.

Miałem poczucie, że właśnie zapomniałem coś bardzo, kurwa, złego.

– Nie kapuję.

– No bo rznie moją siostrę w każdą niedzielę, odkąd skończyłem siedemnaście lat.

Po namyśle, jakby to nie było to.

– Chociaż ja tam nie narzekam.

Popatrzyłem na niego.

Johnny Kelly spuścił wzrok.

Przypomniało mi się. Coś bardzo, kurwa, złego.

– Nie rób takiej zdziwionej miny, stary. Nie jesteś pierwszym, który próbuje pomóc mojej siostrze, a pewnie i nie ostatnim.

Wstałem, krew w moich nogach zimna i mokra.

– Idziesz na tę imprezę, co? – Kelly skinął głową na zaproszenie w moich dłoniach.

Odwrociłem się i przeszedłem wąskim korytarzem, myśląc: A pierdolić ich wszystkich.

– Nie zapomnij złożyć im życzeń wesolych, kurwa, świąt od Johnny'ego Kelly'ego, okej?

A ja myślę: Pierdolić ją też.

Cześć, kochanie!

Zrobiłem zakupy!

Dziesięć sekund później zaparkowałem przy jakimś pakistańskim sklepiku. Moje ostatnie pieniądze leżały na podłodze samochodu w formie butelek i toreb, radio huczało o bombie w Harrodsie, jeden papieros w popielniczce, drugi w dłoni, gdy sięgnąłem do schowka po tabletki.

Jazda na podwójnym gazie.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę, szkocka z gwinta, prochy na ból, ból od prochów, rozsypuję południowe dziewczyny i mieszkania z widokiem na morze, przebijam się przez rozmaite Kathryn i Karen, i wszystkie, które były przed nimi, gonię tylne światła i małe dziewczynki, miażdżę miłość pod kołami, obracam w ją w jej przeciwieństwo i zostawiam w tyle.

Führer w bunkrze, który sam sobie zbudowałem, wrzeszczę: NIGDY NIE ZROBIŁEM NIC ZŁEGO!

Autostrada M1, gaz do dechy i ciężko to znoszę, zasysam noc i bomby z ich łuskami przez wloty powietrza w vivie i przez zęby, płaczę i tęsknię za jeszcze jednym

pocałunkiem, za jej słowami, za jej krokami, modłę się bez składania obietnic, błagam o miłość bez warunków, o to, żeby znowu zaczęła żyć, zaczęła żyć TU I TERAZ DLA MNIE!

Ze łzami, z miękkim sercem i twardym chujem, wydieram się poprzez sześć pasów ruchu jak przez sześć rzek gówna, NIGDY NIE ZROBIŁEM, KURWA, NIC DOBREGO!

Program 2 nagle umilkł, białe linie na autostradzie zmieniły się w złote, ludzie w łachmanach, ludzie w koronach, niektórzy ludzie ze skrzydłami, inni bez, zahamowałem gwałtownie, omijając drewniany żłób ze słomą.

Na pasie awaryjnym z migającymi światłami awaryjnymi.

Pa, pa, kochanie!

Brunt Street 11, wszystko w czerni.

Pisk hamulców, którym obudziłem trupa. Wskoczyłem z zielonej wiy i zacząłem kopać w czerwone drzwi.

Brunt Street 11, od przeciwnej strony.

Za domy, przez mur, pokrywa pojemnika na śmiecie w kuchenną szybę, resztki szkła wybite zwiniętą kurtką, kiedy wchodziłem do środka.

Kochanie, wróciłem do domu.

Brunt Street 11, martwa cisza.

A ja myślę: Kiedy wrócę do domu do ciebie, pokażę, na co mnie stać. Wziąłem nóż z kuchennej szuflady (wiedziałem, że tam będzie).

Czy tego właśnie chciałaś?

Po stromych, stromych schodach na górę, do „Pokoju mamy i taty”, rozerwałem pierzynę, wybebeszyłem szuflady, przewracałem, co popadło, wysypałem na podłogę kosmetyki i tanie majtki, tampony i fałszywe perły, i w oczach stanęło mi, jak Geoff ładuje sobie lufę do ust, i pomyślałem: NIC, KURWA, DZIWNEGO, twoja

córka nie żyje, twoja żona się szlaja, daje dupy szefowi brata i nie tylko, capnąłem krzesło, zamachnąłem się i buch w lustro, BO NIE MOŻNA MIEĆ JUŻ, KURWA, WIĘKSZEGO PECHA.

Daję wszystko, czego zawsze chciałaś.

Przeszedłem przez korytarz i otworzyłem drzwi do pokoju Jeanette.

Było tak cicho i tak zimno, że poczułem się jak w kościele. Usiadłem na różowej kapie łóżeczka, obok kolekcji misiów i lalek, schowałem głowę w dłoniach, upuszczając nóż na podłogę, a krew na moich rękach i łzy na twarzy zamarzały, zanim zdążyłyby do niego dołączyć.

Po raz pierwszy modliłem się nie o coś dla siebie, ale za wszystkich innych, żeby wszystko w moich wszystkich notatnikach, na wszystkich taśmach, we wszystkich kopertach i torbach w moim pokoju, żeby wszystko to okazało się nieprawdą, żeby martwi byli żywi, a zaginione się odnalazły i żeby wszyscy mogli zacząć życie od nowa. A potem pomodliłem się za matkę i siostrę, za wujków i ciotki, za znajomych – tych dobrych i tych złych, i wreszcie za ojca, gdziekolwiek jest. Amen.

Siedziałem przez chwilę ze zwieszoną głową i splecionymi dłońmi, słuchając odgłosów w domu i własnego serca, usiłując odróżnić jedno od drugich.

Po pewnym czasie wstałem z łóżka Jeanette, zamknąłem drzwi do pokoju i wróciłem do sypialni z tabliczką „Pokój mamy i taty”, do szkód, jakich narobiłem. Podniosłem pierzynę i wsunąłem szuflady z powrotem na miejsce, zebrałem kosmetyki i bieliznę, tampony i biżuterię, zamiotłem butem kawałki lustra i postawiłem krzesło.

Zszedłem po schodach do kuchni, podniosłem pokrywę pojemnika na śmieci, pozamykałem wszystkie szafki i drzwi, dziękując Bogu, że nikt nie zadzwonił po cholerne gliny. Nastawiłem czajnik, poczekałem, aż zagotowała się woda, i zaparzyłem sobie duży kubek herbaty z pięcioma

łyżkami cukru. Zaniósłem herbatę do salonu, włączyłem telewizor i zacząłem oglądać, jak białe karetki pędzą przez czarną mokną noc, rozwożąc wysadzonych w powietrze i tych zdmuchniętych w tę lub inną stronę, podczas gdy zakrwawiony Mikołaj i funkcjonariusz policji rozważają, jakim trzeba być człowiekiem, żeby zrobić coś takiego, i to jeszcze tak blisko świąt.

Zapaliłem papierosa, oglądając wyniki meczów, i przeklinałem Leeds United, zastanawiając się, który mecz pokażą w *Match of the Day* i jacy będą goście u Parkinsona.

Usłyszałem stukanie w okno od frontu, a potem pukanie do drzwi i nagle zeszywniałem, przypominając sobie, gdzie jestem i co zrobiłem.

– Kto tam? – powiedziałem i stanąłem pośrodku pokoju.

– Tu Clare. A tam kto?

– Clare? – Otworzyłem zasuwę i uchyliłem drzwi, serce mi biło dziewięćdziesiąt mil na godzinę.

– A to ty, Eddie.

Serce mi stanęło.

– Taa.

– Jest Paula? – zapytała Clare Szkotka.

– Nie.

– O, rozumiem. Zobaczyłam światło i pomyślałam, że już wróciła. Przepraszam. – Uśmiechnęła się, mrużąc oczy przed światłem.

– Niestety, jeszcze nie wróciła. Przykro mi.

– Nie szkodzi. Zobacę się z nią jutro.

– Taa. Powiem jej.

– U ciebie wszystko dobrze, mój drogi?

– Taa, w porządku.

– Okej. No to do zobaczenia.

– Dobranoc – powiedziałem. Mój oddech był coraz szybszy i płytszy, gdy zamykałem drzwi.

Clare Szkotka powiedziała coś, czego nie zrozumiałem, a potem usłyszałem oddalające się kroki.

Usiadłem z powrotem na kanapie i popatrzyłem na szkolną fotografię Jeanette na telewizorze. Obok stały dwie kartki, jedna z drewnianą chatą w przysypanym śniegiem lesie, druga po prostu biała.

Wyciągnąłem z kieszeni niepozorne białe zaproszenie, które Johnny Kelly dostał od Donalda Fostera, i podszedłem do telewizora.

Wyłączyłem Maxa Walla i Emersona Fittipaldiego i wyszedłem z powrotem na spotkanie cichej nocy.

Pstryk.

Z powrotem w okolicy luksusowych rezydencji.

Wood Lane, Sandal w Wakefield.

Przy drodze stał sznur zaparkowanych samochodów. Szedłem między jaguarami i roverami, mercami i bmw.

Posiadłość Trinity View cała rozświetlona i obudowana rozstawianymi tarasami dla gości w ogrodzie.

Na trawniku od frontu wznosiła się ogromna choinka obwieszona białymi lampkami i błyskotkami.

Ruszyłem przez podjazd w stronę domu, gdzie odbywała się impreza. Szedłem za konkurującymi ze sobą piosenkami Johnny'ego Mathisa i Roda Stewarta.

Frontowe drzwi były tym razem otwarte i stałem przez moment w przejściu, przyglądając się kobietom w długich sukniach, które nosiły tekturowe talerzyki z jedzeniem z jednego pokoju do drugiego albo ustawiały się na schodach w kolejce do łazienki, podczas gdy mężczyźni w akksamitnych smokingach stali w grupkach ze szklankami szkockiej i grubymi cygarami w dłoniach.

Za drzwiami po lewej stronie zobaczyłem panią Patricię Foster, bez kołnierza ortopedycznego. Dolewała alkoholu potężnym facetom o czerwonych gębach.

Wszedłem do pokoju i powiedziałem:

– Szukam Pauli.

Dookoła zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Pani Foster otworzyła usta, ale nic nie powiedziała, nerwowo rozglądając się po pokoju swoimi orlimi oczyma.

– Zechcesz wyjść, synu? – zaproponował ktoś za moimi plecami.

Odwróciłem się. Tuż przed sobą zobaczyłem uśmiechniętego Dona Fostera.

– Szukam Pauli.

– Słyszałem. Chodź, porozmawiamy o tym na zewnątrz.

Za Fosterem stali dwaj zwaliści wąsaci mężczyźni, cała trójka w smokingach i z muszkami nad żabotami koszul.

– Przyszedłem po Paulę.

– Nie byłeś zaproszony. Chodźmy.

– Wesółch, kurwa, świąt od Johnny’ego Kelly’ego – powiedziałem, rzucając Fosterowi zaproszenie Kelly’ego.

Foster zerknął na żonę, a potem odwrócił się nieznacznie do jednego z mężczyzn i mruknął:

– Na dwór.

Jeden z mężczyzn wystąpił do przodu. Uniosłem potulnie ręce i ruszyłem do wyjścia.

Przy drzwiach odwróciłem się i powiedziałem:

– Dzięki za kartkę świąteczną, Pat.

Zobaczyłem, jak przełknęła ślinę i spuściła wzrok na dywan.

Jeden z mężczyzn pchnął mnie lekko w kierunku holu.

– Czy wszystko w porządku, Don? – zapytał mężczyzna o kręconych szpakowatych włosach ze szkocką w garści.

– Tak. Ten pan właśnie nas opuszcza – odrzekł Foster. Mężczyzna przekrzywił głowę w moją stronę.

– Czy ja pana znam?

– Prawdopodobnie – powiedziałem. – Pracowałem kiedyś dla tego faceta z brodą.

Komendant Ronald Angus odwrócił się i zajrzał do drugiego pokoju, gdzie tyłem do drzwi stał Bill Hadden.

– Naprawdę? Interesujące – rzekł komendant Angus, po czym napił się whisky i wrócił do swojego towarzystwa.

Donald Foster przytrzymał mi drzwi i znowu pchnięto mnie lekko w plecy.

Z pokoju na górze dobiegał śmiech, kobiecy śmiech.

Wyszedłem z domu, Foster za mną, a jego dwaj ludzie po bokach. Pomyślałem o sprincie przez trawnik i ucieczce do Złotego Runa. Zastanawiałem się, czy spróbowaliby mnie powstrzymać na oczach gości, ale w gruncie rzeczy wiedziałem, że nie mieliby skrupułów.

– Dokąd idziemy?

– Po prostu się nie zatrzymuj – powiedział jeden. Miał na sobie bordową koszulę.

Byliśmy na szczycie podjazdu i zobaczyłem mężczyznę, który zbliżał się do nas prawie biegiem.

– Kurwa – powiedział Don Foster.

Wszyscy się zatrzymaliśmy.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na Fostera, czekając na rozkaz.

– Jak nie urok, to sraczka – mruknął Foster.

Przewodniczący Shaw zasapał się, krzycząc:

– Don!

Foster wyszedł mu na spotkanie z otwartymi ramionami.

– Bill, miło cię widzieć.

– Zastrzeliłeś mojego psa! Zastrzeliłeś mojego cholernego psa!

Shaw kręcił głową zapłakany, próbując odepchnąć Fostera.

Foster wziął go w objęcia i zaczął uciszać.

– Zastrzelełeś mojego psa! – wrzasnął Shaw, wyrывая się.
Foster znowu wziął go w ramiona, przyciskając mu twarz do swojej aksamitnej marynarki.

Za nami, na schodkach przed drzwiami, stała i dygotała na zimnie pani Foster w towarzystwie kilku gości.

– Co się dzieje, kochanie? – zapytała, dzwoniąc zębami i kieliszkiem.

– Nic, nic. Wracajcie wszyscy do środka i bawcie się dobrze.

Nikt nie ruszył się z miejsca.

– No idźcie. Przecież są cholerne święta! – zawołał Foster, pieprzony Święty Mikołaj we własnej osobie.

– Kto chce ze mną zatańczyć? – zapytała Pat Foster ze śmiechem, potrząsając chudymi cyckami i zawracając wszystkich do domu.

Za drzwi dudniła *Dancing Machine*, gry i zabawy wznowiono.

Shaw stał i szlochał Fosterowi w czarny aksamit marynarki.

– To nie pora, Bill – szeptał Foster.

– A co z nim? – zapytał mężczyzna w bordowej koszuli.

– Po prostu wyprowadźcie go stąd.

Drugi z mężczyzn, ten w koszuli czerwonej, wziął mnie za łokieć i poprowadził dalej.

Foster nie podniósł wzroku, szepcząc Shawowi do ucha:

– To coś wyjątkowego, specjalnie dla Johna.

Przeszliśmy podjazdem obok nich.

– Przyjechałeś tu samochodem, nie?

– Tak.

– Daj kluczyki – powiedział Bordowy.

Wykonałem polecenie.

– Twoja? – zapytał Czerwony, wskazując vivę na chodniku.

– Tak.

Uśmiechnęli się jeden do drugiego.

Bordowy otworzył drzwiczki pasażera i podniósł fotel.

– Wsiadaj do tyłu.

Razem z Czerwonym wgramoliłem się do tyłu.

Bordowy zajął miejsce za kierownicą i zapalił silnik.

– Dokąd?

– Do nowych domów.

Usiadłem na tylnej kanapie, zastanawiając się, dlaczego nie próbowałem nawet uciec, myśląc, że może nie będzie tak źle, a na pewno nie gorzej od łomotu, jaki spuścili mi w domu opieki, kiedy Czerwony rąbnął mnie tak mocno, że pękło plastikowe boczne okienko, gdy uderzyłem w nie głową.

– Stul, kurwa, ryja – roześmiał się, łapiąc mnie za włosy i pchając mi głowę między moje kolana.

– Gdyby był czarnuchem, zmusiłby cię, żebyś mu obciągnął! – zawołał Bordowy z przodu.

– Puść, kurwa, jakąś muzysię – powiedział Czerwony, wciąż trzymając mnie za głowę.

W aucie rozbrzmiały dźwięki *Rebel Rebel*.

– Daj głośniej! – zawołał Czerwony, kiedy pociągnął mnie za włosy do góry i szepnął: – Pedal pierdolony.

– Krwawi? – zapytał Bordowy, przekrzykując muzykę.

– Jeszcze nie dość.

Czerwony odepchnął mnie, złapał lewą ręką za gardło, odsunął się i strzelił szybkim prostym w grzbiet nosa, aż po kabinie rozbryzgała się gorąca krew.

Wyjrzałem przez okno na centrum Wakefield w sobotni wieczór przed świętami 1974 roku. Ciepła krew ciekła mi z nosa na wargi i spływała dalej po brodzie. Jakoś spokojnie jak na sobotni wieczór, pomyślałem.

– Załatwiłeś go? – zapytał Bordowy.

– Owszem – powiedział Czerwony.

Po Bowiem zaczęła śpiewać Lulu albo Petula, Sandy albo Cilla. Obmywały mnie dźwięki *The Little Drummer Boy*, lampki świąteczne zmieniały się w światła więzienia, a viva podskakiwała na wertepach, jadąc przez plac budowy Przedsiębiorstwa Budowlanego Fostera.

– Tutaj?

– Czemu nie.

Samochód się zatrzymał, kołęda umilkła.

Bordowy wysiadł i podniósł fotel, a Czerwony wypchnął mnie z auta na ziemię.

– Załatwiłeś go na amen, Mick.

– No. Przepraszam, stary.

Leżałem twarzą w dół między nimi, udając trupa.

– To co robimy? Mamy go tu po prostu zostawić?

– Ni chuja.

– To co?

– Zabawimy się trochę.

– Nie dzisiaj, Mick, nie chce mi się.

– Tylko trochę, co?

Jeden chwycił mnie za jedno ramię, drugi za drugie i powlekli mnie po ziemi, aż spodnie zsunęły mi się do kolan.

– Tutaj?

– No.

Przeciągnęli mnie za płachtę brezentu i po drewnianej podłodze budowanego domu, drzazgi i gwoździe poraniły mi kolana.

Posadzili mnie na krześle i związali ręce za plecami, ściągając spodnie przez buty.

– Podprowadź samochód i włącz światła.

– Ktoś może zobaczyć.

– Niby kto?

Usłyszałem, jak jeden wyszedł na dwór, a drugi zbliżył się do mnie i wepchnął mi rękę w gacie.

– Słyszałem, że lubisz sobie pociupciać – powiedział Czerwony, ściskając mi jaja.

Ustyszałem silnik samochodu. Nagle białe światło za-
lało pomieszczenie i rozległo się *Kung-Fu Fighting*.

– No to załatwmy to szybko – rzekł Bordowy.

– Joe Bugner! – oznajmił cios w brzuch.

– Coon Conteh! – oznajmił drugi.

– George pierdolony Foreman! – Jeden w szczękę.

– Taniec Alego.

Pauza, czekam, a potem jeden lewy i jeden prawy.

– Bruce, kurwa, Lee!

Z bólem w piersi poleciałem razem z krzesłem na zie-
mię.

– Cwel pierdolony. – Bordowy pochylił się i splunął
mi w twarz.

– Powinniśmy zakopać ciotę na miejscu.

Bordowy się śmiał.

– Lepiej nie kombinować George’owi przy fundamen-
tach.

– Nienawidzę tych pierdolonych jajogłowych zasrań-
ców.

– Zostaw go. Chodźmy.

– Już?

– Chuj z tym, spierdalamy.

– Weźmiemy jego grata?

– Złapiemy taryfę na Westgate.

– Ja pierdołę.

Kopniak w tył głowy.

But na mojej prawej dłoni.

Zgasły światła.

Obudziłem się z zimna.

Wszystko było czarne z fioletową obwódką.

Wierznąłem, odpychając od siebie krzesło, i wyszarpa-
nąłem ręce z więzów.

Usiadłem w samych gaciach na drewnianej podłodze,
byłem obolały i kiwała mi się głowa.

Wyciągnąłem rękę po spodnie, które leżały trochę dalej.
Były mokre i śmierdziały cudzymi szczynami.

Włożyłem je przez buty.

Powoli udało mi się wstać.

Upadłem jeszcze raz, a potem wyszedłem z budowanego domu.

Samochód stał w ciemności, drzwiczki zamknięte.

Nacisnąłem jedną klamkę, potem drugą.

Zamknięte.

Wziąłem kawał cegły, wybiłem szybę od strony pasażera.

Wsadziłem rękę do środka i pociągnąłem za blokadę.

Otworzyłem drzwiczki, podniosłem cegłę i rozwaliłem klamkę schowka na rękawiczki.

Wyciągnąłem mapy drogowe, wilgotne szmatki i zapasowy kluczyczek.

Obszedłem wóz, otworzyłem drzwi od strony kierowcy i wsiałem.

Siedziałem w samochodzie, wpatrując się w ciemne puste domy, i przypomniał mi się najlepszy mecz, na jakim byłem z ojcem.

Huddersfield Town grało z Evertonem. Town dostało rzut wolny tuż zza pola karnego Evertonu. Vic Metcalfe podszedł, kopnął podkręconą piłkę, która ominęła mur, a Jimmy Glazzard wbił ją główką do bramki. Sędzia nie uznaje gola, zapomniałem dlaczego, w każdym razie mówi, że rzut wolny trzeba powtórzyć. Metcalfe znowu podchodzi, podkręca piłkę, która mija mur, a Glazzard wbija ją główką. Gol, cała publika zrywa boki ze śmiechu.

Osiem, kurwa, do dwóch.

– Prasa będzie miała używanie. – Mój ojciec się zaśmiał. – Zmieszają Everton z błotem.

Zapuściłem silnik i pojechałem z powrotem do Ossett.

Zaparkowałem na podjeździe na Wesley Street i spojrzałem na zegarek po ojcu.

Zniknął, kurwa.

Musiało być koło trzeciej albo jakoś tak.

Kurwa, pomyślałem, gdy otwierałem drzwi od tyłu.

W salonie paliło się światło.

Kurwa, powinienem się przynajmniej przywitać. Mieć to już z głowy.

Matka siedziała w bujanym fotelu, ubrana, ale spała.

Zamknąłem drzwi i ruszyłem po schodach na górę, stopień po stopniu.

Ległem na łóżku w cuchnących szczynami łachach, popatrzyłem w ciemności na plakat Petera Lorimera i pomyślałem, że to złamałoby tacie serce.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę.

CZĘŚĆ III
JESTEŚMY MARTWI

ROZDZIAŁ 10

Niedziela, 22 grudnia 1974 roku.

O piątej nad ranem dziesięciu policjantów z detektywem nadinspektorem Noble'em na czele wybiło młotami drzwi od domu matki, któryś z nich spoliczkował ją, gdy wyszła do przedpokoju, i wepchnięto ją z powrotem do salonu. Potem wbiegli ze strzelbami po schodach, wyciągnęli mnie z łóżka, wyrrywając garściami włosy, skopali mnie, zrzucili ze schodów, pobili, gdy leżałem, a potem wywlekli za drzwi po asfalcie do czarnej furgonetki.

Wrzucili mnie na tył, zatrzasnęli drzwiczki i odjechali.

W kabinie furgonetki pobili mnie do nieprzytomności, a potem spoliczkowali i naszczali mi na twarz, aż się ocknąłem.

Kiedy wóz się zatrzymał, detektyw nadinspektor Noble otworzył tylne drzwiczki, wyciągnął mnie za włosy i rzucił na parking na tyłach posterunku przy Wood Street w Wakefield.

Dwaj mundurowi funkcjonariusze złapali mnie potem za nogi i zawlekli po kamiennych schodkach do budynku, gdzie korytarze były obstawione szpalerami czarnych postaci, które opluwały mnie, biły pięściami i kopały, kiedy ciągnięto mnie za nogi w górę i w dół, w górę i w dół żółtymi korytarzami.

Zrobili mi zdjęcia, rozebrali, rozcięli bandażę na prawej ręce, znowu sfotografowali i pobrali odciski palców.

Pakistański lekarz poświecił mi latarką w oczy, poobrał wymaz śliny z ust, wygrzebał trochę brudu spod paznokci.

Nagiego zaprowadzono mnie do pokoju przesłuchań wielkości kibla, z białym oświetleniem i bez okien, posadzili mnie za stołem i skuli ręce za plecami.

Potem zostawili mnie samego.

Jakiś czas później otworzyli drzwi i chlusnęli mi w twarz wiadrem gówna i szczyń.

Potem zostawili mnie samego.

Jakiś czas później otworzyli drzwi i oblali lodowatą wodą z węża, aż upadłem razem z krzesłem na posadzkę.

Potem zostawili mnie samego, na podłodze, przykutego kajdankami do krzesła.

Usłyszałem wrzaski z innego pomieszczenia.

Miałem wrażenie, że krzyki nie cichły przez jakąś godzinę, a potem nagle się urwały.

Cisza.

Leżałem na podłodze i wsłuchiwałem się w bzyczenie lamp.

Jakiś czas później otworzyły się drzwi i weszli dwaj potężnie zbudowani mężczyźni w dobrych garniturach, którzy przynieśli sobie krzesła.

Zdjęli mi kajdanki i postawili krzesło.

Jeden z nich miał bokobrody i wąsy i wyglądał na czterdziestolatka. Drugi miał rzadkie blond włosy i oddech, który śmierdział rzygami.

Blondyn powiedział:

– Siadaj i połóż dłonie płasko na stole.

Usiadłem i zrobiłem, co kazał.

Blondyn rzucił kajdanki wąsaczowi i usiadł naprzeciwko mnie.

Wąsacz obszedł pokój i stanął za moimi plecami, bawiąc się kajdankami.

Spuściłem wzrok na swoją prawą dłoń, płasko na stole, na cztery palce zmiążdżone w jeden, w setkach odcieni żółtego i czerwieni.

Wąsacz usiadł i popatrzył na mnie, zakładając kajdanki na pięść niczym kastet.

Nagle podskoczył i pięścią z kajdankami rąbnął mnie w prawą dłoń.

Wrzasnąłem.

– Połóż ręce z powrotem.

Położyłem je na stole.

– Płasko.

Spróbowałem rozprostować palce.

– Paskudne.

– Powinieneś pójść z tym do lekarza.

Wąsacz usiadł naprzeciwko mnie uśmiechnięty.

Blondyn wstał i wyszedł z pokoju.

Wąsacz nic nie mówił, tylko się uśmiechał.

Prawa ręka pulsowała mi od bólu, z rany ciekła krew i ropa.

Blondyn wrócił z kocem i okrył mi nim plecy.

Usiadł i wyciągnął paczkę playersów, częstując jednym wąsacza.

Wąsacz wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa jemu i sobie.

Rozparli się na krzesłach, dmuchając mi dymem w twarz.

Ręce zaczęły mi dygotać.

Wąsacz pochylił się do przodu, papieros, który trzymał w dwóch palcach, zawisł nad moją prawą dłonią.

Cofnąłem trochę rękę.

Nagle pochylił się jeszcze bardziej, jedną ręką złapał mnie za prawy nadgarstek, a drugą wgniótł mi papierosa w grzbiet dłoni.

Wrzasnąłem.

Puścił mój nadgarstek i odchylił się do tyłu.

– Połóż ręce z powrotem na stole.

Położyłem.
Poczułem smród przypalonej skóry.
– Jeszcze jednego? – zapytał blondyn.
– W sumie czemu nie – powiedział wąsacz, biorąc drugiego playersa.
Zapalił papierosa i popatrzył na mnie.
Pochylił się z papierosem nad moją ręką.
Wstałem.
– Czego chcecie?
– Siadaj.
– Powiedzcie mi, czego chcecie!
– Siadaj.
Usiadłem.
Wstali.
– Wstań.
Wstałem.
– Patrz prosto.
Usłyszałem szczekanie psa.
Drgnąłem.
– Nie ruszaj się.
Przysunęli krzesła i stół do ściany i wyszli z pokoju.
Stałem bez ruchu pośrodku pokoju wpatrzony w białą ścianę.
Słyszałem krzyki i szczekanie psa w innym pomieszczeniu.
Krzyki i szczekanie trwały jakąś godzinę, a potem umilkły.
Cisza.
Stałem pośrodku pokoju, chciało mi się łać i wsłuchiwałem się w bzyczenie lamp.
Jakiś czas później otworzyły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn w dobrych garniturach.
Jeden miał siwe włosy na brylantynie zaczesane do tyłu i około pięćdziesięciu lat. Drugi był młodszy, miał kasztanowe włosy i pomarańczowy krawat.

Obaj cuchnęli gorzałą.
Siwy i Kasztanowy w milczeniu obeszli mnie dookoła.
Potem Siwy i Kasztanowy przesunęli krzesła i stół z powrotem na środek pokoju.
Siwy postawił za mną krzesło.
– Siadaj.
Usiadłem.
Siwy podniósł z podłogi koc i okrył mi plecy.
– Połóż dłonie płasko na stole – powiedział Kasztanowy, zapalając papierosa.
– Proszę, powiedzcie mi, czego chcecie.
– Dłonie płasko.
Zrobiłem, co kazali.
Kasztanowy usiadł naprzeciwko mnie, podczas gdy Siwy przechadzał się po pokoju.
Kasztanowy uśmiechnął się i położył na stole między nami pistolet.
Siwy zatrzymał się i stanął za moimi plecami.
– Patrz prosto.
Nagle Kasztanowy zerwał się i przycisnął moje nadgarstki do blatu, podczas gdy Siwy chwycił koc i zarzucił mi go na twarz.
Spadłem z krzesła głową do przodu, krztusząc się i dusząc.
Nagle Kasztanowy puścił moje nadgarstki i z kocem na głowie zatoczyłem się, wpadając na ścianę.
Łup!
Siwy zerwał mi koc z głowy, złapał mnie za włosy i postawił przy ścianie.
– Odwróć się i patrz prosto.
Odwróciłem się.
Kasztanowy trzymał w prawej garści pistolet, a Siwy miał kilka nabojów, które podrzucał i łapał z powrotem w dłoni.
– Szef mówi, że możemy cię zastrzelić.

Kasztanowy złapał pistolet oburącz i wyprostował ramiona, celując mi w głowę.

Zamknąłem oczy.

Usłyszałem cichy trzask i nic się nie stało.

– Kurwa.

Kasztanowy odwrócił się ode mnie, gmerając przy pi-stolecie.

Mocz spłynął mi po nodze.

– Naprawilem. Tym razem będzie dobrze.

Kasztanowy znowu wymierzył we mnie pistolet.

Zamknąłem oczy.

Rozległ się głośny huk.

Myślałem, że nie żyję.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem pistolet.

Skrawki czarnego materiału sypały się z lufy, opadając miękko na podłogę.

Kasztanowy i Siwy rechotali.

– Czego chcecie?

Siwy zrobił krok do przodu i kopnął mnie w jaja.

Upadłem na podłogę.

– Czego chcecie?

– Wstań.

Wstałem.

– Stań na palcach.

– Powiedzcie mi, proszę...

Siwy znowu zrobił krok do przodu i kopnął mnie w jaja.

Upadłem na podłogę.

Kasztanowy podszedł, kopnął mnie w pierś, a potem skuł mi ręce za plecami, przyciskając mi twarz do podłogi.

– Nie lubisz psów, co, Eddie?

Przełknąłem ślinę.

– Czego chcecie?

Otworzyły się drzwi i wszedł policjant w mundurze z wilczurem na smyczy.

Siwy złapał mnie za włosy i zadart mi głowę.
Pies wpatrywał się we mnie, ziając, z językiem na wierzchu.

– Bierz go, bierz!

Pies zawarczał, a potem zaczął szczekać i wrywać się do mnie.

Siwy pchnął moją głowę do przodu.

– Jest wygłodniały.

– Nie on jeden.

– Uważaj.

Pies był coraz bliżej.

Zacząłem się szarpać i krzyczeć.

Pies był ćwierć metra ode mnie.

Widziałem jego dziąsła, widziałem kły, czułem cuchnący, gorący oddech.

Pies warczał i szczekał, i wrywał się do mnie.

Z dupy wypadło mi gównno.

Ślina z jego pyska obryzgała mi twarz.

Robiło się ciemno.

– Powiedzcie mi, co zrobiłem.

– Powtórz.

Pies był coraz bliżej.

Zamknąłem oczy.

– Powiedzcie, co zrobiłem.

– Powtórz.

– Powiedzcie, co zrobiłem.

– Dobry piesek.

Zrobiło się ciemno, a pies zniknął.

Otworzyłem oczy.

Detektyw nadinspektor Noble siedział przy stole naprzeciwko mnie.

Byłem nagi, drżałem, siedziałem we własnym gównnie.

Detektyw nadinspektor Noble zapalił papierosa.

Oczy zaszczyły mi łzami.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał.

– Przepraszam.

– Dobrze.

Detektyw nadinspektor Noble dał mi swojego papierosa.

Wziąłem.

Zapalił następnego.

– Po prostu powiedz mi: dlaczego?

– Nie wiem.

– Mam ci pomóc?

– Tak.

– Tak co?

– Tak, proszę pana.

– Podobają ci się, tak?

– Tak, proszę pana.

– Podobają ci się jak diabli, co?

– Tak, proszę pana.

– Ale w ogóle nie chciała ci dać, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Jak nie chciała ci dać?

– W ogóle nie chciała mi dać.

– Nie chciała ci nic dać, prawda?

– Nic, proszę pana.

– Ale wziąłeś sobie i tak, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Wziąłeś ją w pizdę, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Wziąłeś ją w usta, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Wziąłeś ją w dupę, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Co zrobiłeś?

– Wziąłem ją w pizdę.

– I...?

- Wziąłem ją w usta.
 - I...?
 - Wziąłem ją w dupę.
 - Nie zależało ci, prawda?
 - Nie, proszę pana.
 - Ale ona nie chciała się zamknąć, co?
 - Nie, proszę pana.
 - I co potem?
 - Nie chciała się zamknąć.
 - Powiedziała, że pójdzie z tym na policję, tak?
 - Tak, proszę pana.
 - Co powiedziała?
 - Powiedziała, że pójdzie z tym na policję.
 - Nie można było na to pozwolić, tak?
 - Tak, proszę pana.
 - Więc musiałeś zamknąć jej usta, tak?
 - Tak, proszę pana.
 - Udusiłeś ją, tak?
 - Tak, proszę pana.
 - Co zrobiłeś?
 - Udusiłem ją.
 - Ale ona wciąż na ciebie patrzyła, prawda?
 - Tak, proszę pana.
 - Więc odciąłeś jej włosy, tak?
 - Tak, proszę pana.
 - Co zrobiłeś?
 - Odciąłem jej włosy.
 - Dlaczego?
 - Bo wciąż na mnie patrzyła.
 - Dobry chłopak.
- Detektyw nadinspektor Noble rzucił peta na podłogę i przydepnął go butem.
- Zapalił następnego papierosa i podał mi go.
- Wziąłem.
- Podobała ci się, tak?

- Tak, proszę pana.
 - Ale nie chciała ci dać, prawda?
 - Tak, proszę pana.
 - I co zrobisz?
 - Wziąłem ją i tak.
 - Co zrobisz?
 - Wziąłem ją w pizdę.
 - I...?
 - Wziąłem ją w usta.
 - I...?
 - Wziąłem ją w dupę.
 - I co potem?
 - Nie chciała się zamknąć.
 - Co powiedziała?
 - Powiedziała, że pójdzie z tym na policję.
 - Co wtedy zrobisz?
 - Udusiłem ją.
 - I co potem?
 - Odciąłem jej włosy.
 - Dlaczego?
 - Bo wciąż na mnie patrzyła.
 - Jak ta poprzednia?
 - Tak, proszę pana.
 - Jak...?
 - Jak ta poprzednia.
 - Chcesz złożyć zeznania i przyznać się do winy, prawda?
 - Tak, proszę pana.
 - Dobry chłopak.
- Detektyw nadinspektor Noble wstał.
A potem zostawił mnie samego.
- Jakiś czas później otworzyły się drzwi i policjant poprowadził mnie żółtym korytarzem do pomieszczenia z prysznicem i ubikacją.
- Dał mi mydło i odkręcił gorącą wodę.

Stanąłem pod ciepłym natryskiem i umyłem się od stóp do głów.

A potem znowu gównem zaczęło mi lecieć po nogach.

Policjant nic nie powiedział.

Dał mi następną kostkę mydła i znowu puścił gorącą wodę.

Stanąłem pod natryskiem i znowu cały się umyłem.

Policjant dał mi ręcznik.

Wytarłem się.

Potem policjant dał mi niebieski kombinezon.

Ubrałem się.

Potem policjant zaprowadził mnie z powrotem żółtym korytarzem do pokoju wielkości kibla, gdzie stały cztery krzesła i stół.

– Siadaj.

Wykonałem polecenie.

Potem policjant wyszedł i zostałem sam.

Jakiś czas później drzwi otworzyły się i weszło trzech mężczyzn w dobrych garniturach: detektyw starszy nadinspektor Oldman, detektyw nadinspektor Noble i mężczyzna o rzadkich blond włosach.

Wszyscy usiedli naprzeciwko mnie.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman rozparł się i założył ręce na piersi.

Detektyw nadinspektor Noble położył na stole dwie tekturowe teczki, zaczął przeglądać dokumenty i przeglądać duże czarno-białe zdjęcia.

Blondyn trzymał na kolanie sztywną podkładkę z kartkami A4.

– Chce pan złożyć zeznanie, prawda? – odezwał się detektyw starszy nadinspektor Oldman.

– Tak, proszę pana.

– No to proszę.

Cisza.

Siedziałem na krześle, słuchając bzyczenia lamp.

– Podobała ci się, co? – powiedział detektyw nadinspektor Noble, podając szefowi fotografię.

– Tak, proszę pana.

– Co?

– Podobała mi się.

Blondyn zaczął zapisywać.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman patrzył na zdjęcie i się uśmiechał.

– Proszę kontynuować – powiedział.

– Nie chciała mi dać.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman podniósł na mnie wzrok.

– No więc? – powiedział detektyw nadinspektor Noble.

– I tak ją wziąłem.

– Co pan zrobił? – zapytał Oldman.

– Wziąłem ją w pizdę.

– I...? – powiedział Noble, podając Oldmanowi następne zdjęcie.

– I wziąłem ją w usta.

– I...?

– Wziąłem ją w dupę.

– Co się stało później?

– Nie chciała się zamknąć.

– Co mówiła?

– Powiedziała, że pójdzie z tym na policję.

– I co zrobiłeś?

Noble wręczył Oldmanowi kolejną fotografię.

– Uduśiłem ją.

– A potem?

– Odciałem jej włosy.

Detektyw starszy nadinspektor oderwał wzrok od ostatniej fotografii, spojrzał na mnie i powiedział:

– Dlaczego pan to zrobił?

– Bo ciągle się na mnie patrzyła.

– Tak samo jak ta druga? – zapytał detektyw nadinspektor Noble, otwierając drugą z tekturowych teczek i podając Oldmanowi zdjęcia.

– Tak samo jak ta druga – powiedziałem.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman przewertował fotografie i oddał je Noble'owi. Potem rozparł się na krzesło, z ramionami na piersi, i kiwnął głową do blondyna.

Blondyn spuścił wzrok na kartkę i zaczął czytać:

– Podobała mi się, ale nie chciała mi dać, więc sam ją wziąłem. Wziąłem ją w pizdę i w usta, i w dupę. Potem nie chciała się zamknąć. Powiedziała, że pójdzie z tym na policję, więc ją udusiłem. Potem odciąłem jej włosy, bo cały czas na mnie patrzyła. Tak samo jak ta druga.

Detektyw starszy nadinspektor Oldman wstał i powiedział:

– Edwardzie Leslie Dunfordzie, jest pan oskarżony po pierwsze o to, że we wtorek, dnia 17 grudnia 1974 roku albo w jego okolicach zgwałcił pan, a później zamordował panią Mandy Denizili zamieszkałą w Wakefield pod adresem Blenheim Road 28 mieszkania 5. Po drugie, jest pan oskarżony o to, że w sobotę, dnia 21 grudnia 1974 roku albo w jego okolicach zgwałcił pan, a potem zamordował panią Paulę Garland zamieszkałą w Castleford pod adresem Brunt Street 11.

Cisza.

Detektyw nadinspektor Noble i blondyn wstali.

Wszyscy trzech wyszli z pokoju i chyba się rozplakali.

Jakiś czas później policjant otworzył drzwi i poprowadził mnie żółtym korytarzem do kamiennej celi.

Nad drzwiami był strychezek.

– Do środka.

Zrobiłem, co mi kazano.

Na podłodze celi był papierowy kubek z herbatą i tekturowy talerz z ćwiartką placka z wieprzowiną.

Policjant zamknął drzwi.
Wszystko zrobiło się czarne.
Usiadłem na podłodze i przewróciłem nogą herbatę.
Znalazłem placek z wieprzowiną i zacząłem powoli jeść.

Zamknąłem oczy.

Jakiś czas później dwaj policjanci otworzyli drzwi i wrzucili do celi tłumok ubrań i parę butów.

Były to moje własne ubrania i buty, śmierdzące szczynami i upaprane błotem.

– Ręce za plecy.

Zrobiłem, co mi kazano.

Jeden z policjantów wszedł do celi, założył mi kajdanki.

– Zakryj mu łeb.

Policjant zarzucił mi koc na głowę.

– Jazda.

Policjant pchnął mnie w plecy.

Zacząłem iść.

Nagle złapano mnie pod pachy i poprowadzono dalej. Przez koc widziałem tylko żółte światło.

– Dopuszcz mnie do niego. Jeszcze go, kurwa, nie tknąłem.

– Idźmy stąd.

Potem uderzyłem głową o jakieś drzwi i znalazłem się na dworze.

Upadłem.

Podnieśli mnie.

Zdawało mi się, że jestem w furgonetce.

Usłyszałem, jak zatrzasnęły się drzwi i zawarczał silnik.

Wciąż byłem pod kocem, ale na tyłach jakiejś furgonetki z jeszcze dwoma albo trzema innymi mężczyznami.

– Skurwysyn pierdolony.

– Tylko żeby nam nie zasnął.
Ktoś uderzył mnie w głowę.
– Nie przejmuj się, dopilnuję, żeby nie było mu tak wygodnie.
– Skurwysyn.
Następne uderzenie.
– Głowę trzymaj do góry.
– Pierdolony sukinsyn.
Czułem dym papierosów.
– Przyznał się, kurwa. Wierzyć się nie chce.
– No, skurwysyn pierdolony.
Ktoś kopnął mnie w tydkę.
– Powinniśmy ukręcić mu jaja.
– No, gwałcicielowi zasranemu.
Zesztywniałem.
– Zrobić to, co zrobiliśmy z tamtym drugim.
– No, skurwysyny pierdolone, jeden i drugi.
Tyłem głowy uderzyłem o bok furgonetki.
– Sukinsyn pierdolony!
– A może tutaj?
– Zdejmij skurwysynowi koc ze łba.
– Tu?
W furgonetce nagle zrobiło się jakby zimniej.
Zdjęli ze mnie koc.
Byłem sam z Wąsaczem, Siwym i Kasztanowym.
Tylne drzwi furgonetki były otwarte.
Wyglądało, jakby na dworze świeciło.
– Zdejmij skurwielowi kajdanki.
Wąsacz pociągnął mnie za włosy do przodu i odpiął kajdanki.
Przed oczami przesuwwały mi się płaskie brązowe pola.
– Dajcie go tutaj – powiedział Kasztanowy.
Wąsacz i Siwy zmusili mnie, żebym ukląkł przy drzwiach furgonetki, tyłem do rozległych brązowych pól.
Kasztanowy przykucnął przede mną.

– To już koniec.
Wyjął rewolwer.
– Otwórz usta.
Zobaczyłem Paulę, która leżała goła na swoim łóżku,
twarzą do dołu, bez włosów, z krwawiącą pizdą i dupą.
Otworzyłem usta.
Wepchnął mi do nich lufę.
– Odstrzelę ci pierdolony łeb.
Zamknąłem oczy.
Cichy trzask.
Otworzyłem oczy.
Wyciągnął mi rewolwer z ust.
– Jakiś jest, kurwa, spierdolony. – Zaśmiał się.
– Skurwysyn ma pierdolony fart – powiedział Wąsacz.
– Załatw to wreszcie – rzekł Siwy.
– Spróbuję jeszcze raz.
Czułem powietrze, zimno, pola za plecami.
– Otwórz usta.
Zobaczyłem Paulę, która leżała goła na swoim łóżku,
twarzą do dołu, bez włosów, z krwawiącą pizdą i dupą.
Otworzyłem usta.
Kasztanowy wepchnął mi do nich lufę.
Zamknąłem oczy.
Cichy trzask.
– Skurwysyn pierdolony w czepku się chyba, kurwa,
urodził.
Otworzyłem oczy.
Wyciągnął mi rewolwer z ust.
– Do trzech razy sztuka, co?
– Chuj z tym – powiedział Wąsacz i capnął rewolwer,
odpychając Kasztanowego.
Chwycił pistolet za lufę i uniósł nad moją głowę.
Zobaczyłem Paulę, która leżała goła na swoim łóżku,
twarzą do dołu, bez włosów, z krwawiącą pizdą i dupą.
Zamachnął się i spuścił mi pistolet na głowę.

- TU JEST PÓŁNOC. ROBIMY, CO CHCEMY!

Runąłem do tyłu, widząc, jak Paula leży goła na drodze z krwawiącą pizdą i dupą, zupełnie pozbawiona włosów.

ROZDZIAŁ 11

Skakaliśmy do rzeki, trzymając się za ręce.

Woda była zimna.

Puściłem jej dłoń.

Otworzyłem oczy.

Leżałem na poboczu drogi, padał deszcz, a Paula nie żyła.

Usiadłem odrętwiały, ból rozsadzał mi czaszkę.

Trochę dalej przy drodze wysiadał z samochodu jakiś mężczyzna.

Spojrzałem na puste brązowe pola i spróbowałem wstać.

Mężczyzna biegł w moją stronę.

– Prawie pana zabiłem, do cholery!

– Gdzie jestem?

– Co się panu stało?

Przy drzwiach samochodu stała kobieta i przyglądała się nam obu.

– Miałem wypadek. Gdzie jestem?

– Na Doncaster Road. Chce pan, żebyśmy zadzwonili po karetkę?

– Nie.

– Na policję?

– Nie.

– Nie wygląda pan dobrze.

- Mógłby mnie pan podwieźć?
Mężczyzna obejrzał się na kobietę przy samochodzie.
- Dokąd?
– Kojarzy pan kawiarnię Czerwony Strumyk po drodze do Wakefield?
– Tak. – Zerknął to na samochód, to znów na mnie. – Dobrze.
– Dziękuję.
Powoli poszliśmy do samochodu.
Wsiadłem do tyłu.
Kobieta siedziała z przodu i patrzyła prosto przed siebie. Jej blond włosy miały ten sam odcień co włosy Pauli, tylko były dłuższe.
– Pan miał wypadek. Podwieziemy go – wyjaśnił jej mężczyzna, uruchamiając silnik.
Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał szóstą.
– Przepraszam, jaki dzisiaj dzień? – zapytałem.
– Poniedziałek – powiedziała kobieta, nie odwracając głowy.
Wyjrzałem przez okno na puste brązowe pola.
Poniedziałek, 23 grudnia 1974 roku.
– Więc jutro Wigilia?
– Tak – potwierdziła.
Mężczyzna przyglądał mi się we wstecznym lusterku.
Odwróciłem się z powrotem do pustych brązowych pól.
– Może być tutaj? – spytał, zatrzymując samochód przy Czerwonym Strumyku.
– Tak. Dziękuję.
– Na pewno nie chce pan skorzystać z pomocy lekarza?
– Na pewno. Dziękuję. – Wsiadłem.
– No to do widzenia – powiedział mężczyzna.
– Do widzenia i bardzo państwu dziękuję. – Zatrzasnąłem drzwiczki.

Kobieta wciąż patrzyła prosto przed siebie, kiedy odjeżdżali.

Przeszedłem przez parking, przez dziury pełne błotni-
stej deszczówki zanieczyszczonej olejem samochodowym,
na tyły motelu.

Drzwi do pokoju 27 były uchylone.

Stałem przed nimi, nasłuchując.

Cisza.

Otworzyłem drzwi szerzej.

Sierżant Fraser spał w mundurze na posłaniu z papie-
rów i tekturowych teczek, kaset i fotografii.

Zamknąłem drzwi.

Otworzył oczy. Podniósł wzrok. I wstał.

– O kurwa – powiedział, spoglądając na zegarek.

– No.

Popatrzył na mnie.

– O kurwa.

– No.

Podbiegł do umywalki i zaczął napuszczać do niej wody.

– Lepiej usiądź – powiedział, odszedł od umywalki
i przechylił łóżko, żeby zrzucić papiery.

Przeszedłem po teczkach, notatkach, zdjęciach i ma-
pach i usiadłem na nagiej ramie łóżka.

– Co tutaj robisz?

– Zawieszają mnie w obowiązkach.

– Czym, do cholery, podpadłeś?

– Znam ciebie.

– I...?

– I nie chcę, żeby mnie zawiesili.

– Jak znalazłeś ten pokój?

– Jestem policjantem.

– Serio? – zapytałem, trzymając się za głowę.

– No, serio – odparł sierżant Fraser, zdejmując kurtkę
i podwijając rękawy koszuli.

– Byłeś tu wcześniej?

- Nie. Czemu?
- Tak tylko pytam.
Zamoczył w umywalce, wyjął i rzucił mi jedyny ręcznik.
Przyłożyłem go sobie do twarzy i wytarłem włosy.
Nabrał koloru rdzy.
- Ja tego nie zrobiłem.
- Wcale o to nie pytałem.
Fraser podniósł z podłogi szare prześcieradło i zaczął je drzeć na pasy.
- Dlaczego mnie wypuścili?
- Nie wiem.
Pokój poczerniał, koszula Frasera zrobiła się szara.
Wstałem.
- Siadaj.
- To był Foster, prawda?
- Siadaj.
- To był Don Foster, jestem, kurwa, pewien.
- Eddie...
- Oni to wiedzą, prawda?
- Dlaczego Foster?
- Wziąłem garść kartek.
- Bo on jest ogniwem łączącym w całym tym zasranym bajzlu.
- Myślisz, że Foster zabił Clare Kemplay?
- Ta.
- Czemu?
- Czemu nie?
- Gadanie. Jeanette Garland i Susan Ridyard też?
- Ta.
- A Mandy Wymer i Paulę Garland?
- Ta.
- Właściwie czemu mielibyśmy się tu zatrzymywać?
A co z Sandrą Rivett? Może to jednak nie Lucan ją zabił,
może to był Don Foster. A co z bombą w Birmingham?
- Odwal się. Ona nie żyje. Wszystkie nie żyją.

– Ale dlaczego? Dlaczego Don Foster? Nie podałeś mi ani jednego powodu.

Usiadłem z powrotem na łóżku, z głową w dłoniach, w pokoju zrobiło się czarno, nic nie miało sensu.

Fraser podał mi dwa pasy szarego materiału.

Owinałem nimi prawą dłoń i mocno zacisnąłem.

– Byli kochankami.

– No i...?

– Muszę się z nim zobaczyć – powiedziałem.

– Chcesz go oskarżyć?

– Muszę zadać mu kilka pytań, na które tylko on może odpowiedzieć.

Fraser podniósł swoją kurtkę.

– Jedźmy.

– Zawieszają cię.

– Już ci mówiłem, zawieszają mnie tak czy siak.

– Daj mi tylko kluczyki.

– Dlaczego miałbym ci je dawać?

– Bo mam tylko ciebie.

– No to masz przejebane.

– Taa. Więc postarajmy się, żeby skończyło się tylko na mnie.

Fraser wyglądał, jakby miał się zaraz porzygać, ale rzucił mi kluczyki.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Podszedłem do umywalki i zmyłem zaschniętą krew z twarzy.

– Widziałeś się z BJ-em? – zapytałem.

– Nie.

– Nie poszedłeś do jego mieszkania?

– Poszedłem.

– I...?

– Albo zwiął, albo ktoś go capnął. Na dwoje babka wróżyła.

Usłyszałem ujadanie psów i krzyki jakichś mężczyzn.

– Powinienem zadzwonić do matki.

Sierżant Fraser podniósł wzrok.

– Co?

Stałem przy drzwiach, z jego kluczykami w garści.

– Który to będzie?

– Żółty austin maxi.

Otworzyłem drzwi.

– No to cześć.

– Cześć.

– Dziękuję – powiedziałem, jakbym miał go już nigdy nie zobaczyć.

Zamknąłem drzwi pokoju 27 i przeszedłem przez parking do brudnego żółtego maxi zaparkowanego między dwoma ciężarówkami Findus.

Odjechałem spod Czerwonego Strumyka i włączyłem radio: IRA podłożyła bombę w Harrodsie, Ted Hearth ledwo uniknął wybuchu, Aston Martin jest na skraju bankructwa, w Rodezji widziano Lucana, wyłoniono też nową zwyciężczynię programu *Mastermind*.

Zbliżała się ósma, kiedy zaparkowałem pod wysokimi murami Trinity View.

Wysiadłem z wozu i podszedłem do bramy.

Była otwarta, na wielkiej choince wciąż paliły się białe lampki.

Spojrzałem na podjazd, który przecinał trawnik.

– O kurwa! – krzyknąłem głośno, wbiegając na podjazd.

W połowie drogi do domu stał rover, który wjechał w tył jaguara.

Popędziłem po trawie i o mało nie poślizgnąłem się na zimnej rosie.

Pani Foster, w długim futrze, pochylała się nad czymś, co leżało na trawniku przy frontowych drzwiach.

Krzyczała.

Złapałem ją i wziętem w ramiona.

Szarpała się na wszystkie strony, wierzgała nogami i machała rękami, gdy próbowałem odepchnąć ją do tyłu, z powrotem do domu, byle dalej od trawnika.

A potem przyjrzałem się dokładnie temu, kto leżał na murawie.

Tłusty i blady, na szyi pętla czarnego kabla, który biegł dalej, owijając się wokół nadgarstków spętanych za plecami, ubrany tylko w białe brudne majtki, z wyrwanymi włosami i skórą na głowie czerwoną od ran i krwi.

– Nie, nie, nie! – krzyczała pani Foster.

Oczy jej męża były szeroko otwarte.

Pani Foster, w futrze poczerniałym od kropli deszczu, rzuciła się znowu ku ciału.

Powstrzymałem ją siłą, nadal wpatrzony w Donalda Fostera, w obwisłą bladą skórę na nogach upačkaną błotem, zakrwawione kolana, trójkątne ślady po oparzeniach na plecach, rozoraną skórę na głowie.

– Do domu! – Ścisnąłem ją mocno i ciągnąłem do domu.

– Nie, trzeba go przykryć!

– Pani Foster, proszę...

– Proszę go przykryć! – wykrzyknęła, próbując zrzucić z siebie futro.

Byliśmy we wnętrzu, pod schodami.

Posadziłem ją na najniższym stopniu.

– Proszę tu zaczekać.

Wziętem jej płaszcz i wyszedłem na zewnątrz.

Przykryłem Donalda Fostera namokniętym futrem.

Wróciłem do środka.

Pani Foster wciąż siedziała na schodku.

Z kryształowej karafki w salonie nalałem dwie szklanki szkockiej.

– Gdzie pani była? – Podałem jej dużą szklankę.

– Z Johnnym.
– Gdzie Johnny jest teraz?

– Nie wiem.

– Kto to zrobił?

Podniosła wzrok.

– Nie wiem.

– Johnny?

– Boże, nie.

– To kto?

– Powiedziałam: nie wiem.

– Kogo potrąciliście tamtej nocy na Dewsbury Road?

– Co?

– Kogo potrąciła pani tamtej nocy na Dewsbury Road?

– A co to ma do rzeczy?

– Proszę odpowiedzieć.

– A niech mi pan powie: jakie to ma teraz znaczenie?

Pochyliłem się, złapałem ją, ścisnąłem. Jakby martwi żyli i jakby żywi umarli, powiedziałem:

– Ponieważ myślę, że ten, kogo potrąciliście, zabił Clare Kemplay, a ktokolwiek zabił Clare, zabił też Susan Ridyard, a także Jeanette Garland.

– Jeanette Garland?

– Tak.

Jej orle oczy nagle znikły i patrzyłem teraz w wielkie czarne oczy pandy, pełne łez i tajemnic, tajemnic, których nie mogła dochować.

Skinałem na zewnątrz.

– To był on?

– Nie, Boże, nie.

– Więc kto?

– Nie wiem. – Drżały jej wargi i ręce.

– Wie pani.

Ze szklanki w jej dłoniach wylewała się whisky.

– Nie wiem.

– Owszem, wie pani – syknąłem i zerknąłem do tyłu na ciało za drzwiami, pod tą pieprzoną ogromną choinką. Zacisnąłem pięść tak mocno, jak tylko mogłem, i uniosłem rękę.

– Mów!

– Nie dotykaj jej, kurwa!

Na szczycie schodów stał Johnny Kelly, w ubraniu uwalanym błotem i krwią, z młotkiem w zdrowej ręce. Patricia Foster, oszołomiona, nawet się nie obejrzała. Cofnąłem się do drzwi.

– Zabiłeś go?

– To on zabił naszą Paulę i Jeanie.

Gorąco pragnąłem, żeby miał rację, ale wiedziałem, że się myli.

– Nie, to nie on – powiedziałem.

– A co ty, kurwa, o tym wiesz? – Kelly zszedł na schody.

– Ty go zabiłeś?

Schodził po schodach, patrząc prosto na mnie, ze łzami w oczach i na policzkach, z młotkiem w garści.

Zrobiłem kolejny krok do tyłu, widząc w tych łzach o wiele za dużo.

– Wiem, że tego nie zrobiłeś.

Ciągle się zbliżał, ciągle płakał.

– Johnny, wiem, że zrobiłeś w życiu kilka złych rzeczy, kilka potwornych rzeczy, ale wiem, że nie zrobiłeś tego.

Zatrzymał się u podnóży schodów, młotek trzymał tuż przy włosach pani Foster.

Ruszyłem w jego stronę.

Upuścił młotek.

Podszedłem, podniosłem młotek, wycierając go brudną szarą chustką do nosa jak wszyscy przestępcy i nieuczciwi gliniarze w *Kojaku*.

Kelly patrzył na jej włosy.

Upuściłem młotek.

Zaczął głaskać ją po włosach, ciągnąc coraz mocniej i mocniej, gdy palce natrafiały na sploty sklejone cudzą krwią.

A ona nawet nie drgnęła.

Odciągnąłem go na bok.

Nie chciałem już nic więcej wiedzieć, chciałem kupić sobie jakieś prochy, kupić gorzałę i wynieść się stąd jak najszybciej.

Spojrzał mi w oczy.

– Powinieneś stąd pryskać.

Nie mogłem.

– Ty też – powiedziałem.

– Zabiją cię.

– Johnny! – Wziąłem go za ramię. – Kogo potrąciliście tamtej nocy na Dewsbury Road?

– Zabiją cię. Będziesz następny.

– Kto to był? – Pchnąłem go do tyłu, na ścianę.

Milczał.

– Wiesz, kto to zrobił, prawda? Wiesz, kto zabił Jeanette i te dwie inne?

Pokazał za drzwi.

– On.

Walnąłem go mocno, ból eksplodował mi w ciele, aż zobaczyłem gwiazdy.

Gwiazdor ligi rugby runął do tyłu na dywan.

– Wal się.

– Nie, sam się wal. – Pochyliłem się, tylko czekając, by roztrzaskać mu łeb i wydrzeć z mózgowicy wszystkie paskudne tajemnice i świństewka.

Leżał na podłodze u stóp pani Foster i patrzył na nią, jakby miał dziesięć lat, a ona kiwała się w przód i w tył, jakby to wszystko oglądała w telewizji u kogoś innego w domu.

– Mów!

– To był on – jęknął.

– Kłamiesz, kurwa. – Sięgnąłem za siebie, chwytając młotek.

Kelly wygramolił się spod moich nóg, czołgając się przez płamę whisky do frontowych drzwi.

– Chciałbyś, kurwa, żeby to był on – powiedziałem.

– Nie.

Złapałem go za kołnierz, obróciłem twarzą do siebie.

– Chciałbyś, żeby to był on. Chciałbyś, żeby to było tak proste.

– To był on. To on.

– Nieprawda, wiesz, że to nieprawda.

– Nie.

– Jak pragniesz swojej cholernej zemsty, to powiedz mi, kto to był, tamtej nocy.

– Nie, nie, nie.

– Sam nic na to nie poradzisz, więc powiedz mi, kurwa, bo inaczej rozwalę ci ten pierdolony łeb.

Odpychał mi twarz obiema dłońmi.

– To już koniec.

– Chciałbyś, żeby to był on, bo wtedy byłoby po wszystkim. Ale sam wiesz, że to jeszcze nie koniec! – krzyknąłem i trzasnąłem młotkiem w schody.

Pani Foster płakała.

On płakał.

Ja płakałem.

– To się nigdy nie skończy, póki mi, kurwa, nie powiesz, kogo potrąciliście.

– Nie!

– To nie koniec.

– Nie!

– To nie koniec.

– Nie!

– To jeszcze nie koniec, Johnny.

Krztusił się, plując łzami i żółcią.

– To koniec.

– Powiedz to wreszcie, ty pierdolony zasańcu.

– Nie mogę.

Zobaczyłem księżyc w dzień, słońce w nocy, siebie, jak ją pierdolę, ją, jak pierdoli się z nim, twarz Jeanette w tym wszystkim.

Złapałem go za gardło, trzymając młotek w zabandażowanej garści.

– Pierdoliłeś własną siostrę.

– Nie.

– Byłeś ojcem Jeanette, zaszranca, prawda?

– Nie!

– Byłeś jej ojcem.

Poruszał wargami, krwawa ślina pieniała się w kącikach ust.

Pochyliłem się nad nim nisko.

Pani Foster powiedziała za moimi plecami:

– George Marsh.

Obróciłem się gwałtownie, łapiąc ją i ciągnąc do nas.

– Słucham?

– George Marsh – wyszeptwała.

– Tak?

– Na Dewsbury Road. To był George Marsh.

– George Marsh?

– Jeden z majstrów Donny’ego.

„Pod tymi pięknymi nowymi dywanami, między rozpadlinami i kamieniami”.

– Gdzie jest?

– Nie wiem.

Puściłem ich oboje i wstałem, hol zrobił się nagle większy i jaśniejszy.

Zamknąłem oczy.

Usłyszałem łoskot upadającego młotka, dzwoniące zęby Kelly’ego, a potem znowu wszystko skurczyło się i pociemniało.

Podszedłem do telefonu, wziąłem książkę telefoniczną. Otworzyłem ją na literze M i w Marshach znalazłem G. Marsha, był jeden w Netherton, mieszkał przy Maple

Street Drive 16. Numer telefonu 36-57. Zamknąłem książkę.

Podniosłem notes telefoniczny z okładką w kwiatki i otworzyłem go na literze M.

Napisane wiecznym piórem: *George 36-57.*

Jest.

Zamknąłem notes.

Johnny Kelly trzymał głowę w dłoniach.

Pani Foster patrzyła na mnie z dołu.

„Pod tymi pięknymi nowymi domami, między rozpadlinami i kamieniami”.

– Od jak dawna pani wiedziała?

Znowu te orle oczy.

– Nie wiedziałam – odparła.

– Kłamie pani.

Patricia Foster przetłknęła ślinę.

– Co z nami będzie?

– A co ma być?

– Co pan z nami zrobi?

– Będę się modlił, żeby Bóg wszystkim wam wybaczył.

Ruszyłem do wyjścia i leżących na trawie zwłok Donalda Fostera.

– Dokąd pan idzie?

– Skończyć to wreszcie.

Johnny Kelly podniósł wzrok, twarz miał poplamioną krwawymi odciskami palców.

– Spóźniłeś się.

Zostawiłem otwarte drzwi.

„Pod tymi pięknymi nowymi dywanami, między rozpadlinami i kamieniami”.

Samochodem Frasera pojechałem do Wakefield, a potem dalej, przez Horbury. Zamiast deszczu padał teraz deszcz ze śniegiem.

Podśpiewywałem sobie piosenki świąteczne z Programu 2 i przełączyłem radio na trójkę, żeby uniknąć serwisu informacyjnego o dziesiątej. Słuchałem, jak Anglia przegrywa turniej The Ashes, i wykrzykiwałem własne wiadomości o dziesiątej:

Don Foster nie żyje.

Dwóch morderców, może trzech.

Ja następny?

Liczę morderców.

Dojeżdżam do Netherton, z deszczu ze śniegiem nagle robi się znowu deszcz.

Liczę zabitych.

Czuję smak pistoletowej lufy, smród własnego gówna.

Słyszę ujadanie psów, krzyki.

Paula nie żyje.

Musiałem coś jeszcze zrobić, miałem sprawy do dokończenia.

„Pod tymi pięknymi nowymi dywanami, między rozpadlinami i kamieniami”.

Na poczcie w Netherton zapytałem o drogę i starsza pani, która tam nie pracowała, powiedziała mi, gdzie jest Maple Well Drive.

Numer 16 był bungalowem, jak reszta domów przy tej ulicy, bardzo podobnym do tego Enid Sheard, bardzo podobnym do tego Goldthorpe'ów. Zadbany mały ogródek z niskim żywopłotem i karmnikiem dla ptaków.

Cokolwiek George Marsh zrobił, nie zrobił tego tutaj.

Otworzyłem małą czarną furtkę z metalu i przeszedłem ścieżką do domu. Za firankami widziałem blask włączanego telewizora.

Zapukałem do przeszklonych drzwi.

Otworzyła mi grubawa siwa kobieta z trwałą ondulacją i rącznikiem kuchennym w dłoni.

– Pani Marsh?
– Tak?
– Żona pana George’a Marsha?
– Tak?
Pchnąłem drzwi mocno w jej twarz.
– Co, do cholery jasnej? – Upadła na dupę.
Wdarłem się do domu, przeskakując przez kalosze i buty do pracy w ogrodzie.
– Gdzie on jest?
Przyłożyła sobie ręcznik do twarzy.
– Gdzie on jest? – powtórzyłem.
– Nie widziałam go. – Usiłowała wstać.
Trzasnąłem ją mocno w policzek.
Upadła z powrotem na podłogę.
– Gdzie on jest?
– Nie widziałam go.
Babsztyl miał szeroko otwarte oczy, jeszcze trochę, a by się rozpląkała.
Znowu podniosłem rękę.
– Gdzie?
– Co takiego zrobił? – Miała ranę nad okiem, dolna warga już zaczęła jej puchnąć.
– Wie pani.
Uśmiechnęła się, taki drapieżny, kurewski uśmiešek.
– Gdzie?
Leżała na butach i parasolkach i patrzyła mi prosto w twarz, brudne usta rozchyliła w uśmiechu, jakbyśmy mieli pójść razem do łóżka.
– Gdzie?
– W starej szopie. Tam, gdzie ogródki działkowe.
Wiedziałem więc, co tam znajdę.
– Gdzie to jest?
Nadal się uśmiechała. Wiedziała, co tam znajdę.
– Gdzie?

Podniosła ręcznik wyżej.
– Nie mogę...
– Zaprowadzi mnie pani – syknąłem, łapiąc ją za ramię.
– Nie!
Postawiłem ją na nogi.
– Nie!
Otworzyłem drzwi.
– Nie!
Powlokłem ją ścieżką, skórę na głowie miała podrażnioną i czerwoną pod siwymi ufryzowanymi włosami.
– Nie!
– Którędy? – zapytałem przy furtce.
– Nie, nie, nie.
– Którędy, do kurwy nędzy?!
Szarpnąłem mocniej.
Odwróciła się, patrząc do tyłu, za bungalow.
Pchnąłem ją za furtkę i poszliśmy na tyły Maple Well Drive.
Za bungalowami było puste brązowe pole, wznosiło się stromo ku brudnemu białawemu niebu. Była tam brama w murze i przejazd dla traktorów, a w miejscu gdzie pole stykało się z niebem, rząd czarnych zabudowań.
– Nie!
Zepchnąłem ją z drogi i przycisnąłem do kamiennego muru.
– Nie, nie, nie.
– Stul cholerną jadaczkę, ty pierdolona suko. – Chwyliłem ją lewą ręką za twarz i ścisnąłem jej usta w rybi pyszczek.
Trzęsła się, ale nie uroniła ani jednej łzy.
– Jest tam, na górze?
Spojrzała prosto na mnie, a potem kiwnęła głową.
– Jeśli go nie ma albo usłyszysz, że się zbliżamy, to cię zabiję, zrozumiano?

Patrzyła prosto na mnie, znowu kiwnęła głową.
Puściłem jej twarz, na palcach został mi puder
i szminka.

Stała dalej przy kamiennym murze, bez ruchu.

Wziąłem ją za ramię i poprowadziłem za bramę.

Podniosła wzrok ku czarnej linii bud.

– Żwawo – powiedziałem i pchnąłem ją w plecy.

Ruszyliśmy pod górę drogą dla traktorów, koleiny były
pełne czarnej wody, śmierdziało gnojem.

Potknęła się, upadła, wstała.

Obejrzałem się do za siebie na Netherton w dole, takie
samo jak Ossett, takie samo jak wszystkie inne zadupia.

Widziałem ulice bungalowów i zabudowę szeregową,
sklepy i warsztaty.

Potknęła się, upadła, wstała.

Widziałem to wszystko.

Zobaczyłem białą furgonetkę jadącą w naszą stronę,
podskakującą na wertepach, w środku rzucało jej małym
bagażem na boki.

Zobaczyłem panią Marsh przy kuchennym zlewie,
z tym pierdolonym ręcznikiem w dłoni, obserwującą, jak
furgonetka kursuje tam i z powrotem.

Byliśmy prawie na szczycie wzniesienia, prawie przy
szopach. Wyglądały jak wybudowana z błota wioska z epo-
ki kamienia łupanego.

– Która jest jego?

Wskazała tę na końcu, składowisko brezentu i worków
nawozu, blachy falistej i cegieł.

Ruszyłem przodem, ciągnąc ją za sobą.

– Ta? – szepnąłem, pokazując czarne drewniane drzwi
z workiem po cemencie jako zasłoną okna.

Pokiwała głową.

– Otwórz.

Odchyliła drzwi.

Wepchnąłem ją do środka.

Był tam stół do majsterkowania i narzędzia, stopy worków betonu i nawozu, doniczki i podstawki. Na podłodze ściełiły się puste plastikowe worki.

W powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi.

– Gdzie on jest?

Pani Marsh chichotała, zakrywając usta i nos rękawiczkami.

Obróciłem ją i strzeliłem pięścią w ten rękawicznik.

Zachwiała się, zawyła i padła na kolana.

Capnąłem ją za siwe włosy i zawlokłem do stołu, przyciskając jej policzki do blatu.

– Aha-ha-ha. Aha-ha-ha.

Śmiała się i krzyczała, całe ciało jej się trzęsło, gdy jedną ręką zamiatała plastikowe worki na ziemi, a drugą podwinęła spódnicę i ścisnęła ją, jakby chciała ją wepchnąć do pizdy.

Podniosłem jakieś dłuto czy też nóż do zdzierania tapety.

– Gdzie on jest?

– Mmm, ha-ha-ha. Mmm, ha-ha-ha.

Jej krzyki były stłumione, chichot powściągliwie dawkowany.

– Gdzie on jest? – Przystawiłem jej dłuto do obwisłych fałdów skóry na gardle.

– Aha-ha-ha. Aha-ha-ha.

Znowu zaczęła wierzgać, rozkopując plastikowe worki kolanami i stopami.

Spuściłem wzrok i między workami i torbami dostrzegłem kawał grubej zabłoconej liny.

Puściłem jej włosy i odepchnąłem babę do tyłu.

Odgarnąłem nogą worki i odkryłem pokrywę włazu, przez którą jak przez pętelkę wielkiego guzika przewleczono brudną czarną linę.

Owinąłem linę wokół zdrowej i zranionej dłoni i podniosłem pokrywę, odsuwając ją na bok.

Pani Marsh siedziała pod stołem na dupie i chichotała histerycznie, tupiąc obcasami o ziemię.

Zajrzałem do dziury, w głąb wąskiego kamiennego szybu z metalową drabinką, która prowadziła jakieś piętnaście metrów niżej, gdzie jarzyło się słabe światło.

Był to szyb drenażowy albo wentylacyjny do kopalni.

A Marsh na dole?

Jego żona wierzgała nogami coraz szybciej i szybciej, krew nadal płynęła jej z nosa do ust, gdy nagle rozłożyła szeroko nogi i zaczęła wycierać sobie rękami cieliste rajstopy i rubinowoczerwone majtki.

Sięgnąłem pod stół i wyciągnąłem ją stamtąd za nogi. Obróciłem ją na brzuch, usiadłem okrakiem na jej dupsku.

– Aha-ha-ha. Aha-ha-ha.

Sięgnąłem na stół po kawałek liny. Zarzuciłem jej na szyję, owinąłem, potem spętałem nadgarstki, a wreszcie przywiązałem końcówkę liny do nogi od stołu, przymocowując ją podwójnym węzłem.

Pani Marsh zsikała się w gacie.

Spojrzałem znowu w głąb szybu, odwróciłem się i wsunąłem jedną stopę w ciemność.

Zacząłem schodzić coraz niżej, metalowe szczeble drabiny były zimne i mokre, ceglane ściany śliskie.

Coraz niżej i niżej.

Wśród krzyków i wrzasków pani Marsh usłyszałem cichy szum lejącej się wody.

Schodziłem coraz niżej, byłem już pięć metrów pod ziemią.

Krąg szarego światła i szaleństwo u góry.

Zszedłem niżej, siedem metrów, śmiech i krzyki uciły.

Czułem, że poniżej jest woda, wyobrażałem sobie szyby i korytarze kopalni zatopione, wypełnione czarną wodą i trupami o szeroko otwartych ustach.

Nagle jedna z bocznych ścian szybu zniknęła i znalazłem się w świetle.

Odwróciłem głowę, zaglądając w głąb żółtego wejścia do biegnącego poziomo tunelu po prawej ode mnie.

Zszedłem jeszcze trochę niżej, a potem obróciłem się, kładąc łokcie na podłodze korytarza. Podciągnąłem się do góry i wgramoliłem do tunelu.

Światło było jasne, a chodnik wąski, długi i niski. Nie mogłem wstać, więc na łokciach i brzuchu czołgałem się po szorstkich ceglach do źródła światła.

Byłem spocony i zmęczony, rozpaczliwie pragnąłem wreszcie wstać.

Czołgałem się dalej, myślałem o pokonywanej drodze najpierw w metrach, a potem w kilometrach, gdy dystans zdawał się rozciągać w nieskończoność.

Nagle sufit zrobił się nieco wyższy, teraz mogłem na czworakach sunąć dalej do przodu, aż kolana i łydki miałem przetarte do krwi i obolałe. Myślałem o górach ziemi usypanych nad moją głową.

Słyszałem, jak coś porusza się w rozproszonym świetle, myszy albo szczury, dziecięce stópki.

Zagłębiłem rękę w gliniastym błocie i wyciągnąłem bucik, dziecięcy sandał.

Położyłem go na ceglach w pyłe i z trudem zdławiłem łyż, bo utknąłem z tym bucikiem, nie mogłem go wyrzucić, nie mogłem zostawić.

Dźwignąłem się na nogi i nisko pochylony ruszyłem dalej, objijając się plecami o belki i dźwigary, pokonując metr tu, pół metra tam.

A potem powietrze się zmieniło i szum wody ucichł, za to poczułem w nozdrzach śmierć i usłyszałem jęki.

Sufit znowu się podniósł i było teraz więcej drewnianych belek, o które mogłem objąć się głową, aż wreszcie dotarłem do zakrętu przy starym rumowisku i znalazłem się na miejscu.

Stałem wyprostowany u wejścia do dużego tunelu rozświetlonego blaskiem lamp Davy'ego, zdyszany, spocony i spragniony, próbując to wszystko ogarnąć.

Pieprzona grota Świętego Mikołaja.

Upuściłem bucik, łyzy popłynęły mi po brudnej twarzy.

Tunel został zamknięty murowaną ścianą jakieś pięć metrów dalej, cegły pomalowano na niebiesko i w białe chmurki, podłogę pokryto pustymi workami i białymi piórami.

Przy obu bocznych ścianach było z dziesięć cienkich lusterek ustawionych w rzędzie.

Z belek stropowych zwisały zabawki na choinkę: aniołki, wróżki i gwiazdki, wszystkie lśniące w świetle lamp.

I były jeszcze pudła i torby, były stroje, i były narzędzia.

Były aparaty i kamery, reflektory, magnetofony i taśmy.

A pod błękitną ścianą na końcu pomieszczenia, przykryty workami leżał George Marsh.

Na postaniu ze zwiędłych czerwonych róż.

Podszedłem do niego po pierzynie z białych piór.

Odwrócił się do światła, miał rozchylone wargi, maskę czarnej i czerwonej krwi zamiast twarzy, puste jamy zamiast oczu.

Otworzył i zamknął usta, spomiędzy warg wypływała spieniona krew, z głębi trzewi wydobył się jęk zdychającego psa.

Pochyliłem się i spojrzałem w puste jamy oczodołów, w usta, gdzie był kiedyś giętki i wymowny język, i zmiotowałem.

Wyprostowałem się i odkryłem worki.

George Marsh był nagi i konający.

Tułów miał siny, fioletowy, zielony i czarny, umazany gównem, błotem i krwią, przypalony i osmalony.

Fiuta i jajca wyrwano, zostały tylko luźne płaty skóry i kałuża krwi.

Dygotał na całym ciele i wyciągnął do mnie rękę, u dłoni miał tylko kciuk i mały palec.

Wstałem i kopnąłem worki, przykrywając go z powrotem.

Podszedłem do toreb i pudeł, wysypując po kolei ich zawartość: ubranka i błyskotki, noże, papierowe korony i ogromne igły. Szukałem książek, szukałem słów.

Znalazłem zdjęcia.

Całe pudła zdjęć.

Szkolne fotografie, szerokie białe uśmiechy i wielkie błękitne oczy, blond włosy i różowe policzki.

I wtedy ujrzałem to wszystko znowu.

Czarno-białe zdjęcia Jeanette i Susan, brudne kolana rozchylonych nóg, drobne rączki na zamkniętych oczach, wielkie białe błyski rozjaśniające pokój.

Uśmiechy dorosłych i oczy dziecka, brudne kolana pod sukienkami aniołków, drobne rączki zakrywające krwawe dziury, wielkie białe salwy śmiechu wypełniające pokój.

Zobaczyłem mężczyznę w papierowej koronie i niczym więcej, który gwałci małą dziewczynkę pod ziemią.

Zobaczyłem jego żonę, jak przyszywa aniołkom skrzydła i całuje, żeby mniej bolało.

Zobaczyłem polaczka półgłówka kradnącego zdjęcia i wywołującego odbitki.

Zobaczyłem mężczyzn budujących domy, obserwujących małe dziewczynki, które bawią się po drugiej stronie ulicy, robiących zdjęcia i notatki, budujących nowe domy obok starych.

A potem spojrzałem znowu na George'a Marsha, na kierownika budowy, majstra konającego w katuszach na postaniu ze zwiędłych róż.

„George Marsh. Bardzo miły człowiek”.

Ale nie dość na tym.

Zobaczyłem Johnny'ego Kelly'ego z młotkiem w garści po wykonanej tylko częściowo robocie.

Ale wciąż nie dość na tym.

Zobaczyłem mężczyznę zawiniętego w wielkie arkusze papieru i plany, pochłoniętego mrocznymi wizjami aniołów, rysującego domy w kształcie łabędzi, błagając o ciszę.

Ale to nadal za mało.

Zobaczyłem tego samego mężczyznę, jak siedzi w kuczki w ciemnym kącie i krzyczy: George, zrób to dla mnie, bo CHCĘ JESZCZE, CHCĘ NATYCHMIAST!

Zobaczyłem Johna Dawsona.

I było tego o wiele, wiele za dużo.

Uciekłem z podziemnej sali, z powrotem tym samym tunelem, pochylony, potem na czworakach, i nasłuchiwałem szumu płynącej wody, przy krzykach w ciemności, krzykach w mojej głowie:

„Mieliśmy uroczy widok, zanim postawiono te nowe domy”.

Doczołgałem się do drabiny i podciągnąłem się do góry, obcierając sobie plecy o strop korytarza.

Wdrapywałem się wyżej i wyżej.

Dotarłem na górę i wygramoliłem się z włazu.

Ona wciąż była w szopie, leżała na brzuchu przywiązana do stołu.

Położyłem się na plastikowych workach, zdyszany, spocony i przerażony.

Uśmiechnęła się do mnie zaślinionymi ustami, uda miała mokre od moczu.

Wziąłem ze stołu nóż i poprzecinałem więzy.

Zawlokłem ją na skraj szybu, złapałem za te siwe ufryzowane kudły, zadarłem jej głowę i przyłożyłem nóż do gardła.

– Wracasz tam na dół.

Obróciłem ją i zepchnąłem jej nogi w otchłań.

– Możesz zejść po drabinie albo spaść. Mam to w dupie.

Postawiła stopę na szczeblu i zaczęła schodzić, patrząc mi w oczy.

– Póki śmierć was nie rozłączy – rzuciłem za nią.

Jej oczy lśniły w ciemności, ani razu nie mrugnęła.

Odwróciłem się, złapałem grubą czarną linę i zakryłem właz klapą.

Wziąłem worek z cementem i położyłem go na klapie. A potem jeszcze jeden i jeszcze, i tak po kolei.

Później wziąłem worki z nawozem i rzuciłem je na worki z cementem.

W końcu usiadłem na nich wszystkich i poczułem, jak nogi drętwieją mi z zimna.

Wstałem, podniosłem ze stołu kłódkę i klucz. Wyszedłem z szopy. Zamknąłem drzwi i założyłem na nie kłódkę.

Pobiegłem przez pole, wyrzucając klucz w błoto.

Drzwi do domu pod numerem 16 wciąż były uchylone, w telewizji leciał odcinek *Crown Court*.

Wszedłem do pokoju i nasrałem na podłogę.

Wyłączyłem telewizor.

Usiadłem na ich kanapie i pomyślałem o Pauli.

Potem przeszukałem ich pokoje, zaglądając do wszystkich szuflad.

W szafie z ubraniami znalazłem strzelbę i pudełko z nabojami. Zawinąłem to wszystko w wór na śmieci. Poszedłem do samochodu, schowałem strzelbę i naboje do bagażnika.

Wróciłem do bungalowu i ostatni raz rozejrzałem się dookoła, po czym zamknąłem drzwi na klucz i przeszedłem przez ogródek.

Stałem przy murze i podniosłem wzrok na czarny rząd zabudowań, z deszczem na twarzy, cały upačkany błotem.

Wsiadłem do auta i odjechałem.

4 LUV.
Z MIŁOŚCI.
Wszystko z miłości.

Shangrila, krople deszczu spływały z rynien rezydencji przycupniętej samotnie na tle wytartego, szarego nieba.

Zaparkowałem za kolejnym brudnym żywopłotem przy kolejnej pustej drodze i poszedłem po kolejnym smutnym podjeździe.

Padał deszcz ze śniegiem i znowu zastanawiałem się, czy w najmniejszym stopniu obchodzi to ogromne pomarańczowe ryby w stawie, i wiedziałem, że George Marsh musi cierpieć i że Don Foster na pewno też cierpiał, ale nie wiedziałem, jak sam się z tym czuję.

Chciałem zboczyć z drogi i obejrzeć te duże pomarańczowe ryby, ale szedłem dalej.

Pod domem nie stał żaden samochód, tylko dwie mokre butelki mleka w drucianym koszyku na schodku przed drzwiami.

Bałem się i zrobiło mi się niedobrze.

Spuściłem wzrok.

W rękach miałem strzelbę.

Wcisnąłem dzwonek i usłyszałem, jak niesie się brzęczącym echem po Shangrili, a jednocześnie myślałem o zakrwawionym fiucie George'a Marsha i zakrwawionych kolanach Dona Fostera.

Nikt nie otwierał.

Wcisnąłem dzwonek ponownie i zacząłem pukać kolbą do drzwi.

Wciąż nikt nie otwierał.

Nacisnąłem klamkę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Wszedłem do środka.

– Halo?

W domu było zimno i prawie zupełnie cicho.

Przystanąłem w przedsionku i powtórzyłem:

– Halo?

Usłyszałem niskie syczenie, a po nim serię stłumionych trzasków.

Skręciłem w lewo do przestronnego białego salonu.

Nad nieużywanym kominkiem wisiała powiększona czarno-biała fotografia łabędzia zrywającego się do lotu z powierzchni jeziora.

Łabędź nie był sam.

Na każdym stole, na każdej półce, na każdym parapecie stały łabędzie z drewna, łabędzie ze szkła, łabędzie z porcelany.

Łabędzie w locie, łabędzie we śnie i dwa wielkie łabędzie całujące się z szyjami wygiętymi tak, że tworzyły wielkie serce.

Dwa pływające łabędzie.

Bingo.

Nawet na pudełkach od zapalek nad pustym kominkiem.

Stałem tak, wpatrzony w łabędzie, słuchając niskiego syku i trzasków.

W pokoju panował dojmujący chłód.

Podszedłem do dużej drewnianej skrzyni, zostawiając błotniste ślady butów na kremowym dywanie. Odłożyłem strzelbę, podniosłem wieko i zdjąłem igłę z płyty. To był Mahler.

Pieśni na śmierć dzieci.

Odwróciłem się nagle, wyglądając przez okno na trawnik, bo wydało mi się, że usłyszałem nadjeżdżający samochód.

Ale to był tylko wiatr.

Podszedłem do okna i spojrzałem w dół, za żywoplot.

Coś tam było, coś w ogrodzie.

Przez moment wydawało mi się, że widzę cygańską dziewczynkę, która siedzi pod żywoplotem bosa, z gałazkami w ciemnych włosach.

Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, Cyganki nie było.

Słyszałem tylko cichutkie dudnienie.

Cofnąłem się, stawiając stopę znowu na miękkim kremowym dywanie, i potrąciłem szklanę, która już leżała na boku w mokrej plamie. Podniosłem ją i postawiłem na tacy w kształcie łabędzia na szklanym stoliku kawowym, obok gazety.

Gazeta była dzisiejsza, moja gazeta.

Dwa ogromne tytuły, dwa dni przed świętami:

SIOSTRA GWIAZDY LIGI ZAMORDOWANA.

PRZEWODNICZĄCY REZYGNUJE ZE STANOWISKA.

Dwie twarze, dwie pary ciemnych drukowanych oczu patrzyły na mnie z pierwszej strony.

Dwa artykuły, jeden Jacka pierdolonego Whiteheada, drugi George'a Greavesa.

Podniosłem gazetę, usiadłem na wielkiej kremowej sofie i przeczytałem najświeższe wiadomości:

Zwłoki pani Pauli Garland zostały znalezione przez policjantów w niedzielę we wczesnych godzinach porannych w jej domu w Castleford, po tym jak sąsiedzi zgłosili, że słyszeli krzyki.

Pani Garland (l. 32) była siostrą napastnika drużyny Wakefield Trinity Johnny'ego Kelly'ego. W 1969 roku córka pani Garland, ośmioletnia Jeanette, zaginęła w drodze ze szkoły do domu i pomimo szeroko zakrojonych poszukiwań policji nigdy nie została odnaleziona. Dwa lata później, w roku 1971, mąż pani Garland, Geoff, popełnił samobójstwo.

Źródła policyjne donoszą naszemu korespondentowi, że śmierć pani Garland jest traktowana jako morderstwo, w związku z którym policja przesłuchuje szereg świadków. Konferencję prasową w tej sprawie zaplanowano na poniedziałek rano.

Nie udało nam się skontaktować z Johnnym Kellym (l. 28), by uzyskać komentarz.

Ciemne drukowane oczy, twarz pozbawiona uśmiechu wyglądała, jakby Paula już nie żyła.

William Shaw, wpływowy polityk Partii Pracy i przewodniczący nowo powstałej Metropolitalnej Rady Regionu Wakefield, zrezygnował w niedzielę z piastowanej funkcji, wywołując szok w całym mieście.

W krótkim oświadczeniu Shaw (l. 52), jako powód swojej decyzji podał pogarszający się stan zdrowia.

Shaw, starszy brat wiceministra w MSW, Roberta Shawa, wszedł do polityki poprzez działalność w Zjednoczonym Związku Zawodowym Pracowników Transportu i Robotników. Szybko awansując w regionalnych strukturach organizacji, uzyskał mandat delegata ZZZPTiR w Narodowym Komitecie Wykonawczym Partii Pracy.

Mimo że wcześniej był radnym i przez wiele lat czynnie uczestniczył w życiu politycznym Regionu Zachodniego, okazał się gorącym zwolennikiem reformy samorządów lokalnych i został członkiem komisji Redcliffe'a-Maude'a.

Wybór Shawa na stanowisko przewodniczącego pierwszej Metropolitalnej Rady Regionu Wakefield został po witany z powszechną aprobatą jako gwarancja gładkiego przejścia ze starych struktur administracyjnych do nowych.

Źródła związane z organami władz lokalnych wyraziły wczoraj wieczorem konsternację i żal wobec niestosownej chwili, w jakiej nadeszła rezygnacja pana Shawa.

Pan Shaw jest również pełniącym obowiązki przewodniczącego w Nadzorze Policji Yorkshire Zachodniego i nie jest jasne, czy zrezygnuje również z tej funkcji.

Nie udało nam się skontaktować z wiceministrem Robertem Shawem, by uzyskać jego komentarz w spra-

wie rezygnacji brata. Sam pan Shaw podobno przebywa z przyjaciółmi we Francji.

Druga para ciemnych drukowanych oczu, twarz pozbawiona uśmiechu wyglądała, jakby Shaw już nie żył.

A niech go szlag.

„Brytyjska opinia publiczna otrzyma prawdę, na jaką zasługuje”.

A ja swoją.

Odłożyłem gazetę i zamknąłem oczy.

Zobaczyłem ich przy maszynach do pisania, Jacka i George’a. Cuchnęli szkocką, znali ich tajemnice, powtarzali ich kłamstwa.

Zobaczyłem Haddena, jak czyta ich kłamstwa, znając ich tajemnice, dolewając im szkockiej.

Chciałem zasnąć i spać przez tysiąc lat, obudzić się, kiedy tacy jak oni już znikną, kiedy nie będę już miał ich brudnego czarnego tuszu na palcach, we krwi.

Ale ten cholerny dom nie chciał zostawić mnie w spokoju, stukot maszyn do pisania zlewał się z cichym dudnieniem, od którego szumiało mi w uszach, który rozsadzał mi czaszkę.

Otworzyłem oczy. Na sofie obok mnie leżały wielkie rolki papieru, plany architektoniczne.

Rozłożyłem je na szklanym blacie, na zdjęciach Pauli i Shawa.

To było centrum handlowe, The Swan Centre.

Miało powstać przy zjeździe z autostrady M1 do Hunslet i Beeston.

Znowu zamknąłem oczy, moja mała Cyganka stała w kręgu ognia.

„Z powodu pieprzonych pieniędzy”.

The Swan Centre.

Shaw, Dawson, Foster.

Bracia Box upominają się o udziały.

Foster robi Boxów na szaro.

Shaw i Dawson przedkładają swoje przyjemności ponad interesy.

Foster stara się zarządzać całym tym pieprzonym cyrkiem.

Wszyscy na zbyt głębokiej wodzie, w za dużych butach, zwał jak chciał.

Wszyscy przegrali z kretesem.

„Z powodu pieprzonych pieniędzy”.

Wstałem i wyszedłem z salonu do jasnej i zimnej nowoczesnej kuchni.

Do pustego zlewu z nierdzewnej stali lała się woda. Zakręciłem kran.

Wciąż słyszałem to dudnienie.

Dwoje drzwi, jedno do ogrodu na tyłach, drugie do garażu.

Dudnienie dochodziło zza tych drugich.

Spróbowałem je otworzyć, ale stały opór.

Zobaczyłem, jak wypływają spod nich cztery strumyczki wody.

Spróbowałem jeszcze raz, nadal nie chciały się otworzyć.

Wybiegłem do ogrodu na tyłach i okrążyłem dom.

Garaż nie miał żadnych okien.

Spróbowałem otworzyć dwuskrzydłową bramę, ale była zamknięta na klucz.

Wróciłem frontowymi drzwiami do domu.

W zamku tkwił klucz, przy którym wisiał pęk innych kluczy.

Wziąłem je i zawróciłem do kuchni, do dudnienia.

Wypróbowałem największy klucz, najmniejszy i jeszcze jeden.

Zamek ustąpił.

Rozchyliłem drzwi i zachłysnąłem się spalinami.

O kurwa.

W głębi ciemnego garażu na dwa samochody stał jaguar z włączonym silnikiem.

O kurwa.

Wziąłem kuchenne krzesło i odkopując na bok stos mokrych szmat, postawiłem pod drzwi, żeby się nie zamknęły.

Wbiegłem do garażu, światło z kuchni padło na dwoje ludzi, którzy siedzieli na przednich fotelach, i gumowy wąż wetknięty w szparę tylnego okna.

Radio grało na pełny regulator, Elton John śpiewał *Goodbye Yellow Brick Road*.

Wyciągnąłem wąż i mokre szmaty z rury wydechowej i spróbowałem otworzyć drzwiczki od strony kierowcy.

Zamknęte.

Pobiegłem do drugich drzwiczek, otworzyłem je i łyknałem haust czadu, gdy złapałem panią Marjorie Dawson, która wciąż wyglądała jak moja matka, kiedy opadła mi na kolana z głową obwiązaną szkarłatną torbą termoz izolacyjną.

Spróbowałem posadzić ją prosto i pochyliłem się nad nią, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce.

John Dawson leżał oparty o kierownicę z torbą termoz izolacyjną na głowie i związanymi rękami na kolanach.

„Znowu to samo. Zuchwałe rozmowy mogą kosztować życie”.

Oboje byli sini i martwi.

Kurwa.

Zgasilem silnik, wyłączając Eltona, i usiadłem na podłodze garażu, ciągnąc panią Dawson za sobą. Jej głowa w torbie wylądowała mi na kolanach, gdy oboje patrzyliśmy w górę na jej męża.

Wielkiego architekta.

John Dawson, wreszcie, choć za późno, z twarzą w plastikowej torbie.

Cholerny John Dawson, zawsze jak widmo, którym teraz był naprawdę – widmem z plastikowym workiem na głowie.

Pierdolony John Dawson, po którym przetrwają tylko jego dzieła, ogromne i posępne, i ja z poczuciem, że zostałem obrabowany i przegrałem tak jak cała reszta: obrabowany z szansy, by kiedykolwiek poznać całą prawdę, i przegrałem, bo odebrano mi nadzieję. Siedziałem teraz przed Dawsonem, z jego żoną w ramionach, i rozpaczliwie pragnąłem ożywić go choć na jedną sekundę, usłyszeć z jego ust choć jedno słowo.

Cisza.

Ostrożnie podniosłem panią Dawson i posadziłem ją z powrotem w jaguarze, opierając jej głowę o bark męża. Głowy w plastikowych torebkach pochyliły się ku sobie, wciąż milczące.

Kurwa.

„Zuchwałę rozmowy mogą kosztować życie”.

Wyciągnąłem swoją brudną szarą chustkę i zacząłem wycierać ślady.

Pięć minut później zamknąłem drzwi do kuchni i wszedłem znów do salonu.

Ze strzelbą na kolanach usiadłem na sofie obok ich planów, ich projektów, ich chorych marzeń i pomyślałem o własnych.

W domu panował spokój.

Martwa cisza.

Wstałem i wyszedłem z Shangrili frontowymi drzwiami.

Pojechałem z powrotem do Czerwonego Strumyka, przy wyłączonym radiu. Wycieraczki piszczwały niczym szczury w mroku.

Zaparkowałem w kałuży i wyciągnąłem z bagażnika czarny worek na śmieci. Utykając, przeszedłem przez parking, cały obolały po wizycie w podziemiach.

Otworzyłem drzwi i schowałem się przed deszczem.

Pokój 27, zimny, zupełnie nie przypominał domu. Sierżanta Frasera dawno już nie było.

Usiadłem na podłodze przy zgaszonym świetle, słuchając, jak przyjeżdżają i odjeżdżają ciężarówki, i myślałem o Pauli, o naszym tańcu do piosenek z *Top of the Pops* przed paroma dniami, w innej epoce.

Pomyślałem o BJ-u i Jimmym Ashworcie, o nastoletnich chłopcach chowających się w ogromnych szafach wilgotnych pokojów.

Pomyślałem o Myshkinach i Marshach, o Dawsonach i Shawach, Fosterach i Boxach, o ich życiu i grzechach.

Później pomyślałem o mężczyznach w podziemiu, o dzieciach, które wykradali, o matkach, które pogrążali w rozpacz.

A kiedy nie mogłem już dłużej płakać, pomyślałem o własnej matce i wstałem z podłogi.

Żółcienie w recepcji były jaskrawsze niż kiedykolwiek, smród mocniejszy.

Podniosłem słuchawkę, wykręciłem numer i przyłożyłem monetę do szpary.

– Halo?

Wrzuciłem monetę do automatu.

– To ja.

– Czego chcesz?

Sala bilardowa za podwójnymi przeszklonymi drzwiami była cicha.

– Przeprosić.

– Co oni ci zrobili?

Rozejrzałem się po brązowych fotelach w recepcji, szukając starej kobiety.

– Nic.

– Jeden z nich mnie spoliczkował, wiesz?

Oczy zaczęły mnie piec.

– W moim własnym domu, Edwardzie!

– Przepraszam.

Matka płakała. W tle usłyszałem głos siostry, krzyczała na nią. Wpatrywałem się w imiona i obietnice, w groźby i numery telefonów nabazgrane przy automacie.

- Proszę, wróć do domu.
- Nie mogę.
- Edwardzie!
- Naprawdę mi przykro, mamó.
- Proszę!
- Kocham cię.

Odłożyłem słuchawkę.

Podniosłem ją znowu, spróbowałem wykręcić numer Kathryn, ale nie mogłem go sobie przypomnieć, więc odwiesiłem słuchawkę i pobiegłem w deszczu z powrotem do pokoju 27.

Niebo było przepastne, błękitne i bezchmurne.

Stała na ulicy, otulona czerwonym cardiganem, uśmiechnięta.

Blond włosy powiewały na wietrze.

Wyciągnęła do mnie ręce, zarzuciła mi ramiona na szyję.

– Nie jestem aniołem – szepnęła mi we włosy.

Pocałowaliśmy się, jej język przylgnął mocno do mojego.

Przesunąłem dłonie po jej plecach, tuląc ją z całych sił.

Wiatr smagał mi twarz kosmykami jej włosów.

Obudziłem się na podłodze z majtkami mokrymi po wytrysku.

Rozebrałem się przy zlewie w moim pokoju w Czerwonym Strumyku, obmywając pierś szarą letnią wodą, która chlapała na podłogę. Tęskniłem za domem, ale nie chciałem być niczym synem, zdjęcia córek uśmiechały się do mnie w lustrze.

Usiadłem po turecku na podłodze, rozwinąłem czarne bandażę, zatrzymując się tuż przed krwawą miazgą, zę-

bami podarłem na pasy następny kawałek prześcieradła i owinąłem nimi rękę. Gorsze rany uśmiechały się do mnie ze ściany powyżej.

Znów w ubłoconym ubraniu przy drzwiach od pokoju, łyknąłem prochy i zapaliłem papierosa. Chciało mi się spać, ale wolałem nie śnić. Pomyślałem, że to będzie dzień mojej śmierci. Obrazy Pauli pomachały mi na pożegnanie.

ROZDZIAŁ 12

Pierwsza w nocy.

Wtorek, 24 grudnia 1974 roku.

Pieprzona Wigilia Bożego Narodzenia.

Dzwonią dzwonki sań.

Wjechałem Barnsley Road do Wakefield, w domach gasły lampki na choinkach, w telewizji skończyły się *The Good Old Days*.

W bagażniku miałem strzelbę.

Przejechałem przez Calder, minąłem targowisko i dotarłem na Bullring z katedrą uwięzioną wysoko w czarnym niebie.

Wszędzie martwa cisza.

Zaparkowałem przed sklepem obuwniczym.

Otworzyłem bagażnik.

Z czarnego worka na śmieci wyjąłem strzelbę.

Naładowałem ją.

Wrzuciłem do kieszeni dodatkowe naboje.

Wziąłem strzelbę i zamknąłem bagażnik.

Przeszedłem przez Bullring.

Na piętrze Strafford Arms paliły się światła, na parterze było ciemno.

Otworzyłem drzwi i wszedłem po schodach, pokonując po jednym stopniu.

Siedzieli przy barze, wszyscy z whisky i cygarami:

Derek Box i Paul, sierżant Craven i konstabl Douglas.
Z szafy grającej leciał *Rock 'n' Roll Part 2*.

Barry James Anderson, twarz cała w sińcach, tańczył samotnie w kącie.

Trzymałem rękę na lufie, palec na spuście.

Spojrzeli w moją stronę.

– Jasna cholera – powiedział Paul.

Derek Box się uśmiechnął.

– Dobry wieczór, Eddie.

Powiedziałem mu to, co już wiedział.

– Zabiłeś Mandy Wymer?

Box odwrócił się i pyknął z grubego cygara.

– Tak?

– I Donalda Fostera?

– No i...?

– Dlaczego?

– Rasowy dziennikarz. Zgadnij sam, wilczku.

– Z powodu pieprzonego centrum handlowego?

– Tak, z powodu pieprzonego centrum handlowego.

– A co, do ciężkiej cholery, miała wspólnego z centrum handlowym Mandy Wymer?

– Mam ci to tłumaczyć jak dziecku?

– Tak, wytłumacz mi jak dziecku.

– Nie ma architekta, nie ma centrum handlowego.

– Więc ona wiedziała?

Roześmiał się.

– A chuj ją wie.

Zobaczyłem martwe małe dziewczynki i nowiutkie stoiska sklepowe, oskalpowane martwe kobiety i koniec wszystkich problemów.

Powiedziałem:

– Sprawilo ci to przyjemność.

– Mówilem ci od samego początku, że dostaniemy to, czego chcemy.

– Czyli co?

– Zemstę i pieniądze. Najlepsza kombinacja.
– Ja nie chciałem zemsty.
– Pragnąłeś sławy – syknął Box. – To to samo.
Łzy ciekły mi po policzkach, na wargi.
– A Paula? Dlaczego ona?
Box znowu zaciągnął się dymem z cygara.
– Jak mówiłem, nie jestem aniołem...
Strzeliłem mu w klatkę piersiową.
Upadł do tyłu, na Paula, powietrze uciekało z niego z sykiem.

Rock 'n' Roll.

Obaj policjanci stali jak zamurowani.
Przeładowałem i wystrzeliłem.
Trafiłem niskiego w bark.
Zacząłem repetować broń, ale ten wysoki ruszył do przodu.

Obróciłem strzelbę, złapałem ją za lufę i trzasnąłem go kolbą w twarz.

Stanął jak wryty, wpatrzony we mnie, z lekko przekrzywioną głową. Krew kapiała mu z ucha na kołnierz.

Rock 'n' Roll.

Sala wypełniła się dymem i gryzącym swądem spalonego prochu.

Kobieta za barem wrzeszczała, na jej bluzce była krew.

Jakiś mężczyzna przy stole pod oknem rozdziawił szeroko usta i podniósł ręce do góry.

Wysoki policjant wciąż stał, wpatrzony we mnie nieprzytomnym wzrokiem. Niski czołgał się w stronę ubikacji.

Paul leżał na plecach i patrzył w sufit, mrugając powiekami.

Derek Box nie żył.

BJ przestał tańczyć.

Wycelowałem w niego strzelbę, prosto w pierś.

– Dlaczego ja? – zapytałem.
– Miałeś wysokie rekomendacje.
Upuściłem strzelbę i zbiegłem po schodach.

Pojechałem z powrotem do Ossett.

Zaparkowałem austina Frasera pod supermarketem i poszedłem na piechotę na Wesley Street.

Viva stała na podjeździe, obok ciemnego i pogrążonego we śnie domu mojej matki.

Wsiadłem do auta, uruchomiłem silnik i włączyłem radio.

Zapaliłem ostatniego papierosa i zmówiłem kilka krótkich modlitw.

Clare, ta jest dla ciebie.

Susan, ta jest dla ciebie.

Jeanette, ta jest dla ciebie.

Paulo, wszystkie są dla ciebie.

I dla nienarodzonego.

Siedziałem za kierownicą, podśpiewywałem *The Little Drummer Boy*, gdy cała przeszłość, wszystkie dni łaski, waliły mi się na głowę.

Czekałem na błysk niebieskich świateł radiowozów.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę.